

100

UNIVERSITY OF WROCŁAW  
UAM UIMP UPP AWI



*Magis sic enim!*  
*Ceteris in die positis...*

Joanna Jodetka

**REKTORSKI**

**CZEK**

*Romans kryminalny*



W  
ab  
wntc  
two

Joanna Jodełka

# REKTORSKI CZEK

Romans kryminalny



Copyright © by Joanna Jodełka-Czachorowska MMXIX

Wydanie I

Warszawa MMXIX

Redaktor inicjujący: Filip Modrzejewski

Redaktorka prowadząca: Ida Świerkocka

Redakcja: Dorota Rzeszewska

Korekta: Ida Świerkocka

Projekt okładki: Krzysztof Rychter

Zdjęcia wykorzystane na I strony okładki: List gratulacyjny przesłany Heliodorowi Święcickiemu z okazji nadania Orderu Legii Honorowej, wł. Polska Akademia Nauk Archiwum w Warszawie Oddział w Poznaniu, [cyryl.poznan.pl](http://cyryl.poznan.pl), plac Wilhelmowski (dzisiaj pl. Wolności) na początku XX wieku, w głębi Biblioteka Raczyńskich i Muzeum Cesarza Fryderyka (obecnie Galeria Malarstwa i Rzeźby Muzeum Narodowego).

Projekt typograficzny i łamanie: Typo – Marek Ugorowski

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.

02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48

tel. 22 826 08 82, 22 8282519

[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)

[gwfoksal.pl](http://gwfoksal.pl)

ISBN 978-83-280-6419-5

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](http://GrupaWydawniczaFoksalSp.zo.o)

i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](http://VirtualoSp.zo.o)

**virtualo**

Po więcej ebooków koniecznie odwiedź chomika [JamaNiamy](http://JamaNiamy)

## Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Motto

Wstęp

Dedykacja

Wprowadzenie

REKTORSKI CZEK

Epilog

Podziękowania

Coraz bardziej w ciągu mojego życia przechodziłem do przekonania, że choć dusza ludzka oblepia się z ciągiem czasu grubą brudną warstwą, jednak w swych głębiach, w swym wnętrzu budzi podziw, jest czysta i schludna. Tak na nią patrząc, lepiej i sprawiedliwiej ocenić ją można.

*Heliodor Świącicki, 2 października 1923, fragment testamentu*

Rektor Świącicki przez ten cały pamiętny dzień promieniował radością. Będąc jego gościem, byłem zarazem przez cały dzień prawie nieodstępnym jego towarzyszem. Odczuwałem radość, która przepełniała jego złote serce. Nie omylę się może, przypuszczając, że był to najpiękniejszy dzień w jego życiu.

*Adam Wrzosek, Uniwersytet Poznański w pierwszych latach swego istnienia...*

Rok 2019 to czas świętowania setnej rocznicy narodzin Wszechnicy Piastowskiej przemianowanej w roku następnym na Uniwersytet Poznański. Od roku 1955 nosi on nazwę Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Rok jubileuszowy uczelnia ta celebryje wspólnie Uniwersytetem Medycznym im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu, Uniwersytetem Przyrodniczym w Poznaniu oraz Akademią Wychowania Fizycznego im. Eugeniusza Piaseckiego, które powstały na początku lat pięćdziesiątych z wydziałów lub innych jednostek organizacyjnych Uniwersytetu Poznańskiego.

Jubileusz to czas uroczysty, podniosły, dostojny. Odbywają się konferencje, sympozja, debaty, powstają publikacje naukowe, analizy, podsumowania...

Zamarzyła nam się także opowieść mniej formalna, z nutą sensacji, w której z okazji 100-lecia Uniwersytetu Poznańskiego obecne będą postacie historyczne – w innej niż portretowa odsłonie.

I tak się stało! Na kartach tej powieści spotykamy ojców założycieli z prof. Heliodorem Świącickim na czele, jesteśmy świadkami narodzin Wszechnicy Piastowskiej. Rozgrywają się przełomowe wydarzenia historyczne – wybucha i toczy się Powstanie Wielkopolskie, a wszystko doprawione jest soczystą nutą sensacji.

Zapraszamy do lektury!

*Międzyuczelniany Komitet ds. Obchodów 100-lecia Uniwersytetu Poznańskiego*

*Mamie, która kiedyś powiedziała: studiuj, gdzie chcesz i co chcesz, ja ci pomogę.*

**Sąd Okręgowy Miasta Poznań**  
Akta sprawy nr 7659/73292/129P/1204

Dowód: rękopis, stan zachowania dobry, 90% tekstu czytelne, przypuszczalny czas powstania – lata dwudzieste XX wieku.

Dokładna data po stwierdzeniu autentyczności.

Zlecono ekspertyzę tekstu.

Do ekspertyzy przekazano zeszyt oznaczony numerem 1 (numeracja nadana wtórnie, oryginał nie ma przyporządkowanych podziałów).

Skan dokumentu dołączony do opinii biegłego (str. numer 7–9)



Stary jestem i zniedołężniały. Nie piszę tego, by się żalić i utyskiwać na lata, które ostatnimi dziesiątkami w jakimś zamgleniu przebyte, jedno od drugich odróżnić się nie dają.

Nie to jest moim celem. Nie o moją postać tu chodzi. Nie dla siebie wzrok słaby wyteżam. Nie dla siebie rękę drętwiejącą zmuszam do tego ostatniego wysiłku i modłę się, by Bóg dał mi zrealizować mój zamiar i opisać wszystko, co zamierzam. Ufam, że w obliczu tego wszystkiego, co się wydarzyło, nie przerwie mnie, grzesznemu, w pół słowa. Że poczeka z wezwaniem mnie na sąd ostateczny i pozwoli, by ta historia o miłości i śmierci wybrzmiała do końca, wystawiając świadectwo życia wszystkim tu przedstawionym.

Proszę jedynie o wyrozumiałość dla pisma starczego, bo niewyraźne jest i coraz bardziej się chwieje. Od dawna dostrzegam, jak litery przeze mnie pisane przewracają się to na prawo, to na lewo, jakby jaki sztorm hulał po kartkach, jakby kreślone były w kajucie kapitańskiej, a nie na poddaszu Collegium Medicum. Ale o tym później. Może jeszcze zdążę.

Wytłumaczyć się jednak muszę i przelać na papier tę dręczącą mnie niepewność. Może istnieje bowiem jeszcze inna przyczyna, że litery moje drobnieją i samowolnie suną w górę, wspinają się jedna po drugiej, to znów opadają, rozłaząc się po marginesach? Może to daje o sobie znać ten paskudny uraz głowy, który piętnem ułomności naznaczył całe moje życie? Wypowiedzieć nigdy się nie pozwolił? Tego już chyba nigdy się nie dowiem. Nie ma już obok mnie mojego drogiego doktora, który by mi to wyjaśnił. Teraz, gdy się nad tym zastanawiam, przed moimi oczami staje jedynie panna Adela Zybertyówna, jak żywa. Ma szpiczasty podbródek i męski druciany monokl na zmarszczonym nosie. Zamieram ze strachu, patrząc na swoje koślawe pismo. Słyszę wyraźnie, jak strzela sprężystą linijką

w otwartą dłoń, odliczając głośno: „raz... i... dwa..., raz... i... dwa...”. Znowu jestem chuderlawym chłopcem, który łokciami chce przysłonić leżący przed nim zeszyt do kaligrafii. Cała klasa pisze w rytm odliczania. Na „raz” ciągnie grubą kreskę litery, na „i” – tę cienką i znowu na „dwa” – tę grubą. Kulę się, udaję, że nie słyszę. Ale ona wie, że nie jestem głuchy i tylko mówić nie potrafię. Podejrzewa mnie za to o upośledzenie umysłowe, bo choć litery stawiam krągłe, to ręce wiecznie całe mam upaprane w atramentowych plackach. Ćwiczy mnie linijką częściej niż innych uczniów. Z przyzwyczajenia wyciągam trzęsącą się dłoń o skórze całej ponakrapianej starczymi plamami. Już widzę uniesioną linijkę, słyszę świst, krzywię się jak dziecko... ale to nie boli. Panna Zybertówna nie żyje przecież z dobre pół wieku.

Pamiętam to bardzo wyraźnie. Wydarzenia same stają mi przed oczyma. Potrafię wywołać wspomnienia z tamtych lat z taką samą łatwością, jak jasnowidze duchy z zaświatów. Różnica między mną a nimi jest tylko taka, że większość ludzi, o których będzie mowa, poznałem osobiście, i sam się napatrzyłem na to wszystko, co chcę opisać. A opisać to pragnę szczegółowo, tak jak zapamiętałem, przywołując każdą chwilę najkrótszą. Każdy fragment rozmowy. Wszystko to bowiem pieczołowicie przechowuję w klaserze moich wspomnień. I niech Bóg, przed którego obliczem wkrótce stanę, będzie mi świadkiem. Przyrzekam sądów żadnych nie odprawiać i nikogo nie oceniać. Nawet tych, którzy śmierć chcieli przywołać za wczesną. Na zgubę swoją i innych.

Ja chcę być przezroczysty jak szkło, które światło prawdy przepuszcza. Niech każdy sam przez nie spojrzy.

Rękopis ukryję, by znaleziony został dopiero, gdy wokoło zapanuje spokój – najpewniej już po mojej śmierci, zważywszy na to, co się dzieje za oknem. Dołączę plik dowodów, na potwierdzenie tego, co napisałem.

Spieszyć się muszę, gdyż historia jest długa. Zaczyna się dawno

temu, w jedenastym roku panowania Wilhelma II z frankońskiej linii Hohenzollernów cesarza Rzeszy Niemieckiej, króla pruskiego, margrabiego Brandenburgii, burgrabiego Norymbergii, wielkiego księcia Śląska, Nadrenii i Poznania... Zresztą tytuły nie są istotne w tej opowieści. Choć sam cesarz, a w szczególności jego zamek, odegrają tutaj wielką rolę.

Na razie wszystko, co ważne, wydarzy się na Piekarach, na poddaszu kamienicy pod numerem 3, w pamiętną noc z 25 na 26 maja 1899 roku. Noc, w którą straszliwa burza przetoczyła się nad Poznaniem. Pioruny waliły jeden za drugim. Tak zajadle cięły niebo, że jasno było jak za dnia. Wiatr trząsał szybami i rzucał wszystkim, co nieopatrznie zostawiono na dworze. Deszcz strugami lał się z nieba, a ulicami płynęły rwące potoki, porywając ze sobą wszystko to, czego wiatr unieść nie zdołał. Pies z kulawą nogą nie wyszedł na ulicę ani żadna inna żywa dusza przy zdrowych zmysłach. Tym bardziej dziwnym i złowieszczym zdał się stukot kołatki u drzwi Pałacu Działyńskich, gdzie zamieszkiwałem, będąc wówczas w służbie u jego ówczesnego właściciela Heliodora von Święckiego i jego żony hrabiny Heleny z Dąbskich.

Młody byłem, nieledwie kilka dni wcześniej przygarnięty i do pracy niezbyt jeszcze przyuczony. Odźwierny do drzwi wejściowych pod żadnym pozorem zbliżyć mi się nie pozwalał. Bo i jak niby miałbym zaanonsować gościa, skoro od dzieciństwa nie potrafiłem z siebie głosu wydobyć? Nie podobało się, że niemotę przyjęli do najbardziej okazałego pałacu przy Starym Rynku. Jednak nie tyle animozje odźwiernego są w tej opowieści istotne, ile fakt, że tego wieczoru go nie było. Burza zastać go miała, o czym dowiedziałem się dużo później, u jednej wdowy na Szewskiej. Wymykał się do niej, gdy na odwiedziny w pałacu było już za późno. Tym bardziej w taką pogodę, gdy nie należało się spodziewać gości. Wylegiwał się więc na jej potężnych piersiach, podczas gdy ja trząsałem się ze strachu przed

piorunami, wzmaganym coraz bardziej natarczywym stukaniem do drzwi.

Nie zwiastowało ono niczego dobrego. Ale w życiu ludzkim niczego nie przewidzisz... Tej nocy musiałem patrzeć na krew ściekającą po rękach, ale to odźwierny, którego imienia już dziś nie pamiętam, pośliznął się i skreślił kark, spadając z mostu Chwaliszewskiego jeszcze nim ranek nadszedł.

Złorzeczyłem, stojąc pod drzwiami, że na mnie trafiła ta niespodziewana wizyta. Bałem się, że może sam diabeł tam stoi i wpuszczę go do środka, gdy tylko przekręcę klucz. Ale jeszcze bardziej mnie przerażało, że jeśli nie otworzę, to państwo wezmą mnie za dokumentnie głuchego i nijak się z tego nie wytłumaczę. Ostrożnie uchyliłem więc drzwi. Dokładnie w tej samej chwili niebo cięła błyskawica i rozległ się grom. W zupełnej jasności zobaczyłem mężczyznę w czarnym płaszczu i cylindrze. Odskokczyłem przerażony, gdy ten pchnął drzwi i wszedł do środka.

– Ile mam czekać?! – wrzasnął od samego progu, otrzepując zmoknięty płaszcz. – Nie znam cię. – Spojrzał na mnie spode łba, ściągając cylinder. Miał długą siwą kocią bródkę i czoło zmarszczone tak, jakby cały czas pozostawał w wielkim skupieniu lub gniewie.

Przeraziłem się.

– Doktor Grodzki – przedstawił się. – Pan w domu?

Kiwnąłem głową i wyciągnąłem rękę po mokry płaszcz. – Nie czas! Coś jeszcze muszę sprawdzić. – Nachylił się i zaczął grzebać w dużej skórzanej torbie. – Na co czekasz?! Ona zaraz umrze! Powiedz mu tylko eklampsja. No już! Co tak stoisz?! Powtórz: eklampsja...

Uciekłem, nie odwracając się. Nawet gdybym potrafił mówić, to nie wiem, czybym powtórzył. Zrozumiałem jedynie, że szkoda tracić czas na budzenie pokojówki, czy też kuchennej, które spały w oddzielnym skrzydle.

Ruszyłem wprost na pokoje, a było ich osiem z rzędu. Biegłem po omacku jak szalony, otwierając kolejne drzwi. Najpierw buduarek dla gości, potem biały salon, gdzie po ciemku o mały włos nie przewróciłem się o wielki fotel, dalej poczekalnia z wiecznie zasłoniętymi kotarami, której bałem się jak ognia. I wreszcie gabinet. Tam go znalazłem! Mój pan Heliodor siedział nad grubym brulionem przy masywnym biurku. W rękach trzymał nożyczki i kawałek gazety. Popatrzył na mnie, zdejmując z nosa binokle, z powrotem je założył, potarł wąsa i pokręcił głową z niezadowoleniem.

– Cóż to za wiadomość, z którą posyłają do mnie, zdaje mnie się, najmniej wymowną osobę w tym domu?

Zwątpiłem, że powinienem był ruszać sam na poszukiwania doktora. Nie wiedziałem co zrobić, padłem więc na kolana i złożyłem ręce jak do modlitwy (sporo jeszcze czasu upłynie, zanim paniczny strach, którego nabawiłem się w dzieciństwie, przestanie zwałać mnie z nóg). Chciałem jakoś przeprosić. Chciałem, żeby mnie nie wyrzucili. Nie na tę burzę. Nie w te pioruny.

– Janie Kanty, wstań! – usłyszałem.

Podniosłem głowę i wybałuszyłem oczy z wrażenia. Wtedy jeszcze nie byłem przyzwyczajony, by ktoś zwracał się do mnie moim pełnym imieniem.

– Coś ważnego się wydarzyło? – zapytał pan, nachylając się nade mną.

Kiwnąłem głową i podniosłem się z ziemi.

– Ktoś przyszedł?

Potwierdziłem.

– Kto?

Pokazałem szybko na leżącą obok biurka torbę lekarską, a ośmielony jego spojrzeniem, dotknąłem jeszcze brody i sunąłem palcami, tak jakbym gładził długi, szpiczasty zarost.

– Doktor Grodzki! – wykrzyknął Heliodor Święcicki, unosząc ręce

do góry nad oczywistością tego odkrycia. – O tej porze? To w istocie musi być coś niezwykle ważnego – mówił do siebie, już wychodząc z gabinetu. W drzwiach obejrzał się i kiwnął na mnie ręką.

Śpiesznie ruszyłem za nim.

– Rzucawka. Stan komatyczny – tłumaczył bez zwłoki stojący przy drzwiach doktor.

– Przynieście ją tutaj.

– To niemożliwe. Ma drgawki od kilku godzin. Traci przytomność. Jest przy niej doktor Kapuściński.

– A gdzie jest?

– Niedaleko, na Piekarach.

– Rozumiem. Przynieś moją torbę. I skrzynkę, jest obok – powiedział pan Heliodor już bezpośrednio do mnie. – Zabierz też lampę i naftę. Bóg wie, co nas tam spotka...

Bóg musiał to wiedzieć, bo sam przecież zesłał burzę nad miasto. Zaprzęgane do wyjścia konie stawały dęba, a gdy w końcu je okiełznano, za nic nie chciały ruszyć się z miejsca. Nie dziwiłem się im – sam nie chciałem wyściubiać z pałacu nosa. Ale nawet jakbym mógł mówić, słowa bym nie powiedział. Karnie podążałem za doktorami, którzy nie mając wyjścia, ruszyli pieszo w tę straszną noc. Nie było daleko, ale wiatr wiał tak mocno, że w górę ulicy Nowej szliśmy zgięci w pas. O rozłożeniu parasola nie było co marzyć. Trzymałem go więc pod pachą, razem z butelką nafty i drewnianą skrzynką, którą kazano mi zabrać. Zatrzymaliśmy się tylko raz, przed kościołem Świętego Marcina, gdzie doktor przystanął i przeżegnał się, szepcząc. Ja też się pomodliłem. Nie miałem pojęcia, o co prosił doktor, ale ja błagałem po prostu o to, żeby mnie piorun nie strzelił. Udało się! Przemoczeni dotarliśmy na róg Piekar i Świętomarcińskiej. W drzwiach kamienicy numer trzy już ktoś nas wypatrywał.

– Posterunkowy Hęciak. – Chudy mężczyzna przedstawił się nam, nie wychylając się nawet z bramy. Miał wąsy modnie ufryzowane na

Wilhelma II. Pięły się w górę, jakby chciały się spotkać z oczami, co zapewne wymagało tony pomady i spania z bindą, zaczepioną o uszy. Mimo starań wąs z lewej strony nieco opadał, więc posterunkowy dyskretnie próbował przydusić go ręką.

– Gdzie chora?

– Do samej góry trzeba iść, ale czy to co pomoże, to nie wiem. Bo od rana...

Ale mój pan już nie słuchał. Raczej niezbyt liczył się z opinią posterunkowego. Poddasze, na które dotarliśmy, było tak ciasne, że miejsca na podłodze starczyło jedynie dla trzech doktorów. Ja sam musiałem wgramolić się na zbite z desek, wąskie łóżko, chorą zaś zastaliśmy leżącą na stole pożyczonym od gospodyni, jak się później okazało – żony posterunkowego. Aż dziw, że pozwoliła przynieść tu swój mebel, bo wyglądała na wyjątkowo wredną babę. Miała wielki pypeć na nosie i po srebrnym pierścieniu na każdym z pulchnych palców. Tyle zapamiętałem, gdy prowadziła nas na górę, licząc na darmowy spektakl.

– Ma rodzinę? Męża? – zapytał mój doktor, wchodząc po schodach.

– A jakiś tam jest, przecież brzuch jej nadmuchał – zaśmiała się. – Ale czy to mąż... Jak to było w piosence? „Taki ci to stryj, co ona jego siostrzenicą nie jest”. Gdybym wcześniej wiedziała... „Taka ci to panna... jak ze mnie... jak ze mnie...”. Jak to szło? – zapytała, odwracając się w kierunku doktora. Uśmiechnęła się przy tym przymilnie, odsłaniając brak kilku przednich zębów.

Mój pan nie odpowiedział i ku jej niezadowoleniu nie pozwolił też wejść na poddasze. Zatrzasnął jej drzwi przed samym nosem.

– Pomóc chciałam! – wrzasnęła. – Zrób coś na koniec! – rzuciła w stronę posterunkowego, który w tej chwili doczłapał się na górę, wciąż zajęty przyglądaniem opadającego wąsa.

– Ale co?

Gospodyni próbowała jeszcze dobijać się do chorej, ale doktor już

o niej nie myślał. Widziałem to po nim. Na co dzień ten człowiek o życzliwym obliczu wykazywał spokój i uprzejmość w każdym momencie. Jasne włosy i zdobiący twarz wąs czyniły jego fizjonomię jeszcze bardziej przyjemną, a druciane binokle dodawały powagi temu niestaremu, trzydziestosiedmioletniemu mężczyźnie. Pokochałem go od pierwszego wejrzenia. Ale gdyby tam, na poddaszu, zerknął na mnie tym wzrokiem, jaki zwykł mieć podczas pracy... natychmiast bym uciekł. W tamtym momencie twarz mu stężała, czoło miało zmarszczone, usta zaciśnięte. Jeszcze zdejmował płaszcz, a już wpatrywał się w leżącą kobietę z maksymalnym skupieniem.

– Witam doktorze Kapuściński. Jak długo to trwa? – zapytał, podwijając mankiety białej koszuli.

Nachylający się nad stołem doktor podniósł głowę. Był młodym, ciemnowłosym mężczyzną, o drobnej, chłopięcej urodzie. Dopiero teraz zauważyłem, że miał przy uchu trąbkę, którą przystawiał do gołego brzucha brzemiennej.

– Kilka godzin. Od godziny jest nieprzytomna. Ma nawracające drgawki.

– A dziecko?

– Ciągle żyje. Silne, dobrze rozwinięte – oznajmił, ocierając mankietem koszuli spocone czoło.

Doktor Grodzki podszedł do kobiety, podniósł jej rękę i puścił. Opadła bezwładnie. Chwycił ją za nadgarstek i przytrzymał, skubiąc się przy tym drugą dłonią po brodzie i patrząc w sufit. Nie wiedziałem wtedy, co chciał tam wypatrzeć.

– Tętno szybkie... ale płytkie, ledwo da się wymacać.

– Torba – zażądał mój pan. Szybko mu ją podsunąłem, po czym nadal stojąc na łóżku, oświetliłem lampą głowę ciężarnej i zacząłem się jej przyglądać. Nie umiałem rozstrzygnąć, czy mam przed sobą dojrzałą kobietę, czy też młodziutką dziewczynę. Jej włosy przypominały mokre strąki, a opuchlizna na jej czerwonej i spoconej



twarży całkiem wypaczyła jej rysy. Leżała bezwładnie w podwiniętej, przepoconej koszuli na stole tak małym, że nie starczyło już miejsca na nogi. Podkurczone, opierały się stopami o dwa dociśnięte do ściany krzesła. Ktoś je musiał przynieść razem ze stołem, bo na co dzień nie mogły tu stać. Ciasnota była tak okrutna, że jeden z doktorów wciąż musiał się pochylać. Ja też, ponieważ do niskich nie należałem, a do tego stałem na łóżku, opierałem się barkami o strop i wykrzywiałem do takiej pozycji, że mogłem leżącej dziewczynie patrzeć wprost w oczy. Miała je otwarte, lecz pokazywały się w nich przede wszystkim białka.

– Oczopląs – wyjaśnił mój pan, rozszerzając jej powieki palcami i wodząc wzrokiem za źrenicami.

Potem rozpoczął już badanie tam, gdzie ja patrzeć nie zamierzałem.

– Usta maciczne zamknięte – usłyszałem tylko, wpatrując się w srebrny łańcuszek spływający z jej szyi, na którym wisiał zgrabny, grawerowany medalionik. Doktorzy kontynuowali swoje consilium, a ja zawzięcie wpatrywałem się w arabeskowy wzór, próbując ze wszystkich sił dojrzeć wpisane weń litery. – Utrzymujący się stan komatyczny. Mamy też zbliżające się objawy opuchliny płucnej – stwierdził na koniec mój pan, gdy położnica zaczęła jeszcze głośniejsze rzezić.

Wszyscy trzej popatrzyli wzajem na siebie. Na krótką chwilę zapanowała cisza. Nawet charczenie na ten jeden moment ustało. Aż nagły grom rozciął niebo za małym okienkiem z taką siłą, że na poddaszu zrobiło się jaśniej.

– Panowie – powiedział poważnym tonem mój pan Heliodor von Świącicki, przerywając pełne napięcia milczenie. – W tej sytuacji nie widzę innego wyjścia. Stan chorej jest groźny. Rychło możemy spodziewać się śmiertelnego zejścia. Mimo niedogodnych warunków wskazanie do zabiegu cesarskiego cięcia uważam za wprost konieczne.

– Zgadzam się – przytaknął doktor Kapuściński, odgarniając

przylepione do czoła ciemne włosy.

– I tak umrze! – dodał doktor Grodzki.

Silna drgawka na ułamek sekundy poderwała ciało dziewczyny.

– Wody – usłyszałem i z początku nie zrozumiałem, że to chodzi o mnie. – Przynieś dużo gorącej wody – powtórzył głośniej. Już nie czekałem. Wyszedłem, nie wiedząc, skąd mam się o nią wystarać. Wychodząc minąłem gospodynię, która nos z pypciem miała całkowicie przylepiony do drzwi i nie zamierzała opuszczać stanowiska.

– I co?! I co?! – dopytywała się wstrętna baba. Pulchnymi palcami w srebrnych pierścionkach chwyciła mnie za łokieć i szarpała nielekkko.

– Nie dopytasz się. Znam go. To niemowa – uświadomił ją posterunkowy.

– On?

– Tak. Nie wiem, co on u tak wielmożnego pana robi! W mojej rodzinie wielu było służących i mówić każdy potrafił!

– Też jest się czym chwalić – huknęła na niego żona, skupiając na całe szczęście całą uwagę na nim.

Gdy tylko mnie puściła, poczułem, że znów ktoś mnie ciągnie za mankiet. Była to tym razem stojąca za babą chuda kobieta. Musiała wiedzieć, o co chodzi, bo zaprowadziła mnie wprost do mieszkania poniżej.

– Już dwie godziny jak w piecu palę – oznajmiła, wkładając mi w jedną rękę wielką pustą miednicę, a w drugą wiadro z gorącą wodą.

Wróciłem na poddasze, mijając siedzącego na schodach młodego człowieka z potarganymi długimi włosami prawie do ramion i w rozchełstanym ubraniu, uszytym na zagraniczną modłę. Granatowe, aksamitne, z jasną jedwabną apaszką, owiniętą kilka razy wokół szyi. Nie pamiętam, żeby wcześniej tam był.

– Co z nią?! – Paniczyk zagroził mi drogę powrotną, chwycił oburącz za koszulę i szarpał ją zawzięcie. Był blady, choć miał niezdrowo zarumienione policzki i szkliste oczy. Z początku pomyślałem, że to z powodu tej sytuacji. Po czasie dowiedziałem się jednak, że śmierć już od dawna stała u jego boku, wyczekując tylko na odpowiedni moment.

– Co z nią?! – powtórzył. Wzruszyłem ramionami. Ani nie wiedziałem, ani nie umiałem powiedzieć.

– Zostaw go pan! – ryknęła wredna baba i obłapując go, odciągnęła na bok. – Wcześniej trzeba było pomyśleć! Ledwo dycha, a się do kobity jeszcze zabiera – warknęła, pchając go całą sobą na ścianę. Oswobodziła mnie, więc przyznałem w duchu, że tym razem się przydała. Gdy dotarłem na poddasze, doktor Grodzki przecierał wata brzuch dziewczyny, a mój pan właśnie odkładał skrzynkę znieczulającą własnej konstrukcji. Musiał zawczasu potraktować ciężarną gazem. Wyciągnął nóż i wtedy już wiedziałem, że za chwilę wydarzy się coś, czego do końca życia nie zapomnę.

– Światło, jeszcze jedno – zakomenderował.

Trzymałem więc dwie lampy naftowe, stojąc na łóżku poddasza w kamienicy numer 3 na Piekarach, i patrzyłem. Zemdlałbym niechybnie, gdyby nie to, że czas jakiś mieszkałem przy rzeźni, gdzie solidnie obity, patrzeć musiałem, jak się zwierzę oprawia. Teraz w sumie wyglądało to podobnie, jeśli się nie patrzyło na twarz. A nie chciałem już na nią patrzeć.

Widziałem więc dokładnie, jak mój doktor pewną ręką tnie napięty brzuch. Cienkim nożem rozcina skórę zaraz pod mostkiem, omijając pępek i ciągnie to cięcie prawie do samego łona. Rozchyliły się poły skóry, odsłaniając galaretowaty tłuszcz. Doktor Grodzki wycierał serwetami tryskającą krew. Stojący z przeciwnej strony doktor Kapuściński chwycił wypływające z wnętrzości długie, poskręcane jelita, przytrzymując je gazowymi serwetami. Dociskał skórę, mając je

cały czas w rękach, a ręce całe we krwi, tak samo jak mankiety koszuli. Nie inaczej wyglądał doktor Świącicki. Ciekła mu po rękach woda, może nawet parę litrów było na ziemi i na spodniach doktora. Zdawał się tego nie czuć. Unurzał dłonie w rozpołowionym brzuchu kobiety, zaczął rozcinać coś w środku długimi żelaznymi nożyczkami. Potem długo grzebał, macając rękami.

– O! Łożysko odczepiło się stosunkowo łatwo – powiedział głośno i zaczął wyciągać ręce z brzucha kobiety. Pierwsza wyszła głowa dziecka, potem cała sina i skulona reszta, za nią ciągnący się, fioletowy, poskręcany frędzel, który zaraz przeciął doktor Grodzki. Kiedyś wcześniej słyszałem, że odcina się pępownię, ale do głowy mi nie przyszło, że dzieje się to dosłownie. Myślałem wtedy, że dziecko zaraz zacznie krzyczeć, ale nie. Nawet nie drgnęło. Dziewczyna z rozciętym brzuchem też leżała jakby spokojniej, rzęząc coraz ciszej.

– Spróbuję je docerać – powiedział Grodzki, odsuwając się z dzieckiem na bok i wycierając je z oblepiającej mazi.

Patrzyłem na mojego doktora. Nawlekał jedwabne nici na srebrne półkoliste igły, nie odrywając jednocześnie wzroku od rozwartego brzucha.

– Na sposób Fritscha zszyję – oznajmił pozostałym doktorom. – I specjalnie nie będę zwracał uwagi na omijanie błony doczesnej, jak to zaleca Saenger. Z dobrym rezultatem zrobiłem tak w zeszłym roku, przy cięciu cesarskim z powodu guza.

„Boże! To nie pierwszy raz?!”, przebiegło mi przez głowę i myśl ta przeraziła mnie tak bardzo, że musiałem ręką przetrzeć czoło. Poruszyłem przy tym światłem, ale doktor spojrział na mnie i nic nie powiedział.

Przeniosłem wzrok na Grodzkiego, który trzymał dziecko. On również mówił do siebie.

– Metoda Prochownika. Nowinka z Hamburga... może zadziała... – Złapał dziecko za nogi, głową w dół i lekko nim bujał. Z daleka

zdawało mi się, że to chyba dziewczynka. Chciałem wychylić się bardziej, ale nie mogłem.

– Światło – skarcił mnie znowu doktor, tym razem nie patrząc w moim kierunku. – Macica skurczyła się dobrze – kontynuował. – Będziemy zszywać – dodał, nawlekając kolejną półokrągłą igłę, podczas gdy Kapuściński umieścił jelita z powrotem we wnętrzu brzucha.

Grodzki tymczasem dalej bujał dzieckiem, lecz tym razem jedną ręką trzymał je za nogi, drugą zaś za głowę, jak w kołysce.

– Tętno? – zapytał pan Heliodor, wkluwając się w skórę brzucha.

– Pełne i napięte.

– Dokończy pan? – zaproponował Kapuściński i przekazał mu igłę, po czym podszedł do Grodzkiego.

– Spróbujmy może wahań Schultzego.

– Nie znam.

– Czytałem ostatnio. Spróbujmy – powtórzył, przejmując sine dziecko. Obrócił je głową do góry we wciąż zakrwawionych rękach.

– Niektórzy mówią, że to dobra metoda. Jeśli się uda, będzie o tym w kolejnym numerze „Nowin Lekarskich”. Złapał dziecko pod pachy, kciukami przytrzymał jego klatkę piersiową, a głowę ścisnął nadgarstkami. Patrzyłem jak oniemiały na stojącego w rozkroku doktora, który huśtał tak unieruchomionym dzieckiem między rozstawionymi nogami przez dłuższą chwilę. Nagle tak się zamachnął niemowlęciem, że wykonało ono niemal salto w powietrzu i o mały włos nie uderzyło w sufit, po czym wylądowało na jego ramieniu.

– Nie wierzę, że to zadziała – westchnął Grodzki.

Niezrażony Święcicki dalej bujał dzieckiem.

– Znane są podobno przypadki, że nawet i po dwudziestu minutach dziecko ożywało z pozornej martwicy.

– Skończyłem – oznajmił z boku Kapuściński. – Ale nie jest dobrze. Obrzęk płuc się zwiększa – dodał i przystawił ucho do jej ust. Zarzęziła

głośniej, a po chwili po policzku popłynęła jej krwista piana.

– Zdaje się, że twierdzenie doktora Halbertsmy z Utrechtu, że uwolnienie macicy z płodu zawsze korzystnie wpływa na drgawki, nie do końca jest prawdziwe – zauważył Świącicki i ponownie zamachnął się dzieckiem. Gdy niemowlę znalazło się na jego ramieniu, zastygł. Dziecko bowiem cicho zachrzakało.

Śmiało mogę powiedzieć, że pierwszy je usłyszałem, a doktor musiał zobaczyć zdziwienie w moich oczach, bo odchylił głowę dziecka, ono zaś zaczęło charczeć, potem się krztusić i w końcu płakać.

– To chyba cud akrobacji – westchnął doktor Grodzki, miętoląc swoją brodę.

Mój pan pokiwał głową, a pod jasnym jego wąsem pierwszy raz pojawił się uśmiech.

Ja z kolei zacisnąłem usta z całej siły, żeby nie wydać z siebie żadnych dźwięków, które w moim wykonaniu mogły być tylko bezładnymi jękami. Dziecko za to krzyczało głośno. Pierwsza na poddasze wpadła chuda kobieta. Widocznie miała najwięcej doświadczenia z dziećmi, bo szybko wzięła małą na ręce i zawinęła w chustę. Chwilę potem na poddaszu znalazł się też blady młodzieniec, który od razu podszedł do dziewczyny. Głowę wetknęła też baba z pypciem, a zaraz za nią posterunkowy Hęciak z całkiem opadłym wąsem i zdało się mnie, że nawet łzę z oka obtarł.

Minęło kilka chwil. Grodzki podszedł do dziewczyny i dotknął jej brzucha.

– Cóż, możemy śmiało powiedzieć, że macica skurczyła się wspaniale. Operacja przebiegła w doskonałym czasie, zdaje się, że zajęło to mniej niż pół godziny. Według moich obliczeń to ósme w Europie cesarskie cięcie z powodu eklampsji... Niestety, postępujące oedema pulmonum... (Przyznać w tym momencie muszę, że tych słów trudnych i nie zapamiętałem. Za to później czytałem je wielokrotnie, bo jak doktor przewidział wszystko to w Nowinach Lekarskich

dokładnie opisane zostało. Wtedy oczywiście nie rozumiałem ani co mówią, ani co się wokół mnie dzieje.

– Przecież ona umrze! – wykrzyknął młody człowiek. Wstał. Oczy jego stały się bardziej szkliste, skóra bledsza, na czole zaś perlił się pot i strużkami spływał po skroniach.

– Przenieśmy ją na łóżko – zdecydował doktor Świącicki. Podeszedł do miski z wodą i umył ręce.

– Przeżyje? – zapytał niepewnym głosem młodzian.

– Raczej nie.

Chłopak ukląkł przy położnicy i przytykając swój policzek do bladego jej czoła, drżącymi palcami gładził nieruchome ramię. Tymczasem doktor Kapuściński, który trzymał ją za nadgarstek, pokręcił przecząco głową.

– Zostawcie mnie wszyscy w spokoju! W spokoju! Nic już nie ma! – Rozczapierzył chude palce przed sobą i ruszył w kierunku wyjścia.

– Pochować ją trzeba! – wrzasnęła za nim baba.

– Papiery spisać – dorzucił posterunkowy.

– Niech się pan zatrzyma! – stanowczym tonem zażądał mój doktor.

– A, pochować...? Nie chcę... Zróbcie to! – odrzekł młodzieniec już spokojniej, po czym włożył rękę do kieszeni i wyrzucił z niej garść monet. Pokulały się po podłodze. Światła było mało, ale każdy, jak stał, widział, że monety ozłociły drewnianą podłogę. Wszyscy zamilkliśmy na chwilę, wytrzeszczając oczy. Jedyne mój pan kiwnął na mnie głową, więc padłem na kolana, by pozbierać złocące się krążki. „Kamienicę można by za to kupić”, pomyślałem.

– Wszystko nieważne! Nic już nie ma! – powtarzał młodzieniec jak obłąkany.

– Dziecko jest pańskie. – Mój pan wskazał na zawiniątko, które trzymała kobieta. – Pańska córka.

– A, to... – Chłopak popatrzył nieprzytomnym wzrokiem. – Ach tak... – Podeszedł do chudej kobiety i wziął od niej dziecko, na które

nawet nie spojrział. – Przyrzekałem jej – burknął pod nosem.

– Dokąd pan je zabiera?

– Do jej brata.

– Gdzie to?

– Sedan, chyba.

– Aha, Strzeszyn. A dokładnie gdzie?

– Jest leśnikiem. Gdzieś pod olszyną ma dom...

– Olchy, tak? – zapytał spokojnie doktor, podchodząc do chłopaka.

– Zdrowe drzewa. Niech mi pan ją jeszcze pokaże – poprosił, wyciągając ręce po dziecko. – Zdaje się jedną piękną, zdrową olchę już pan tu ma. – Młody człowiek patrzył na niego bezrozumnym wzrokiem. – Proszę mi ją dać. Obiecuję, jutro udostępnię panu powóz. Zawiezie pana pod wskazany adres. Teraz jest noc... Burza nie odeszła daleko... – Łagodność w głosie zadziałała. Młodzieniec położył zawiniątko na ręce mojego pana, a ten przekazał je natychmiast kobiecie. – Trzeba ją nakarmić. – Kiwnęła głową. – A i pana trzeba by przebadać...

– Mnie już nic nie pomoże – odrzekł chłopak i zaczął kaszleć tak mocno, że w końcu zmęczony, osunął się po ścianie.

– Dziś dam panu krople, a jutro się panem zajmę. Zgoda? – Młodzian siedział pod ścianą z twarzą ukrytą w dłoniach. Trząsł się.

Nazajutrz doktor go przebadał. Również pieniądze pogubione wręczył i długo z nim rozmawiał, a potem podstawił obiecany powóz. Ale ja, choć doskonale młodzieńca zapamiętałem, nigdy więcej już go nie zobaczyłem. Cóż, śmierć łakoma, która dziewczę jeszcze młode zabrała, pochylała się też nad nim. Wiadomo, ona zawsze parami ludzi do grobu pędzi. Ha! Wydarłaby i niemowlę, ale mój pan do życia je przywołał. I dlatego dane mi było jeszcze zobaczyć to dziewczę narodzonej owej burzliwej majowej nocy.

„A Wilhelmek myślał, że mu będziem służyć...”. A Wilhelmek?! Co



to jest? – Karolina Rosada otworzyła zaspane oczy, zdziwiona, że nuciła przez sen. – Aaa... – ziewnęła mocno i dośpiewała, zwlekając się z materaca, rozłożonego na podłodze. – „Pójdziemy na Berlin, pójdziemy na Berlin, aż się będzie kurzyć. Kurzyć” – dodała pod nosem, rozglądając się po pokoju.

Na podłodze wciąż stały mniejsze i większe nierozpakowane kartony, które zebrały cały kurz z ciężarówki bagażowej i wszystkiego innego, co spotkały na swojej drodze podczas przeprowadzki. Trwała ona kilka dni, wczoraj dopiero wnieśli ostatnie sprzęty. Max zdał stare klucze i tym samym ostatecznie wprowadzili się na trzecie piętro kamienicy przy Mickiewicza. Przepiękne, przestronne mieszkanie. Cztery duże pokoje, jeden większy od drugiego, wszystkie wysokie, w salonie okna od ziemi prawie do sufitu, za nimi potężne drzewa. Nie myślała, że będzie ich stać na wynajem czegoś takiego przez następne dziesięć lat, co najmniej! A tu taka niespodzianka. Mąż Max spisał się doskonale, co zdążył podkreślić już minimum ze sto razy.

– Wojenko, wojenko – nuciło się jej dalej, bo też wszystko dookoła rzeczywiście wyglądało jak krajobraz po bitwie. Ale na dobrze wysprzątanym polu bitewnym! Musiała to przyznać. Kurz może jeszcze się unosił, ale tylko ze świeżo wniesionych rzeczy. W samych wnętrzach zastała odmalowane ściany i wycyklinowaną podłogę. Tego też się nie spodziewała. Max miał tendencję do sprzątania jedynie ryneczku, naprawiania rzeczy widocznych i malowania ścian wokół regału, bez odsuwania mebli, jeśli go nie pilnowała. A nie pilnowała, ponieważ nawet nie wiedziała, że będą się przeprowadzać. Gnieździli się wcześniej w ciasnej klitce, ale i tak zamiana mieszkania na lepsze pozostawała wciąż w sferze marzeń. Max zajął się remontem gdzieś na zlecenie i poinformował ją nawet, że zamierza się remontami zająć na poważnie. Ale nie zainteresowała się tym zbytnio, bo w jego przypadku poważne plany należało oceniać na jakieś góra trzy, cztery miesiące. Poza tym miała to być spółka z Wiktorem. Wiktora lubiła,

ale on również nie był tytanem pracy. Tak czy inaczej, pochwaliła zdawkowo ich plany i nie zamierzała się wtrącać. Tym bardziej że z początku Max wracał do domu podenerwowany. Jak twierdził, wymagania zleceniodawców były duże, terminy napięte, a nowy samochód Wiktora, czyli stare BMW, co drugi dzień trzeba było holować. Z czasem jednak musiało iść mu coraz lepiej, bo przychodził weselszy i ze szczegółami opowiadał o cyklinowaniu. Słuchała go jednym uchem i przytakiwała.

– Ach, tak – przytaknęła też bez głębszego zastanowienia, gdy zakomunikował jej radośnie, że właśnie wyremontował im większe i ładniejsze gniazdko.

– Nie cieszysz się? – zapytał podłamany. Już chwilę później skakała z radości, gdy się okazało, że robota Maxa na tyle spodobała się właścicielom mieszkania, że pierwszemu zaproponowali mu wynajem.

– Max, czyli wszystko na maksa! – wykrzyczał jej dumny z siebie, wprowadzając ją na pokoje. Rozglądała się przez dobrą godzinę, nie mogąc w to wszystko uwierzyć. Za cenę, którą ustalili, na mieście mogli mieć co najwyżej połowę tego metrażu. Albo wynając lokum nie wiadomo gdzie. A nie w centrum, na Jeźycach! A poza tym ściany były pomalowane od góry do dołu, a podłoga czysta i świeżo wycyklinowana. Chociaż Karolina wciąż odczuwała ten chemiczny zapach, który trudno było wywietrzyć.

– Wojenko, wojenko – nuciała więc pod nosem, przymykając piękne drewniane okno. Już jej nie dziwiło, że jest, gdzie jest, i że jest taka zadowolona. Ani też to, że wstała z powstańczą piosenką na ustach.

Przypomniała sobie. Próba chóru skończyła się wyjątkowo późno. Z powodu tej przeprowadzki nie powinna w ogóle na nią iść, ale listopad miał się lada moment zacząć, a wraz z nim huczne obchody stuleci przeróżnych. Stulecie odzyskania niepodległości, stulecie powstania wielkopolskiego, wkrótce stulecie uczelni i nie wiadomo jeszcze czego. Chór uniwersytecki miał uświetniać to wszystko razem

i z osobna, więc prób było więcej i przeciągały się do późna.

Max od dawna mówił, żeby dała sobie z tym spokój. Studia przecież skończyła już parę lat temu. Ale co z tego! Ciągle jeszcze nie mogła się z tym chórem rozstać, za dużo wspomnień, za dobry czas. Do tego rok był szczególny. Poza tym pracowała w uniwersyteckim archiwum, więc wciąż była związana z uczelnią, choć teraz nie było to już tak zabawne, jak dawniej.

– ...cóżes ty za pani... – śpiewała dalej w drodze do łazienki. Po małżonku został tylko mokry ręcznik, no i odbite ze ściany płytki, bo tego nie zdążył poprawić. Tak samo jak wnęki na końcu korytarza, zabudowanej do połowy. Ostatecznie postanowił jej nie kończyć, tylko zadziałać w swoim stylu i zamówić szafę, która będzie tam idealnie pasowała. Szaf nigdy nie za wiele, więc Karolinie było to na rękę. Gorzej z glazurą w łazience, zalegającą w paczkach na podłodze. „Tak. Teraz już się nie doczekam”, wiedziała, że w przypadku jej męża rzecz raz odłożona na potem, dalej już odkłada się sama.

W domu już go nie było. Musiał wyjść znacznie wcześniej. Kiedyś spał do późna, ale teraz Wiktor skutecznie zmuszał go do wczesnego wstawania. Tak podejrzewała i tym razem. Miała rację. Na kuchennym blacie leżała spora kartka z dość zgrabnym rysunkiem małego auta, wielkim znakiem dodawania i pękatą sakiewką oznaczoną dolarem. Powyżej widniało kilka serduszek. Ręczny dopisek głosił: „Kochanie, pojechałem zarabiać”.

– Przyszło nowe – skwitowała pod nosem, patrząc na szarugę za oknem. Miarowo kołysały się gołe gałęzie drzewa, z którego ostatnie liście opadały na czarny, elegancki samochód zaparkowany na chodniku. – Teraz tak zacznę to śpiewać: „Fortuno, fortune cóżes ty za pani, że za tobą lecą, że za tobą lecą chłopcy malowani...”. No tak, teraz będę miała to w głowie przez cały dzień – stwierdziła, wyciągając z kartonu najmniej pogniecione ubrania.

Nie myliła się. Jeszcze gdy zamykała drzwi do mieszkania, nuciła

kolejną zwrotkę, przerobioną na własny użytek.

– „Fortuno, fortuna, co za moc jest w tobie? Kogo ty pokochasz, kogo ty pokochasz, w zimnym leży grobie”. – Rany, co ja śpiewam! – Stuknęła się palcem w głowę i zatrzymała na półpiętrze.

Jej uwagę przykuły wielkie, drewniane, obdrapane drzwi. Były niedomknięte. Schodziła dalej, ale coraz wolniej, mocno wykręcając głowę. W końcu się zatrzymała.

Mieszkali tu od wczoraj, nikogo jeszcze nie spotkała. Od prawników z kancelarii na dole, którzy zarządzali tą nieruchomością, wiedziała tylko tyle, że pod nimi mieszka przygłucha babcia. Najważniejszą informacją było więc to, że musieli zachowywać ciszy. Co było im na rękę, bo na swoje drugie piętro wtargali pianino. Max cieszył się też jak dziecko, że będzie grał na swojej ukochanej gitarze akustycznej, a za chwilę kupi sobie jeszcze elektryczną i dwa piece. Jednym słowem mogli hałasować, a kobiecina z dołu miała nic nie słyszeć. Jak na ironię właśnie to teraz stanowiło problem, bo Karolina nie wiedziała, co zrobić. Jak długo by nie patrzyła, drzwi pozostawały niedomknięte. Nie wiedziała, czy ma krzyknąć coś z progu, czy od razu wejść.

Podeszła bliżej i nastawiła ucha. Cisza. Zapukała głośno. Cisza. Speszona, zeszła kilka schodów w dół, ale się wróciła. Oparta o futrynę, zastanawiała się, czy nie najprościej byłoby je po prostu domknąć i odejść. Ale jeśli ktoś potrzebował pomocy?

– Dzień dobry! – krzyknęła przez szparę. Tak, jak się spodziewała, nikt się nie odezwał. Przez taką wąską szczelinę sama mogłaby nie dosłyszeć. Lekko więc je pchnęła. Ciężkie zawiasy zaskrzypiały tak, że sama się przestraszyła

– Halo! Dzień dobry! – ponowiła próbę po chwili. Potem jeszcze raz. Cisza. – Daj sobie spokój – burknęła pod nosem – ktoś w końcu zareaguje. – Zaczęła schodzić na dół.

– A jeśli nikt? – Weszła z powrotem i zapukała najgłośniej, jak się da.

– Halo! Ma pani niezamknięte drzwi! – krzyczała wręcz, wchodząc do środka. – Jest tu kto?

Nikt jej nie odpowiedział. Zostawiła za sobą szeroko otwarte wejście. Wąskim korytarzem przeszła do środka. W pokoju panował zaduch i półmrok. Nie z powodu marnej, jesiennej pogody, ale grubych, welurowych kotar, szczelnie zasłaniających wysokie okna. Karolina stąpała powoli po skrzypiącej podłodze i miała wrażenie, że oddycha kurzem naniesionym tu przez poprzednie pokolenia.

– Halo – powtarzała, rozglądając się.

Natrafiała na stare zaśnieżone lustro i szybko przyglądała powykręcane we wszystkich kierunkach krótkie brązowe włosy. Zrobiła to odruchowo, jakby chciała wyglądać grzeczniej, skoro już weszła nieproszona do cudzego mieszkania.

– Dzień dobry! – krzyknęła, przechodząc do salonu. – A to co? – zapytała nagle sama siebie.

Patrzyła na wielkie, drewniane śmigło. Wisiało na ścianie między półkami, na których stały lornetki i leżały jakieś gogle i inne starocia. Podeszłaby bliżej, ale w salonie nie było nikogo. Nie chciała więc po nim chodzić. Jedyne, co stojąc w progu, mogła wyraźnie zobaczyć, to duże, oprawione w ramy, czarno-białe zdjęcia. Na jednym z największych na tle dwupłatówca stała kobieta w stroju lotnika.

– Ach tak – powiedziała do siebie Karolina, jakby coś odgadła, choć do końca nie wiedziała co. – Jest tu kto? – zawołała znowu, zaglądając do kuchni. Nikogo nie było ani tam, ani w sąsiadującej z kuchnią małej sypialni z wąskim łóżkiem i wielką kołdrą. Chwyciła ją w dwa palce z lekkim obrzydzeniem i odchyliła powoli. Bardzo nie chciała tam niczego znaleźć. Na szczęście nikogo tam nie było. Odetchnęła, ale cofając się, zaczepiła stopą o bambosze z żółtym pomponem. Przestraszyła się i odskoczyła, piszcząc i machając rękami.

– Rany, nie! Wychodzę – postanowiła.

I prawie by wyszła, gdyby w ostatniej chwili nie dostrzegła jeszcze

jednych drzwi w korytarzu. Otworzyła je. W ciemności widać było tylko żeliwną wannę. Zapaliła światło. Najpierw na rancie wanny zobaczyła jakieś brunatne plamy, ale gdy zrobiła krok ujrzała... ją. Krzyknęła i znieruchomiała. Na posadzce między wanną a sedesem leżała staruszka. Niedziwne, że Karolina nie dojrzała jej od razu. Kobieta leżała bez ruchu na wiekowej niebieskiej terakocie i wyglądała jak małe, pomarszczone chuchro. Jak dziecko, które za szybko przeniosło się w czasie. Ciągle miało na sobie za duże włóczkowe skarpety i za szeroką flanelową koszulę. I bardzo niewiele włosów na głowie. Dopiero gdy Karolina nachyliła się nad starszą panią, dostrzegła, że na czole miała ona rozciętą skórę, wokół której zakrzepła już krew.

– Ożeż! Co ja teraz mam zrobić? Przewróciła się, biedna. Proszę pani? – Lekko dźgnęła ją palcem.

„A jeśli dotykam trupa?”, pomyślała i odskoczyła. „A jeśli jest trupem, to jak zostawiła otwarte drzwi?”. Zmartwiła. „Może wcześniej? Zanim się przewróciła”, pocieszała się, rozglądając dookoła. „Muszę zadzwonić po pogotowie. Ale co powiem? Żyje? Nie żyje?”. Jej wzrok padł na umywalkę i leżące na niej małe podręczne lustro. Gdzieś na filmie zobaczyła, że powinno zaparować, przyłożyła je więc do na wpół otwartych ust staruszki. Odczekała, ale nic na nim nie zobaczyła. Przystawiła bliżej. Nic. Trzęsącymi się rękami wybrała numer. Gdy tylko z drugiej strony pojawił się sygnał, na ziemi przed nią rozległ się coś jakby charkot.

– Pogotowie ratunkowe, słucham.

– Ona się rusza! – wrzasnęła do słuchawki na cały głos.

A potem zobaczyła, jak leżąca na ziemi stara, prawie łysa kobieta otwiera jedno oko.

Nie wierzę! Przeniosłaś ją na łóżko? Sama? – Maxymilian Rosada z uznaniem pokiwał głową. – Szkoda, że pianina nie wniosłaś. O tych pudłach nie wspomnę. – Pokazał na rozstawione po całej kuchni

kartony, których nie opłacało się rozpakowywać, bo szafki nie były jeszcze poprzykręcane. – Poprosiła cię?

– Przecież ona miała ze trzydzieści kilo, nie więcej – tłumaczyła mu Karolina, nakładając pierogi na plastikowy talerz. – I nie poprosiła, tylko zażądała – dodała, zapalając świeczkę, bo żarówka, wisząca smętnie na drucie dokładnie nad stołem, właśnie się przepaliła.

– Jak zażądała?

– Jeszcze kazała mi podać ubranie z szafy. Podobno nie wiadomo kogo się spotka w drodze do szpitala.

– Coś podobnego! A ile ona ma lat?

– Ze sto chyba. Nie wiem, nie zdążyłam zapytać. Znowu zemdlą albo zasnęła, zanim przyjechało pogotowie. Sanitariusz powiedział, że mogła całkiem mocno uderzyć się w głowę, skoro ją sobie rozcięła. Wiesz, że chyba była pilotem?

– Co ty nie powiesz?

– A na pewno w szafie ma czapkę pilotkę, jeszcze sprzed wojny.

– Ciekawe której... – zażartował Max.

– Jutro się dowiem.

– A skąd?

– Pójdę do tego szpitala i oddam jej klucz.

– Jaki klucz? – zapytał, oblizując się po skończonym posiłku.

– Wzięłam z jej mieszkania, zamknęłam drzwi... Co miałam zrobić? Ona była prawie nieprzytomna. Zostawię kartkę w drzwiach. Może przychodzi ktoś z rodziny albo chociaż z opieki. Ktoś, kto robi jej zakupy – gdybała. – Może zna jej rodzinę?

– Zdajesz sobie sprawę, że jej wnuki mogły już dawno umrzeć ze starości. A Kachoniów z parteru pytałaś, tych adwokatów? Przecież oni będą wiedzieć.

Karolina zdawała sobie sprawę, że do nich pierwszych powinna zająć. To oni jako kancelaria prawna w imieniu jakiegoś właściciela, do którego należało kilka kamienic, zlecili mu remont, a potem

podpisali umowę wynajmu. Musieli wszystkich znać. Tego była pewna, ale w przeciwieństwie do Maxa jakoś nie zapalała do nich uczuciem. Szczególnie do kobiety, która wydała się jej przesadnie zasadnicza i patrzyła na nią z góry. Tak czy inaczej, po pracy nawet przystanęła przy ich drzwiach, przyłożyła palec do dzwonka, ale nie zadzwoniła.

– Chyba ich nie było – skłamała.

– To podejść do nich jutro. A teraz... – zawiesił głos i wrzucił plastikowe tacki do kubła ze śmieciami stojącego na środku kuchni – chodźmy zobaczyć, co tam u babci są za skarby.

– Chyba zwariowałeś!

– No chodź! Przecież nic nie weźmiemy. Zapoznamy się... Zobaczymy, gdzie są pionki i jak ustawić łóżko w sypialni, żeby jej nie budzić.

– Jest przygłucha – wzdrygnęła się Karolina. – A poza tym śpimy na materacu! Leżącym na ziemi!

– Nie panikuj. Jak się boisz, to sam pójdę. Sprawdzę, jak idą instalacje, i tyle. Sama mówiłaś, żeby przenieść zlew.

– Ale na razie nie chcę. – Wycofała się szybko z pomysłu.

Karolina nie panikowała, ale też nie miała zaufania do pomysłów męża. Poślubiła go niedawno, ale znała już dobre dziesięć lat. Miał w sobie tyleż naiwności, co szczęścia, które nie raz już ratowało go opresji i pozwalało patrzeć na życie bez lęku. W przeciwieństwie do niej. Ona traktowała świat i ludzi ze znacznie większą powagą i dystansem. To między innymi dlatego Max urzekł ją zarówno chłopięcym wyglądem, jak i zestawem koszulek z bohaterami Muppet Show. Po trosze też entuzjazmem, którego jej brakowało, i parciem do przodu, którego nie miała w ogóle. Zawsze ustawiała się nieco z boku. W końcu śpiewała altem, a nie sopranem.

– Tylko pionki, gdzie woda idzie i takie tam – tłumaczył Max, przewijając gumką jasne włosy, sięgające mu do ramion. – To ważne, żebym się gdzieś przypadkiem nie przebił. No chodź! – zachęcał



radośnie, kiwając ręką już w otwartych drzwiach.

Karolina wstała z wielką niechęcią. Mogłaby się bronić dłużej, ale nie miała siły. Zaraz usłyszałaby całą tyradę na temat stosunku świata, którego nie należy brać tak serio. Dobrej energii i projektowania rzeczywistości. Max mógł o tym mówić godzinami. Właśnie udało mu się w ciągu dwóch miesięcy kupić, wyremontować i sprzedać z zyskiem pewne małe mieszkanie. Ona była przeciwna temu zakupowi, mnożyła trudności, ale jak się okazało, nie miała racji. Teraz od rana do wieczora słyszała o remontach, ekipach i szybkich transakcjach. To się nazywa „flip”, jak się dowiedziała. Dlatego mogli wynająć to mieszkanie. Trzeba było w nim wiele zrobić. Max zrobił to wszystko, ona nawet nie chciała wiedzieć co... i dzięki temu mają niewielki czynsz.

– A jak ktoś nas zobaczy? – Wstrzymała się przed włożeniem długiego klucza w stary zamek.

– A kto by nas miał zobaczyć? Widzisz tu kogoś? – Na klatce w tym miejscu nie było okna.

Westchnęła i przewracając oczami, przekręciła klucz. Max od razu wparował do środka. Po chwili był już w salonie.

– Nie pal tych świateł! – Karolina przestraszyła się nie na żarty, widząc, jak mąż włącza wszystkie naraz. Ona bała się nawet skrzypiącej pod jej nogami podłogi. Starła się iść tak, żeby nie poruszać klepek. – A jak ktoś nas usłyszy?

– Mówiłaś, że prawników nie ma. Nie panikuj, zaraz wychodzimy. Ale czad! Szkoda, że Wiktora tu nie ma. Jak mu jutro opowiem... – Podszedł do półki i ściągnął z niej lotnicze gogle. Po sekundzie miał je na nosie. Rozłożył ręce i kręcił się w kółko po pokoju, udając samolot. – A może pokażę! Nagraj mnie.

– Wykluczone! Odłóż to w tej chwili! – krzyknęła zrozpaczona. – Piony jakieś miałeś sprawdzać.

– Już ląduję... Myślisz, że to ona? – zapytał, wskazując na zdjęcie

kobiety przy dwupłatowcu.

– Nie wiem. – Karolina ściągnęła mu gogle z nosa niemal w locie. – Wychodzimy! – Zadecydowała, odkładając je na półkę.

Ale Max dla odmiany chwycił za leżącą obok starą lornetkę. Uniósł nad głowę, jednak Karolina szybko mu ją wyszarpała. Niestety tak się przy tym zamachnęła, że strąciła stare blaszane pudełko po herbatnikach. Puszka poleciała na ziemię, a okrągłe wieczko z ledwo już widoczną parką amorków poturlało się pod łóżko. Na ziemię wysypało się kilka starych kartek.

– Teraz już naprawdę wychodzimy! – błagała Karolina, drżącymi rękami podnosząc z podłogi pożółkłe arkusze. Ułożyła je w stosik i już chciała wpakować do puszki, gdy na jej dnie spostrzegła stary indeks. – Nie do wiary! To jest nie do wiary! – szepnęła pod nosem.

– Wiem, wiem – jęknął Max. – Zaraz mi powiesz, że zachowuję się jak gówniarz. Bla, bla, bla. Wielkie mi halo!

– Patrz! – Pokazała mu dokument.

– A ty to możesz ruszać! – zachnął się. – Stary indeks i co? – Wzruszył ramionami. – Przecież u was w archiwum pewnie pełno tego jest.

– Ale tego akurat nie mamy! Nic nie rozumiesz.

– Jasne...

– Zobacz, jaka fajna. – Pokazała mu dziewczynę na zdjęciu.

Nie mogła oderwać od niej oczu. Dziewczyna miała drobną, delikatną twarz, szeroko otwarte, wesołe oczy i mały, zadarty, piegowaty nos. Z upięcia włosów przy skroniach i szyi wypadło kilka małych loczków. Sama fotografia była doskonała. Wyraźna, mocno skontrastowana, na papierze, który się prawie nie postarzał. Zdjęcie portretowe. Rozmyte kontury, ledwie rysująca się biała bluzka z kołnierzykiem.

– Anioł – powiedziała do siebie.

– Dla mnie za grzeczna. Wolę trochę ostrzejsze. – Max pokiwał

głową.

– To co ty ze mną robisz?

– Z tobą się ożeniłem.

– Aaaha.

– To co, idziemy?

– Zaraz, zaraz – wstrzymywała go. – Przecież wiesz, że robię wystawę w archiwum. „Studentki uniwersytetu”...

– Wiem tylko tyle, że tobie wolno grzebać, a mi nie!

– Patrz, jakie dziwne imię, Olcha. Olcha Jaworska – przeczytała zamaszty podpis pod zdjęciem, z przepięknie zawiniętą literą „J” o dwóch pętelkach, większą na górze i mniejszą na zakończeniu. Przewróciła stronę. – O, jest karta wpisowa. Urodzona 26 maja 1891 roku. Strzeszyn. Religia rzymsko-katolicka. Ojciec Leon, leśniczy. Matka Anna. Mieszkanie wpisującego się... Max, zobacz! Tu mieszkała na studiach, dokładnie tu... Ale historia! Nieprawdopodobne! – wykrzykiwała.

Odwróciła się i zauważyła, że Max wyszedł do przedpokoju, a ona mówi sama do siebie. Pokręciła ze złością głową.

Jeszcze szybko przekartkowała indeks i spostrzegła pieczętkę. „Wpisowe: pięćdziesiąt złotych. Czesne: czterysta pięćdziesiąt, udział w seminariach: sto pięćdziesiąt, korzystanie z biblioteki: sześćdziesiąt, ćwiczenia z chemii: zwolniona”.

– Dobrze i to – mruknęła.

„Opłacono ósmego stycznia tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego”. Z indeksu wystawała jeszcze mała, pożółkła karteczka w kratkę. „Studentce Ance Cukierównie uchwalono pożyczkę zwrotną na zakup płaszcza”.

– Nie przelewało się – podsumowała i z żalem włożyła indeks do starej puszeki.

Była tam jeszcze jedna luźna kartka zapisana z czterech stron drobnym, równym, choć pływającym pismem. Wyglądała na starą.

Trzeba by było dłuższej chwili, żeby ją odcyfrować.

– Może by porobić zdjęcia – pomyślała. – Max, masz telefon przy sobie? – zapytała, podnosząc wzrok. Stał nad nią w starej, skórzanej pilotce.

Ty złodziejko! – Karolina odskoczyła od szpitalnego łóżka o dobre dwa kroki. – Jak śmiałaś grzebać w moich rzeczach! Jak śmiałaś! Kto ci pozwolił?! Kraść poszłaś?! Policję wezwę!

Po tym, jak weszła do sali szpitalnej i zobaczyła babcię, pomyślała, że mimo prawie łysej głowy wygląda całkiem spokojnie, nawet pogodnie. Teraz zmieniła zdanie. Stała jak wryta i patrzyła na rozsierdzoną staruchę, która cała się trzęsła, machając głową i wygrażając kościstym, zakrzywionym palcem.

Źle to rozegrała. Przez całą drogę do szpitala zastanawiała się, jak zapytać babcię o indeks, a w dalszej kolejności nakłonić, by przekazała go do archiwum. Tak wiele dokumentów zaginęło w czasie wojny, a każdy nowo odnaleziony był na wagę złota. Przynajmniej dla niej. Oczywiście, przede wszystkim musiała się najpierw jakoś wytłumaczyć z tego, że go w ogóle widziała. Przecież nie leżał na wierzchu. Wymyślała różne historie, mniej lub bardziej prawdopodobne, żadna jednak nie wydała się jej wiarygodna. W końcu, wzięwszy głęboki oddech, wyznała wprost, że puszka spadła niechcący. Staruszka patrzyła na nią bez słowa przez krótką chwilę. A potem się zaczęło!

Nie była w stanie nic odpowiedzieć. Stała zawstydzona i przerażona tym, że jest wyzywana. Ale też tym, że za moment ta kobieta umrze, i to z jej powodu. Cała się trzęsła. Najbardziej trząśł się wymierzony w nią szpiczasty palec, oddzielnie zaś trzęsła się zwisająca z ramienia skóra. Latała też dolna szczęka.

– Bardzo panią przepraszam, nie chciałam...

– Co takiego?! Nie chciałaś gmerać po cudzych domach?

– Bardzo panią przepraszam, pracuję w uniwersyteckim archiwum...

– Tam cię kraść nauczono?

– Nie, chciałam tylko...

– Proszę o spokój – zwróciła się do obu pań korpulentna pielęgniarka, która w tej chwili weszła do sali. Zostawiła tabletki w szklanym pojemniku i poprawiła poduszki.

– A dlaczegoż to?! – wrzasnęła babcia.

– Bo złość piękności szkodzi.

– Twojej szkodzą pączki. I czy ja w ogóle coś mówię?

Pielęgniarka wzniosła oczy do nieba, potem spojrzała wymownie w stronę Karoliny i westchnęła. Gdy wychodziła, podeszła do nadal wystraszonej dziewczyny i zniżyła głos.

– Niech się pani nie denerwuje. Starzy ludzie tak mają. Im się ciągle wydaje, że ktoś ich okrada. Wszędzie wietrzą spisek. Podrożeją czereśnie, to od razu twierdzą, że to zmowa światowa!

– Że co mi się wydaje? – syknęła staruszka, która jak się właśnie okazało, na słuch jednak narzekać nie mogła. – Może to, że sama na głowę upadłam? – Pokazała na czoło. – Samo się to stało?

– Może aureola uwierała? – Pielęgniarka wzruszyła ramionami, odwróciła się na pięcie i poszła do drugiej pacjentki w drugim końcu sali.

– Ty też tak myślisz? Że sama się przewróciłam? – Staruszka spojrzała na Karolinę.

Karolina nic nie myślała. Zamierzała tylko skorzystać z zamieszania i szybko się ulotnić. Położyła długi klucz na szafce obok łóżka babci i zaczęła tyłem się wycofywać.

– Wróć! – usłyszała, gdy była już prawie w drzwiach. Potulnie stanęła z powrotem przy łóżku.

– Ciekawe, czy na starość też się będzie jej wydawało? Tej pielęgniarce. Raczej nie, za gruba jest, nie dożyje – komentowała zgryźliwie starucha. – Czyj indeks widziałaś? – zapytała teraz Karolinę. – W różnych miejscach chowam. Żeby ci, którzy mi ciągle grzebią,

wszystkiego dogrzebać się nie mogli! Spowiadaj się teraz.

– Jeszcze raz panią...

– Nie jęcz! To nic nie da. Trzeba było nie grzebać. Czyj?

– Dziewczyny o nazwisku Jaworska, Olcha Jaworska – odpowiedziała Karolina, a staruszka oparła głowę o poduszkę i przymknęła oczy. Trwało to długo i zdawało się, że kobieta zasnęła. Niespodziewanie jednak się odezwała.

– Uroczą... szkoda, że tak źle skończyła – westchnęła głęboko, po czym długo kiwała głową.

– A co się stało? – zainteresowała się Karolina, ośmielona zmianą tonu.

– Ktoś ją otruł – poinformowała ją babcia, mrużąc oczy.

– Naprawdę?!

– Nie masz pojęcia, jak często się to zdarza! Jeśli uważasz, że profesor, który nade mną mieszkał, tak sam z siebie umarł... to się mocno... moja pani... nowa... myszkująca sąsiadko, mylisz! – oświadczyła, cedząc pojedyncze słowa.

– Ale jak? Jaki? Kto tam umarł? – Karolina zastygła z otwartymi ustami.

– Myślisz, że to piętro dla ciebie specjalnie wybudowano? – zapytała wyczekująco. Karolina pokręciła głową, ale słowa z siebie wydusić nie mogła.

– Profesor tam mieszkał. I mówię ci, sam tak z tego świata nie zszedł. Ktoś mu pomógł! Młody jeszcze był. Ledwo po osiemdziesiątce. Do tego dwa tygodnie sam tam leżał i się rozkładał. A upał był niemiłosierny. Pamiętasz? Dobrze, że mi przez sufit nie przesiąkł. Biedaczyna... – dodała i zamknęła oczy.

Karolina siedziała wpatrzona w nią i czekała na cokolwiek. Ale jedyne, czego się doczekała, to miarowy, lekko chrapliwy oddech. Długo jeszcze nie mogła ruszyć się z miejsca. A gdy już wstała, plątały jej się nogi.

Oj, ciężko! Bardzo ciężko wspominać mi tamte chwile. Żyję długo i był czas się napatrzeć na rzeczy złe i jeszcze gorsze. Widziałem krzywdy ludzkie rozdzierające serce i niegodziwości wszelakie. Ale tamto wspomnienie przywołuję z wielkim smutkiem. I ból ten z niezmienną siłą przenika mnie na wskroś po dziś dzień.

By opisać to, co się wtedy stało i skąd mnie się udało zaczerpnąć wiedzy, która zwykłym śmiertelnikom nie jest dana, opowiedzieć tu muszę o czasach, kiedy to już nasza wszechnica istnieć zaczęła, a mnie zaszczyt wielki spotkał, gdy z protekcji mego pana Heliodora von Świącickiego w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim zostałem służącym Wydziału Lekarskiego na Uniwersytecie Poznańskim. Wytłumaczyć się przy tym muszę, że jedynie z szacunku i przyzwyczajenia przed nazwiskiem pana Heliodora dopisuję von, które podkreśla jego szlacheckie urodzenie i ważność rodu. On sam bowiem jeszcze we wczesnej młodości zaniechał używania tego należnego mu tytułu. Odrzucił go, jeszcze zanim Polska uzyskała niepodległość, pozbywając się tego, co z niemieckim panowaniem nieodparcie się kojarzyło. Choć niejeden rodak za taki tytuł gotów był zapłacić, i to niemało. Ja, który z tamtych czasów pochodzę, muszę się tu przyznać, że czasem z własnej próżności owo von wstawię, jakby to na mnie część jego splendoru miała spłynąć, abym mimo mej ułomności pośród służących stał się ważniejszym. Ot, taka słabostka, za co o wybaczenie proszę.

Wracając do spraw, których opisanie, jak się zdaje, podświadomie odwlekam w czasie. Doktor Adam Wrzosek przybył do nas z Krakowa. Wielkim cieszył się tam poważaniem i sympatią mojego pana, z którym pozostawał w ogromnej zażyłości aż do końca jego dni. Spotkawszy go pierwszy raz w styczniu tysiąc dziewięćset dziewiętnastego, mimo że już dojrzały byłem w latach, trochę się go przestraszyłem. I rzecz nie była w mojej niemocie, bo rozumieć zdawał się mnie doskonale i niezbyt mu ona przeszkadzała, a raczej w jego

wyglądzie. Zapomnieć go bowiem było nie sposób. Ze swoim przenikliwym spojrzeniem, czarnymi jak węgiel brwiami, zmarszczonym czołem i kompletnie łysą głową wyglądał bardziej na cudzoziemskiego magika, mentalistę czy prestidigitatora niż lekarza i naukowca. Wspominając go wszakże, stwierdzić muszę, że do mało kogo bardziej pasował cylinder i aż żal było, że wychodzi on z mody, a Wrzosek, tak jak wszyscy, nosić go zaprzestał.

Doktor pojawił się w Poznaniu: – jak się okazało – żeby urządzić wydział lekarski podług nowoczesnej wiedzy, i żeby wyjaśnić zagadkową sprawę, o czym przyjdzie mi jeszcze napisać. Teraz tylko wspomnę, że w krytycznym momencie mój pan rozkazał mnie, swojemu służącemu, podążać doktorowi z pomocą i najpilniej wykonywać wszelkie polecane mi zadania. Bez rozkazów i prośnienia także zrobiłbym to wszystko, bo śmiertelnie byłem przerażony. Zdawało mi się przy tem, że w moim wieku niewiele jeszcze może mnie zaskoczyć, ale dostawszy to pierwsze zadanie, wybałuszyłem tylko oczy, bo niczego bardziej cudaczego nikt ode mnie wcześniej nie wymagał.

Miałem mianowicie dostarczyć doktorowi Wrzoskowi bezpośrednio do pracowni: dwa małe koty, kilka myszy i coś może w rodzaju świnki morskiej. Polecenie wykonałem znakomicie. Zakupiłem cały ten towar pod ogrodem na Zwierzynieckiej od jednego handlarza, któremu wystarczyło palcem pokazać, bo chyba wszystkie stwory świata miał w klatkach. A jak nie miał, to zorganizował. Ruszyłem z tym zwierzyńcem do Collegium Minus. Koty miałem w worku na plecach, myszki w kieszeni, a rudo-białą świnkę trzymałem w rękę.

Tak doszedłem na poddasze byłej cesarskiej Królewskiej Akademii Nauk, gdzie z samego początku umieszczono pracownie chemiczne. O tym, że jakieś eksperymenta tam się robi, czuć było dwa piętra niżej. Z tego też powodu schody na poddasze z rzadka zamiatano, bo sprzątaczkę na górę bały się chodzić. Mówiły, że samo piekło się pod



dachem posadowiło. I że kiedyś „te doktory” puszcza wszystko z dymem. Gwoli prawdy trzeba przyznać, że choć nieuczone i przesądne były to kobieciny, nie pomyliły się zbytnio. Jakiś czas później w istocie wybuchł tam pożar, spłonęły pracownie i dach. Laboratoria przeniesiono więc do pralni w podziemiach zamku, ale tam też bano się tych doświadczalnych popisów i pewnie dlatego oddzielny gmach Collegium Chemicum przy Grunwaldzkiej powstał w pierwszej kolejności.

Idąc po krętych schodach Minusa, i ja minę miałem nietęgą. Zapach siarki na korytarzach był tam tak dominujący, że nawet koty w worku na plecach zaczęły wiercić się bardziej. Doktor Adam Wrzosek usadowił się ze swoją pracownią w samym środku tego bałaganu na poddaszu. Po całym jego pokoju porozstawiane były stoje z odczynnikami i konstrukcje ze szklanymi rurkami, kolbami, chłodnicami. Jeszcze za czasów Akademii zawsze coś w nich bulgotało, przelewało się i skraplało.

Doktor kiwnął na mnie ręką i pokazał sąsiednie pomieszczenie, gdzie pod oknem, obok biurka pełno było mniejszych lub większych klatek. Najpierw podałem mu świnkę, potem wyciągnąłem myszy z kieszeni. Gdy je pozamykał w oddzielnych komórkach, zdjąłem z pleców worek. Widocznie był słabo zawiązany, bo mały bury kot wyskoczył z niego jak oparzony i zaczął odbijać się od ścian. Zanim go złapaliśmy, zdążył postrącać z półek wiele przedmiotów. Na ziemi wylądowała między innymi puszka po herbacie. Wieczko z niej spadło, więc myślałem, że z pojemnika wysypie się susz herbaciany. A tymczasem po podłodze poturlało się kilkanaście naboju, chyba karabinowych, które przy mojej pomocy doktor Wrzosek wybierał co do jednego, niektóre z wielkim poświęceniem.

– Wożę je ze sobą wszędzie. To moje pamiątki po operacjach w szpitalach polowych. Wszystkie osobiście wyjąłem z rannych żołnierzy – tłumaczył, wydłubując ostatni nabój ze szpary między

deskami.

Zmartwiałem. Ale doktor się tym nie przejął.

– Zbieram tylko te wyjęte własnoręcznie – zakomunikował, zakręcając puszkę. – A teraz zajmijmy się zwierzętami. Poczekaj do końca badania. Myślę, że uzyskamy pewność. Według mnie niektóre trzeba będzie wynieść z powrotem.

Nie byłem tym zachwycony, bo handlarza ze Zwierzynieckiej na pewno już nie było, a do pałacu z myszami nie było co iść.

– Mamy tu ważną rzecz do zbadania. Śmiertelną, jak przypuszczam – dodał, marszcząc czarne brwi, po czym powkładał do klatek uprzednio nasączone waciki.

Po półgodzinie pierwsza mysz dostała drgawek. Trzęsa się, miotała, aż w końcu opadła z sił. Doktor ją wyjął, stuknął młoteczkiem w głowę i pobrał od niej krew. Ponieważ byłem pod ręką, podawał mi na głos wyniki, a ja je zapisywałem.

– Liczba czerwonych krwinek... przed badaniem dwanaście tysięcy dwieście, po badaniu... dziewięć tysięcy dwieście.

W tym czasie z kotem też zaczęły dziać się rzeczy niemiłe. Najpierw intensywnie się ślinił. Ślina spływała mu z mordki opuszczonej prawie do samej ziemi. Potem zaczął się słaniać i przymykać oczy, kręcił przy tym głową na boki. W końcu zrobił się senny i padł. Doktor zbadał go pośmiertnie. Potem podyktował mi kolejne wyliczenia i obserwacje.

Teraz jeszcze po latach ciągle wyobrażam sobie Olchę, która tak niespodziewanie wkroczyła w życie profesora Święckiego i moje. Widzę ją pod zamkniętymi powiekami. Wygląda tak jak ten mały bury kot. Skazana na męki. Ledwo stoi, nie wiedząc, co się z nią dzieje, a potem słaniająca się, idzie do łóżka. Dociera i podnieść się już z niego nie może. Sinieją jej usta, a białka żółcią zachodzą...

Pamiętam wszystko, nawet zapach tej pracowni.

To ja już wiem, skąd ten chemiczny zapach! – denerwowała się Karolina, chodząc w kółko po mieszkaniu. – Myślałam, że to po

cyklinowaniu! – Zasłoniła ręką usta i nos.

– A co?! Może nie było cyklowania? – odcinał się Max. – Każdą klepkę podniosłem i przykleiłem z powrotem. Tydzień w pyle zasuwałem. Ostukałem każdy kąt. Ściany oskrobałem na gładko. Nie przesadzaj! – warknął na koniec.

Od godziny siedział w kącie i odpowiadał mniej więcej na co szóste pytanie, stukając bez przerwy w telefon. Był zły i obrażony. Mimo to od czasu do czasu się odzywał, choć rozmowa wciąż kręciła się wokół tego samego: zwłok, które podobno leżały tu gdzieś na podłodze.

– Ale gdzie leżały?

– Ja ich nie widziałem! – Po raz kolejny odpowiadał na to samo pytanie. – Nie powiem ci więc gdzie!

– A jak on się nazywał?

– A czy to mój dziadek? Skąd mam wiedzieć i dlaczego miałoby mnie to interesować.

– Może Wiktor będzie wiedział?

– On tu nawet nie chciał wejść!

– Dziwisz się mu?

– Dziwię! Przewrażliwieni jesteście. I ty, i on. Jak sobie przypomnę... – zaczął, ale urwał w pół słowa.

– Co?!

– Nieważne.

– Jak nieważne? Jak cię to nie mogło zainteresować? Nie dowiedzieć się, kto tu mieszkał?

– A czy to ja w archiwum pracuję? Ja grzebię w starociach. Pomyśl czasem, że to nie każdego obchodzi. Pomyślałaś? Ciebie byle stary świstek podnieca, a mnie nie. Ty śpiewasz w chórze stare kawałki, a ja słucham tylko nowych!

– Nie tylko stare – zachnęła się. – Śpiewaliśmy na próbie Cohena.

– Piosenki sprzed ilu dekad? Przestań już. Od dwóch godzin tak chodzisz! Nie zmęczyło cię to?

– Ja się teraz będę bała tu spać. – Nie mogła się opanować. Nie pamiętała już, kiedy była tak roztrzęsiona. – Ja nie wiem... Ja nie wiem... – powtarzała w kółko.

– Czego nie wiesz? Zobacz! – Szarpnął ją za ramię i zaciągnął przed okno. Na zewnątrz było już ciemno. W większości mieszkań paliły się światła. W niektórych widać było krzątających się ludzi. – Widzisz?

– Co?

– Wszystkie kamienice dookoła mają ponad sto lat. Że są stare, rozumiesz? Tak? – Kiwnęła głową. – To pomyśl, że w każdym z tych mieszkań ktoś umarł. W każdym! Gwarantuję ci to! I to w każdym pokoleniu.

Karolina patrzyła przez okno. Na ludzi w domach i na tych chodzących po chodnikach. Przez chwilę nic nie mówiła.

– Przecież te kamienice stały, jak jeździły tu dorożki – ciągnął dalej Max, jakby czując, że to dobry kierunek. – Minęły dwie wojny. Nie żyje żaden z pierwszych lokatorów, którzy wprowadzili się zaraz po ich zbudowaniu. Wszyscy umarli! To pewne. Kamienice postawiono tu przed pierwszą wojną, a ludzie dawniej umierali w domach, a nie w szpitalach. Kładli się do łóżka i już! Pomyślałaś o tym? – Przez chwilę patrzyła na męża tępym wzrokiem.

– Leżał w łóżku?

– Nie, mam już dość! – krzyknął Max.

Karolina rozglądała się po pokoju, jakby szukając miejsca, w którym to łóżko mogło stać. W końcu usiadła przy stole, podparła się łokciami i długo trzymała twarz w dłoniach. W końcu uniosła głowę.

– I w ogóle cię nie zainteresowało, co się stało z tym profesorem? – ciągnęła.

– Nic się nie stało! – Max prychnął, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Myślałem, że skończyłaś! Nie pamiętasz już?

– Czego?

– Lata. Grzało od maja. Po trzydzieści pięć stopni, całymi tygodniami! Sam myślałem, że zdechnę, a mam pół wieku mniej! To był stary dziadek! I tyle!

– A skąd wiesz, ile miał lat? – Karolina spojrzała na niego podejrzliwie.

– Domyśliłem się. Nie wiem skąd. Daj mi już spokój!

– Ale dlaczego mi nie powiedziałeś? – jęknęła bezsilnie.

– Serio? Serio mnie o to pytasz? – Max opukał się wskazującym palcem w pierś. – Właśnie dlatego. Tego chciałem uniknąć. – Zrobił obrażoną minę. – Wiktor od razu mnie przestrzegł, że bym ci nic nie mówił.

– Ale ty nic mi nie powiedziałeś już na początku... Jak tylko zacząłeś to mieszkanie remontować...

– Bo mi od początku zasugerowali, że bym robił jak dla siebie. Niby taka gadka, żeby wymusić jakość, ale ja głupi nie jestem. Pomyślałem, że skoro wynajmujemy mieszkanie... a oni to chcą w przyszłości wynająć... Zacząłem sklejać model. Wiktor mnie poparł. „Idź w to”, radził. Urabiałem temat i mam. Napracowałem się po pachy i... tadam! Max na maksa! Źle ci? Każdy ma swój pokój, jeszcze dwa zostają. Akustyka, mówiłaś, idealna. Pianino się mieści. Powiedz: mieści się?

– Tak – potwierdziła, rozglądając się po mieszkaniu. Było przecież idealne.

– To z czym masz jeszcze problem?

– Ta sąsiadka z dołu mówiła, że tego profesora ktoś otruła – wydukała, chociaż wcześniej wcale nie zamierzała tego mówić.

– Ta stuletnia staruszka, co się w głowę walnęła? – Przytaknęła mu.

– Wychodzę. Mam dość! Zadzwoń po mnie, gdy ochłoniesz i przestaniesz o tym gadać! – oświadczył, zakładając kurtkę. – Wiesz, jaka jest między nami różnica? – zapytał jeszcze w drzwiach. – Ja chcę patrzeć w przyszłość i coś tworzyć, a nie jak ty: babrać się

w przeszłości, której już nie ma. I tyle.

Karolina jak na przekór od samego rana w pracy zaczęła grzebać w starych dokumentach. Chciała dowiedzieć się jak najwięcej o studentce i służącym. Ale też przyrzekła sobie, a przede wszystkim Maxowi, że przestanie już rozmyślać o zmarłym lokatorze. Zamierzała tej obietnicy dotrzymać. Mąż miał rację. A wieczorem, zaraz po tym, jak wyszedł, zadzwonił Wiktor. Musiała go odholować. Jego wypasiona bryka znowu się popsuła, a chwilowo nie stać go było na części do tego drogiego auta. Ale też nie chciał z niego rezygnować. „Dla wizerunku”, tłumaczył. Zapowiedział, że przed trzydziestką zarobi milion na nieruchomościach. Wydało jej się to zabawne, bo ciągnęła przyszłego milionera na lince starym fiatem, ale kto wie. Nie wiedziała przecież, jak się zarabia miliony. Oprócz tego entuzjazm Wiktora, który uśmiechał się najszerzej ze wszystkich znanych Karolinie ludzi, udzielał się nawet jej. Max też był w niego wpatrzony. Nie tylko razem remontowali mieszkania, ale nawet zaczęli mówić jednym głosem, bo Wiktor powtórzył prawie słowo w słowo to, co powiedział jej mąż. Tak samo podkreślając, że zwyczajnie nie chciał jej denerwować. Trudno było w to nie uwierzyć.

Fakt, pewnie w każdym mieszkaniu w centrum Poznania ktoś kiedyś zmarł.

– Nie ma się co nad tym zastanawiać – powtarzała sobie i wieczorem, i rano.

Od razu zajęła się urządzeniem wnętrza. Porozstawiała książki na półkach, poukładała ubrania w szafie. Chwilę pograła na pianinie i zrobiło się nawet przytulnie.

– Po co do tego wracać. – Przypominała sobie po raz setny i na moment to działało.

Ale co innego historia sprzed wieku. W archiwum przetrząsnęła listy studentów sprzed stu lat i inne teczki ze sprawami różnymi. Na nazwisko Jaworska do pary z charakterystycznym imieniem nie trafiła.

Nie zdziwiła się zbytnio. Wiele dokumentów spłonęło w czasie wojny. Za to ku swemu bezbrzeżnemu zdziwieniu trafiła na małą, poblakłą karteczkę, wypisaną na maszynie. Karteczka opatrzona była datą 15 czerwca 1921. Pod spodem tytuł druku: POŚWIADCZENIE. A pod nim treść. Czytając ją, zamarła z wrażenia.

*Poświadczam niniejszym, że służący Wydziału Lekarskiego w Uniwersytecie Poznańskim, Jan Kanty Rosa, jedzie do Warszawy służbowo, poczem wraca do Poznania do swoich obowiązków. Poświadczenie to wydaje się celem okazania władzom kolejowym i uzyskania ułatwień we wszelkich formalnościach oraz wylegitymowania się niem w razie potrzeby.*

Czyli że to wszystko może być prawdą! – powiedziała już na głos i przysiadła z wrażenia na krześle i chwyciła się za głowę.

Znaczyło to mniej więcej tyle, że znowu musi odbyć wycieczkę do szpitala i spotkać się ze staruszką. Zadrzała na samą myśl o możliwym wybuchu babcinego gniewu. O jej kościstym palcu, wymierzonym prosto w nią przy kolejnym ataku wściekłości. Ale nie miała innego wyjścia. Do końca życia by sobie nie wybaczyła, gdyby nie spróbowała zdobyć tak cennych materiałów. Albo choć zrobić z nich dokumentację, jeżeli właścicielka do śmierci nie będzie chciała się z nimi rozstać. A w tym celu trzeba było spróbować się z nią zaprzyjaźnić.

Babcia, jak się okazało, nazywała się Apolonia Polańczyk i miała spędzić w szpitalu kilka następnych dni. Czuła się coraz lepiej, bo uderzenie nie było zbyt mocne, ale chyba z jakiegoś powodu postanowiła na oddziale pomieszkać. Tak się przynajmniej Karolinie wydawało. Tym razem dla odmiany przywitała ją dosyć radośnie.

– Moje dziecko – zaczęła – jeśli nie jesteś drobną złodziejką, to może jesteś łowczynią spadków?

– Nie, nie jestem – odpowiedziała jej, przelękając ślinę.

– Jedną taką właśnie pogoniłam! Przyznaj się lepiej! Liczysz, jak co poniektórzy, że ci coś przepiszę.

– Nie na to liczę. Jak już mówiłam, pracuję w uniwersyteckim archiwum. A pani zdaje się ma wiele interesujących dokumentów... Przygotowuję wystawę o dawnych studentkach...

– Po czym ci się zdaje, że ja coś mam, ha? – Karolina musiała wziąć głęboki oddech. – Znowu grzebałaś? – dopytywała babcia, celując w nią chudym, lekko trzęsącym się palcem. Choć nie miała już tak groźnej miny, a sytuacja raczej ją bawiła.

– Zaciekawiała mnie historia – tłumaczyła jej najspokojniej, jak potrafiła, nieco speszona rozmówczyni – tej studentki, Olchy Jaworskiej, i chciałabym...

– Wścibska, znaczy się – przerwała jej znowu rekonwalescentka, śmiejąc się pod nosem. Karolina nie wiedziała już, co na to odpowiedzieć. Nie odezwała się więc wcale. – Dobrze już, dobrze. Jesteś pod ręką, a ja tamtej... tej... nie chcę widzieć – stwierdziła stanowczo, drapiąc się po przylepionym do głowy plastrze. – Jeszcze mnie zabije. Przynieś mi tu kilka rzeczy. Na początek moją perukę – zaczęła wyliczać. – Przeciągi tu są, a nic tak dobrze nie chroni przed przeciągami jak gęsta peruka. No, może z wyjątkiem własnych włosów.

Karolina bezwiednie przytaknęła. „A więc każdego podejrzewa o mordercze zamiary”, przestraszyła się, że na nią też w końcu padnie podejrzenie, ale zaraz pomyślała, że to pewnie tylko zwykłe starcze marudzenie. Tym bardziej że babcia nie wspomniała o otrutym profesorze z jej mieszkania. Widocznie już o nim zapomniała. Karolina miała nawet ochotę zapytać, ale ostatecznie wolała już nie wyobrazić sobie więcej trupa na swojej podłodze.

Za to z radością zgodziła się na przyniesienie peruki i innych rzeczy z mieszkania na pierwszym piętrze. Musiała tylko złożyć



przysiężenie, że „nie będzie niechący wkładać rąk tam, gdzie jej nie pozwolą i niczego przypadkiem nie zrzuci, otwierając szuflady”. Aby tej obietnicy dotrzymać, podjęła decyzję, że nie powie o swojej wyprawie Maxowi, bo ten najpierw ją wyśmieje, a potem co gorsza znowu zechce jej towarzyszyć. W głębi duszy miała nadzieję, że oprócz peruki do tych „innych rzeczy”, które miała zabrać z mieszkania, będą też należeć jakieś unikalne, niesamowite, wcześniej zaginione dokumenty. Poczła się jak poszukiwacz skarbów, choć początek był mało fascynujący. Przez kilka pierwszych dni nosiła do szpitala wyłącznie wełniane skarpety, włóczkowe swetry, kawę zbożową i tym podobne. Wszystko sprawnie i bez pomyłek odnajdywane po szafach i półkach. Ściśle według wytycznych. Babcia dokładnie wiedziała, gdzie co jest i co gdzie pochowała. Niczego innego Karolina nie odważyła się wziąć do ręki.

Dopiero za trzecim razem Apolonia Polańczyk kazała jej ściągnąć z półki puszkę po herbatnikach.

– Może byś przyniosła... ale nie otwieraj przypadkiem! – przestrzegła. Urażona Karolina miała ochotę wstać i wyjść. Ale babcia ją powstrzymała. – Sama ci pokażę, nie musisz szperać.

Karolina chwyciła za klamkę.

– Mam próbę chóru – burknęła. – Pójdę już.

Zastanawiała się, czy to wytykanie jej pierwszej wpadki kiedyś babci minie, bo na razie końca nie miało.

– Aby na pewno próba chóru, nie zmyślasz? – Staruszka przekrzywiła głowę.

– Próba. Listopad się zbliża i obchody stulecia odzyskania niepodległości. Chór uniwersytecki rzecz jasna w nich uczestniczy. A ja w nim śpiewam.

– Chyba cieeeenkim głosem.

– Do widzenia.

– Stój! – krzyknęła. – Chcesz się dowiedzieć więcej o tej

dziewczynie? O tej z indeksu? I o swojej uczelni? I o tym, jak to wszystko sto lat temu było? Zachłanna na tę wiedzę jesteś, wiem – zaśmiała się staruszka. – Przyjdź. Nie pożałujesz. Albo nie przychodź – dodała Apolonia i zamknęła oczy. Karolina wzruszyła ramionami i wyszła.

„Dzielni Poznańczanie pokazali światu, jak Prusaka się wypędza, śpiesznie do Heimatu, hej, za broń!”, śpiewała na próbie, ale nie mogła przestać myśleć o tym, co znajdzie w puszcze po herbatnikach. W końcu się doczekała. Zgodnie z zapowiedzią Apolonii Polańczyk – nie żałowała. Czytała z wypiekami na twarzy raz, drugi, trzeci, cały czas nucąc tę samą piosenkę. Opowieść była zapisana na kilku kartkach zszytych razem nicią. Kartki były wyraźnie skądś wyrwane i rękopis urywał się w pół słowa. Ale mina babci, gdy na drugi dzień Krolina weszła do szpitalnej sali, upewniła młodą archivistkę, że jest gdzieś jeszcze ciąg dalszy. I tylko od kaprysu staruszki zależy, ile się dowie.

Dziś serce moje ledwo bije. Przyzwyczajają mnie do myśli, że zmęczone długim życiem, w końcu kiedyś uderzać przestanie. Ale teraz na samo wspomnienie tego listopada roku osiemnastego łomotać w piersi zaczęło mocniej i radośniej, napędzając przy tym krew w żyłach i ostrząc wzrok w przeszłość zapatrzony. Ręka moja też zdaje się gonić za pędem tamtych dni i próbuje nadążyć za wydarzeniami. Był to bowiem listopad, który już nigdy w moim życiu powtórzyć się nie miał. Niby szaruga za oknem była zwyczajna, dzień krótki, wiatr przenikliwy, a wszystko wyglądało inaczej. Jakby jakaś inna pogoda nawiedziła dusze udręczone, jakby jakie inne słońce świeciło nad Poznaniem. Słońca widać zza chmur nie było, a ludzie mimo to oczy mrużyli, to ze śmiechu, to z przejęcia, to z niedowierzania. Bo jakże tak po tylu latach niewoli uwierzyć, że Wilhelm II, z Bożej łaski cesarz, czego zdawało się odmienić niepodobna, ze swego tronu musiał abdykować. Po czym uciekł w popłochu do Holandii, bo nijak opanować już nie mógł bałaganu, który sam narobił, radośnie

przyklaskując wojnie światowej. A przecież nie tak dawno jeszcze, śniąc swoje cesarskie sny, kazał sobie pobudować potężny zamek w Poznaniu, który jest chyba najmłodszym zamkiem w całej wielkiej Europie, a już na pewno jego ostatnim.

Teraz to wszystko zaczęło się zmieniać. Rewolucja wybuchła w Berlinie. Współ z robotnikami nawet i żołnierze władzę w mieście zaczęli przejmować, domagając się końca wojny i godnego życia. Bo tam już nikt przypomnieć sobie nie mógł, o co w tej wojnie chodziło i dlaczego walczą latami w okopach. Ale jak to w życiu bywa – to, co nieszczęściem dla niektórych, szczęściem dla innych okazać się może. Bo tak ten świat jest skonstruowany, że ile par oczu, tyle widoków na przyszłość.

Nam, Polakom, już Mickiewicz kazał się modlić o wojnę powszechną, bo tylko taka moc zaborców mogła osłabić. Wymodliliśmy! Po czterech latach niepewności już sami w Warszawie sprawowaliśmy rządy. Ale wieszcz nie tylko o niepodległość, ale i o całość ojczyzny modły zanosił. Przewidujący był!

O tę całość, to my w Poznaniu musieliśmy sami zadbać. Niepewność co do naszych losów była ogromna, ale i podniecenie olbrzymie. Niemieckich żołnierzy w bród tu jeszcze było, a i władze pozostały w niemieckich rękach. Ale już nie tak odważne i dogadywać się zaczęły polskimi radami żołnierskimi. Bo żołnierze ci, zbiegłszy z głębi Niemiec, do domów wracali i przynosili nowiny o końcu tych rządów bezkarnych. Nie, zdarzyć, to się jeszcze tak szybko nie zdarzyło. Ale już w tym czasie wszyscy wiedzieli, że swoją wolność sami będziemy musieli wywalczyć. I w Poznaniu kto żyw, organizował przyszłość naszą, nie czekając na czyjekolwiek pozwolenstwo.

Nie inaczej sytuacja się miała w naszym pałacu Działyńskich, gdzie mój pan Heliodor Świącicki, mimo wieku już podeszłego, projektować zaczął swoją nową ideę. Niepojętym cudem miała się ona kilka miesięcy stać rzeczywistością. Najpierw więc posłał mię na ulicę

świętego Marcina do składu win Hipolita Robińskiego. Mój pan raczej w trunkach nie gustował, a nawet część jego gości należała do różnych towarzystw czystości i wstrzemięźliwości. Dopiero gry spotkania zdarzały się czasem przeciągać się do późnych godzin nocnych, także jemu zdarzyło się zwilżyć usta dobrym winem mozelskim albo węgierskim. Zakupy te czyniłem z przyjemnością, bo też miejsce było szczególne.

Do składu przychodziło wiele osób, aby trunki próbować na miejscu, a byli i tacy, co przesiadywali tam po wiele godzin. Jednym z tych, których prawie zawsze można było u Robińskiego spotkać, był dziennikarz „Kurjera Poznańskiego”, który często tam właśnie na bieżąco płodził artykuły. Zatem niektórzy mogli jeszcze zawczasu się dowiedzieć, co też będzie wydrukowane dziś o szóstej po południu, za co albo sam właściciel składu, albo któryś z gości stawiał mu kolejny kieliszek madery. Nazwiska tego dziennikarza już nie pamiętam, ale mam przed oczami jego zaczesane z lewa na prawo długie pasmo siwych włosów, okalające łysinę, które zwykle odlepiać się od głowy, gdy jego właściciel z wielkim entuzjazmem odczytywał co lepsze zdania na głos, unosząc rękę do góry i potrząsając całym ciałem. Włosy fruwały mu wtedy z jednej na drugą, a wszyscy słuchali w skupieniu, czując się wybrańcami.

Bywał też w winiarni na Marcynie posterunkowy Hęciak, który i teraz w jakichś formacjach porządkowych się znalazł. Chudy był jak zawsze, choć jego żona podobno podwoiła wagę tak, że przez drzwi ledwo przejść mogła. Jedyne, co się zmieniło, to wąsy, które zapewne tak samo niespodziewanie spadły na brodę jak Wilhelm II z tronu i teraz były przycięte bardziej niż u mistrza Paderewskiego. Unikałem Hęciaka, jak mogłem, bo zawsze o coś mnie pytał, głośno się dziwiąc, że nie odpowiadam.

– Uszanowanie panu Heliodorowi Świącickiemu przekaz ode mnie – zwykł mówić za każdym razem, gdy mnie dojrzał. – A przecież ty

mówić nie potrafisz. Na co komu taki sługa? – pytał głośno wszystkich dookoła.

„A ty pisać”, myślałem sobie, gdy od wielkiego dzwonu wyciągałem mały notatnik w skórzanej oprawie, który dostałem od mojego pana, by kto zechce, wiadomość do niego napisaną mógł przekazać. Dobywałem też króciutkiego ołówka, którego posterunkowy nigdy do ręki nie wziął i bał się jak ognia. Tak też było, gdy zaszedłem tego dnia po odbiór zamówienia. Coś zaczął mówić, ale gdy tylko rękę do kieszeni schowałem, odwrócił głowę, przyglądając węża ku górze. Węża, którego już tam nie było. Speszył się przy tym, a ja tylko się uśmiechnąłem.

Każdą z tych chwil pamiętam, nawet ten szczegół, wszystko zapisane w głowie już na zawsze. Dlatego początek przyszłych wydarzeń mogę dokładnie przytoczyć, bo to wtedy skrzyżowały się drogi, co już na zawsze pozostaną splątane i wbijają cierń w moje serce. Tak wiele razy odtwarzałem we wspomnieniach ten moment, próbując uchwycić, kiedy to się zaczęło.

Tego popołudnia już od wejścia usłyszałem, jak pochylony nad kartką papieru dziennikarz odczytuje to, co przed chwilą nakreślił. Najpierw szepcząc pod nosem, niewyraźnie, a potem jak zwykle wstając, by lepiej uwagę przykuć.

– W chwilach, w których fala rewolucyjna przelewa się wokoło nas jak rzeka wezbrana – wyczytał, z początku trochę cicho, potem coraz głośniej. W końcu uniósł wysoko rękę. – Rzeka, która rwie wszystkie tamy. Musimy, podkreślam, musimy za wszelką cenę zachować jasność myśli i równowagę nerwów! – wykrzyknął, potrząsając pasmem włosów.

Otoczający go niemały tłumek również kiwał głowami z uznaniem. Jeden do drugiego. Hęciak przytakiwał najmocniej, rozglądając się przy tym dokoła. Moją uwagę przykuło jednak kilku żołnierzy, którzy siedzieli przy drzwiach i coś między sobą szeptali. Sądząc po

naszywkach na mundurach, musieli należeć do garnizonu stacjonującego na poznańskiej Ławicy.

„Piloci”, pomyślałem z dumą. „Nasi”, Bo inaczej być nie mogło. Niemieccy lotnicy w polskiej winiarni raczej by nie siedzieli.

Dziennikarz uciszył tymczasem rozgorączkowany tłum i zapisując, czytał jednocześnie kolejne słowa.

– Musimy wiedzieć, do czego dążymy – wygłosił i przygładził włosy – abyśmy nie byli tylko rozbitkami unoszonymi przez prąd wirujący! – I tym razem spotkał się z aplauzem.

Bez woli byliśmy już ponad sto lat. Wszyscy wiedzieli, że teraz czas zacząć działać. Goście bili brawo. A dziennikarz usiadł i podpierając ręką czoło, pisał dalej. Ja, niestety albo na szczęście, słuchać już dalej nie mogłem, bo wręczono mi w skrzyneczce, zbitej z drewnianych deseczek, sześć najprzedniejszych win. Wydostałem się na ulicę, powtarzając w myślach zasłyszane słowa, ale nie uszedłem nawet kilku kroków, jak zobaczyłem garstkę wojennych maruderów. Chciałem ich ominąć, bo tarasowali chodnik, gdy zorientowałem się, że rozochoceni wojacy zaczęli młoda panienkę. Zerwawszy jej kapelusz z głowy, przerzucali go pomiędzy sobą. Dziewczę, z małą walizką w ręku, miotało się pomiędzy nimi coraz bardziej.

– Oddaj to! Łachudro jeden! – wykrzykiwała płaczącym tonem.

Było ich z siedmiu, ona sama. Bram dookoła pełno, a wyzwanemu od łachudry stężała twarz, już i tak mocno napita. Sam nie dałbym im rady w żaden sposób. Chudy byłem, z wieszakiem w salonie z frakami łatwo mnie było pomylić. Poza tym i nec Hercules contra plures, jak często mawiał pan Heliodor.

– Łachudro? – droczył się wojak. – Tak niepięknie do mnie mówisz?

– A wolisz łajzo? – wrzasnęła mu prosto w twarz.

– Łap! – kapelusz poleciał w przeciwną stronę i upadł tuż obok wielkiej kałuży.

Nie czekałem, wróciłem się do winiarni. Posterunkowego gdzieś

akurat na złość, jak to zwykle bywa, nie było. Ale szukać go nie zamierzałem, tylko od progu szarpnąłem za mankiet najpostawniejszego z oficerów, tam upatrując pomocy. Oficer tylko się zachnął.

– Nie mam! – chciał mnie pogonić, myśląc może, że drobne chcę od niego wyłudzić.

Odwrócił się plecami, lecz ja nie dawałem mu spokoju. Mój pan zawsze mi powtarzał, że choć mówić nie potrafię, to twarzą moją, do grymasów przeróżnych nawykłą, powiedzieć jestem w stanie wszystko. Ciągnąłem więc go do wyjścia i na innych przy tym kiwałem, robiąc rozpaczliwe miny.

– Niemowa jakaś?

– Wariat chyba!

– Ale czego chce? Daj mu grosza. To pójdzie sobie!

Zaprzeczyłem gwałtownie.

– Coś się dzieje na zewnątrz...

– Woła nas chyba?

– Sprawdzimy lepiej, bo i tak nie da ci spokoju. – Chwilę tak deliberowali, patrząc po sobie, a ja kiwałem głową jak oszalały, by dać im znać, że zrozumieli.

Wyszliśmy. W ostatniej chwili, bo z pozoru nikogo na chodniku już nie było. Tylko w bramie stało kilku maruderów. Śmiali się. Postawny pilot tylko fuknął na mnie i wzruszył ramionami.

– Wracamy – rzekł do pozostałych.

Bezradnie zagroziłem mu drogę i palcem wskazałem na bramę. Podpici wojacy również się odwrócili, dzięki czemu dało się dostrzec połąć zielonej sukni, która zahaczyła się o jakiś pręt w ścianie. Na pewno dojrzał ją ten najpostawniejszy. Odetchnąłem z ulgą.

Wszyscy naraz pobiegli. I aż miło było patrzeć, jak kilku ochlapusów ucieka, a reszta, złomotana, po ścianach się osuwa. Nazwany łachudrą przykładnie oberwał najpierwszy. Szybko ochłonał

i z impetem próbował się rzucić na atakującego go lotnika, ale ten odsunął się tylko i po chwili wojak taplał się w wielkiej kałuży.

Panna w tym czasie podniosła z chodnika kapelusz, otrzepała i założyła na głowę. Upięte włosy rozpadły się trochę, kilka loków pouciekało. Przegarniając je na boki i chlapiąc, drżącymi wciąż rękami nałożyła kapelusik, który przekreślił się na bok. Wyglądała w tamtej chwili dokładnie tak, jak ją zapamiętałem na całe moje życie. Była drobnej, kruchej postury. Miała duże jasne oczy, zadarty, trochę piegowaty nos, wąskie lekko nadąsane usta, rumieńce na policzkach i maleńką walizkę w ręku. W tym przekreślonym na bok kapelusiku wyglądała nieco zadziornie.

– Nic się panie nie stało? – zapytał ten najpostawniejszy, który przyglądał się jej z nie mniejszym zainteresowaniem ode mnie. – Czy my się nie znamy?

– Nie – odpowiedziała, pociągając nosem. Głęboko przy tym oddychała, starając się ukryć podenerwowanie. Nie wiadomo przecież, jak by się mogła sytuacja sprzed jeszcze minuty rozwinąć. Myśleć też o tym nie chcę, bo grunt, że opamiętanie pod postacią solidnych kopniaków na maruderów naszło.

– Stefan Haber – przedstawił się dziewczynie jej wybawca, ten, który łachudrę sprzął przykładowie. Teraz oczekiwał wylewnych, i to należnych podziękowań, ale panna zajęła się otrzepywaniem sukienki i ledwo na niego spojrzała. Zdaje się nie był do tego przyzwyczajony, wyraźnie go to rozbawiło, a już na pewno zaintrygowało. Nie znałem się na urodzie, szczególnie męskiej, ale od razu widziałem, że ten oficer był wyjątkowo przystojny, więc raczej nawykły do rozpieszczania przez cały ród niewieści. Wysoki, szczęka kwadratowa, brązowe włosy, nienagannie przycięte, zaczesane do tyłu, wąs starannie ułożony, postawa dumna. Jednak dziewczyna zdawała się tego nie zauważać.

– Olcha Jaworska – powiedziała tak szybko, że nawet ja, choć



stałem bliżej, nie byłem pewny, czy dobrze zrozumiałem. – Pójdę już – dodała, chlipiąc jeszcze trochę i zaciskając palce na rączce od walizki.

– Olcha...? Cóż... myślałem, że jak mi kiedyś dane będzie uratować część niewieścią, to jakieś podziękowanie chociaż otrzymam. Nie wspomnę już o wdzięcznym pocałunku.

– Aha! – westchnęła głośno, jakby dopiero teraz zrozumiała o co chodzi. – Dziękuję ładnie. – Dygnęła, podginając jedną stopę. – Tak wystarczy?

– To ci się dostało – zaśmiał się jeden z kolegów.

– Takie ci to podziękowanie. – Klepnął pilota po ramieniu drugi.

– O, jakże nieprawdziwe są te romanse! – Stefan Haber rozłożył ręce, pokiwał głową i uśmiechnął się szeroko. – Specjalnie czytałem nocami, wzrok psułem, a to wszystko w celu zrozumienia zakamarków duszy kobiecej, i co? Masz ci los!

– Proszę wybaczyć – zaczęła Olcha znacznie pewniejszym tonem. Jakby już jej całkiem z głowy wywietrzało, że jeszcze przed chwilą była w niemałych opałach. – Dla mnie męska natura jest zupełnie niezrozumiała. Tak samo jak dusza damska dla pana. Przed chwilą zbóje, teraz dla odmiany bohaterzy. Nadto dla mnie wrażeń, żebym za każdym razem wiedziała, jak się właściwie zachować. Na Stary Rynek to tędy? – zapytała nagle, zwracając się prosto do mnie, choć trzymałem się na uboczu. Przytaknąłem.

– Dziękuję raz jeszcze – dodała, powtórnie rozbawiając uśmiechniętego Habra.

– Panowie, wobec takiego obrotu sprawy, ostrzegam... – rozpoczął podniosłym tonem oświadczenie lotnik i zawiesił na chwilę głos – ...że właśnie się zakochałem.

– Ja niestety nie – odparowała mu szybko Olcha. – I przykro mi, jeśli pana rozczarowałam – dokończyła, odwracając się na pięcie. – Przepraszam, śpieszę się. Nie jest tu najbezpieczniej.

– Może chociaż pannę odprowadzę? – jęknął przystojniak

rozpaczliwie, wśród śmiechów kolegów.

– Pan mi potowarzyszy, prawda? – zapytała, patrząc na mnie, po czym ruszyła przed siebie. Zaskoczony, kiwnąłem głową i poszedłem za nią. Zdążyłem się tylko odwrócić, żeby skinieniem podziękować oficerom za interwencję. Rozbawieni kompani ciągnęli już do winiarni wciąż wpatzonego w Olchę pilota.

Ja przez całą drogę zerkałem zaś na dziewczynę, po której zupełnie już znać nie było, że przed chwilą płakała. Chyba się nawet uśmiechała pod nosem. Ciekawy też byłem, dokąd idzie, czego dowiedzieć się miałem za parę chwil.

Na Rynek dotarliśmy najkrótszą drogą, którą zwykłem wracać tam, gdzie mieszkałem i gdzie było wejście do pałacu.

– A pałac Działyński to gdzie jest? – zapytała, stojąc dokładnie plecami do jego bramy.

Pokazałem go palcem.

– Ach tak – westchnęła głośno, lustrując budowlę z góry na dół. – A więc to tu... – tym razem zaprzeczyłem. Pokazałem chyba niezbyt dokładnie, bo miałem przecież przynieść wino, a nie przyprowadzać młode panienki z walizkami. Nigdy mi się to nie zdarzyło, więc byłem przerażony.

– Tu muszę się dostać – głośno myślała, a ja z przerażeniem kręciłem głową na boki. – A pan co? Mówić nie umie? – zapytała wzruszając ramionami. – Tylko tak w kółko kiwa tą głową i kiwa.

Potwierdziłem, zgodnie z prawdą, dotykając ręką ust.

– Aaa... – zrobiło się jej niezręcznie, jak każdemu w takim momencie. Znałem te miny. – Przepraszam najmocniej – chwyciła mnie za rękę i jak każdy, zaczęła mówić głośniej i wyraźniej. – Tym bardziej muszę podziękować. Przyprowadził mnie pan we właściwe miejsce. Dokładnie tu idę.

Znowu przeczyłem całym sobą, nie mogła tam iść.

– A czy tu mieszka doktor Heliodor Świącicki? – zapytała, a ja tym

razem musiałem przytaknąć. – To dobrze trafiłam – uśmiechnęła się szeroko. – Nie martw się, nie przyszłam żebrać. Pieniądze mam.

Mocy już nie było, żeby ją przed wejściem do naszego pałacu zatrzymać. Zatrzasnąć drzwi przed nosem też nie mogłem. Wpuściłem pannę do środka i z wielkim przestachem poszedłem po mojego pana. Spodziewał się on gości i na jedno moje skinienie poszedł do wejścia. Jednak na widok panienki w przekrzywionym kapelusiku stanął jak wryty.

– Ja do pana doktora Świącickiego – powiedziała trochę wystraszonym głosem, gdy tylko go zobaczyła. – Dzień dobry – dodała szybko i dygnęła.

– Kimkolwiek panna jest – zaczął mój pan swym dobrotliwym głosem – muszę pannę poinformować, że nie ma już tu kliniki i pacjentek tu nie przyjmuję.

– Bardzo przepraszam. Nazywam się Olcha Jaworska. Przyjechałam z Sedanu, Strzeszyna, znaczy się. Gdzie przed śmiercią leśnikiem był mój ojciec... ojczym... jak się niedawno okazało. Znaczy, po pogrzebie mojej matki... nie matki... jak się okazało... o czym nie omieszkał poinformować mnie mój brat... nie całkiem brat... jak się oczywiście okazało z logiką zdarzeń...

Mówiła szybko, potakując sobie głową i rozkładając na boki ręce. A my słuchaliśmy jej obaj, nie przerywając, ale też nie wiedząc, do czego ta opowieść prowadzi. Choć coś się nam zaczęło układać, jakby podpowiedzi w zagadce, bo popatrzyliśmy na siebie nawzajem, odgadując, że ta opowieść nam obu jakimś cudem jest znana.

– W obliczu takich informacji – ciągnęła dalej, wykładając przed siebie otwarte dłonie – niespodziewanych, bo przecież któż się może takich historii o swoim pochodzeniu spodziewać... chyba nikt? Właśnie! – podkreśliła głośno, wyciągając palec do góry. – Z tego powodu musiałam tu przyjechać – oświadczyła. Po czym zaległa cisza. Spojrzeliśmy po sobie, bo prawda zaczynała nam w głowach świtać

coraz jaśniej.

– W dalszym ciągu nie rozumiem powodu przyjazdu panny tutaj. – Próbował dowiedzieć się czegoś więcej mój pan.

Dziewczyna wyciągnęła z kieszeni pomięty kawałek gazety i rozłożywszy, podała doktorowi.

– Niech pan czyta. Proszę. Mnie to wszystko przez gardło przejść nie może – zarzekła się.

Doktor wziął gazetę, poprawił na nosie okulary i zaczął posłusznie czytać zakreślane ogłoszenie.

– Dla siostry mojej, panny, lat dziewiętnaście, z łagodnym charakterem, dobrze wychowanej, niebrzydkiej, która jedynie w małżeństwie widzi szczęście swoje, poszukuję męża. Panowie do lat czterdziestu, dobrze sytuowani, niech zechcą przesłać swoje oferty ze zdjęciem i oszacowanym rocznym dochodem na adres „Kurjera Poznańskiego”. Rzecz traktuje się poważnie. Czas nagli. Anonimów czytać nie zamierzamy – przeczytawszy, oddał strzęp gazety bez słowa.

– Niech może pan coś zrobi – oświadczyła Olcha, zaciskając małe piąstki.

– Ale ja się do ożenku nie szykuję i zdaje się, pozostaję poza skalą – zaśmiał się pan Hieronim dobrodusznie. – Raczy panna wiedzieć, mam lat sześćdziesiąt.

– Ale to nie tak! – jęknęła, chwytając się za głowę. – Ja wcale swego szczęścia w małżeństwie nie upatruję. Co to, to nie! Ja zrobiłam kurs pielęgniarski. Chcę się uczyć. Studiować. Chcę być, jak pan, lekarzem. Ludzi leczyć, ratować... – wymieniała ciurkiem coraz bardziej płaczliwym głosem.

– Rozumiem, szczytne pragnienia. Ale co ja mam z nimi wspólnego?

– Bo ja się wszystkiego dowiedziałam – chlipnęła głośno. – Pan mnie do życia przywołał, to niech pan teraz coś z moim życiem zrobi! – krzyknęła i rozplakała się momentalnie. – Ja nie mogę tam wrócić – zanosila się płaczem. – Bo on mnie siłą za mąż wyda. Ja się zabiję, to

pewne – dodała, ocierając rękawem sukni lejące się po policzkach łzy.

– Janie Kanty, pozwól za mną. Panna niech tu poczeka – zarządził doktor, podając dziewczynie wyciągniętą z brustaszy chustkę.

Gdy już zostaliśmy sami, uśmiechnął się pod nosem, podkręcając wąsa.

– Pamiętasz? – zapytał.

Kiwnąłem głową. Jakże mógłbym tamtą noc zapomnieć...

– Wieczór się zbliża, nie jest bezpiecznie na ulicy – stwierdził i znowu przyszło mi się tylko z tym zgodzić. – Dziwne są koleje losu i przypadki ludzkie. Właściwie można by rzec, że właśnie w jej sprawie mamy dziś zwołane zebranie. Pojawiła się więc w samą porę.

Tego do końca wtedy nie zrozumiałem, ale mój pan jak zwykle nie mylił się zanadto.

– Nakarm ją i połów, proszę, spać. Czekałem na nią – powiedział, czym mnie zdziwił, ale przytaknąłem z radością.

– Chyba dobrze też będzie ją przebadać – dodał po chwili, gładząc wąsa. – Pamiętasz? Bóg wie, jak te akrobacje do życia przywołujące, któreśmy na niej pierwszej wypróbowali... skutkują na resztę życia. Może jakie stałe wstrząśnienie mózgu pozostaje – mrugnął, po czym zaśmiał się szczerze.

Karolina nie mogła się skupić na pracy i na niczym w domu. Max raz tylko się zdziwił, że nie ma jej do późna, czyli tak samo długo jak jego. Ale nie dopytywał się zbytnio. Domyślała się przyczyny. W mieszkaniu ciągle było sporo nierozpakowanych rzeczy. Miał jeszcze wiele do przewiercenia i przykręcenia. Obiecał też zająć się karniszami i kinkietami. Nie chciało mu się ani jednym, ani drugim.

Bez przeszkód więc już prawie codziennie chodziła po pracy do szpitala. Jadała po drodze, Max z Wiktorem też stołowali się gdzieś na mieście. Od miesiąca obmyślali logo i nazwę firmy, aby zawierały „M jak Max” i „V jak Viktoria”, czyli „Wiktor na Maxa” lub coś w tym stylu. Bawiło ich to, a poza tym wydawało im się nieprawdopodobnie

ważne. Ważniejsze od czegokolwiek. A ona i tak nie знаła się na tym ani na tych ich interesach, o których mówili godzinami. Przynajmniej miała czas dla siebie i dla staruszki, nawet jeśli ta nie zawsze miała dla niej coś ciekawego do poczytania i obejrzenia. Raz Karolina wyszła tylko z poleceniem zakupu ptasiego mleczka i soku z buraków. Nie narzekała. Wiedziała, że musi cierpliwie czekać, aż znowu wydarzy się coś, co przyprawi ją o wypieki na twarzy. Tym bardziej, że babcia nie chciała zdradzić, co się stało z tą Olchą i o co chodziło z otruciem.

– Wszystko w swoim czasie – powtarzała, mrużąc oczka i zmieniając temat albo od razu wyznaczając jej różne zadania.

Tego dnia Karolina też była przy wyjściu z listą zakupów w rękę, gdy Apolonia nagle kazała jej się wrócić. Stała przy łóżku i zastygła w oczekiwaniu, a babcia uśmiechała się tylko i wpatrywała w nią, dozując emocje jak w brazylijskim serialu. Po czym w końcu powoli zaczęła mówić.

– Za lustrem w przedpokoju jest teczka. Wyciągnij ją. Może to cię zainteresuje. Ja lubię takie wiesz... krwawe męskie historie.

Karolina z miejsca dostała wypieków na twarzy. Krwawe historie! W jej życiu nic się nie działo, nawet operacji na wyrostek nie miała, nawet mandatów. A tu opowieści, które przeżywała, jakby je miała przed oczami. Chciała zapytać o coś jeszcze, ale staruszka uśmiechnęła się raz jeszcze pod nosem i zamknęła powieki. Nie było jasne, czy przysnęła, czy tylko w ten sposób zakończyła audiencję, jak to już często robiła, sprawdzając tylko potem jednym okiem, czy już gość wyszedł.

Teraz było jej wszystko jedno, nie miała nic do roboty, próbę przełożono na jutro, więc jak na skrzydłach biegła do swojej kamienicy zerknąć, co też tam jest po drugiej stronie lustra. Mimo listopadowego chłodu przez całą drogę do domu było jej gorąco z wrażenia, nawet rozsypała szalik, rozpięła kurtkę i zsunęła wielką czapkę na tył głowy.

– To nie lada co! Skoro tak dobrze ukryte! Jakaś zbrodnia sprzed

lat.

Pocieszała się, że historie mają być męskie, więc nic się młodej studentce nie stanie. Miała też nadzieję, że Maxa nie będzie. Wtedy musiałyby czekać do wieczora albo nawet do rana. Jęknęła na tę myśl. Przypomniała sobie o nim dokładnie w momencie, gdy była przed wejściem do kamienicy i spojrzała w rozświetlone okno kancelarii adwokackiej na parterze. Był to wysoki parter, ale nie na tyle, by przy włączonych wieczorem lampach nie było widać, co się dzieje w środku. Zerknęła bezwiednie, a potem zobaczyła swojego męża z kieliszkiem wina w ręku. Stała jak wryta. Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Setki myśli przebiegły jej przez głowę, między innymi bezsensowne. Przecież on nigdy nie pił wina. Tylko piwo! I to z jakichś przedziwnych browarów. Ukryła się pod drzewem. Owinęła się szalikiem, mocno nasunęła czapkę na oczy i patrzyła.

Obok Maxa stała prawniczka. Wcześniej, gdy ją widziała, raz, przy podpisywaniu umowy, ta była w sztywnej garsonce, misternie upiętym koku, z zaciętym wyrazem twarzy. Teraz wyglądała zupełnie inaczej. Miała na sobie koszulę z rozpiętą od góry połową guzików, przynajmniej tak się jej wydawało. Poza tym była w szampańskim nastroju i poklepywała jej męża po ramieniu, jakby co chwilę mówił coś wyjątkowo śmiesznego. Bywał zabawny, owszem, ale nie do rozpuku. Karolina nie miała pojęcia, co mógł takiego mówić, że starsza o co najmniej piętnaście lat kobieta zaśmiewała się do łez, zginając w pół. Zrobiło się jej jakoś dziwnie.

Nie miała pojęcia, jak długo tak stała, wpatrując się w tę niecodzienną scenę, ale co najmniej kilka liści spadło na nią z drzewa, za które się schowała, nim dojrzała w oknie kancelarii jeszcze drugiego mężczyznę. Był w rozpiętym garniturze, równie zadowolony co reszta, podszedł z butelką wina i uzupełnił pozostałej dwójce kieliszki.

Poczuła się głupio, ale też odetchnęła z ulgą i odkleiła w końcu od drzewa. Jeden krok wystarczył, żeby dostrzegła zaparkowane kilka

metrów dalej czarne audi. W środku miało zapalone światło. Zdziwiła się, bo wielokrotnie wcześniej miała wrażenie, że tym samochodem nikt nie jeździ. Teraz na pewno za kierownicą siedział młody mężczyzna z brodą. Nie miała pojęcia, jak długo, ale była pewna, że się jej przypatrywał. Fakt, musiała wyglądać co najmniej dziwnie. Wyglądała przecież zza pnia i wpatrywała w okna kamienicy. Mogła przy tym nawet bezwiednie gryźć paznokcie. Często tak robiła. Zawstydzona opuściła głowę i zła na siebie, szybko weszła do środka.

Po drodze na górę zastanawiała się, jak mogła przepuścić przez swój mózg tyle głupich myśli. Nie dziwne, że ktoś się na nią gapił, skoro zachowywała się dziwnie, podczas gdy jej mąż zwyczajnie zaznajamiał się z sąsiadami. Nie tylko z sąsiadką. Sama przecież była nietowarzyska i z trudem nawiązywała nowe kontakty, więc na pewno go nie doceniała, a im może wyjątkowo odpowiadało jego poczucie humoru. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu i nie spotkać nikogo na klatce. Przystanęła tylko na chwilę pod drzwiami babci.

„Może zdążę wejść i wyjąć teczkę...”, pomyślała. Wyjęła klucz, ale wstrzymała się. Zdawało się jej, że usłyszała jakiś szmer ze środka, więc przyłożyła ucho do drzwi, ale nie było szans, by coś usłyszeć. Ktoś na dole wychodził z kancelarii i nie robił tego cicho. Rozległy się gromkie śmiechy. Skorzystała z zamieszania i szybko wbiegła na górę.

Po chwili do mieszkania wszedł Max i trochę chwiejnym krokiem ruszył prosto do łazienki.

– Nie masz pojęcia, co się stało... – Przez drzwi słychać było lekko bełkotliwy głos. – Wyobraź sobie, spotkałem na schodach tych prawników, a oni mnie zaprosili...

– No co ty? – zdziwiła się uprzejmie.

– Tak. Wiktor miał rację. Przesympatyczna para. Jeszcze bardziej sympatyczna, niż myślałem wcześniej.

– A da się bardziej? – wyłośliwiła się pod nosem.

– Niewykluczone, że będziemy współpracować... I to na większą



skale.

– Wy?! – Teraz była naprawdę zdziwiona.

– A dlaczego nie? – Wyszedł z łazienki, podszedł i pocałował ją w policzek. – Mają na oku jedną poważną nieruchomość, mam ocenić, na ile im się opłaca remont.

– Ty?

– W ogóle mnie nie doceniasz! I nie słuchasz. Nie masz pojęcia, ile ja wiem. Dobrze, że Wiktor się na mnie poznaje. Czasami bardziej od ciebie – uśmiechnął się, robiąc zbójcecką minę. Puścił oko i rzucił się na leżący na ziemi materac.

– Nie obraż się, ale opowiem ci... – zaczął, jednak już nic nie opowiedział. Zasnął z błogim wyrazem na twarzy.

Przykryła go kocem. Nie było sensu go budzić, w takich momentach spał jak głaz.

Przez chwilę myślała o tym, o co to niby mogłaby się obrazić, oraz o tym, że ostatnio u Maxa Wiktor pojawiał się już w co drugim zdaniu. W końcu jednak machnęła ręką. Też go lubiła i też lubiła z nim rozmawiać. A on za każdym, kiedy u nich bywał, prosił ją, by coś zagrała. I zawsze ją chwalił. Parę razy przyszedł nawet na koncert chóru i twierdził, że bardzo mu się podobało, choć Karolina przypuszczała, że mówi to z grzeczności. Obstawiała, że wolałby w tym czasie podziwiać długie nogi jakiejś dziewczyny, ewentualnie kozaki na tych nogach, jeśli były dobrej marki. Tak czy inaczej, był dla niej miły.

Dała sobie w końcu spokój z rozmyślaniami o przyzwoitości. Odczekała dobrą godzinę, krzątając się po mieszkaniu, żeby na pewno nikogo nie spotkać na klatce. Od dłuższego czasu była cisza. Zeszła więc na dół w kapciach i koszuli. Przekręciła klucz i znalazła się w środku. Lustro wisiało w korytarzu. Miało grubą ramę i odstawało od ściany. Chwilę mocowała się, aby je zdjąć z haczyków, a potem, by go nie upuścić. Siedem lat nieszczęścia mogło być niczym

w porównaniu do gniewu staruszki. Z pozoru za lustrem nic nie było, tylko stara, gruba tektura. Zawiedziona, już chciała je odwiesić, gdy zobaczyła, że zagięte gwoźdźdiki przytrzymujące tekturę dają się poruszyć. Poodginała kilkanaście z nich i odchyliła tył lustra.

– Aaa! – prawie krzyknęła, zatykając usta. W kant ramy od tyłu wkomponowany był pooklejany plastrami, stary, owinięty chusteczką w kratę, lekko zardzewiały rewolwer z drewnianą okładziną na rękojeści. – Broń! – zdziwiła się po chwili, wpatrując się w bębenek, w którym widać było puste otwory po nabojach. Uspokoiała się równie szybko, jak się przestraszyła. Starość. Obróciła go kilka razy w rękę.

– Mam jej to zanieść? Iść z tym przez miasto? Dobrze chociaż, że nie ma Maxa, bo zacząłby z nim ganiać jak kowboj – pocieszała się i zaglądała za ramię, ciekawa, co tam też jeszcze się chowało.

Za kartonem jednak była już tylko duża koperta. Wyjęła ją i otrzepała z kurzu. Nie była zaklejona, więc ją otworzyła. W środku znalazła kilka wycinków z gazet. Odłożyła na chwilę kopertę, chociaż nie miała ochoty się z nią rozstawać, pozaginała gwoźdźdiki i odwiesiła lustro. Dopiero wtedy zwróciła uwagę na kilkanaście obrazów na ścianach. Nie były jakoś specjalnie ciekawe. Większość przedstawiała zmatowiałe kwiatki. I to z jakichś szkolnych popisów. Raczej nie przedstawiały wartości. Ale co mogło być pod nimi? Może pod każdym z nich? Zaczęła rozglądać się po mieszkaniu. Pełno było podobnych skrytek. Oprócz martwych natur, malowanych grubym pędzlem, były też stare fotografie w ramkach, kilka makatek, dwa ściennie zegary. Do tego szuflady, szufladeczki, zardzewiałe puszki... Rozglądała się w zachwycie dobre kilka minut, zastanawiając się, gdzie co może być pochowane.

Dopiero po dłuższej chwili zauważyła, że coś jej nie pasuje. W wielu miejscach, na które patrzyła, coś było nie tak. Kilka drzwiczek w toalecie było lekko niedomkniętych, na kilka milimetrów. Jedna szuflada trochę bardziej otwarta. Może na centymetr, ale jednak.

Poukładane gazety na biurku, a jednak trochę rozrzucone. Rozchylone też były drzwi do szafy. Mogły się otworzyć same... Ale nie. Gdy brała z nich sweter, musiała użyć siły, aby je otworzyć i tak samo, aby je zamknąć. Zawiasy były opuszczone. Skrzydła szorowały po deskach. Nawet myślała, że Max powinien je przykręcić mocniej... Bezwiednie przysunęła do siebie leżący obok niej rewolwer. Nie miała już żadnych wątpliwości. Ktoś oprócz niej przeszukiwał to mieszkanie!

„Ale czego szukał? Takich pamiątek jak ona? Broni? Czy czegoś zupełnie innego?“, zaczęła się zastanawiać, a potem przeraziła się. „A jeśli coś zginęło? Nigdy się z tego nie wytłumaczę!“. I to przestraszyło ją najbardziej.

Karolina kręciła się w łóżku. Max stał jak kamień, a ją dręczyły koszmary. Co chwilę się budziła. Ciągłe śniło jej się mieszkanie babci. To, że ktoś tam gmera pod jej nieobecność, mogła przekazać dopiero rano, bo na wizytę w szpitalu było już za późno. Bała się też jej reakcji, tym bardziej odkładała sprawę na później. Jedyne, co sprawiało jej przyjemność, to sięganie do łupów, które właśnie zdobyła. Kilka razy wyciągała i chowała kopertę. Rewolwer skrzętnie ukryła w kartonie pod łóżkiem i tam nie sięgała. Chciała się go raczej jak najszybciej pozbyć. W kopercie za to oprócz wycinków ze starych gazet było jedno odręczne pismo.

Karolina przeglądała wszystkie te papierki. Jej uwagę przykuła między innymi mała reklama:

Odnalazła nawet zdjęcie eleganckiego, przestronnego lokalu z wysokimi kolumnami i trzema rzędami stolików, ponakrywanych białymi obrusami, z kwiatami w długich wazonach. Z tego, co wyczytała w internecie, dziś już nie istnieje tamta czteropiętrowa kamienica przy placu Wolności 17, z windą i trzynastoma oknami od strony ulicy. Szkoda, bo swego czasu musiała być niezwykle reprezentacyjna. Siedzibę miały tam biura młynów Hermanna, placówka obrotu ziemiopłodami, Towarzystwo Handlowe dla

Przemysłu Koksowniczego, Centrala Oliw Mineralnych. Gdzieś z tyłu mieściła się Fabryka Farb, a nawet sekretariat Wielkopolskiego Związku Kół Śpiewaczych.

Artykułów dotyczących tego, co się wydarzyło w Carltonie, było kilka. Wszystkie wycięte, ale duża czcionka wskazywała na to, że przez jakiś czas musiały być na pierwszych stronach gazet. Ten był największy:

### **KRWAWA TRAGEDIA Wczoraj w „Carltonie” doszło do strzelaniny!**

*Wczoraj w godzinach rannych w „Carltonie” doszło do strzelaniny. Nazwiska osób zamieszanych w to tragiczne wydarzenie nie mogą jeszcze zostać ujawnione szerszej publiczności. Przebieg wypadku podajemy na podstawie świadectw pracowników winiarni.*

*Zdaniem naocznych świadków sprawa się miała, jak następuje. Oficer X przyszedł do winiarni sam. Po chwili dołączyli do niego dwaj kompani, zachowujący się podejrzanie, co stwierdził sam właściciel lokalu. Po pewnym czasie do ich stolika udał się inny oficer i z miejsca, wzburzony, wyciągnął rewolwer marki Nagant. Nie wiadomo, co było źródłem nieporozumienia, świadkowie słyszeli jednak, jak oświadczył on bardzo wyraźnie, że kompani oficera X powinni się wstydzić przebywania w jego towarzystwie. Właściciel, podejrzewając, co się szykuje, natychmiast wezwał policję, ta jednak przybyła za późno, by udało się zaradzić kłótni. Wywiązała się szamotanina, po której padł strzał.*

Tu tekst się urywał.

Ciekawe... – syknęła staruszka. – Ciekawe... – powtórzyła po tym, jak Karolina, opowiedziawszy o wyciągnięciu koperty zza lustra, poinformowała babcię o tym, że szafki były niepodomykane, szuflady niedosunięte i wydaje się jej, że mieszkanie ktoś przeszukiwał.

– Przrzekam, naprawdę, przrzekam – powtarzała bliska już

płaczu, podczas gdy babcia usiadła wyprostowana na szpitalnym łóżku, zmrużyła oczy i wpatrywała się w nią przenikliwym wzrokiem. Jak jaszczurka. W końcu zaczęła kiwać głową z niedowierzaniem.

– Czyś aby na pewno, przypadkiem jakimś, nie...

– Nie! Dosyć! – Karolina przerwała jej łamiącym się głosem i rozejrzała się dookoła, czy nie ma na sali którejś pielęgniarki, która znowu zaczęłaby jej współczuć, albo co gorsza, podejrzewać o cokolwiek. Wstała. – Trudno, przeżyję! Ciekawi mnie to wszystko, aż za bardzo. Wiem. Ale mam już dosyć. Nigdy nic nikomu nie ukradłam! A teraz ciągle jestem o to posądzana! Dosyć! – zakończyła tonem, który nawet ją samą zadziwił. Nie miała w planie wybuchnąć, chciała to jakoś załagodzić, poszukać rozwiązania. Ale nie udało się. Położyła klucz na stoliku przy łóżku i ruszyła do wyjścia.

– Przecież mówiłam tylko, że to ciekawe! – krzyknęła za nią babcia.

– Czym ty się tak denerwujesz?

Zatrzymała się.

– Usiądź, dziecko – dodała, wskazując na taboret, po czym zamyśliła się na dłuższą chwilę.

– Tak nie może być dalej... – przerwała ciszę Karolina. – Ja nie wiem, jak się mam zachować. Ja nie wiem, co zrobić.

– Zmień zamki!

– Słucham?

– Już dawno powinnam to zrobić.

– Ale jak?

– Pokazałabym ci, ale jestem przetrzymywana w szpitalu – westchnęła głośno staruszka. – Ktoś chciał mnie zabić, a ja zamków nie zmieniam. Rozum chyba tracę – dodała, pukając się palcem w czoło.

Karolina westchnęła.

– A kto jeszcze ma klucze? – Nie zamierzała tych podejrzeń komentować.

Według sanitariuszy, którzy zabierali panią Apolonię z mieszkania,

ta zwyczajnie się przewróciła. Nic nikogo nie zaniepokoiło. Również według lekarza, z którym udało jej się raz porozmawiać, był to niegroźny upadek, być może spowodowany zaburzeniami równowagi, typowymi dla podeszłego wieku. Powiedział, że zatrzymają ją na trochę i przebadają. Karolinę nawet to nieco zdziwiło, bo nikt tak chętnie nie przetrzymuje starych ludzi w szpitalach, ale lekarz nie zamierzał niczego jej wyjaśniać, a ona także nie chciała zbytnio wnikać, nie była z rodziny, nie miała prawa pytać. Wiedziała przy tym, że starszym ludziom wiele się może wydawać.

– Więc kto jeszcze mógł mieć klucze? – powtórzyła.

– Hmm. Jakby się tak zastanowić, to mało kto jeszcze żyje... – skwitowała babcia, poprawiając poduszkę pod głową. – Ale duchy tam przecież nie chodziły. Zabroniłam też się pojawiać... jej.

– Jej, czyli komu?

– Nieważne. – Machnęła ręką. – Zmień zamki i pilnuj, żeby mi nikt tam nie łąził. Zobaczysz, opłaci ci się – dodała z przymilnym uśmiechem. – Mam parę skarbów dla ciebie – kusila.

– Ale jak mam to zrobić?

– Zamków nie wymieniałaś? Jakoś to zrobisz. Zmyślna dziewczyna jesteś, od razu wiedziałam.

Pochwalona, Karolina uśmiechnęła się bezwiednie.

– A kto tam strzelał? W tym Carltonie? O co tam chodziło? – Próbowwała wykorzystać moment i dowiedzieć się czegoś więcej, już teraz, a nie wedle kaprysu staruszki. – O kobietę? O miłość? – dopytywała.

– Z reguły o pieniądze chodzi, moje dziecko. Z reguły o czyjeś pieniądze! – dodała, przesadnie mrużąc oczy.

Karolina głośno westchnęła. „Znowu to samo”, pomyślała, ale nic nie powiedziała.

– Nie wierzysz mi? – Karolina próbowała na nią nie patrzeć. Wstała, nerwowo wygładzając ręką pościel. – Nie wierzysz. To masz! – rzekła

staruszka, ściągnając z szyi mały klucz na sznureczku.

Karolina wcześniej go nie widziała, ale też nie zaglądała jej pod koszulę.

– Tu też mogą mnie okradać – poinformowała ją staruszka i otworzyła metalową szpitalną szafkę.

Karolina w milczeniu patrzyła, jak babcia wyciąga starą foliową reklamówkę, a z niej pękatą torebkę zamykaną na dwie duże, haczące o siebie kulki. Nie widziała jej wcześniej. Torebka mogła mieć kiedyś kolor burgunda i być z haftowanego złotem atłasu. Nadal, choć mocno wypłowiała, dobrze prezentowałaby się pod szkłem w jakimś muzeu. Nie to jednak sprawiło, że Karolina otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Torebka była wypchana poskładanymi papierami. Nawet z dwóch metrów wyglądały na stare, gęsto zapisane rękopisy. Apolonia Polańczyk założyła okulary z grubymi szklami, a następnie wyciągała po kolei każdą kartkę, rozkładała i sprawdzała, co tam jest napisane. Po czym z niezadowoleniem składała z powrotem i wpychała do torebki. Miętoliła je przy tym niemiłosiernie.

– Jak zwykle. Pewnie to będzie ostatnia.

Karolina zacisnęła zęby. Patrzyła na poczynania staruszki i fizycznie odczuwała każde pojedyncze zgięcie wiekowych kartek, jakby ktoś jej samej robił krzywdę. W sumie nie było to dziwne, że stuletnia babcia traktowała swoje stare dokumenty w podobny sposób jak ona rachunki za gaz. Najchętniej wyrwałaby jej torebkę, po czym ostrożnie wyciągała każdy pojedynczy arkusz i powkładała pojedynczo do teczek bezkwasowych, ale nie było o tym mowy. Staruszka mocno trzymała torebkę przy sobie. Prawie pod kołdrą.

– O, masz! Tego szukam – wcisnęła jej do ręki pożąłkły, zgięty na cztery, gruby papier.

Karolina przeczytała tylko podpis na dole kartki: „Heliodor Świącicki”, i wypuściła ją z rąk. Dokument poleciał na kołdrę.

– Uważaj – skarciła ją staruszka. – To jest starsze ode mnie. Ty to

powinnaś wiedzieć!

– Powinnam mieć folię i pęsetę – jęknęła Karolina.

– Nie przesadzaj – uśmiechnęła się i rozgięła papier.

Karolina wzięła ostrożnie kartkę. Chwyliła za dwa brzegi, tak by nie dotknąć gęsto zapisanej strony. Patrzyła, ale z wrażenia widziała tylko linijki zlewających się w jeden ciąg, drobnych liter.

– Czytaj!

– Nie wiem, czy potrafię.

– Chcesz okulary?

*Ja, Heliodor Świącicki, w przededniu swych czterdziestych piątych urodzin, spisuję to oto postanowienie, aby znane było moim spadkobiercom, o ile dobry Bóg zaprosi mnie do siebie wcześniej, to jest nim skończę lat sześćdziesiąt pięć. Jeśli w swej bezgranicznej łaskawości da mi dożyć wieku tego w zdrowiu umysłowym, zobowiązanie na siebie przyjęte wypełnię sam. (Wszystko, co dopełnionym zostanie, w osobnych pismach będzie miało swe potwierdzenie, tak aby w skład spadku przeze mnie pozostawionego wchodzić już nie musiało.)*

*Dziś, 1 czerwca roku 1899, zawarłem umowę z człowiekiem, którego nazwisko z przyczyn rodzinnych tu ujawnione być nie może, a którego sytuacja życiowa jest mi znana. Zobowiązałem się, że przechowam powierzony mi majątek przez okres lat dwudziestu. Po tym czasie przyrzekłem odnaleźć tę, dla której jest on przeznaczony z racji dziedziczenia. Przyrzeczenie moje złożyłem jej ojcu przy łożu śmierci. Wypełnienie go jest rzeczą świętą! (i winno takim być również dla tych, którzy po mnie spuścizną moją dysponować będą).*

*Jeżeli do czasu pełnoletności dziecko owo dożyć nie zdoła, pieniądze mi przekazane przeznaczone mają być na cele użyteczne, wedle mego osobistego uznania. Gdyby i mnie już na tym świecie nie było, przeznaczyć je polecam na stypendia naukowe dla najuboższych.*

*Suma mi pozostawiona wynosi XXXXXXXXX w złocie i jako taka u mnie*



*ma być przechowana.*

*Heliodor Święcicki*

*PS Dopisek do umowy czynię w rocznicę wydarzeń powyżej opisanych.*

*Po rozmyślaniach głębokich, rozważywszy wszelkie przeciwności, na siebie jedynie biorę odpowiedzialność za rozdysponowanie majątkiem mi powierzonym.*

*Ufam, że błędu nie popełniam i że okoliczności nieprzewidziane nie popsują mego planu.*

*Wszystkie wcześniej spisane ustalenia pozostają w mocy.*

*HŚ*

*(Boże, dopomóż, abym czego nonsensownego nie popełnił!)*

Karolina prawie urwała róg czytanej wcześniej kartki. Nie chciała jej wypuścić z rąk, patrzyła i patrzyła, ale staruszka niespodziewanie wyszarpnęła jej papier. Złożyła dodatkowo w jeszcze mniejszy prostokąt i wepchnęła z powrotem do torebki. Karolina myślała, że się rozplacze. Ale nic zrobić nie mogła, oprócz proszenia i próby przekonania, że takie dokumenty mogą mieć wartość archiwalną.

Na razie przyrzekła wymienić zamki. Zbyt nie trzeba było jej do tego namawiać. Musiała też obiecać, że zorganizuje nowe klucze. Łatwo było obiecać, znacznie trudniej wykonać, tym bardziej, że nikt miał o tym nie wiedzieć. To był warunek. Klucz i zamek były stare. Pewnie gdzieś jeszcze istnieli specjaliści od tego typu mechanizmów, za to nie wyobrażała sobie zupełnie, aby udało się jej takiego specja namówić, aby przyszedł i zrobił to po cichutku, najlepiej w nocy.

Zaczęła zatem od tego, że w dziurkę od klucza do mieszkania babci wcisnęła całą tubkę gęstego jak guma kleju. Nie było już możliwości,

aby cokolwiek jeszcze tam włożyć. Sama nie mogła już tam wejść, ale nikt inny bez wyważenia drzwi też nie. Potem dopiero zaczęła się zastanawiać, co dalej. Rozwiązanie okazało się banalne, choć wymagało trochę wysiłku. Głównie jej. Miała przecież takie same drzwi, w nich identyczny, choć nieużywany przez nich zamek, a do niego klucz, choć ząbki na nim były inaczej ułożone. Wystarczyło zamki wymienić ze sobą. Przez kilka dni namawiała więc Maxa, aby ten ich zastąpili nowocześniejszym. Użyła mnóstwa mniej lub bardziej wymyślnych argumentów, bo jemu zdecydowanie nie chciało się zajmować w pierwszej kolejności czymś, co nie działało i nie było potrzebne. Miał podobno dużo pracy. Ale jako że ostatnio późno wracał, zaczęła wymyślać, że boi się tu być sama, że jeszcze się nie przyzwyczała, wolałaby mieć dwa sprawne zamki i tym podobne. W końcu się zgodził. Nigdy jeszcze nie była tak zainteresowana tym, na którą śrubkę co się przykręca. Patrzyła Maxowi cały czas przez ramię, notując w głowie, jak się wymontowuje stary mechanizm. Sama poodkładała wszystkie śrubokręty, których do tego użył, a zamek, powiedziała, że wyrzuci, i szybko schowała.

Na drugi dzień walczyła z drzwiami sąsiadki przez bitą godzinę, nasłuchując kroków na schodach. Dwa razy chowała się na ostatnim piętrze. Biegła, o mało nóg nie połamała. Ale były to fałszywe alarmy. Więcej wysiłku kosztowało ją odkręcenie starych śrub. Napociła się, ale w końcu się udało. Posprzątała je wszystkie, aby śladu nie było, i oddychając z ulgą, weszła do środka. Z kluczami w rękę przechadzała się po korytarzu, rozglądając z zadowoleniem. Teraz miała klucze do własnego sezamu. Z dumą patrzyła na siebie w zaśniedziałym lustrze. „Sejfy też może potrafię otwierać! Dobra robota!”, chwaliła w myślach sama siebie, gdy nagle usłyszała, że ktoś od zewnątrz próbuje otworzyć drzwi. W zamku zgrzytało coraz bardziej nerwowo. Zmartwiała. Drzwi były przecież otwarte. Na razie ktoś grzebał kluczem w dziurce. Ze strachu przed nie wiadomo czym wpadła do

salonu i schowała się za ciężką, welurową kotarę. Długie frędzle, którymi była ona obszyta, łaskotały ją w nos, od kurzu chciało jej się kichać. Było to jednak jedyne miejsce, które przykrywało ją od stóp do głów. Do tego stała w ciemnej wnęce. Innego pomysłu na razie nie miała. W sumie przecież mogła tu być. Nie miała jednak ochoty się tłumaczyć. Czekala, że może komuś się znudzi. Nie znudziło. W końcu usłyszała szarpnięcie za klamkę. Drzwi otworzyły się z głośnym skrzypnięciem.

Wstrzymała oddech. Ktoś chodził po korytarzu. Chwilę trwało, zanim przez frędzle zobaczyła może siedemdziesięcioletnią kobietę w czarnym berecie na głowie. Miała szpiczasty podbródek, haczykowany nos i furię w oczach. Rozglądała się dookoła i powoli przesuwała w jej kierunku. Karolina z nerwów zaczęła nucić w głowie partię z Upiora w operze, którego ostatnio ćwiczili z chórem. W kółko powtarzała jedną frazę: „Kto widział twoją twarz, ten poznał strach, dla świata maskę masz...”. Wiedziała, że zaraz w końcu krzyknie, bo kobieta po otwarciu i zamknięciu szafy odwróciła się w jej kierunku i najwyraźniej miała zamiar szarpnąć za zasłonę. Archiwistka zagryzła usta. Wciągnęła powietrze. Była od niej dwa kroki. Wtedy usłyszała hałasy w korytarzu. Wszedł ktoś nowy i krzyczał.

– Kto pani pozwolił tu wchodzić!? Ma pani zakaz! – Karolina wiedziała, że kojarzy głos, ale jeszcze nie uprzytomniła sobie, do kogo należy. Dopiero po chwili zobaczyła wchodzącą do salonu prawniczkę. W głowie nucił się jej ciąg dalszy: „...to upiór tej opery, ten duch to upiór tej opery”. Zastanawiała się teraz, kogo z tej dwójki nie chciałaby spotkać bardziej. Kobiety w berecie czy tej drugiej, w szpilkach.

– Wzywam policję! – oświadczyła prawniczka, tupiąc przy tym nogą.

– Ty hieno cmentarna! – wrzasnęła starsza pani prosto w jej twarz.  
– Przyszłaś tu grzebać?!

– Zdaje się, to pani przyszła w tym celu – odparła młoda kobieta zasadniczym tonem. – Informuję panią, że pani Apolonia ciągle jeszcze żyje i aktualnie przebywa w szpitalu. Proszę tam się udać, jeśli zechce panią zobaczyć. Choć nie sądzę. A teraz proszę stąd wyjść! – zażądała.

– Nastawiliście ją przeciw mnie.

– Proszę nas nie przeceniać. Tam są drzwi.

– Piekło was pochłonie! – wrzasnęła właścicielka beretu i nie ruszyła się z miejsca. – Dwadzieścia lat się nią opiekuję... – siła jej głosu zaczęła słabnąć.

– Zdaje się, że zmarnowała pani najlepsze lata swojego życia – odparła prawniczka, wyciągając telefon z kieszeni żakietu. Dzwonię po policję i zgłaszam włamanie.

– Nie możesz!

– Nawet powinnam – odpowiedziała i wystukała numer.

– Było otwarte – jęknęła starsza pani.

– Policja pani w to nie uwierzy. Ale jeśli pani wyjdzie dobrowolnie, to ja te drzwi zamknę. Mam klucze.

– Hiena!

– Odprowadzę panią – zaproponowała prawniczka i obie wyszły.

Karolina wyszła zza zasłony. Wychyliła się zza drzwi. Kobiety zeszły na sam dół. Obie. Słysząc było stukot szpilek daleko na klatce, a potem na zewnątrz. Nie czekała dłużej. Domknęła drzwi, przekręciła zamek, zdjęła buty i szybko, po cichutku weszła na górę. Nasłuchiwała jeszcze z uchem przyklejonym do drzwi. Prawniczka wróciła pod mieszkanie babci i majstrowała z zamkiem. Potem weszła kilka stopni na górę.

– O co tu chodzi? Co jest do... – Dziwiła się na głos.

– Niezwykły duet nasz usłyszysz noc – zanuciło się Karolinie pod nosem. – Bo mam nad tobą już nadludzką moc, a choć odwracasz się, spoglądasz w tył. To ja, to upiór tej opery...

Nie odważyła się wyjść z mieszkania przez następne kilka godzin.

Nie dotarła na próbę chóru. Czekala, az kancelaria skonczy prace. I juz nie mogla sie doczekac, aby opowiedziec babci, co sie stalo. Do szpitala leciala biegiem i dopiero pod nim stanela jak wryta. Zobaczyła bowiem znajome czarne audi i siedzącego w nim brodatego mężczyznę. Była prawie pewna, że to ten sam, który kiedyś się jej przyglądał. Teraz też na nią patrzył. Ukłoniła się, też skinął głową. Był znacznie młodszy, niż jej się wcześniej wydawało. Nie chciała zbyt nachalnie mu się przyglądać, więc szybkim krokiem ruszyła w kierunku sali szpitalnej.

Apolonia Polańczyk wysłuchiwała jej w skupieniu.

– Czas wracać do domu! – oświadczyła w końcu stanowczym głosem. – Nieważne, co mi tu mówią. Sępy się zlatują. A ja muszę coś jeszcze przed śmiercią wyjaśnić. Wszystkich ich rozczaruję – dodała zadowolona i potem długo nic nie mówiła. – Jaką ty tam wystawę szykujesz? – zwróciła się w końcu do Karoliny. – O początkach uniwersytetu? Też ci się coś dostanie.

W miesiącach tych jesiennych tysiąc dziewięćset osiemnastego roku widzieć mi było dane i słyszeć rzeczy niezwykłe. Po tym pamiętnym dniu, gdy wraz ze skrzynką win modzelskich, zakupioną w składzie Robińskiego, przyprowadziłem do naszego pałacu to nieokiełznane dziewczę, zdarzyły się sprawy wagi tak wielkiej, że żadną miarą zmierzyć ich nie można. Wszystko to, co się wtedy rozgrywało, rozpałiło nowy ogień energii w życiu mojego pana. Swego czasu mocno go przygasiła przedwczesna śmierć jego żony. Śmierć, która cieniem żałoby położyła się na całe nasze życie. Cierpiałem i ja ogromnie, bo szacunek do hrabiny żywić będę do końca dni moich. Ale serce mojego pana, choć samotne i podówczas już sześćdziesięcioletnie, zawsze skore było dla dobra publicznego szybciej uderzać. A tego roku zdawało się znów bić z całej siły i nie przestało do końca dni jego, urzeczywistniając idee, za które codziennie żarliwie Bogu dziękował, że pozwolił mu ich jeszcze w życiu doczekać.

Tego dnia, w porze, gdy już panna Olcha, przemęczona wrażeniami dnia całego, spać się udała, z pomysłu i wykonania mojego pana odbyło się pierwsze tajne spotkanie Komitetu Organizacyjnego. Jakże odważne było to myślenie! Jakże w przyszłość wybiegające! By pod okiem zaborcy, który wcale się jeszcze wynieść z Wielkopolski nie zamierzał, rozwijać pomysły, na jakie on od dziesięcioleci zgodzić się pod żadnymi warunkami nie chciał.

Kto dziecięciem był wtedy, może nie pamiętać, że losy Poznańskiego ani Śląskiego jeszcze wtedy przesądzone nie były. Komisje pokojowe, urzędujące gdzieś w Compiègne, jeszcze niczego ostatecznie nie ustaliły. Warszawa miała inne problemy, bo na dzicz bolszewicką zważała i by nowej wojny na zachodzie nie wywołać. Musieliśmy tu sami udowodnić to, czego nam Niemcy odmawiali: że jesteśmy gotowi własne stworzyć państwo.

– A każdy zrobić to musi na swój sposób. Narzędziami, w które go natura i życie uzbroiły. – Takie pierwsze słowa mojego pana usłyszałem, gdy wszedłem do gabinetu, chcąc usłużyć zebranych gościom. – Panowie, Niemcy podpisały kapitulację. Czas więc taki nastał, że każdy ma zadanie do wykonania. Wojskowi radzić muszą, jak korzyści sił po naszej stronie ustalić i wolność wywalczyć, politycy, jak klęskę Niemiec w tej wojnie, którą rozpętali, wykorzystać. A my, naukowcy, już zawczasu się przygotować i jak najprędzej uczelnię polską tu, nad Wartą, uruchomić. Bo ludzi wykształconych ten kraj potrzebować będzie najprędzej. Wystarczy spojrzeć na lekarzy w Poznaniu. Jeśli Niemcy wyjadą, a i Żydzi, którzy za Niemców się uważają, zostanie dwunastu takich jak my lekarzy. I tak w każdej dziedzinie. Musimy stworzyć tu Uniwersytet! Najszybciej jak się da!

Odważne i epokowe to były słowa. Przysłuchiwały się im oprócz mnie jeszcze trzy osoby: wspaniała czterdziestoletni doktor filozofii i psychologii Michał Sobeski, młodziutki, wtedy niespełna trzydziestotrzyletni archeolog, doktor Józef Kostrzewski, któremu już

wtedy wszyscy wielkie odkrycia przepowiadali, i ksiądz Stanisław Kozierowski, jedyny, co w tym gronie studiów zagranicznych nie skończył, za to z zapałem zajmował się typografią, nazewnictwem słowiańskim i heraldyką. Wszyscy trzej z zamysłem mojego pana się zgodzili i razem, z niezwykłą energią zabrali do obmyślenia wielkiego przedsięwzięcia.

Aż wierzyć się dziś nie chce, że to, co wtedy radzili, wkrótce miało stać się rzeczywistością i pobudzić całe miasto do działania. Ja przysłuchiwałem się naradzie, dokładając do kominka i usługując, bo i kałamarz napełnić trzeba było i papieru donosić. Wszystko, co radzono, należało zapisywać, bo spamiętać było nie sposób. Cała czwórka uczonych od dawna żywo działała w Towarzystwie Wykładów Naukowych. Potrafili organizować siebie i sprawy. Ale jakiś duch jeszcze musiał się nad nimi unosić, który sprawił, że tak mierząc siły na zamiary, spotkali się i zabrali do działania. Że za ten zamiar przeogromny zabrać się odważyli! Skąd siłę mieli, nie sposób odgadnąć. Może od całych przeszłych pokoleń na tych ziemiach udęczonych...

Od tego dnia wszystko się zaczęło. Od tego dnia również każda moja godzina była zajęta. Pan mój przez wszystkie swoje kolejne lata codziennie od rana wszystko rozpisywał i sumiennie wykonywał to, co było zaplanowane. Od świtu do nocy.

W tym momencie muszę koniecznie opisać następny dzień po tym, jak ocalone cudownie niemowlę przyszło do nas po latach na własnych nogach i okazało się panną nad wyraz rezolutną. Przyczyn tego faktu upatrywałem czasami w nadmiernym rozbujaniu noworodka, bo nie słyszałem o żadnym innym dziecku, które by ktoś tak przy urodzeniu rozhuśtał. Ale kto to tam wie... Rano w każdym razie spotkać ją miałem ponownie przy śniadaniu w kuchni. Mój pan rozmawiał z panną długo na osobności, a potem kazał ją zaprowadzić do

pensjonatu Heleny Wiercimagowej, gdzie miała mieszkać razem z innymi dziewczętami. Olcha biedna nie była i mogła by sobie pozwolić nawet na roczny pobyt w poznańskim hotelu Bazar, tak przynajmniej twierdził mój pan, który zdawał się wiedzieć znacznie więcej niż ja. Zadecydował jednak, a dziewczę nasze przyklasnęło, że afiszowanie się z jakimkolwiek bogactwem samotnej pannie nie służy. Na pewno nie takiej, która rozgłosu nie potrzebuje. Sama wiedziała, że w jej przypadku, jeśli męża nie szuka, a chce studiować, to taka reputacja tylko kłopotów by jej napytała, bo mogła objawić się jedynie wieńcem kandydatów do ożenku. Jeszcze parę lat temu jedynym rozwiązaniem, by zdobywać wiedzę, było za którąś granicę z Wielkopolski jechać. Ale teraz mój pan nakazał pannie czekać, bo czas zanadto niespokojny.

– A może na miejscu znajdzie się jaki powód do zwłoki – dodał z uśmiechem, żegnając ją w drzwiach.

Pensjonat Heleny Wiercimagowej mieścił się przy ulicy Ogrodowej, a sama właścicielka była wielce przyjemną kobietą, należącą do wszystkich poznańskich towarzystw dobroczynnych, ochronek oraz komitetów organizacyjnych loterii, kwest i przedstawień. Mojego pana Heliadora Świącickiego znała więc doskonale, co było wielce korzystne, bo dziewczęta w swoim przybytku umieszczała tylko z polecenia. Wiadome było wszystkim, że wielce dbała o ich reputację, a przy tym nieraz co poniekądą dobrze zeswatała, umiejętnie żonglując trzaskaniem drzwiami przed kolejnymi absztyfikantami. Wolałbym pozostać w przekonaniu, że to Kupido strzały swoje puszcza, obezwładniając ciało i umysł miłosną trucizną, ale zbyt wiele razy widywałem, jak pani Helena co innego mówiła, co innego robiła, a gdy gagatek niepewny swoich uczuć jej wychowance się trafił, to w domu ją zamykała i tak długo nie pozwala widzieć, aż kawaler, uschnąwszy z miłości, na kolanach błagał o widzenie.

Wiele dziewcząt wypuścił w świat pensjonat na Ogrodowej, zanim



nieszczęsna pani Helena w upalny dzień nie najadła się na ulicy lodów, od których pochorowała się śmiertelnie. Do tej smutnej chwili minie jednak jeszcze ładnych parę lat. A tymczasem w dzień po przybyciu Olchy poznać miałem kolejne cudowne postacie, których do końca życia nie zdołam zapomnieć. Jedną z nich była panna Anka Cukierówna, która Anną ani Anią nazywać się nie pozwalała (zresztą taką Anką zadziorną pozostała do samej śmierci). Drugą zaś Laura Fechnerówna o twarzy anioła z kościelnych obrazów, tak że człowiek, gdy tylko ją widział, o mało modlić się nie zaczynał. Do ich to pokoju wniosłem walizkę panny Jaworskiej.

Najpierw się sobie nawzajem przyglądały z zaciekawieniem, w ciszy chwilowej. A potem tak świergotać zaczęły jedna przez drugą i opowiadać każda o sobie, że ja się cichutko wycofałem i niezauważony, wyszedłem z pokoju. Długo jeszcze słyszałem w korytarzu radosny, dziewczęcy szczebiot, przetykany śmiechem perlistym. Kto by pomyślał, że całkiem za niedługo w pokoje te wkroczy posterunkowy i nie bacząc na lamenty i błagania Heleny Wiercimagowej, dopuści do publicznego skandalu. W biały dzień, na ludzkich oczach, wśród krzyków i płaczów albo dla odmiany w ciszy absolutnej zakuje w kajdanki dwie spośród nich. Najpierw jedną, potem drugą. A ja na to patrzeć będę.

Karolina jak natchniona wracała z archiwum do domu. Przez całą drogę w tramwaju rozmyślała o tym, co udało się jej znaleźć tuż przed wyjściem z pracy. Przetrzęsnęła wszystkie stare indeksy i jako przedostatni wyciągnęła ten, który należał do Laury Fechner. Mogła już nie tylko o niej czytać, lecz także ją zobaczyć. Istniała naprawdę! Była niezwyklej urody dziewczyną o delikatnej twarzy, romantycznym spojrzeniu, lekko przymkniętych oczach z koronką długich rzęs. Miała gładko zaczesane, jasne włosy, miękką falą spływające na bok i upięte tuż przy szyi. Ubrana była w białą bluzkę z udrapowaną wysoką stójką i zawiązaną wokół niej ciemną wstążeczką z kokardką. Pochodziła ze

Żabikowa w powiecie łęczyckim, była córką aptekarza, a w tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym studiowała na wydziale filozoficznym.

Indeksu Anki Cukierówny Karolina nie znalazła, za to odkryła ją na liście zatytułowanej „Wychowańcy Uniwersytetu Poznańskiego”. Istniała, i to nie jako Anna, tylko Anka. Dokładnie tak zapisano. Nie mogła się wprost doczekać, aby odkryć, co się dalej z nimi stało. Z całą tą trójką. Kim były? Co robiły? Co tam takiego ważnego się wydarzyło?

Popędziła do domu. Miała zamiar załatwić tylko trochę drobnych spraw i od razu pobiec do szpitala. Max i tak wracał późno do domu, więc nawet nie za wiele wiedział o jej wyjściach. A jak jej nie zastał, to bez zapytania uznawał, że była na próbie chóru. Jednak tym razem było inaczej. Był w domu i powitał ją już od progu.

– Dobrze, że jesteś. Czekałem. Już chciałem dzwonić...

– A co się stało? – spojrzała pytająco, zdejmując kurtkę. Nie wiedziała, co jej nie pasuje, ale wyglądał jakoś inaczej. Dopiero za chwilę zauważyła, że jej mąż ma na sobie białą koszulę i to niepogniecioną, a właściwie to nawet wyprasowaną. Nie pamiętała już, kiedy ostatni raz ją wkładał.

– Mamy zaproszenie.

– Na co?

– Na wino. Ilona bardzo chce cię poznać.

– Ilona?

– Nasza sąsiadka z dołu. Z kancelarii. Zapomniałaś?

– Może nie zapomniałam, zastanawia mnie tylko, od kiedy jest Iloną? – wzburzyła się.

– Tak ma na imię. Jej mąż to Mariusz, jeśli chcesz wiedzieć.

– Jesteście na ty?

– Pracuję dla nich. Ile razy ci mówiłem?

Rzeczywiście jeździł i coś załatwiał, ale nie interesowała się tym

zbyttnio.

– Dlaczego chce mnie poznać? – Zaniepokoiła się już nie na żarty.

– Może dlatego, że mieszkasz powyżej.

Tego Karolina najbardziej nie chciała usłyszeć.

– I dlatego, że mnie zna. – Rozłożył ręce na boki.

– Wiktor będzie?

– Nie. Też miał być, ale samochód mu nawalił. Albo ma randkę, nie wiem.

– Dziś mi nie pasuje. – Próbowała zakończyć tę rozmowę.

– Raz możesz ten chór odpuścić. Ciągle tam jesteś.

– To raczej ciebie ciągle nie ma. – Próbowała oponować.

– Z czym masz problem?

Tego nie chciała ani do końca nie umiałyby mu teraz wyjaśnić.

– Idziemy tylko na dół – kontynuował. – Zaprosiła nas.

Powiedziałem, że przyjdziemy. Na godzinę.

Bardzo tego nie chciała, ale przebrała się i po chwili schodzili razem na dół. Gdy mijala drzwi do mieszkania staruszki, naszły ją wątpliwości. To niemożliwe, żeby ją wtedy widziała. Ale czy się domyśla? Tego nie była pewna. Nie wiedziała już w końcu, co niepokoiło ją bardziej: to, że ma ją spotkać, czy to, że jest z... Max wyperfumował się tak, że chciało jej się kichać.

Najchętniej uciekłyby spod drzwi, ale niestety. Prawniczka je otworzyła, zanim zdążyli zadzwonić. Do tego miała na nogach te same szpilki, które widziała zza zasłonki.

– Dzień dobry. Zapraszam do środka. Bardzo chciałam cię poznać. Mów mi Ilona – przedstawiła się, wyciągając rękę w jej kierunku i patrząc prosto w oczy znacznie dłużej, jak się Karolinie zdawało, niż było to konieczne. Karolina odpowiedziała jej dość niepewnie i z każdą chwilą nabierała przekonania, że jeśli ona nic nie wie, to na pewno coś podejrzewa albo co najmniej chce to wybadać. Z kolei Mariusz obrzucił ją tylko wzrokiem. Był tego samego wzrostu co żona, jednak

w szpilkach ta wyraźnie nad nim górowała. Starał się być miły, ale widać było, że jest wyraźnie znudzony. Spoglądał od czasu do czasu na duży zegarek i co chwilę na jeszcze większy telefon. Dwa razy wyszedł z kimś rozmawiać. Nie zadawał pytań i w ogóle pozostałych nie słuchał. Przynajmniej takie Karolina odniosła wrażenie.

Za to Ilona poświęciła im całą uwagę. Częstowała ciastkami, pytała o przeprowadzkę, o to, jak im się tu mieszka, co sąsiadka porabia. Pytała, choć doskonale wiedziała, że pracuje w archiwum, a dla urozmaicenia, tak to sama określiła, śpiewa w chórze. Max musiał o niej całkiem sporo mówić. Teraz też był zachwycony i podniecony spotkaniem, w przeciwieństwie do Karoliny, która była czujna i czekała, aż prawniczka się zdradzi i zacznie pytać o to, co ją naprawdę interesuje. Nie czekała długo.

– Słyszałam, że znalazłaś nieprzytomną panią Polańczyk. Jak to się właściwie stało?

– Przeniosła ją nawet sama na łóżko – wtrącił się Max, zanim zdążyła otworzyć usta. – Mogłaby już nie żyć...

– Ale jak tam weszłaś? – przerwała mu Ilona.

– Drzwi były niedomknięte – wytłumaczył znów Max.

– Ach tak – westchnęła gospodyni, uzupełniając kieliszek wina.

– Przewróciła się – wyjaśniła Karolina najbardziej spokojnie jak się dało. – Lekarze stwierdzili, że straciła równowagę, najprawdopodobniej z powodów neurologicznych.

– Ona ma chyba ze sto lat – pokiwał głową Max.

– Coś koło tego – przytaknęła prawniczka. – Nie powinna mieszkać sama. Kiedyś przychodziła do niej opiekunka, widziałaś ją? – zapytała już tylko Karoliny.

– Nie – skłamała i wzruszyła ramionami.

Prawniczka chwilę na nią patrzyła.

– Pani Polańczyk zabroniła jej tu przychodzić. Zarzucała, że chce przejąć jej spadek. Naiwna kobieta.

– Dlaczego naiwna? – zapytał Max, a Karolina ucieszyła się, że ją wyreczył.

– Bo staruszka właściwie niczego nie posiada.

– Chyba że śmigło – zaśmiał się wyjątkowo głośno, a Karolina myślała, że go w tym momencie zabije.

– Byłeś w jej mieszkaniu? – zainteresowała się Ilona, a Karolina dojrzała, jak zagryzła przy tym wargi i przełknęła ślinę

– Tak, na chwilę, zanim żona odniosła jej klucze do mieszkania.

– Masz jej klucze? – zapytała i przyglądała się jej bacznie.

– Nie – odpowiedziała Karolina, co poniekąd było prawdą, bo teraz miała swoje. – Sanitariusze kazali mi zamknąć drzwi. Była nieprzytomna. Odniosłam je.

– I co?

– I nic. Zostawiłam w szpitalu.

– Ach tak. Ktoś ją tam odwiedza, wiesz może?

– Nie wiem.

Karolina odstawiła pusty kieliszek. Od tego przesłuchania zaschło jej w gardle.

– Chyba była pilotem – ponownie wtrącił się Max.

– Nie. Jej ojciec był.

– To oni już wtedy latali? – szczerze się zdziwił. Karolina też była zaskoczona, ale zupełnie z innych powodów.

Do grudnia parę butów, które nosiłem przez ostatnie dwa lata, zdarłem zupełnie, choć wcześniej liczyłem, że co najmniej rok mi jeszcze posłużą. Ale i najlepszy szewc na Szewskiej nic już nie mógł poradzić na te kilometry, które wtedy przeszedłem, ganiając po mieście wte i wewte. Pewnie do samego Krakowa bym doszedł, roznosząc te wszystkie listy, zaproszenia, na pocztę i do rąk własnych, które mój pan Heliodor Świącicki wypisywał w tym czasie. Godzin spotkań i ilości rozmów, które odbył, nie da się nawet zliczyć, bo też przedsięwzięcie, za które się zabrał, potrzebowało wysiłku zbiorowego,

a przy tym pomocy z Warszawy, Krakowa i Lwowa. Poparcia ze strony wszystkich poznańców też należało, rzecz jasna, oczekiwać, ale najpierw to oni musieli się dowiedzieć, jakiej rangi wydarzenie wkrótce ma się wydarzyć. Z tego też powodu z początkiem grudnia posłał mnie pan Heliodor po dziennikarza, którego najprędzej było mi odszukać w składzie win Hipolita Robińskiego, gdzie jak już wspominałem, pisać na bieżąco przywykł. W tych dniach szczególnie gorąco aplauzem publiczność go zagrzewała do płodzenia słów wielkich i wielką moc posiadających, stosowną do czasów, w których marzenia pokoleń przyszło nam spełniać.

Z początku go nie zastałem. Ale wystarczyło, abym właścicielowi pokazał jego pusty stolik, a ten zaraz mnie poinformował, że zgodnie z porządkiem dnia, dyktowanym porą druku, powinien się tu zjawić. Miałem bez wręczenia mu listu nie wracać, więc przysiadłem przy stoliku i chwyciwszy gazetę, radowałem się z chwili odpoczynku i z możliwości doczytania kolejnego odcinka powieści, która jak zwykle wciągnęła mnie bez reszty. Ot, taka moja słabostka. W życiu śmiałości do kobiet nie miałem (a według panien służących nawet zainteresowania, choć mawiały za moimi plecami, że mężem byłbym idealnym, bo nic nie mówię). Sercem moim nie targnął żaden poryw, ale w skrytości ducha tęskniłem za tym stanem tak pięknie oddawanym, zarówno przez poetów, jak i grafomanów. Nikt nie wiedział, że czytając gazetę, z największą niecierpliwością czekam na ciąg dalszy losów jakiejś Flory albo Adelajdy, z taką lubością opisywanych na łamach prasy codziennej. Tego dnia pochłaniałem więc kolejny odcinek powieści pod tytułem Spętani i drzałem, czytając o wyczynach okrutnej Liany, do której mężczyźni lgnęli jak ćmy do ognia, bo potrafiła „wlać do krwi ochotę do życia i odurzyć haszyszem zapomnienia”. Na tym procederze przydybał mnie jakiś przydrożny handlarz.

– Coś mocniejszego? – zapytał, rozchylając poły płaszcza. Miał tam

ukrytych kilkanaście wyświechtanych już książek i nim się zdążyłem opędzić, pokazał mi kilka zdrotnych ilustracji. Odskokyłem jak oparzony. Na szczęście wprost na dziennikarza. Oddałem mu szybko liścik, a ten z miejsca go przeczytał.

– Na takie działanie to miasto czekało stulecia – zawołał głośno, czym przykuł uwagę pozostałych gości. – Oczywiście, że się zjawię. Pójdę natychmiast! – Wstał i przygładził resztkę przylizanych włosów. – Któż, jak nie ja? Z pełną odwagą pisałem przecież o znienawidzonej Akademii Królewskiej, co ją nam Niemcy ku swojej chwale posadowili. Gmaszysko, co ani uniwersytetem nie jest, ani szkołą, tylko jakąś na wpół naukową amfibią! – wykrzykiwał z ręką podniesioną ku górze. – Pamiętają państwo te moje słowa? – dopytywał.

Część publiki, nie bardzo wiedząc o co chodzi, pokiwała głowami z szacunku dla ważnych słów, które wydawało im się, właśnie padały. Wiedzieć dokładnie, w czym rzecz, nie mogli. Ale każdy jeden wiedział, że uczelnia u nas przez Niemców założona praw żadnych nie miała, ani stopni naukowych przydzielać nie mogła, ani dyplomów wydawać, a jedyne, co mogła, to nas germanizować.

– Wychodzę, to sprawa najwyższej wagi – dodał uroczystym głosem. – Wkrótce będzie też stało w naszym „Kurjerze Poznańskim”. Na pierwszej stronie, już ja to wiem! – oświadczył i wyszedł.

Ruszyłem za nim, ale niespodziewanie przed wyjściem ktoś chwycił mnie za ramię. Odwróciłem się. Przede mną stał sierżant Stefan Haber.

– Czy ty wiesz, gdzie ona mieszka?! – z początku niepewny, w końcu kiwnąłem głową. – Możesz mnie zaprowadzić? – nie wiedziałem, czy mogę i czy to odpowiednie. Dojrzał wahanie w moich oczach. – Ja na twoje wezwanie przybyłem i pomogłem. Nie zastanawiałem się tyle! Teraz ty mi pomóż. To poważna sprawa... wagi sercowej – dodał, szepcząc mi do ucha i ciągnąc mnie za mankiet.

– Może mi ktoś powiedzieć, co się tu dzieje? – posterunkowy Hęciak

wyrósł jak spod ziemi, stanął między nami i oczywiście wpatrywał się tylko we mnie. Wzruszyłem ramionami, jak zwykle.

– Nic – odpowiedział pilot. Przytaknąłem.

– Przecież widzę.

– To patrz pan dalej – warknął oficer, po czym objął mnie ramieniem. – Idziemy? Błagam.

Wyszliśmy. Cóż ja na to mogłem? Zobaczyłem to, o czym do tej pory jedynie czytałem w powieściach. Ten wzrok rozbiegany, te palce kurczowo międlące rękawiczki, nogi przestępujące. Powtarzam, cóż ja mogłem? Zresztą nie miałem ochoty na oglądanie wścibskiego nosa Hęciaka, który jak nic poczuł się zlekceważony i już zapewne obmyślał jakąś dokuczliwość. Kiwnąłem więc głową. Pokazałem ręką kierunek.

– Chodź! – usłyszałem.

Dopiero teraz za plecami pilota zobaczyłem drobnego, młodziutkiego chłopaka, o lekko pucułowatej twarzy i rudawych, kręconych włosach, który po przedstawieniu go zrobił się czerwony jak burak.

– A może przyzwoitki będę potrzebował? – żartował lotnik, obejmując nieśmiałego kompana ramieniem i nakłaniając do drogi, choć ten wyraźnie się wzbraniał i zapierał nieudolnie, bo też zaprzec nie było się o co. – Nie wstydz się – przekonywał oficer. – Z seminarium cię za to nie wyrzucą. Kuzyn. Seweryn Kochański – przedstawił mi swego towarzysza. – Zajdziemy tam tylko na chwilę.

– Mądrość Syracha mówi, że przez piękność kobiety wielu zeszło na złe drogi, przez nią bowiem miłość namiętna rozpala się jak ogień... – szeptał rudzielec z przerażeniem.

– Wystarczy, abys ty nic nie mówił. – Sierżant wzniosł oczy ku niebu. – Jak trzeba będzie, to cię ostudzę.

Seminarzysta chwilę jeszcze się wzbraniał, jednak na niewiele się to zdało, bo zupełnie jak ja był uległy. Poprowadziłem ich więc wprost na Ogrodową, odmieniając losy wszystkich, którzy tam poszli, z moim



włącznie. Pilot zabronił kuzynowi więcej się odzywać. Sam za to miał wyraźną ochotę o niejedno mnie wypytać, ale ponieważ nie za wiele bym mu powiedział, więc w ciszy doszliśmy do celu.

– Poprosisz, żeby wyszła? – zwrócił się do mnie tuż przed wejściem.

Kiwnąłem głową, choć w duchu liczyłem, że może jej nie będzie. Mój pan pomógł jej znaleźć posadę w szpitalu na Długiej, gdzie na razie miała służyć jako pomoc i nabierać praktyki (zresztą, jak nam doniesiono, całkiem dzielnie się sprawiała). Jako służący mogłem bez problemu wchodzić nawet do pensjonatu dla panien. W ogóle wystarczyło, abym komu piśmiennemu pokazał dokument, że służę w domu mego pana Heliodora Świącickiego, by mi drzwi szeroko otwierano i cierpliwie czekano na objaśnienie mojej sprawy, z reguły list przyjmując i dając odpowiedź. Teraz od drzwi mnie rozpoznano i pokojowa od razu ręką pokazała na mały salonik, bo zdaniem właścicielki do kobiet to ja miałem podejście raczej teoretyczne. Toteż wszedłem bez przeszkód.

Od progu słyhać tam było śpiewy kanarków, do których pani Wiercimaga miała wielkie upodobanie. Oprócz kanarków były tam i trzy inne ptaszyny. Spojrzały na mnie wszystkie jednocześnie. Laura Fechner, niezwykle urodziwa, siedziała na fotelu pod oknem z frywolitką w ręku i plotła koronkę, przebierając małym czółenkiem między palcami i ciągnąc jedwabną nić (co podobno robiła tylko po to, by dbać o precyzję w palcach). Druga, Anka Cukierówna, przechadzała się po pokoju i przeglądała magazyn „Bluszcz”. Olchę Jaworską dojrzałem jako ostatnią. Podleciała do mnie i ucałowała w policzek, krepując mnie tym bardzo. Życie nie obsypało mnie kobiecymi pocałunkami, to i nie przywykłem.

– Pan Heliodor wzywa? Ma dla mnie jakieś zadanie? – dopytywała. Zaprzeczyłem. Zdziwiła się, ale pokazałem na okno, z którego widać było ulicę. Podeszła.

– A, to on. – Wzruszyła ramionami po tym, jak dojrzała sterczącego

na chodniku pilota.

– Kto? Kto? – pytała Anka, już biegnąc do okna. Była to pulchna, energiczna dziewczyna, w ciągłym będąca ruchu. Dwa cienkie jej warkocze bez przerwy fruwały w powietrzu, nie nadążając za głową. Jakby jej kto pięty przypalał, gdy tylko w miejscu stanęła. Tak ją zapamiętałem. W biegu i w pocerowanej sukni. Aż dziw, że taka odzież krochmalenie przeżyła. Jak się potem dowiedziałem, Anka pochodziła z tak biednej wielodzietnej rodziny, że dzieciaki w niedzielę do kościoła musiały chodzić naprzemiennie, żeby się butami wymieniać. Jakim cudem się wystarała, żeby kurs na księgi handlowe zrobić, tego nie wiem. Domyślić się tylko mogę, że popisać się liczeniem musiała. Potrafiła czterocyfrowe liczby w te i z powrotem dodawać, mnożyć i dzielić na przemian, a jeszcze też inne równania układała w głowie dla zabawy, by zapomnieć o głodzie, co nie raz na dnie garnka został, w którym zbyt wiele łyżek grzebało. W Poznaniu pomagała prowadzić księgi oraz udzielała lekcji młodszym dzieciom. I to nie byle gdzie, bo w domach cukiernika i piekarza, a ci opłacali się swymi wyrobami. Co było widać.

– Ale przystojny – jęknęła teraz, wyglądając przez okno. – Nieprawdopodobnie! Ten drugi pyzaty będzie dla mnie! Zamawiam! Zamawiam! Zaklepane! – powtarzała w kółko. – Laura, chodź zobacz. W sam raz dla mnie!

Laura podeszła, wolno i spokojnie. Wrażenie miałem, że płynęła. Odgarnęła zasłonkę takim gestem, jakby to było babie lato, a nie ciężki materiał. Przekręciła głowę i patrzyła przez okno w bezruchu. Była tak skupiona i opanowana, że mimo młodego wieku budziła respekt swą powagą i zamyśleniem. Nigdy się nie skarżyła, nie podnosiła głosu. Wszyscy ją podziwiali. I chyba tylko ojciec jako jedyny nieczuły był na jej urok. Po śmierci matki w parę miesięcy ożenił się powtórnie, a córkę na pocieszenie i dla wygody wysłał na studia do Berlina. Podobno naukę chłoneła jak powietrze, które razem z innymi gazami

z zapamiętaniem mieszała w różnych szklanych buteleczkach, studiowała bowiem chemię użyteczną. Niestety, z powodu wojny musiała wrócić do kraju, jednak nie do domu. Dostawała od ojca skromne uposażenie i dorabiała w zakładzie farbiarskim, co wystarczało na mieszkanie i stos książek.

– No powiedz, Laura, że pulasek dla mnie! – szczypała ją Anka.

– Bierz go sobie. – Wzruszyła ramionami, ciągle patrząc w okno, choć wcale nie na „pulaska”.

– Ja żadnego nie chcę! – zachnęła się Olcha.

– To o nas pomyśl!

– Myślałam, Anko, że chcesz uczyć się dalej?

– Ale do zakonu nie idę! Lauro, no powiedz coś – jęknęła Anka.

– Nie rozumiem was. W ruchu kobiecym dokonał się przewrót, jeden z największych, jakie znała ludzkość! – rozpoczęła uroczyście, unosząc palec ku górze. – Uniwersytet Jagielloński po pięciuset latach przyjął w swoje progi kobiety! Możemy teraz pracować umysłowo i same się z tej pracy utrzymać. A ty tylko o zamążpójściu marzysz.

– Po tych wykładach naprawdę nie do zniesienia jesteś!

– Bo doktor Dobrzyńska-Rybicka z taką pasją mówiła nam o równouprawnieniu kobiet...

– To może znaczy, że ja bym mogła sama go o rękę poprosić? – przerwała jej Anka. – Laura, co myślisz?

Laura nie odpowiedziała. Stała tylko w oknie za firanką i patrzyła przed siebie.

– Poczekajmy, może sam sobie pójdzie?

– Nigdzie nie pójdzie. Na odpowiedź czeka.

– To się nie doczeka! – kłóciły się, nie zważając zupełnie na moją obecność, do czego zresztą już zdążyłem się przyzwyczaić.

– Idź i umów się na niedzielę. Ot, choćby w Carltonie, przy placu Wilhelmowskim, bo tam koncerty dają. Wina nie musisz pić, starczy herbata. Dla nas to zrób – błagała. – Pamiętaj, ten pyzaty dla mnie!

Laura, a zdążysz ten kołnierzyk dokończyć? Bo tu w „Bluszczu” piszą, że na jesień tego roku moda nie przyniosła żadnych zmian. I dobrze! Bo nowej sukni nie kupię. Ale piszą tu, że przybranie sukni jest koroną całego stroju! Czyli tylko przybrania brakuje. Zdążysz?

Laura kiwnęła głową.

– Dziękuję ci, kochana. A pożyczysz?

– Ależ to nudne – wtrąciła się Olcha. – Wiesz, że w twoim „Bluszczu” oprócz tych strojów i krojów piszą, że w paryskiej École Centrale aż sześć kobiet otrzymało tytuł inżyniera. Wyobrażasz to sobie!

– Co ty mi tu inżynierkami głowę zawracasz. My tu za chwilę powstanie będziemy mieli. Może chłopak na wojnie zaraz zginie, a ty mu chwili wytchnienia odmawiasz. Taka z ciebie patriotka?

Tym razem zobaczyłem, że był to pierwszy argument, który pani Olcha chciała rozważyć. Anka Cukierówna też to zobaczyła i w mig zmieniła ton na bardziej przymilny.

– Ja biorę pyzatego, Laura może wziąć tego drugiego.

Wywołana spojrzała na Olchę i nawet chyba przymknęła powieki na potwierdzenie.

– Już się nie wymiguj, Laura? Idź do niego! Proszę! I pamiętaj, żeby tego pulaska przymilnego też do Carltona zabrał! Koniecznie! Koniecznie!

Tak niewinnie się to wszystko zaczęło. W powietrzu unosiła się młodzięcza radość, na którą z takim wzruszeniem patrzyłem, zazdroszcząc, że mnie samemu młodość się gdzieś zagubiła i przeminęła, jakby jej w ogóle nie było. Ale nie czas tu na moje żale, skoro za chwil kilka przyszło mi prawdziwe łyzy obetrzeć, gdy w Carltonie na własne oczy zobaczyłem wyciągnięty belgijski rewolwer marki Nagant i usłyszałem wystrzał.

Karolina weszła na oddział szpitalny. Niektóre pielęgniarki już ją

rozpoznawały i nawet myślały, że jest kimś z rodziny. A już na pewno ta korpulentna, którą spotkała już pierwszego dnia. Teraz z daleka się do niej uśmiechała.

– Pani Apolonia to ma dziś gości od rana – zagadała. – Mało staruszków ma takie szczęście. Teraz też ktoś u niej jest.

Karolina przystanąła.

– Kto?

– A nie pytałam. Jakiś pan. – Siostra wzruszyła ramionami. Karolinie ulżyło, że to nie prawniczka Ilona, której absolutnie nie życzyłaby sobie tu spotkać po tym, jak zaprzeczała, by ją coś ze staruszką łączyło. Oczywiście poza interwencją z pogotowiem. Nie była pewna, czy tamta jej uwierzyła. Zakładała, że tak, bo po krótkim przesłuchaniu w sprawie babci kurtuazyjne spotkanie szybko się skończyło. Jej to pasowało, za to mąż uznał, że mogła być miłsza i się bardziej postarać. Pojęcia nie miał, jak się starała. Nawet się o to pokłócili.

Teraz zachodziła w głowę, kto jest u babci. Drzwi do sali były na wpół otwarte. Postanowiła przejść szybkim krokiem, zerknąć tylko, czy to aby nie mąż prawniczki, i dopiero wtedy pomyśleć, co dalej. Poczekala, aż będą przechodziły korytarzem inne osoby i przyczajona za nimi, spojrzała w głąb sali. Nie był to prawnik z parteru, co wcale jej nie uspokoiło. Przy łóżku babci siedział ten sam mężczyzna, który obserwował ją zza kierownicy czarnego audi. A więc fakt, że widziała go pod szpitalem, nie był przypadkiem.

„Pielęgniarka miała rację”, pomyślała. „Niewieloma staruszkami interesuje się tyle różnych ludzi”. Wejść czy nie wejść, wejść czy nie wejść, wejść czy nie wejść, odliczyła na palcach, bo zupełnie nie wiedziała, co ma robić. Rozsądek podpowiadał jej, że powinna odejść i przyjść później. Ale całe życie słuchała głosu rozsądku i teraz, kiedy ta historia wtargnęła w jej życie, nie zamierzała się nim kierować. Przecież już po kryjomu wymieniała zamki, a teraz ma się wystraszyć

faceta? O którym na dodatek nic nie wie i który również ją obserwował? Może wcale nie przypadkiem. W końcu była przecież tylko sąsiadką, która sprawdza, czy starszej pani w czymś nie trzeba pomóc. Weszła!

Obrócił się w jej kierunku. Mógł mieć ze trzydzieści parę lat. Idealnie przystrzyżoną ciemną brodę, podgolone włosy, rozwichrzoną grzywkę. Do tego szary sweter z golfem oraz wełnianą marynarkę i spodnie na kant. Wyglądał jak z żurnala. Uśmiechnął się do niej, świecąc białymi zębami.

– Ma pani kolejnego gościa – zwrócił się do babci, która siedziała na łóżku, opierając się o poduszkę postawioną na sztorc. Miała na sobie perukę i zdawało się, nawet pomalowane usta.

– Dzień dobry. Jestem sąsiadką – Karolina od razu wytłumaczyła swoją uzasadnioną obecność.

– Miło mi poznać. Nie jestem sąsiadem.

– Ale, zdaje się, widziałam pana pod naszą kamienicą – wystrzeżiła i zobaczyła, jak babcia marszczy czoło.

– Niewykluczone – skłamał, tego była pewna. Musiał ją pamiętać. Widzieli się już dwa razy. – Przepraszam, wypadałoby się przedstawić. Piotr Haber.

Karolina zdębiała.

– Z tych Habrów?

– Z poligonu? Czy skąd? – Szczery śmiech przerwał chwilowe milczenie.

Spojrzała na staruszkę, a ta zdawało się nieznacznie kiwnęła głową.

– Przepraszam, natknęłam się na takie nazwisko. Czy jest pan krewnym Stefana Habra, przedwojennego lotnika? – Nie mogła się powstrzymać, żeby od razu nie zapytać, choć pewnie mogłaby się tego równie dobrze dowiedzieć od babci.

– Jeśli tak, to na pewno bardzo dalekim. Miło mi było – powiedział, wstając. – Pójdę już, bo razem zameczymy pacjentkę – dodał i zwrócił

się do staruszki. – Proszę jeszcze raz przemyśleć moją propozycję. Moim zdaniem tak będzie lepiej.

– Moje też pan zna. Pamięć mam już krótką, ale nie aż tak, żeby nie pamiętać, co mówiłam przed chwilą.

– Tak, rozumiem, ale proszę się jeszcze zastanowić – powtórzył.

„Kolejny”, pomyślała Karolina. Opiekunkę przegoniła, to następny się ustawia. Tylko ciekawe do czego, skoro prawniczka twierdziła, że ona nic nie posiada. Dla Karoliny bezcenne były zarówno dokumenty, jak i opowieści, ale czy dla kogoś jeszcze? Ten tutaj nie wyglądał na archiwistę czy historyka. Prędzej na kolekcjonera albo antykwariusza. Może poszukuje przedmiotów, które mają wartość kolekcjonerską, o jakiej jej się nie śni?

Zagapiła się na niego.

– Do widzenia. – Mężczyzna ruszył do wyjścia. W połowie drogi się zatrzymał. – Zdaje się, że nie zapamiętałem pani nazwiska.

– Karolina Rosada.

– Dziękuję.

– Sąsiadka – dodała pośpiesznie.

– To już wiem – zaśmiał się i wyciągnął rękę. Podała mu dłoń niepewnie, stając bokiem. Spojrzała na jego rozchyloną marynarkę. Nie mogła się mylić. Za paskiem, mocno z boku miał kaburę, a w niej broń!

– Jeszcze raz do widzenia paniom. – Ukłonił się i wyszedł.

– Bez wątpienia pradziadek był przystojniejszy – skwitowała staruszka.

Karolina tylko otworzyła usta ze zdziwienia.

– Naprawdę?!

– Na co im te brody? Piękne wąsy przecież w zupełności wystarczą.

Aż ją ciarki przeszły. Sama nie za bardzo wiedziała, co robił jej dziadek. A o jego pradziadku czytała, jakby to działo się wczoraj. Pozazdrościła.

– Jutro stąd wychodzę. – Apolonia.

– O! – zdziwiła się, chociaż w istocie nie widziała, aby wokół babci kręcili się lekarze. Przyzwyczała się po prostu, że ona tu jest i tyle.

– I wyjeżdżam. Nie mogę być w domu sama.

– Niech się pani nie martwi. Będę zachodzić po pracy.

– Nie martwię się. Ale też nie nadużywajmy tej znajomości – skwitowała krótko staruszka. Karolina nie była na to przygotowana, zrobiło się jej jakoś przykro i dziwnie.

– A gdzie pani pojedzie?

– Wnuczka znajomej prowadzi taki pensjonat dla emerytów. Tam trochę pobędę.

Karolina była zdziwiona. Starsi ludzie z reguły woleli przebywać we własnych domach. Ale może nie aż tak starzy? Rzeczywiście, wiedziała, że babcia nie powinna być sama. Nie przypuszczała jednak, że ta historia urwie się dla niej tak w pół słowa. Chciała się jeszcze tyle dowiedzieć. Na tyle liczyła. Nie wiedziała, co ma myśleć.

– Na miesiąc, może dwa. Aby do wiosny! – zaśmiała się babcia. I zdawało się, że jest w doskonałym nastroju. Nie było żadnego racjonalnego powodu ani też podstaw do tego, aby ją zatrzymać. – Kto tak mówił? – staruszka podrapała się w głowę.

– Co?

– Aby do wiosny... Wiem, profesor! – wykrzyknęła. – Tak, ten z góry – potwierdziła, widząc reakcję sąsiadki.

– Ten z podłogi? – wydukała Karolina, przełykając ślinę. – Ten otruty?

– Ten sam. Tak, tak. Cieszył się doskonałym zdrowiem. Mógłby nim pułk wojska obdzielić... A padł tak nagle... O czym to świadczy? – pytała, a Karolina uprzejmie kiwała głową.

„Chłopaki mają rację”, pomyślała w duchu. „Starszy człowiek zmarł po prostu, podczas potwornych upałów”.

– Nie znasz jeszcze tego mieszkania. – Apolonia patrzyła wprost na



nią, mrużąc oczy. – Lato przed tobą. Zobaczysz. Ono nigdy się nie nagrzewa.

– Co? – wybąkała bojąc się, że babcia czyta jej w myślach.

– Mieszkanie. Chronią je mury i okna. Stare budownictwo.

– To co mu zaszkodziło?

– Dociekliwość, moja droga. On miał już obsesję.

– Jaką?

– Chciał udowodnić, że ta cała kamienica należy się uniwersytetowi. Myślałam, że nikt go nie słucha... Ale, zdaje się, ktoś go w końcu wysłuchał i... – zawiesiła głos, unosząc palec do góry – uciszył na wieki. Na amen!

– Ach tak – westchnęła Karolina, kiwając głową z przesadną wyrozumiałością.

– Też uważaj – skwitowała staruszka.

– Ja. A ja dlaczego?

– Też jesteś dociekliwa. I wścibska! – Karolina się skrzywiła. Zaraz znowu jej powie, że grzebała w nieswoich rzeczach. – Ale teraz się nie martw – kontynuowała babcia. – Jeszcze wszystkiego nie wiesz. Nic ci na razie nie grozi.

– Nie martwię się – stwierdziła Karolina rezolutnie.

– I dobrze. Jeszcze się wszystkiego dowiesz. Zdążę ci opowiedzieć. Jak się na coś uprę, to koniec. Patrz, jak długo żyję.

– No, fakt – wymknęło jej się tak niespodziewanie, że z wrażenia aż zatkała ręką usta.

– I pożyję tyle, ile zechcę! Gwarantuję ci! – oburzyła się staruszka i gwałtownie usiadła na łóżku.

– Przepraszam. Może panią zawieźć? Pożyczę samochód, nie mam niestety swojego, ale...

– Nie trzeba, moja droga. Daj mi klucz do mieszkania, wystarczy. – Karolina wyjęła klucz z torebki i położyła go na stoliku. Było jej potwornie smutno. Staruszka odwróciła głowę i prawie nie patrzyła

w jej kierunku.

– Przepraszam jeszcze raz.

– Masz drugi? – zapytała w końcu babcia.

– Ach tak, rzeczywiście. Miałam jeszcze jeden swój. Ale w domu, przyniosę... – zaczęła się tłumaczyć.

– Nie trzeba. Niech jeden będzie u ciebie. Nie sądzę, abyś musiała tam zachodzić! – powiedziała pani Apolonia, podkreślając słowa. – Na wszelki wypadek niech zostanie. Może mi się odmieni.

– Na pewno pani nie zawieźć? Mogę...

– Na pewno! – potwierdziła stanowczo. – W moim wieku, aby sobie dobrze radzić, wystarczy umiejętnie żonglować obietnicami. A ja to akurat potrafię – stwierdziła z dumą i zamknęła oczy.

W to akurat Karolina nie wątpiła. W oczekiwaniu na kolejne odcinki opowieści, kolejny indeks, kolejne spięte kartki sama robiła wszystko, co babcia chciała. I to nawet ochoczo. Zastanawiała się teraz, kto pomoże się starszej pani dostać do pensjonatu. Następnego dnia od rana nasłuchiwała odgłosów z dołu i choć dobiegało ją jakieś szuranie na dole, nie schodziła. Jeszcze w szpitalu zaproponowała, że przyjdzie się pożegnać, pomoże spakować, ale staruszka odparła krótko: „Nie trzeba”. Chyba nie miała na to ochoty.

Dziewczynie nie pozostało zatem nic innego, jak tylko czekać. W końcu usłyszała głośniejszy ruch na klatce schodowej. Szybko podeszła do okna, usiadła na parapecie i przylepiła nos do szyby. Pokażnych rozmiarów walizkę znosił prawnik Mariusz Kachoń i to on wprowadzał babcię do swojego wielkiego samochodu, na który Wiktor mówił „odjechana bryka”.

Karolina kręciła głową z niedowierzaniem. Patrzyła, jak spada pierwszy listopadowy śnieg, a Apolonia Polańczyk, ubrana w palto, które wisiało na niej jak o dwa numery za duże, drobi powolne, ostrożne kroczki i wsiada do samochodu. Odjeżdża.

Zrobiło się smutno. I żal, że staruszka nie opowiedziała więcej

o profesorze, studentkach i innych tajemnicach.

Grudzień mijał szybko. Czas zapełniały kolejne próby i całe mnóstwo koncertów. Świąteczny w teatrze, noworoczny w auli, jeszcze z okazji powstania wielkopolskiego w lokalnej telewizji i wiele, wiele innych. Co chwila inny repertuar. Wielka mobilizacja. W pracy także zajęć było więcej niż zwykle. Zbliżała się setna rocznica założenia uniwersytetu, zegar na Collegium Minus odmierzał czas, nieubłaganie odliczał dni do 7 maja, czyli do historycznej daty, w której miała się odbyć rocznicowa inauguracja. W związku z tym w archiwum zrobił się ruch ponadprzeciętny. Ktoś przygotowywał artykuł, ktoś pisał pracę seminaryjną, magisterską albo doktorską, trzeba było realizować więcej zamówień na dokumenty. Nawet przygotowania do swojej wystawy odłożyła na później. Z jednej strony nie miała na nią czasu, z drugiej – ochoty. Od kiedy starszuszka wyjechała, straciła zapał, wszystko zdawało się jej takie jałowe. Żadnych nowych rękopisów. Tamtych babcia nie pozwoliła jej ujawniać. „Wszystko w swoim czasie”, powiedziała, ale co z tego, skoro nadal jej nie było. Do mieszkania też nikt nie zachodził. Nie pukał ani nie próbował się włamać. Wiedziałyby o tym, ponieważ jak tylko babcia wyjechała, poszła pod jej drzwi i wcisnęła w dziurkę od klucza cienki, pozaginany płatek aluminiowej folii. Klucz łatwo by ją przepchnął. Sprawdzała, świeciła komórką w otwór, ale folia ciągle tam była. Jakby wszyscy naraz stracili zainteresowanie. Prawnicy już nie zapraszali. Kobieta w berecie się nie awanturowała, a pod domem nie stało czarne audi z uzbrojonym brodaczem w środku.

W końcu po miesiącu przestała zaglądać w zamek. Miała coraz więcej zajęć, zbliżały się święta. W mieszkaniu też nie wszystko było jeszcze pomontowane, z sufitu ciągle wisiła żarówka na kablu. Ale Maxa prawie nie było w domu. Ciągle jeździł i coś załatwiał. Kupił sobie nowy telefon i w kółko przez niego rozmawiał. Nigdy tyle nie pracował, a na pewno nigdy tyle w wyprasowanych koszulach.

Najpierw nosił je rozpięte na podkoszulku z jakimś nadrukiem, ale w końcu koszul przybyło i zapinał je prawie pod samą szyję. Wiktor przekonywał, że dorasta, ale ona sama nie wiedziała, co o tym myśleć. Zresztą Wiktor był w jego wieku, a u niego nic się nie zmieniło. Parę razy zobaczyła też u męża plik pieniędzy. Raz nawet o nie zapytała, bo przestraszyła się takiej gotówki w domu. To było kilkadziesiąt tysięcy w równiutkich banknotach, prosto z banku. Jeszcze z banderolą. Ale Max prychnął tylko, ostentacyjnie lekceważąc pieniądze. To miała być zaledwie zaliczka od klienta, bo przecież remonty kosztują. Spytał ją, czy ma pojęcie, po ile są aluminiowe okna. Nie miała. Dopytała za to, ale już u Wiktora, dlaczego ich zleceniodawcy sami nie płacą za okna, tylko dają gotówkę. Wyjaśnił, że ukrywają dochody, tak duże mają. A oni mają ciągle za małe, więc pośredniczą w płaceniu.

Nie do końca to rozumiała, ale też nie miała czasu, by się nad tym przesadnie zastanawiać. Czekala na święta, aż będą mogli spędzić trochę czasu razem. Poprzedzające je dni były wypełnione zajęciami i monotonne. Nic się nie działo. Aż pewnego razu nie zajrzała do skrzynki. Dotąd specjalnie ją omijała, bo w tym okresie zapchana była wyłącznie świątecznymi reklamami. Choć o świąteczny nastrój było trudno, bo więcej padało deszczu niż śniegu. Nie sposób było nie uwierzyć w ocieplenie klimatu. Tym razem zatrzymała się jednak przy skrzynce, bo przyszedł czas na popłacenie rachunków. Zdjęła cienkie rękawiczki, które chroniły raczej od wiatru niż od mrozu, i zajrzała. Wysypało się mnóstwo kolorowego papieru – promocje, zaproszenia, życzenia od radnych, a wraz z nimi bezbarwne rachunki za wodę i za prąd. Pod tym wszystkim, na dnie, leżała jedna koperta. Duża, szara. Z ręcznie wypisanym adresem i jej nazwiskiem. Nie dostała listu od wielu już lat, a to była koperta ze znaczkami. Trzy zwyczajne, podstemplowane i jeden przyklejony zupełnie obok. Jakiś inny. Większy, dwukolorowy, brunatno-biały, bez pieczętka. Na znaczku był pelikan i dopisek „Na potrzeby nasze”. Dotknęła go palcem i aż

przysiadła na schodach z wrażenia. Był znacznie bardziej szorstki od pozostałych. Gładziła go przez moment, a potem szybko oderwała palec.

– Przecież on może mieć ponad sto lat! Jest cenny! – Chciała rozerwać kopertę, lecz rozejrzała się dookoła. Nie na klatce! – Znowu poczuła podniecenie, a wraz z nim podejrzliwość. Szybko wspięła się po schodach. Zamknęła drzwi na klucz, rzuciła torebkę oraz wszystkie papiery na ziemię i z samą tylko kopertą pobiegła do pokoju. Tam położyła ją na biurku i wyciągnęła z półki jedną z książek. Tam chyba widziała ten znaczek. Tak. Nie myliła się. Z tym, że tamten był ilustracją w książce, a tego mogła dotknąć. Taki sam. Pelikan wieńczył fasadę Pałacu Działyńskich i w swoim czasie stał się znakiem rozpoznawczym Heliodora Świącickiego. „W tysiąc dziewięćset szóstym wydany jako znaczek-cegiełka na cele dobroczynne”, przeczytała. Czyli jest jeszcze starszy niż myślała! Odsunęła od koperty kubek z herbatą, która stała tu od rana. Jeśli jest prawdziwy?

Na tej samej stronie w książce napisano, że Świącicki był jednym z najbogatszych ludzi w Poznaniu. W tym czasie stał na czele Związku Towarzystw Dobroczynnych. Powtarzał, że bieda jest chorobą społeczną i jak chorobę należy ją zwalczać. Znalazł się też fragment jego apelu, w którym = zwracał się do członków Towarzystwa: „Czy to sklep o pociemniałych i wilgotnych ścianach, po których zamróz kroplami ścieka, czy wysokie poddasze, gdzie biedna rodzina z dziećmi w głodzie nieraz i chłodzie dni swoje spędza, tam macie odtąd co tydzień bywać... Odwiedzając biednych, żyjących może w pogardzie i w brudnych łachmanach, nie zapominajcie zachęcać ich do pracy, bo to, co biedakom dać możemy, ma być tylko pobudką do pracy, a nie ciągłym zaspokajaniem wszystkich potrzeb rodziny biednego”.

– Ładnie powiedziane – przypomniała sobie kamienicę na Piekarach i westchnęła. Słów na wiatr nie rzucał. Sam na poddasza zaglądał, to

już wiedziała. Teraz wyczytała, że to właśnie on powołał instytucję pielęgniarki środowiskowej, by docierała tam, gdzie nie dotrze lekarz, ustanowił stypendia dla zdolnej młodzieży, założył nawet dom starców na Śródcie... Poczytałyby dalej, ale koperta przed nią leżąca nie dawała jej się już dłużej się skupić. Rozcięła ją. Pierwsza wyleciała kartka z ręcznym podpisem. Był trochę koślawy, rozedrgany, ale bardzo wyraźny: „Świąteczny prezent. A.P.”. Odłożyła ją. Zajrzała do wnętrza koperty.

W środku był plik równiutko zapisanych kartek. Skakała do góry, aż tchu jej zabrakło. W końcu się zmęczyła i uspokoiła. Postanowiła zrobić w pokoju atmosferę pasującą do prezentu. Zapaliła ozdobną świeczkę na biurku i świąteczne lampki, które wcześniej rozwiesiła na oknie. Zaparzyła potężny kubek herbaty z imbirem i miodem, wrzuciła do środka goździki, plaster pomarańczy. I zaczęła czytać.

Patrząc na świat za oknem, wydawać by się mogło, że grudzień tego osiemnastego roku za nic już nastroju świątecznego wyczarować nie zdoła. I mimo wystaw sklepowych, gdzieniegdzie pięknie przybranych szopkami, aniołkami, kręcącymi się karuzelami, mimo choinek sprzedawanych na każdym rogu – szaro było i buro. Niebo bezustannie rozplakane deszczem, kropel padających zakłóć w gwiazdki śniegowe nie chciało. Błoto po ulicach się lało, dorożki grzęzły, a plucha buty rozmiękczała.

Jedynie oczekiwanie na to, co zdawało się wisieć w powietrzu, wlewało w serca ducha radosnego i kazało się cieszyć przy świątecznych stołach, bo tak blisko szczęścia dawno już nie byliśmy. Prezent też dla wszystkich mieszkańców gotował się szczególny. Wszyscy wiedzieli, że mistrz Paderewski na statku wojennym „Condor” opuścił Kopenhagę i zmierza do Gdańska. A może potem, myślano, do Poznania zawita?

Czekaliśmy więc wieści z Gdańska. Miasta Gdańska, które mojemu panu niemało biedy napytało i pewnie ze dwie nieprzespane noce

zapewniło. Bo przez cały listopad i grudzień mój pan wraz ze swymi młodymi kompanami obracał się wokół spraw przyszłego uniwersytetu, niemal co dzień debatując, aby gdy przyjdzie czas, być gotowym na działanie. Nawet podróż do Warszawy odbył w tej sprawie. Bo bez dwóch zdań wiadome było, że uczelnia państwową być musi, a datki ludności mogą służyć jedynie pomocą. Koszty bowiem, jakie ustalili za niezbędne, już na samym wstępie przekraczały milion marek, co było ponad wyobrażenie moje i każdego pojedynczego człowieka. W Warszawie mój pan się dowiedział, że przychylność dla idei jest ogromna, choć Wielkopolska ciągle jeszcze była poza granicami i Niemcy opuścić jej nie zamierzali. W stolicy jednak rozważano najpierw założenie uniwersytetu w Gdańsku, gdy tylko nadarzy się sposobność. Ale jakże to w Gdańsku, skoro nasz Poznań od dawna nie mógł doczekać się własnej uczelni, przygotowywał do takiego przedsięwzięcia i biblioteki posiadał bogate w polskie dzieła? Mocy nie było, żeby w końcu doktor do swojej wizji nie przekonał tych, co byli władni decydować. Nic przeciwko wyższej uczelni nad polskim morzem nie mieliśmy, ale przecież pod żadnym pozorem nie zamierzaliśmy rezygnować z Uniwersytetu w Poznaniu!

Wtedy i mnie wydawało się wszystko możliwe. Wszystko jasne i oczywiste. Dziś, wspominając tamte chwile z pamięci przywołane, nie mogę wprost pojąć, z jak ogromną nadzieją można było patrzeć w przyszłość. Prusacy przecież ciągle miastem rządzą, tysiące żołnierzy trzymając w garnizonach pod bronią. Pociecha była w naszych chłopcach, którzy choć te same nosili mundury, a często również nazwiska z niemiecka brzmiące, z dumą zaczęli za polskie wojsko się uważać. Szeptali, że są gotowi i tylko na czas odpowiedni czekają, by nie popełnić błędów z przeszłości. Bo siła nasza była jak ten gaz bojowy, co dobrych wiatrów potrzebuje, żeby na korzyść bitwę obrócić, inaczej podmuch samemu wywołany mógł po raz kolejny zadusić nasze nadzieje, jak to wcześniej bywało i o czym żal

wspominać.

I stało się. Wiatr ten wyczekiwany powiał w grudniową noc, ruchem lokomotywy parowej wywołany, jak na nowe czasy przystało. Drugiego dnia świąt gruchnęła bowiem wieść o tym, że mistrz Paderewski w drodze z Gdańska do Warszawy, gdzie wysokie stanowisko objąć zamierza, zajedzie także do Poznania. Skoro po szynach pędził, to innej drogi nie było. Nie było też w owym czasie bardziej znamienitej osoby, Polaka bardziej znanego i uwielbianego od niego. Od lat koncertował po całym świecie i przyciągał tłumy. Sprawiał, że we wszelkich salach koncertowych kobiety wykupywały pierwsze miejsca i mdlały na jego widok. Nie przeszkadzało to ich mężom, bo zawsze chcieli go poznać, choćby i prezydentami Ameryki byli.

Jednak tego świątecznego dnia Poznań w osobie Paderewskiego witał nie tylko wirtuoza. I Niemcy to wiedzieli. Ponieważ mistrz miał zajechać późną porą, nakazali wszystkie lampy w mieście powygaszać, aby ciemność poznaniaków wystraszyła i sprawiła trudności w dotarciu na stację kolei. Polacy jednak przygotowali się zawczasu. W ten oto sposób tego wieczoru zapłonęły ulice. Najpierw świąteczne lampki i świeczki ciemności radośnie rozproszyły, by następnie setki, jak nie tysiące pochodni rozgoniły mrok. Tłum aż do samego dworca letniego, który cesarz kazał sobie wybudować na własne powitanie, pochodniami jak światłem nadziei i nowej dobrej nowiny drogę sobie rozświetlał. Mocy tej opisać się nie zdoła. Tych tysięcy, tego przejazdu, tych flag nad głowami łopoczących, które mimo ciemności w blasku żywego ognia długo jeszcze były widoczne.

Dane było mi to wszystko przeżyć i przejazd ten oglądać ze wzruszeniem, które jeszcze piszącego te słowa za gardło chwyta. Pozwolenstwo dostałem, bo mój pan był wśród tych, którzy przywitać go osobiście mogli. W tłumie tym przeogromnym, choć to prawie niepodobna, spotkałem i trzy znajome mi panny, które z koszyczków



rozdawały biało-czerwone kokardki. Później się dowiedziałem, że całą noc je zgniatały, mocując szpileczki, a potem rozdawały wszystkim przypadkowo spotkanym, albo i tym, którzy specjalnie po nie na Ogrodową zawitali. Do nich należał też Stefan Haber. Chłopak pod byle pretekstem się tam pojawiał, próbując tym sposobem przekonać do siebie pannę Olchę Jaworską. I pewnie by mu się to udało, bo też ile czasu panna może opierać się zakochanemu adoratorowi, który na dodatek powszechny aplauz u płci przeciwnej wywołuje? Udałoby się, gdyby mu z nieba nie spadła konkurencja i w niedługim czasie zakłóciła to, co sobie sierżant zaplanował. O czym marzyć zaczynał i co ziścić się mogło (choć zalewane łzami, które po nocach bezgłośnie po anielskich policzkach się lały).

Wszystko, co zaszło czasami następnymi, działo się tak szybko, że opisać trudno. Nazajutrz była demonstracja niemiecka, na przekór polskiej zrobiona. Do dziś nie wiadomo, kto pierwszy strzelił. Wiadomo natomiast, że pierwszego dnia poświętecznego w Poznaniu wybuchło powstanie. Wieść o nim rozeszła się szybko, więc i po niemieckiej stronie rychło usłyszeli, co się święci. Nastąpiło poruszenie w pruskiej armii, wyczekiwane i przygotowywane, a polscy żołnierze, jak tylko mogli, z niemieckiego wojska uciekali, aby dołączyć do naszych i pod żadnym pozorem ze swoimi nie walczyć. Po to tylko do zaborczego szli wojska, aby wojować się nauczyć i wiedze tę w odpowiednim czasie wykorzystać. Od dawna namawiali ich do tego co światlejsi obywatele. Bo jeśli nasi chłopcy dopiero w powstaniu strzelać by się uczyli, prusacy, co wojenne szkolenie od lat na tyłu frontach pobierali, wystrzelaliby ich jak kaczki.

Jednym z takich żołnierzy był Teofil Owiński. Poznać go miałem niebawem, ale w tej historii pojawia się już teraz. W Gnieźnie znalazł niespodziewanie, a wkrótce trafił do Poznania, płacząc nić swojego życia ze wszystkimi tu przedstawionymi. Nie sposób przewidzieć kolei ludzkiego losu. Gdzie wstęp do tragedii się rozpoczyna, jeszcze

trudniej powiedzieć. Bo jakże go dostrzec w tak szczęśliwym wstępie... Jakże bowiem inaczej nazwać pomyślne lądowanie albatrosa na podgnieźnieńskiej drodze. Jakież to był widok, gdy zgrabny dwupłatowiec najnowszej austriackiej produkcji załśnił na polskim niebie. Nieraz potem śniłem, że i ja tym cudem techniki wznoszę się pod niebo, choć nigdy mi to dane nie było i pozostało jedynie w marzeniach. I w zamięłowaniu do tych ptaków żelaznych. Albatrosa jednak sam z bliska widziałem. Ważył prawie siedemset kilo. Nijak nie zdołałem zrozumieć, jak taki ciężar do góry się wznosi i na trzy prawie kilometry w górę leci, jedynie śmigłem kręcąc. Uzbrojony ten myśliwiec był w dwa karabiny maszynowe, co śmieiej pozwoliło młodemu pilotowi porwać samolot i w niebo się wzbić.

Teofil Owiński był niespełna dwudziestoparoletni, jak go do pruskiej armii wcielono. Nie narzekał, ucieczki od razu nie obmyślał, bo umiał w tym nieszczęściu szczęście swoje dostrzec. Przydział dostał bowiem do bazy lotniczej w Inowrocławiu. Wojsko niemieckie, wykrwawione i zdziesiątkowane trzyletnią już wojną, teraz Polaków chętniej brało tam, gdzie ich z początku widzieć nie chciało. Tym trafem Teofil Owiński szybko zdobył patent pilota, ogromne umiejętności ujawniając w krótkim czasie. Po roku już go na wojnę podniebną skierowano, bo nie tylko latać potrafił, lecz także orientację w przestworzach miał ponadprzeciętną oraz odwagę, jaką chyba tylko u młodych ludzi zaobserwować można, bo śmierć im jeszcze nie straszną się zdaje.

Ta odwaga sprawiła, że na samą wieść o wybuchu powstania zamierzał natychmiast do walczących Wielkopolan dołączyć. Z tą różnicą, że na piechotę iść mu się nie chciało, a przy tym planował się mocniej sprawie przysłużyć. Zakradł się więc do samolotu i zdołał, niezatrzymywany, Albatrosa do góry unieść. Maszyna jednak, rozpędzając się, wielki hałas czyni, co sam miałem okazję słyszeć i potwierdzam, więc i Owińskiemu nie do końca udało się

niepostrzeżenie motor rozkręcić i śmigłem zawirować. Był już daleko i dogonić nikt by go nie zdołał, gdy jedna jedyna kula, wystrzelona przez oszalałych z bezradności prusaków, zdołała z ziemi dolecieć i utkwąć w ramieniu pilota. Czego on, jak opowiadał, z początku nie czuł wcale. Zawrócił jeszcze, by na postrach i wiat postrzelać z powietrza karabinem maszynowym. Dwie godziny na niebie spędził, lecz na swoje znajome tereny powrócił. Nie bez powodu wybrał Gniezno i zdążył do niego, obserwując z wysokości trasę na ziemi. Usłyszał bowiem plotkę szeptaną przez niemieckich dowódców, że dopiero co kilkutyśięczny oddział armii cesarskiej stacjonujący w Gnieźnie poddał się prawie bez wystrzałów. Niemców zaskoczyła polska mobilizacja i bali się z nami walczyć. Dlatego młody lotnik postawił wyczerpany już prawie do cna samolot na ziemi pod samym Gniezmem, czyniąc przy tym przeogromne zbiegowisko. Stamtąd, opatrzony pobieżnie, trafił prosto do Poznania. Chciał się do od razu stawić walki, ale to mu się nie udało. Prędzej do szpitala trafił na operację. Doktora Wrzoska wtedy w Poznaniu nie było. Ale kto wie? Może jaki inny lekarz kulę wyjętą z ramienia w jakiejś żelaznej puszcze przetrzymuje?

Los pokierował go do szpitala Przemienienia Pańskiego na Długiej. Tam kilka dni w leżał gorączce. A po przebudzeniu ujrzał pannę Olchę Jaworską, która rannych pielęgnowała całymi dniami. Nad nim także się nieraz pochylała, przecierając spocone czoło. Nie sposób powiedzieć, czy to sława jego wyczynu sprawiła, czy uczucie, którego nie dane było mi doświadczyć. Niezbadane to sprawy i medycyna jeszcze nie potrafi orzec, dlaczego serce mocniej bije w czyjejs obecności, nie zwracając uwagi na przeszkody, podczas gdy innym razem nawet nie drgnie, choćby kto usilnie pragnął. Nie sposób żadną miarą przewidzieć, w jaki sposób, w kogo i kiedy trafi strzała Amora. W tym przypadku Amor dla pewności nawet kulę posłał, aby sprawiła, że tych dwoje się spotka. I mnie teraz każe mokre powieki ukradkiem

ocierać, choć starcze oko wyschnięte być powinno i po tylu latach łez już nie łać.

Wielokrotnie potem słyszałem i ja, i pan mój, opowieść, jak się poznali. Wielką uciechę miał pan Heliodor, słuchając panny Olchy, gdy zdawała ze spotkania relację, odwiedziwszy nas kilka dni później.

Streszczała nam, co się w szpitalu dzieje, bo mój pan Heliodor, oprócz swoich spraw uniwersyteckich, wokoło których bez ustanku się kręcił, nie omieszkiwał i na rannych zważać. Tym bardziej, że coraz więcej ich się pojawiało. Zwożono do lecznicy poszkodowanych w miejscowych potyczkach, do których ciągle dochodziło, bo strzelaninę słyszeliśmy przez wiele dni.

– Powstanie powstaniem... – stwierdziła na koniec, zając podany obiad, do którego obaj ją zmusiliśmy (ja bezpośrednio, podstawiając talerz pod nos i wkładając łyżkę do ręki), bo gołym okiem było widać, że o parę kilo lżejsza była niż poprzednio i blada z przemęczenia. – Powstanie powstaniem – powtórzyła – ale ja, panie doktorze, to nie zupy, ale kremu na piegi potrzebuję!

Trudno było zachować powagę, lecz na szczęście ja jak zwykle dźwięku z siebie nie wydałem, a mój pan pogładził tylko wąsą, a uśmiech ręką udało mu się zakryć.

– A w czym panie teraz nagle piegi przeszkadzają?

– Chorych rozpraszają.

– Jakim cudem?

– Widziałam w gazecie, że krem Axela na piegi reklamują. Ale czy jest dobry? Może jakiejś innej maści robionej potrzebuję z apteki?

– Naprawdę? – uśmiechnął się doktor szczerze.

– Proszę sobie uprzytomnić takie wydarzenie. Ja się chorym zajmuję, pochylam się nad nim zimny okład na czoło robić, bo gorączka trzymała go w nieprzytomności przez kilka dni, a on nagle na głos zaczyna liczyć. „Raz, dwa, trzy, cztery...”. „Co panu jest? Co się dzieje”, pytam. A on nic, tylko liczy dalej. „Pięć, sześć, siedem”. Na

moje pytania nie zwracając uwagi. „Osiem, dziewięć”, wyliczała dalej i dziobie w powietrzu palcem. Więc co mam robić! Wzywam doktora Ciechockiego i tłumaczę, że gorączka może mu jakie szkody na umyśle poczyniła i coś trzeba zaradzić, zanim będzie za późno. Doktor przybył, na kartę zerknął. Patrzy na chorego. A on dalej. „Dziesięć, jedenaście”. Doktor bada mu puls i pyta: „Wie pan, gdzie się znajduje i co się z panem dzieje?”. On przytakuje. „To co pan tak liczysz?”, pyta Ciechocki już bez ogródek. I wie pan doktor, co on odpowiedział? – zatrzymała łyżkę w połowie drogi między talerzem a ustami.

– Domyślam się. – Pan Heliodor zrobił poważną minę.

– „Właśnie”, powiedział, „piegi na nosie tej panny zliczam”.

Wyobraża sobie doktor!

– Próbuję.

– Może doktor byłby bardziej wyrozumiały, ale doktor Ciechocki do żartów skory nie jest. Tylko machnął na mnie ręką, zły, że z taką sprawą od innych chorych go odciągam.

– Nie dziwię mu się – westchnął mój pan przesadnie głośno.

– Więc ja się muszę tych piegów pozbyć, bo rozpraszają chorych i przeszkadzają im w zdrowieniu.

– Nie sądzę – odrzekł doktor, szczerze rozbawiony i zadowolony, że w tych poważnych czasach dziewczęce problemy przynoszą mu chwilę wytchnienia. I to problemy, których się już w naszym domu nie spodziewaliśmy.

– Bo doktor to świątynią jest rozsądku. – Pokiwała głową. – A ty, Janie Kanty, co myślisz? – zwróciła się do mnie, bo skoro doktor, już się nie maskując, miał z niej uciechę, więc u mnie jakimś cudem ratunku szukała. – Jak nie piegi przyczyną, to co to jest?

Nie często na śmiałość się zbieram, ale i mnie nastrój wesoły się udzielił, a że słabość miałem do takich wzruszeń, więc dłoń swą do serca przyłożyłem i zapukałem w pierś parę razy, szybsze bicie naśladowując.

– Właśnie tak! – zawtórował mi doktor.

– O, nie! – panna Olcha zaprzeczyła z całą mocą. – Mnie sprawy sercowe teraz nie w głowie! – oburzyła się, wstając nawet od stołu. – Ja zamierzam się uczyć na tym uniwersytecie, co się go tu obmyśla, a nie na flirtach czas przepędzać. O, nie! – zakrzyknęła z całą pasją. – Zresztą on już prawie całkiem jest zdrowy. I pewnie się już nigdy nie zobaczymy – dodała znacznie ciszej i zapatrzyła się przez chwilę na okno. Szybko jednak wróciła do przytomności i szybkim ruchem poprawiła spódnicę.

– Pójdę już, czekają na mnie. Ale powtarzam, to Anka Cukierówna chce szybko wyjść za mąż. Laura też być może, choć mi się do tego nie chce przyznać. Ale jak by ten Haber się nią zainteresował, to od ręki by poszła. Jednak nie ja! Mnie piegi nie przeszkadzają! Mnie takie sprawy nie w głowie!

Innego wyjścia nie mieliśmy, jak tylko zgodnie przytaknąć, bo z panną w takim uniesieniu kłócić się nie podobna. Ani wróżyć, że to wszystko zmierza ku zakochaniu się wzajemnemu, na głos nie wolno. Dużo jednakże radości w tamtym momencie panna Olcha nam przyniosła, a mój pan wymusił na niej, żeby codziennie po dyżurze przychodziła na obiad. Przekonał ją, że trzeba mieć siły do posługi pielęgniarskiej i czas, żeby odetchnąć. To wszystko było prawdą, rzecz jasna, a oprócz tego obaj chcieliśmy tę pannę częściej widzieć, co swoją osobką tyle uciechy nam czyniła.

Karolina kilka razy przeczytała wyciągnięte z koperty kartki. Fragmentami i od początku do samego końca. Pismo było czytelne, chociaż rozedrgane, szczególnie w dolnych partiach stron lekko pływające, jakby ręka miała gorsze oparcie lub była zmęczona. Wszystko jednak dało się zrozumieć.

„Jakie to ładne”, pomyślała. Sama przypomniała sobie teraz chłopaka, który w sylwestrową noc próbował bez odkręcania korka otworzyć szampana, podobno na kozacki sposób, zarysowując szyjkę

butelki nożem, mającym zastępować szablę. Nie wątpiła nigdy, że tym, co mają wprawę, to się udaje, lecz Maxowi udało się w połowie. Rzeczywiście, koniec butelki odpadł szybko, cięty grubym nożem, za to cała reszta wypadła niedoszłemu kozakowi z ręki i pokaleczyła mu dłoń. W rezultacie piana z rozlewającego się szampana mieszała się z krwią ściekającą z ręki i tworzyła na podłodze barwne esy-floresy.

– Mam chyba talent performerski – skwitował trochę zakłopotany.

To ona owijała mu tę rękę bandażem, bo jako jedyna na całej imprezie była jeszcze w stanie to zrobić. Reszta podziwiała wsiąkający w podłogę obrazek, przez wielu komentowany jako ulotne dzieło sztuki. Na drugi dzień z zagiętym kartonem wpiętym we włosy, udając szpitalną siostrę przełożoną, dziękował za sprawną akcję ratunkową. Zmieniła mu opatrunek, a on oświadczył się jej po tygodniu pierścieniem znalezionym w opakowaniu z żelkami. Tamten zjadła, a na niejadalny musiała poczekać parę lat. Do tej pory nosi go na palcu razem z obrączką.

Wkładając kartki do koperty, zastanawiała się, co się stanie z Olchą i Teofilem. Cóż tak strasznego się wydarzy? Do jakiej tragedii to zmierza? Pomyślała też o sobie. Teraz są szczęśliwi, w końcu się jakoś urządzili. Ale czy wszystko dalej tak dobrze będzie się toczyć? Max się zmieniał, tak się jej zdawało. A może był tylko przepracowany? Może tylko zaczął się inaczej ubierać? Poskarżyć nie miała się komu, tak samo jak nie miała z kim podzielić się swoimi wątpliwościami. Dwie koleżanki z chóru i trzecia z pracy chętnie by się z nią zamieniły. Same nie mogły się doczekać, aż zajmą się dorosłymi sprawami, zamiast kombinować, jak zarobić na grze w pokera przez internet, jeździć na wszystkie możliwe koncerty i być w wiecznej fazie poszukiwań. Machnęła ręką. Niepotrzebnie zaprzęta sobie tym głowę.

Było już późno, Max powinien zaraz wrócić. Schowała kartki do koperty i znowu popatrzyła na znaczek z pelikanem. Miała zamiar wetknąć kopertę na półkę między wysokie albumy, żeby się nie

pogięła. W ten sposób jednak znaczek będzie się ścierał. A rzeczywiście może być stary. Jego należało inaczej zabezpieczyć. Wyciąć, nie. Głupio jej było niszczyć kopertę. Włączyła komputer. „Jak odkleić znaczek od koperty?”. Można było zmoczyć i włożyć na dwadzieścia sekund do mikrofali. Na szczęście jej nie miała, bo i tak bałaby się tego spróbować. Zanurzyć we wrzątku też nie chciała. Pozostała para wodna. Podgrzała zupę, której resztką od wczoraj stała na kuchence i ostrożnie trzymała kopertę nad parującym wywarem. Podobno wszystko zależało od zdolności manualnych odklejającego, tego bała się najbardziej. I tego, że klej może być wodoodporny. Ale nie był. Papier zaczął się lekko wyginać, a boki odklejać od koperty. Klej był idealny, wystarczyło poczekać jeszcze chwilę i podważyć. Znaczek odszedł prawie sam. Położyła go ostrożnie na papierowym ręczniku i czekając, aż wyschnie, przekręcała go raz po raz na drugą stronę i jadła zupę prosto z garnka. Dokładnie wtedy usłyszała klucz przekręcany w zamku. Max wrócił.

– Mam dla ciebie niespodziankę! – krzyknął z korytarza.

– Jaka? – zapytała, machając znaczkiem, żeby szybciej wysechł.

– Chodź i sama zobacz.

– Zaraz – odpowiedziała i w tym momencie zobaczyła, że znaczek z jednej strony ma pelikana na brązowym tle, a z drugiej jest gęsto wypełniony małymi literkami: „Mam nadzieję, że wiadomość dotarła...” – zaczęła czytać i otworzyła usta z wrażenia.

– O, jeszcze nie widziałaś, a już się dziwisz – ucieszył się Max, który właśnie wchodził do kuchni.

– A nie, nie – wymamrotała, chowając znaczek w dłoniach i chcąc jak najszybciej uciec z kuchni i gdzieś doczytać ciąg dalszy.

– Upredzali, że tak się dzieje po ślubie, zero uwagi... – westchnął, gdy żona mijала go w drzwiach kuchni. – Dobrze, że już zjadłem z Wiktoorem, bo tu pustki w garnkach.

– Ostatnio ciągle jesz na mieście. Po co mam gotować? – krzyknęła



z pokoju.

„Pójdź do mnie tak, żeby nikt nie widział. W sypialni znajdź pelikana i zabierz”, czytała dalej. O co tu chodzi? Dlaczego tak? Skąd wiedziała, że odklei ten znaczek? Chciała w spokoju pomyśleć, ale stanął nad nią Max. Schowała znaczek w rękę, zaginając palce.

– Naprawdę nie widzisz? – spytał. Spojrzała na niego i znowu otworzyła usta z wrażenia.

– No właśnie! – Okręcił się.

Patrzyła. Ściął włosy. Zawsze miał długie, spięte w kitkę tak grubą, że dziewczyny mu zazdrościły. Był z nich dumny... A teraz miał fryzurę korporacyjną. Podgolony tył, przycięte baczki i grzywka na bok. Wyglądał dobrze, ale go nie poznawała.

– Co ty zrobiłeś? Nie mówiłeś mi...

– A co ci miałem mówić? – zachnął się. Nie znalazł entuzjazmu w jej spojrzeniu. – Obciąłem i tyle. Za długo schną, czesać już mi się nie chce...

Karolina słuchała i dziwiła się coraz bardziej, nigdy nie narzekał.

– Co, głupio wyglądam... – Max wyglądał na rozczarowanego.

– Nie, nie – zaczęła się tłumaczyć, bo wyszło na to, że zrobiła mu przykrość. – Zaskoczyłeś mnie i tyle. Nie wiedziałam, że chcesz je ściąć. W sumie dobrze wyglądasz – dodała pojednawczo, zresztą chyba zgodnie z prawdą. – Musze się tylko przyzwyczaić.

– Tak? – ucieszył się. – Ilona też mówi, że wyglądam rasowo – dodał bezrefleksyjnie i wyszedł z pokoju. Stanął przed lustrem i oglądał się z różnych stron.

„A więc o to chodzi”, pomyślała Karolina i bezwiednie zacisnęła rękę w pięstkę. Wtedy poczuła, że zgniatą papier. Rozgięła palce. Pelikan miał zmiażdżoną głowę i wykrzywiony dziób. Położyła go na biurku i próbowała rozprostować ręką. Ślady zostawały.

– Myślałem, że się ucieszysz.

– Czym? – warknęła.

– Nie wiem...

– A co? Obciąłeś i przeznaczyłeś na peruki dla dzieci z nowotworami?

Max nic nie mówił, tylko patrzył.

– To z czego mam się cieszyć? – zapytała, kątem oka patrząc na znaczek.

– Czy ty jesteś zazdrosna?

– Tylko tego brakowało. O co miałabym być zazdrosna?

– No nie wiem.

– Chyba, że mam powód?

– Nie masz – zapewnił, gładząc ręką wygolony kark.

– To o co mam być zazdrosna?

– Nie wiedziałem, że to tak cię rozzłości.

– Gdybyś zapytał, tobyś wiedział!

Karolina sama siebie nie poznawała. Nie pamiętała, aby kiedyś używała takiego tonu. Zawsze miała do Maxa i jego pomysłów dobrotliwą wyrozumiałość, a teraz była zła.

– O co my się kłócimy? Przecież nic się nie stało.

– Nic. – Kiwnęła głową, patrząc na znaczek. Zastanawiała się, czy zniszczyła jedyny istniejący egzemplarz, czy są jeszcze jakieś oprócz tych przedrukowanych w książce.

– A, to w porządku. To tylko włosy – burknął już w korytarzu.

Kiedyś by się tym przejęła. Nigdy nie urywał dyskusji w pół słowa. Ale teraz zajęła się tekstem, który wciąż dawał się odczytać: „W sypialni znajdź pelikana i zabierz”. Uspokoila się na myśl, że pójdzie jeszcze tam, piętro niżej, i coś znajdzie, może dalszy ciąg, a może jeszcze coś innego? Max siedział w swoim pokoju i się nie odzywał, więc ona też go nie zaczepiała. Nie wiedziałyby, co powiedzieć. Co z tego, że jej mąż jest pod wpływem jakiejś starej baby, która może i dobrze wygląda? Przecież nie będzie o nią zazdrosna! Robią jakieś remonty razem i tyle, pocieszyła się. Chciała zresztą jak

najszybciej znaleźć się na dole. Rozglądała się po mieszkaniu i szukała pretekstu. Zobaczyła pod ścianą niewielkie, tekturowe, niebiesko-białe pudło. Było po jakimś sprzęcie i od dawna czekało na wyniesienie. Włożyła do niego kilka starych książek i parę czasopism. Miała zamiar zostawić je przy śmietniku albo na jakiejś półce z darmowymi książkami. Teraz był dobry moment, choć robiło się późno.

– Idę to wynieść w końcu – rzuciła w kierunku Maxa. Kiedyś by się zainteresował, czego się pozbywa, ale teraz wzruszył tylko ramionami.

– Dobra.

Wyszła z kluczem w ręku, rozejrzała się i przepchnęła aluminiową folię, którą sama wcześniej wetknęła w zamek. Po chwili była w środku. Odłożyła karton i ruszyła w kierunku sypialni. Myślała, że będzie długo szukać, szczególnie że przyświecała sobie jedynie latarką z telefonu, żeby nie palić świetel, ale poszło jej wyjątkowo szybko. Wystarczyło tylko przeszukać toaletkę. Tam, w szufladzie pod marmurowym blatem, był mały album fotograficzny, który w okładkę miał włożoną pocztówkę z Pałacem Działyńskich. Na zwieńczeniu widniał oczywiście pelikan.

„Chyba o to chodziło”, ucieszyła się i z miejsca zaczęła kartkować album. Były w nim stare zdjęcia i pocztówki. Plac Wilhelmowski, Akademia Królewska, ogród zoologiczny na Zwierzynieckiej. Ale pod nimi, za cienką folijką kryło się coś jeszcze. Wyciągnęła z ciasnej szparki zgiętą na cztery kartkę. To był list. Zaczynał się od słów: „Miła moja...”. Aż ją ciarki przeszły. Usłyszała też jakieś szurnięcie przy drzwiach. Przestraszyła się. Schowała album do wewnętrznej kieszeni kurtki i ruszyła pod drzwi na palcach. Chwilę się przysłuchiwała, ale niczego nie usłyszała. Uchyliła drzwi. Nikogo nie widziała. Wychyliła głowę i zobaczyła na półpiętrze kota. Bawił się czymś i zdawało się jej, że to coś żyje. Nie przyglądała się więcej. Wzięła karton, którego miała się pozbyć, i wyszła z kamienicy. Niosąc go przed sobą, musiała uważać na kałuże, których pełno było po drodze.

Na dworze było wietrznie i zimno, przejechał tylko jeden czy drugi samochód. Minęła kolejną kamienicę z wnęką w bramie i bardzo starała się ominąć bokiem dziurę w chodniku, gdy nagle ktoś popchnął ją z całej siły. Zdawało się jej, że poczuła dwie ręce na plecach. Ale nie zdążyła się obrócić. Z krzykiem wypuściła karton i rozpaczliwie próbowała utrzymać równowagę. Udało jej się odbić od ściany. Chciała się odwrócić, zobaczyć kto to, ale dojrzała tylko cień postaci i poczuła kolejne pchnięcie. Runęła jak długa w sam środek bramy, próbując tylko w ostatniej chwili chwycić się drzwi. Te, poruszone, odbiły się od ściany i nim wstała, zatrzasnęły się przed nią z hukiem.

Chwilę leżała bez ruchu, przerażona. To leżenie najbardziej jej się nie podobało. Wokół było ciemno. Dopiero gdy wstała, zapaliło się światło. Rzuciła się w kierunku zatrzaśniętych drzwi. Zaczęła szarpać klamkę z całej siły. Drzwi nie chciały ustąpić. Nagle ktoś nacisnął klamkę z drugiej strony i pchnął skrzydło. Odskoczyła. Przed nią stał sapiący brodac z audi, którego spotkała w szpitalu.

– Stało się coś pani? – Chciał podejść. Odskoczyła na metr. – Niech się pani nie boi. Przejeżdżałem samochodem i zobaczyłem, jak jakiś wyrostek panią popycha. Pewnie chciał ukraść torebkę. Dobrze się pani czuje?

– Nie mam torebki – odrzekła, oglądając swoje starte do krwi dłonie. Dotknęła czoła, ono też było zdarte i czymś upaprane.

– Goniłem go. Ale za późno go dojrzałem. Wróciłem więc tutaj...

– Rozumiem – odpowiedziała, bacznie mu się przyglądając. – Pójdę już. – Zrobiła krok w stronę swojej kamienicy.

– Odprowadzę panią – zaproponował i nachylił się w jej kierunku.

– Nie! – krzyknęła znacznie głośniej, niż planowała.

– Przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć. Pomyślałem...

– Dziękuję. – Ruszyła niemal biegiem. Nie chciała już mieć nikogo za swoimi plecami. Wpadła do domu roztrzęsiona.

– Nie widziałaś Wiktora? Czekam na niego – zapytał Max,

wychodząc z łazienki.

– Nie.

– Co ci się stało? – Przyglądał się jej ze zmarszczonymi brwiami.

– Nic – odpowiedziała i przejrzała się w lustrze. Miała pół twarzy w błocie i zdarty na czole naskórek. – Przewróciłam się.

– Ech – westchnął i poszedł do swojego pokoju. – Jak się o tej porze wynosi książki...

– Ty miałeś je wynieść! – krzyknęła prawie z płaczem w głosie. – Ile razy cię prosiłam?

– Przemyj to – doradził i zamknął się w pokoju.

Karolina pół nocy nie mogła zasnąć. Dopiero lektura listów od początku do końca i znów od nowa sprawiła, że przyszedł sen, choć niespokojny. Rano w drodze do pracy z pewnym lękiem zajrzała do bramy, w której leżała na ziemi. Kartonu ze starymi książkami już nie było.

*Poznań, 3 stycznia 1919 r.*

*Panno o niepoliczalnej ilości piegów na nosie!*

*Mam nadzieję, że list ten pisany w trudnych powstańczych warunkach, dotrze jednak do Panny rąk własnych. I jak Bóg da, nie zginie gdzieś po drodze. Albo list, albo co gorsza ja!*

*Jak Pannie wiadomo, szpital opuścić musiałem niezwłocznie, gdyż niestety kolejka rannych już była pokaźna, a i mnie leżenie się już znudziło i do kolejnych zadań było mi spieszo. Żal jednak przeogromny w pośpiechu tak czmychać, nie doliczywszy wszystkich piegów, które rozgościły się na Panny nosie. O tych, które uciekły na policzki, nie wspomnę nawet. Może mi będzie dane napisać kiedy i o nich albo osobiście obrachować. Póki co smutek mnie przepętnia i brak nadziei, że uda mi się jeszcze gdzieś pannę spotkać. Dowiedzieć się choć, gdzie mieszka, zaprosić*

na pogawędkę, poznać się bliżej.

Doktor Cichocki nie był skory do do roli pościańca, ale szczęściem jedna tu pielęgniarka obiecała mi pomóc. Mam nadzieję, że z danego słowa się wywiązała i list doręczyła. Niestety nie wszystkiego się od niej mogłem dowiedzieć. Dla przykładu taka ważna kwestia mnie niepokoi: Czy ma Panna narzeczonego, z którym najpewniej pojedynkować mi się w niedalekiej przyszłości by przyszło? Bo jakże inaczej ja bym się do Panny zbliżył i nurtującą mnie piegowatą kwestię rozwiązał? Czy mógłbym liczyć na takie wyjaśnienie?

Jeśli za śmiałość moją Panna się teraz obraża na mnie, to na swoją obronę powiedzieć tylko mogę, że czas nagli. Może nim wylecę w powietrze, na niektóre pytania zyskam odpowiedź. Bo, że wylecę, to pewne. Albo na skrzydłach samolotu, jak tylko zdobędziemy port lotniczy Ławicę, albo na skutek wybuchu jednej z bomb, którymi podobno Niemcy planują wszystko wysadzić, bo poddać się nie zamierzają.

A więc jeśli dane by nam było się jeszcze zobaczyć, to kiedy? I gdzie?

Teofil Owiński, kolekcjoner piegów

Poznań, 4 stycznia 1919 r.

Wielce Szanowna Panno Olcho!

Obiecuje! Przyrzekam i zarzekam się na wszelkie świętości, ziemskie i niebiańskie, że już nigdy ani słowa o p-ach między nami nie będzie. Ani na osobności również. Nawet napisać się już nie odważę. Niech mi ręka prędzej sześcinnie. Jeżeli życzy sobie Panna nawet kropek w listach nie widzieć, również ich się pozbędę. Bez żalu zdania długie jak stąd do Szamotuł będę tworzył. Byle tylko panny nie urazić. Nie przypominam sobie bowiem, kiedy ostatnio tak ostra reprimenda mnie spotkała, i to za komentowanie skądinąd uroczej ozdoby panieńskiego noska. Ale skoro

*zasłużyłem, to na kolana padam i przepraszam! Zaręczam również, że liczyć, wyliczać, jak i odliczać już publicznie na głos nie się odważę ani również na osobności. Oby mi tylko dane było na taką osobność zasłużyć. Będzie mi dane?*

*Wiadomo, że panna Olcha mnie nie zna. Gdyby znała, tyle tłumaczyć bym się nie musiał. Panaceum jednak na to jest proste – osobiście więcej mógłbym o sobie opowiedzieć. Ale nie wiem, czy w najbliższej przyszłości, dane by mi było Pannę zobaczyć, gdybym nawet pozwolenie od Panny miał na spotkanie, o którym teraz ledwo śmiem marzyć, bo trudne mnie tu zadania i wagi niemałej czekają. I nie wiadomo też, jaki mi koniec jest przeznaczony.*

*Po krótko więc się przedstawię, licząc na to, że w pamięci panny Olchy pozostanę choć na czas jakiś. Pochodzę ze Środy Wielkopolskiej, z rodziny, która w każdym pokoleniu synów swych poległych w powstaniach chowała. Teraz na mnie kolej nadeszła. Oczywiście mam szczerą nadzieję nie zginąć, a walczyć i tym sposobem upragnionego zwycięstwa doczekać. Po wojnie planuję prawo studiować, jak mój ojciec. I fruwać po niebie, by nowy podniebny rekord jako Polak z Polski ustanowić.*

*Na razie jednak czekać muszę i razem z innymi bezradnie obserwować niebo, po którym w tę i z powrotem latają samoloty z Frankfurtu nad Odrą i zaopatrują załogę stacji lotniczej Ławica w żywność, amunicję i instrukcje wojskowe. Są otoczeni. Poznań w naszych rękach, lecz cóż z tego, skoro ich tam może być nawet i pięciuset uzbrojonych po zęby, co ze stacji lotniczej fortecę urządzili. Wczoraj takiego jednego w łachmanach chwyciliśmy, co przedrzeć się chciał w przebraniu do miasta. Pogróżki tylko powtarzał. Mają tam taki arsenał, powiadał, że w każdej chwili mogą zbombardować nawet cały Poznań.*

*Cóż, zaradzić temu jakoś musimy. Po naszej stronie też uszykowana jest nie mniej dzielna załoga. Przypadł mi tu do gustu jeden taki Haber. Razem listy piszemy, on do swojej wybranki, a ja do panny Olchy, która karci mnie z takim upodobaniem. Kończyć już muszę, bo noc pełna i goniec*

czeka. Hurtem listy do Poznania zabierze.

Jeśli przeżyję, to na list zwrotny, który mam nadzieję otrzymać od panny Olchy, odpiszę.

Z uszanowaniem, Teofil Owiński

Poznań, 5 stycznia 1919 r.

Droga Panno Olcho!

Jakże mi miło, że Panna tak się o mnie martwi! Marzyć o tym nie śmiałem, że mi tyle uwagi w swoich rozmyślaniach poświęci. Mnie i sytuacji dokoła. I jeszcze przyjaciołom moim! Wielce mnie cieszy ten postęp, szczególnie po niefortunnym początku. Śpieszę odpowiedzieć na pytanie. Tak, Stefan Haber. Jeśli ten ktoś znajomy go zna i jest ciekawy, to uprzejmie donoszę, że szans nie ma. Pilot ów, choć jest nad wyraz powściągliwy i do zwierzeń tej natury raczej przy mnie nieskory, to mam powody przypuszczać, że jest po uszy zakochany w jakiejś pannie z Ogrodowej. Taki adres podawał gońcowi. Szczęśliwszy jest ode mnie, bo zna choć adres wybranki, gdy ja tymczasem wciąż ślę pocztę na ręce pielęgniarki ze szpitala na Długiej. Czy to się może zmienić? Czy dane mi będzie się dowiedzieć, gdzie Panna mieszkasz? Czy tajemnicą to ma pozostać?

Mam nadzieję, że niedługo Pannie wszystko to sam opowiem. Chyba że mnie seria z karabinu maszynowego zmiecie, bo lufy już w naszą stronę są zwrócone, a artyleria też czeka na nasz szturm, który niebawem musi nadejść.

Komenda polska z porucznikiem Fiszerem, ciągle jeszcze niemiecką stacją lotniczą zarządzającym, myślała prowadzić rokowania. Zażądała bezwarunkowej kapitulacji. Ale tam ze środka odpowiedzi płynął wymijające, z wyraźnym zamiarem przeciągania rozmów, zapewne po to,



*aby doczekać się rozkazów z Berlina i w odpowiednim momencie napaść na Poznań. Ja i Stefan nie mamy wątpliwości, ku czemu to wszystko idzie. Znamy Niemców i ich metody. Nie mam cienia wątpliwości, że się przygotowują do wysadzenia składnicy amunicji, spalenia zapasów benzyny i zniszczenia tyłu samolotów, ile się da, by na koniec z kilku ostatnich obrzucić miasto i fortecę Poznań bombami.*

*Ale my nie dopuścimy do tego. Gdy wszystkie kroki pojednawcze zawiodą, przypuścimy szturm. Tymczasem dziękuję za tak szybkie odpisanie. Teraz też na nie liczę, bo w tym czekaniu napiętym słowa kreślone ręką Panny przynoszą mi ulgę i wytchnienie. Sam już papier uznaję za talizman, skoro drogimi palcami trzymany i zginany. Kolejny list więc do kieszeni wkładam i przy piersi trzymając, liczę, że mnie obroni.*

*Czekający z niecierpliwością  
Teofil Owiński*

*Poznań, 7 stycznia 1919 r.*

*Cudnie Troskliwa Panno Olcho!*

*Przepraszam, przepraszam i po stokroć przepraszam, nie zamierzałem Panny straszyć. Zresztą już po wszystkim. Uderzyliśmy. Niemcy bronili się zaciekle. Ale też chyba zaskoczeni w swej bucie zostali. Uważali bowiem, że nie odważymy się uderzyć ze strachu, że nadlecą im z pomocą niemieckie eskadry lotnicze z Frankfurtu i w odwecie zetrą miasto z powierzchni ziemi. Proszę się nie bać, już tego nie zrobią.*

*Ja będę teraz miał kilka chwil wolnego, bo mnie odsyłają na Winiary, do Hali Zeppelina. Mam posprawdzać, co tam Niemcy rozbroili doszczętnie, a co jeszcze do kupy da się poskładać. Komunikuję, że bez*

*kolejnego anonsu pojawię się wkrótce w szpitalu na Długiej i będę Panny poszukiwał. Pozwolenia nie usłyszałem dokładnego, ale przyjmuję, że seria listów, które ciągle na piersi przechowuję, może być moją przepustką.*

*Panno Olcho, bardzo pragnę się z Panną spotkać. Proszę. Błagam. W desperacji wielkiej rozważałem nawet, czy się w co nie postrzelić, ale zaniechałem postępuku, bo mógłbym wtedy jedynie leżeć w szpitalnym łóżku i nie daj Boże w rozgorączkowanej nieprzytomności zacząłbym liczyć p-gi i nieszczęście w postaci złości Panny gotowe.*

*A tak zgodnie z prawdą donieść zamierzam, że postrzału uniknąłem. Dzięki talizmanowi z listów, to pewne. Żle by jednak było, gdybym nie docenił też skutecznej interwencji Stefana Habra – człowieka, przyjaciela, bohatera, który mnie z linii strzału zepchnął, sam siebie narażając przeogromnie. Pod ostrzał się dostał, a moje życie uratował. Niechybnie z kulą w głowie, co mnie dosięgnąć miała, nawet do Panny szpitala bym nie trafił. Nie byłoby co nieść. Chyba że korpus, bo z reszty ochłap by tylko został. Nie przesadzam! Takiego kalibru to był pocisk! Dzięki Stefanowi z życiem uszedłem. On niestety rękę odłamkiem ma uszkodzoną i nie wiem, jaki jego dalszy lotniczy los będzie. Boga błagam, by mógł jak najszybciej za stery chwycić i modlę się o to gorąco! I Pannę też o to proszę. Nie zaszkodzi!*

*Do końca życia będę mu wdzięczny! Muszę i chcę! Doczekać się już nie mogę, by tego bohatera też Pannie przedstawić. Liczę, że się szczerze polubicie. Choć, proszę mi wybaczyć, będę zazdrosny. Bo panny, to od zawsze wiadomo, na bohaterów łaskawym okiem spoglądają. A gdyby tak się zdarzyło, to w łeb chyba musiałbym sobie strzelić, aby mu miejsca ustąpić.*

*Kończyć muszę, bo mnie obowiązki żołnierskie wzywają.*

*Do rychłego zobaczenia*

*Teofil Owiński*

Mam te wszystkie listy do tej pory. Popakowane po kilka, poukładane datami. Każda paczuszka przewiązana jest inną wstążką, abym niechcący nie otworzył tego, którego czytać nie chcę po raz drugi. Bo moje stare serce może tego nie wytrzymać. Skoto gdy jeszcze było młode, prawie na pół pękło z żalu, to co dopiero mówić teraz. Nie, nie, to później. Przyjdzie i na tę opowieść, i na mnie kiedyś koniec, ale jeszcze nie teraz.

Skomentować jedynie chcę te pierwsze listy, bo ze wzruszeniem przeogromnym zawsze do nich wracam. Ze sto razy już chyba je przeczytałem, bo tych dni wspaniałych przywołują pamięć i sprawiają, że dobry sen przychodzi. Gdy tylko oczy zamknę, widzę miasto moje w tamtych dniach szczęśliwych.

Jak już wspominałem, wszystko zaczęło się od tego pierwszego strzału, co padł w dzień po Świątach Bożonarodzeniowych. Gdy jeszcze mistrz Paderewski przebywał w Bazarze, sam wzruszony tym, że tak niespodziewane przyjęcie poznaniacy mu zgotowali. Nie wiadomo, kto zaczął, wiadomo jednak, że odgłos tego pierwszego strzału rozszedł się po całej Wielkopolsce. Był jak kamień, co wpada w wodę. Znika od razu, ale kręgi na wodzie rozplývają się we wszystkich kierunkach jeszcze długo po tym, jak ów kamień przepadł. Tak od tego wystrzału powstanie w całej Wielkopolsce zataczało coraz szersze kręgi. W ciągu kilku dni wolne już były Gniezno, Jarocin, Trzemeszno, Wągrowiec, Wronki, Szamotuły, Lwówek... i wiele innych miast i miasteczek. Czasami trzeba było toczyć walki zajadłe, a czasami Niemcy sami się poddawali. Cóż im było robić, gdy im z Rzeszy nowych żołnierzy na pomoc słano, a Polacy te pociągi zatrzymywali i rozbrajali jeden po drugim. Tak było na całych naszych tutejszych ziemiach, gdzie Polacy mieszkali.

My w Poznaniu mieliśmy jednak większy problem i z tego też powodu porucznik Teofil Owiński uciekł ze szpitala, by stawić się na Ławicy. Jak pisał, Niemcy mieli tam skompletowany przeogromny

arsenał, liczony w tonach amunicji, a do tego sprzęt zdolny, by wznieść się nad miasto i wszystko to zrzucić na bezbronnych ludzi. Pertraktowano z nimi, ale na szczęście niezbyt długo, bo porucznik Fiszer, nadzorujący to wszystko, nie zamierzał poddać się bez walki. Otoczony, wzięty w kocioł, czekał na rozkazy. Lecz się nie doczekał, bo nasza akcja była z góry dobrze zaplanowana. Zaczęło się od odcięcia im prądu i łączności z Berlinem. W końcu o szóstej rano szóstego stycznia polski parlamentariusz dał im dziesięć minut na poddanie lotniska. Nawet go nie wypuścili, by mógł wrócić z odpowiedzią, tylko od razu otworzyli w kierunku naszych ognień maszynowy. No to myśmy uruchomili artylerię, celując tak, aby samolotów nie uszkodzić. Pierwsza oberwała wieża kontroli lotów, a następnie koszary. Niemcy obstawili oczywiście okna swoimi cekaemami, ale te, jak się okazało, były wysoko, gdzieś po drzewach, więc nasi mogli podchodzić ich bez przeszkód.

Różnie to o tym, jak to było, opowiadano. Mnie najbardziej wiarygodna zdaje się wersja, którą niejeden powtarzał, że mieliśmy w środku naszego człowieka, co te wszystkie karabiny tak sprytnie nakierował, aby nie były za nisko. Mnie nawet doszły później słuchy, że w winiarni u Hipolita Robińskiego w tej właśnie sprawie odbywało się zebranie, i to dlatego Stefan Haber tak niechętnie pośpieszył mi z pomocą, że nie chciał przerywać ważnej narady. Ustalono wtedy, by kogo potajemnie wstawić na Ławicę i zawczasu podejście zabezpieczyć. Udało się. Plan zadziałał. Niemcy puścili swojego wysłannika z białą flagą.

O, jakież to był łup zdobyty! O, jaka radość! I szczęście, co się do nas uśmiechnęło. Największe! Historycy, co fakty kojarzyć potrafią i różne robić porównania, stwierdzili i twierdzą nadal, że Polska nigdy większego łupu nie zdobyła. Ani Jagiełło pod Grunwaldem, ani Sobieski pod Wiedniem skarbów o takiej wartości dla siebie nie wzięli. Bo na lotnisku stało z pięćdziesiąt maszyn gotowych do lotu,

a w przejętej Hali Zeppelina znalazło się kolejne dwieście do zmontowania, a niektórzy mówili, że nawet trzysta. Do tego części zamienne, paliwo, amunicja, kilkadziesiąt karabinów maszynowych. Całość tego sprzętu, jak pisano, warta była dwieście milionów marek. Nie da się jednak wycenić tego, że zdobyte samoloty już wkrótce stały się podstawą całego polskiego lotnictwa i poleciały walczyć na wschodzie.

Mieliśmy tu trochę problemów w naszym Poznaniu. Niemcy wiedzieli przecież, jaka zdobycz wojenna nam się trafiła, nie mówiąc o samym nowym lotnisku, wybudowanym na rok przed wojną. Pogodzić im się z taką stratą było trudno. Nie dziwne. Nazajutrz, czego się już obłączeni na Ławicy nie doczekali, ruszyła z Frankfurtu nad Odrą eskadra podniebna. Osiemnaście bomb zrzucili na Poznań i na lotnisko. Zginął jeden człowiek, kilkoro było rannych. Panika w mieście była jednak przeogromna! Bali się wszyscy!

Tego dnia, po nalocie, mój pan Heliodor Świącicki szczególnie się ucieszył z wizyty panny Olchy. Kazał jej nawet szukać po mieście, bo bał się, że może gdzie zginęła pod bombą. Ale ona sama się znalazła dokładnie w momencie, gdy ja czekałem na listy, które pan kończył pisać i niezwłocznie je wysłać należało. Wpadła z rozwianym włosiem i wzburzona nieprawdopodobnie.

– Ja się zabiję! – stwierdziła jeszcze w drzwiach.

– Całe szczęście więc, że na razie widzę pannę przy życiu i dobrym zdrowiu – uśmiechnął się mój doktor, a mnie na sercu ulżyło. Bo też dwa dni jej nie widziałem.

– Czy tutaj też było słyhać te bomby spadające?

– Niestety tak.

– I w związku z tym oni też postanowili polecieć i pokazać przykładnie, jak Kuba Bogu.

– Ale co pokazać?

– Że to nieprzyjemne jest wcale. Tak dokładnie usłyszałam.

Dokładniej, lecieć z rewizytą planują. Tego się dowiedziałam.

– Ale kto?

– Ci piloci. Obaj. Jeden, którego poznałam przez Jana Kantego – wyjaśniła, a mój pan spojrział na mnie z niemałym zdziwieniem – i ten drugi, którego w szpitalu pielęgnowałam rannego po postrzale.

– Tego, co piegi liczył? – upewnił się mój pan Heliodor, gładząc wąsa, głównie po to, aby uśmiech na twarzy ukryć.

– Obiecał tego nigdy, przenigdy więcej nie robić. Ale co mi z tego, skoro zaraz znowu zginąć może!

– Skoro do tej pory nie zginął, to może i teraz nie zginie. Ale niech mi panna Olcha wyjaśni, w czym to szczególne zagrożenie się objawia, bo że ogólnie czas niepewny, to wiadomo.

– Na Frankfurt lecą w kilku. Nie pytając nikogo o zgodę, tak mi pan Teo... Teofil wyjaśnił.

– Bez rozkazu?

– Tak, bez rozkazu. Metoda faktów dokonanych liczy się teraz, mówi mi. I jak do tej pory przynosi dobre efekty. I że z Niemcami inaczej się nie da. Tak mi powiedział.

– Też tak to próbuję rozwiązać – westchnął mój pan.

– Lecz doktor rozsądny jest, a oni każdy ma wziąć po sześć, dwudziestopięciokilogramowych... bomb! Każdy do każdej z maszyn! Na kolana chyba, bo gdzie to w tym pudełku zmieścić. A doktor wie?

– Pojęcia nie mam.

– To niech mi pan doktor powie, że te bomby nie wybuchną. Proszę... – jęknęła.

– Oni chyba jednak liczą, że wybuchną. Polecieli już?

– Tak. Godzinę tu szłam i podobno godzinę zajmie im lot nad Frankfurt. Ja się tak boję – łkała, zakrywając twarz rękami.

– Na szczęście panna pozostała na ziemi. I lepiej niech usiądzie i ochłonie. Janie Kanty, jak rozniesiesz te listy, to zajdź później do winiarni. Nasz dziennikarz pierwszy o tym musi wiedzieć. Zapewne

jeszcze dziś przeczytamy o tym wyczynie w gazecie.

Doktor pomylił się o jeden dzień. Gazety napisały o tym dopiero nazajutrz. Piloci rzeczywiście bez pozwolenia wzniesli się w niebo i przykładnie na niemieckie miasto bomby zrzucili w odwecie. Wszystko po to, by zademonstrować, że dysponujemy bronią adekwatną, zdatną do ataku. Przekazany został komunikat, że jeśli Niemcy chcą wojny powietrznej, to będą ją mieli. Z przeciwnikiem trudnym, bo wyszkolonym przez nich samych i dysponującym ich własnym sprzętem. Nie sposób było tego inaczej odczytać. Zdziałało.

Dziewiątego stycznia roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego mieszkańcy Frankfurtu zdziwili się niepomierne zarówno widokiem samolotów nad samymi głowami, jak i hukem, który usłyszeli zewsząd chwilę później. Zrzucano na nich profilaktycznie w sumie dziewięćset kilo bomb. Ludzi zginęło niewielu, bo też nie o to chodziło. Wcześniej front walk był daleko od nich, teraz poczuli na własnej skórze, co wojna może znaczyć. Taktyka okazała się bardzo skuteczna, bo w tym czasie Niemcy nie odważyli się już nalecieć na Poznań. I niczego już ze swojego arsenału ani nie odzyskali, ani nie zniszczyli.

Wszyscy piloci, którzy brali udział w akcji, szczęśliwie wrócili do Poznania i mimo niesubordynacji, nie zostali przez swoje dowództwo ukarani i nie ponieśli żadnych konsekwencji. Przynajmniej dumni byli z siebie przeogromnie, że swym krokiem samowolnym może i całe miasto uratowali. Dziwić się zresztą nie ma czemu. Nie pamiętam już który z pilotów tej eskapady powiedział później, że podziwia ducha wszystkich powstańców tamtych czasów, bo odważyli się podnieść broń przeciwko mocarstwu, które przez nieomal cztery lata walczyło z całym światem! Nie sposób się z nim nie zgodzić.

Owiński z Habrem też zgodnie świętowali, polubiwszy się nawzajem serdecznie i przyjaźń dogonną sobie obiecując. Jakby uroczysty wstęp uczynili tej do tragedii, co się miała wydarzyć. W owym czasie jeszcze o sobie za wiele nie wiedzieli. Listy ten sam

kurier zabierał, lecz choć pod dwa różne adresy nosił, do tej samej trafiały osoby.

A w tym samym czasie mój pan Heliodor Świącicki pokusił się o dokonanie czegoś, co nie udało się nikomu przez co najmniej pięć stuleci. Do śmierci będę go podziwiał.

Święta były koszmarnie. Po napadzie, ataku, potrąceniu czy jak go zwać Karolina nie mogła dojść do siebie. Porozmawiać o tym też nie miała z kim. Oglądała się więc za siebie co parę metrów. Ciągłe jej się zdawało, że ktoś chce ją przewrócić, popchnąć albo wręcz zabić. Wbiegała do klatki schodowej i gnała na swoje piętro. Raz się przewróciła. Nawet przy skrzynce pocztowej się nie zatrzymywała. Zaglądała do niej tylko wtedy, gdy obok był jej mąż. Parę razy się zdarzyło im się iść razem, na przykład gdy wybierali się do rodziny na wigilię albo do Wiktora. Jednak oprócz kolejnej porcji reklam niczego tam nie było. Żadnych wieści od babci ani od nikogo innego. To Karoliny nie uspokajało.

Była stale nerwowa, a to nie przyczyniało się do świątecznej atmosfery. Z początku Max pytał, „o co jej chodzi, co się dzieje?”. Wszystkiego nie miała zamiaru mu tłumaczyć, mówiła więc, że to tylko brak snu. Rzeczywiście, miała ostatnio problemy z zasypianiem, a gdy już się udało, śniły się jej ciasne pomieszczenia i że ktoś ją tam upycha. Budziła się spocona. Nie wiedziała, jak sobie z tym poradzić. Nie umiała zdefiniować swoich lęków. Max też w końcu przestał ją pytać, tylko zamykał się wiecznie w swoim pokoju. Wiktor wpadł do nich parę razy, ale nie miała nastroju rozmawiać nawet z nim, choć nalegał. Wymawiała się albo grypą, albo bólem głowy.

Myślała, że to się nigdy nie skończy, jednak wybawienie przyszło w weekend tuż po świętach. Mieli iść z wizytą do kuzyna, który obchodził poświęteczne urodziny. Tego dnia rano siedziała w kuchni i gapiła się w okno, próbując skupić się na czymkolwiek, gdy usłyszała Maxa.



- Gdzie jest ten karton, który tu stał? – Max wskazał na róg pokoju.
- Nie wiem – odpowiedziała zgodnie z prawdą.
- Ale był tu.
- Nie wiem, o który ci chodzi.
- Od konsoli do gier.
- Tym bardziej nie wiem.
- To w co ja opakuję ten prezent?
- A po co rozpakowywałeś?
- Jak to po co? Żeby pograć. Po to kupiłem.
- Aha. – Wzruszyła ramionami, nie odwracając nawet głowy od okna. – Nic ci na to nie poradzę.
- Teraz będzie wyglądało, że było używane.
- A nie było?
- Weź przestań. Pomóż mi szukać. Przecież nie wyrzuciłaś na śmieci? – zapytał, patrząc podejrzliwie. – Ja bym nie wyrzucił.
- Nie przypominam sobie – odpowiedziała i dokładnie w tym momencie przypomniała sobie karton, w który spakowała książki do wyniesienia. – A jak on wyglądał?
- Taki niebieski z jednej strony, z drugiej biały. Ze zdjęciem konsoli.

– A to nie wiem – odpowiedziała.

Wszystko stało się jasne. Może nie całkiem jasne, ale na pewno jaśniejsze niż było. Zaatakował ją dzieciak, który chciał ukraść zabawkę. Myślał, że niosła najnowszą konsolę. Doskonale pamiętała ten karton, szczególnie moment, gdy leciał jej z rąk. Później o nim nie myślała, bo i tak były tam tylko książki do oddania... Teraz ją olśniło. Dlatego ten brodacz uważał, że chodzi o zwykłego złodziejaszka, który rzucił się na torebkę. O to chodziło. A nie o jakiś tajemniczy spisek i wroga nie wiadomo skąd. Jedynie o młodocianego zbira albo głupiego gówniarza, któremu się udzieliła świąteczna atmosfera. Nie miał za co kupić, chciał dostać, a w Mikołaja już nie wierzył. Słabe to

i przykre, ale nie tak jak wszystko, co sobie wcześniej wyobrażała. Zaczęła się nawet uśmiechać.

– Jak ja mu to dam? – Max kręcił się w kółko po pokoju, trzymając się rękami za głowę.

– Nie martw się. Opakujemy to jakoś w papier i wytłumaczysz mu, że była gigantyczna promocja. Niech nie marudzi, bo inaczej by tego nie dostał – podsunęłam pomysł z uśmiechem. – Nie martw się – powtórzyła. – Zapomni, jak tylko podłączy kabelki.

– Wyrzuciłeś do kosza. – Pokiwał głową rozbawiony. – Ty naprawdę wyrzuciłeś to do kosza!

– Nie. Ja na pewno nie. – Składała ręce do przysięgi, a on się śmiał, i to tak, jak za starych dobrych czasów. Tych, gdy po wyjściu z wanny nie używał żelu do włosów, tylko związywał je gumką.

Zrobiło się radośnie. I sylwester u Wiktora, i koncert noworoczny były udane. Razem z Maxem wywróżyli sobie, że w tym roku zarobią pierwszy milion. Karolina dobrotliwie klepała ich po ramionach i w sumie też im tego życzyła, skoro tak bardzo chcieli. Nowa sylwestrowa dziewczyna Wiktora aż skakała na samą myśl o milionach. Nowy, dwa tysiące dziewiętnasty rok zapowiadał się cudownie. Spadł śnieg. Świat wyglądał czysto, ładnie i spokojnie. Do dziewiątego stycznia.

Wychodząc do pracy, odruchowo zerknęła na skrzynkę. Poszła dalej, ale cofnęła się o parę stopni. Coś niewielkiego jakby prześwitywało przez rząd dziurek w metalowych drzwiczkach. Nie myliła się. Choć nie wiedzieć czemu podświadomie czekała na dużą kopertę, a to była zwykła, mała, czarno-biała pocztówka. Mimo że nowo wydana, przedstawiała Collegium Minus z podpisem *Königliche Akademie zu Posen*. Sama w sobie nie miała żadnej wartości, ale obrazek sugerował nadawcę. Odwróciła ją z szybko bijącym sercem. Wielkimi drukowanymi literami napisane było: DO SIEGO ROKU!, a pod spodem też drukowanymi: NIERUCHOMOŚCI PAPIERY ZNAJDŹ.

Wzruszyła się. Babcia o niej ciągle pamiętała. A poza tym mogła znowu znaleźć się w jej mieszkaniu. Teraz nie przeszkadzał już jej kurz. Od dawna każdą swoją tam wizytę traktowała jak święto, jak pobyt w sezamie, do którego tylko ona знаła hasło. Nie mogła się już doczekać.

„Od razu po pracy”, postanowiła i ruszyła na przystanek tramwajowy. Szła jednak coraz wolniej, aż w końcu stanęła. „Przecież właśnie to się wiąże z pracą”, przemknęło jej przez głowę. „Nikt tego nie wie... Ciężko byłoby teraz to wszystko wytłumaczyć... ale w przyszłości...”, rozmyślała, wracając do swojej kamienicy dosyć rażnym krokiem. Padał drobny śnieg. Nasunęła czapkę mocno na głowę, a ręce włożyła do wielkich kieszeni kurtki. „Zadzwoń i powiem, że się spóźnię. Nic takiego się nie stanie”. Patrzyła pod nogi i o mały włos nie weszła z tego wszystkiego pod samochód.

Po kilku minutach była już w mieszkaniu babci. Klucz stale nosiła przy sobie. Jeden album z pocztówką wcześniej dość łatwo znalazła. Zaczęła szukać w szufladzie toaletki. Skoro babcia nie podała więcej szczegółów, to powinien tam być. I był. Na okładce miał przyklejony obrazek Zamku Cesarskiego. W środku też były pocztówki i zdjęcia. Nawet Collegium Chemicum. I trochę kartek, jak zwykle. Uśmiechnęła się do siebie. Rozejrzała jeszcze dookoła. Chętnie by została, ale była już spóźniona co najmniej pół godziny.

„Zadzwoń po drodze”, pomyślała i schowała album do kieszeni. Chciała go mieć pod ręką. Wiedziała, że jak tylko wejdzie do tramwaju, będzie go oglądać. Wyszła, zamknęła drzwi, przekręciła klucz w zamku. Odwróciła się i krzyknęła z wrażenia.

Przed nią, w rozkroku, z rękami założonymi na piersiach, stała kobieta w czarnym moherowym berecie.

– A to ci niespodzianka! – syknęła przez zęby. – Nowa sąsiadka.

– My się chyba nie znamy. Przepraszam, śpieszę się – ucięła Karolina i chciała ją wyminąć.

– To się poznamy – oświadczyła tamta, zagradzając jej drogę całym swoim ciałem. A ciało miała okazałych gabarytów w porównaniu do swojej rozmówczynie.

– Chętnie, może później, teraz idę do pracy. – Próbowwała wywinąć się Karolina.

– Skąd masz klucz? – wrzasnęła.

Karolinę ten krzyk sparaliżował. Nie chciała, by ktokolwiek inny je słyszał.

– Klucze dostałam od właścicielki.

– To się okaże. Zadzwoń do niej!

– Niestety, pani Apolonia przebywa teraz w sanatorium i nie życzyła sobie, aby ją niepokoić.

– A żeby jej grzebać w rzeczach to sobie życzyła? Nie wierzę! Nie lubi, jak ktoś rusza cokolwiek.

„Chyba o ciebie chodziło”, przeszło przez myśl Karolinie.

– Przepraszam, nie mam już czasu na tę rozmowę – powiedziała najbardziej stanowczo, jak potrafiła, i spróbowała wykonać manewr wymijający. Ku jej zdziwieniu kobieta osunęła się po ścianie i usiadła na stopniu schodów.

– Wody – zażądała, ciężko sapiąc. Muszę popić lekarstwa.

Dziewczyna patrzyła na nią i przez chwilę kompletnie nie wiedziała, co ma zrobić. Nie wierzyła jej, ale to była starsza kobieta. Jeśli naprawdę coś jej było... „Mam pójść do prawników na dół? Nie lubią mnie, chcą przejąć cały jej majątek, to zrozumiałe”, analizowała na biegu. „To oni mnie skłócili. Ale drzwi mi przed nosem nie zatrzasną, jak im powiem, kto teraz myszkuje u Polańczykowej”. Mimo wszystko Karolina poczuła się jak w pułapce.

– Dobrze, przyniosę wody – zadeklarowała i ruszyła na górę do siebie.

– A tu nie ma? – zapytała kobieta, głową pokazując drzwi babci.

– Tego nie wiem, ale wiem, gdzie jest na pewno.

Była na półpiętrze, gdy kobieta w berecie, strasznie sapiąc, ją dogoniła. Stała więc i odwróciła się.

– Muszę usiąść. Na schodach mam siedzieć?

Nie wiedziała, co jej odpowiedzieć, więc po chwili miała obcą kobietę w mieszkaniu. Podała jej szklankę wody niemal w progu. Butelka niegazowanej stała dokładnie obok ławy w korytarzu.

– A nie, nie, nie – zaproponowała kobieta, zdejmując palto. W berecie na głowie została. – Pół na pół z przegotowaną. Inaczej nie mogę. Żołądek. – Pokazała na pokaźny brzuch, masując się okrężnym ruchem. Następnie rozejrzała się po wszystkich kątach, po których tylko mogła, i usiadła na fotelu w salonie.

– Ale ja muszę już iść. Mam pracę.

– Każdy jakąś ma. – Kobieta wydawała się niewzruszona.

Karolina westchnęła. Zdjęła torebkę i kurtkę. Rzuciła to wszystko prosto na podłogę w korytarzu i poszła zagotować wodę. Nastawiła minimalną ilość. Po chwili wróciła z nową szklanką. Kobieta wypiała całość jednym haustem.

– A tabletki?

– Miałam już pod językiem – odpowiedziała, nakładając palto.

„Ze wścibską babą nie wygram”, pomyślała Karolina.

– Dobrze się pani już czuje? – zapytała z lekką ironią w głosie.

– Przyjdzie poprawa. Pójdę już. Czuję, że jeszcze się spotkamy.

„Oby nie”, pomyślała.

– Do widzenia.

W pierwszym momencie chciała wyjść zaraz za nią, ale musiała odsapnąć po tej wizycie. Poza tym, skoro już znowu była w domu, postanowiła na spokojnie zadzwonić do pracy. Spojrzała na leżącą na ziemi torebkę i aż jej serce zamarło. Kopnęła ją i chwyciła kurtkę. W pierwszej kieszeni nie było! Ale w drugiej wymacała album. Odetchnęła z ulgą. Album z pocztówkami i kartkami ciągle tam był. Folijki były ciasne, nie tak łatwo byłoby cokolwiek ze środka

wyciągnąć. Ale ze spokojem przy herbacie, i owszem. Chciała tylko zerknąć a czytała dobre pół godziny, gdy zadzwonił telefon.

– O wielki archiwisto! – zakrzyknęła, jak to zwykła robić, nie chcąc wzywać niczyjego imienia nadaremno. – Spokojnie. Spokojnie. Jakoś to zaraz wytłumaczysz... Wszystko da się wytłumaczyć.

Przełączyła na głośnomówiący i odebrała. Dzwoniła szefowa.

– Stało się coś?

– Nie, nic. Przepraszam. Tramwaj mi uciekł.

– Trzeba było zadzwonić. Mogłam cię podwieźć. Akurat z tej strony jechałam.

– Ale ja akurat zapomniałam telefonu. Już jestem na przystanku – oznajmiła, a w następnej sekundzie zadzwonił dzwonek do drzwi. – Ożeż! – jęknęła, zakrywając ręką usta.

– A co to za dźwięk?

– Czyjś telefon. – Zakryła ręką głośnik i z rozdziawioną buzią patrzyła, jak otwierają się drzwi. Pierwsze, co zobaczyła, to młodego, przyszczatego policjanta w mundurze.

– Dzień dobry – przywitał się zza progu. – Proszę mnie nie wyręczać – dodał, zwracając się do kogoś z boku. – Nam nie wolno tak samowolnie naciskać klamek.

– A mnie wolno – stwierdziła stojąca obok niego Ilona. – Przynajmniej wiemy, że jest w domu.

– Proszę mi pozwolić wypełniać swoje obowiązki. Pani Karolina Rosada?

– Tak – odpowiedziała kompletnie osłupiała.

– Posterunkowy. Mamy do pani parę pytań. Czy podczas nieobecności sąsiadki z piętra niżej wymieniła pani w jej lokalu zamki?

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy wtrąciła się Ilona.

– To oczywiste! Teraz to widać gołym okiem. – Prawniczka machała ręką z wymalowanymi paznokciami. – Niech pan zobaczy. Tu jest

nowy zamek. A gdzie stary? W mieszkaniu poniżej. Tak, by nikt nie zauważył. Podmieniła je! – syknęła w kierunku Karoliny.

– Proszę mi nie przerywać. – Starał się dojść do głosu policjant. – Czy wymieniła pani zamek w mieszkaniu pani Apolonii Polańczyk?

– Tak – odpowiedziała cicho Karolina.

– I wchodziła sama do jej mieszkania?

– Tak.

– Niech odda mi te klucze! – Ilona zrobiła krok do przodu.

– Jeśli już, to nie pani, tylko policji – wytłumaczył spokojnie posterunkowy. – Było zgłoszenie. Ja mam swój regulamin. Klucze muszą trafić do właścicielki. Proszę mi nie przeszkadzać! Proszę je oddać – miotał się nieco między obiema kobietami.

Karolina schyliła się po torebkę. Najpierw włożyła tylko rękę. Powinna od razu je wymacać. Były duże i na wierzchu. Ale ich nie było. Odłożyła telefon. Wyrzuciła całą zawartość torebki na podłogę. Nie było.

– Nie mam. Nie wiem, gdzie są – rozłożyła ręce.

– Zaplombujemy mieszkanie i skontaktujemy się z właścicielką. A pani pozwoli z nami. Pobierzemy odciski, spiszemy zeznania...

– Czyli pewnie bierzesz urlop na żądanie – usłyszała głos szefowej dobiegający z telefonu odłożonego na podłogę.

– Przepraszam. – Podniosła go i powiedziała do słuchawki. – Muszę tu chyba coś wyjaśnić.

– Rozumiem. To znaczy nie rozumiem – stwierdziła przełożona i rozłączyła się.

– Proszę. Pójdzie pani z nami.

Karolina wzięła kurtkę z podłogi, pozbierała też rozsypane rzeczy i poupychała do torebki. Zobaczyła na stole w kuchni album i porozkładane kartki.

– Już idę. Tylko gaz sprawdzę.

– Tu nie ma gazu – prychnęła Ilona.

– I tak sprawdzę – syknęła przez zaciśnięte zęby i stając plecami do drzwi, schowała wszystko do torebki. – Muszę jeszcze do męża zadzwonić – oświadczyła, gdy była już w korytarzu.

– Nie musisz – stwierdziła Ilona.

Karolina spojrzała w stronę drzwi.

– Właśnie po to dzwoniłam – zwróciła się prawniczka do stojącego w progu Maxa. – Chciałam, żebyś to zobaczył – dodała, uśmiechając się tym razem do Karoliny.

Max nie potrafił wydusić z siebie słowa. Karolina też.

„Dosiego Roku! Dobiegający kresu rok 1918 złotymi zapisał się w historii zgłoszkami, bo stał się zwiastunem jaśniejszego i pogodniejszego dla narodów jutra. Naszemu też zapowiedział zmartwychwstanie i powrót do dawnej potęgi i chwały! Przetrwaliśmy wiele i da Bóg, przetrwamy jeszcze więcej!“. Pamiętam te słowa dziennikarza „Kurjera Poznańskiego”, choć nie pamiętam już jego imienia. Pamiętam, jak wśród aplauzu powszechnego, przyklepując co chwila do łysiny unoszące się pasmo włosów, szykował kolejny tekst na Nowy Rok. Czekałem wtedy, by wręczyć mu list od mego pana do zamieszczenia w gazecie, słyszałem więc wszystko to bardzo dokładnie.

Mój pan już oficjalnie informował poznaniaków o planach utworzenia tutaj polskiego uniwersytetu. Bez ogródek i bez cienia wątpliwości co do powodzenia misji oświadczył, że „w biegu są przygotowania do utworzenia wydziału filozoficznego, obejmującego nauki humanistyczne i przyrodnicze”. Zwracał się też na łamach prasy zarówno lokalnej, jak i niemieckiej, rosyjskiej, austriackiej, francuskiej i szwajcarskiej, czyli wszędzie tam, gdzie mogli być uczeni polscy reflektujący na stanowisko docenta lub profesora. Upraszał, by zgłaszali swoje oferty do sekretarza Komitetu Organizacyjnego doktora Józefa Kostrzewskiego i nadsyłali je do Poznania na ulicę Elżbiety 4. Ponieważ uniwersytet zapowiada uruchomienie już na kwiecień!



Podpisano: Prof. Dr H. Świącicki.

Pamiętam też, jak egzemplarz tej gazety przyciskała do piersi panna Olcha Jaworska i tańczyła z nim w kółko.

– Już za cztery miesiące! Już za cztery miesiące! – powtarzała bez końca.

– Daj – poprosiła Anka Cukierówna. Przeczytała, a oddawszy, stwierdziła. – Skoro Kałamajski tak ogłasza swój sklep z gorsetami i podstaniczkami, to trzeba się tam wybrać. Może ma co nowego? – zapytała samą siebie i mocno ziewnęła. – Kiedyś przecież kupię nowe.

Panna Olcha zachnęła się i prawie obraziła, a ja stałem w kącie mocno speszony. Oczy spuściłem i zaczerwieniłem się po uszy. Z powodu braku żony albo córki sekrety stroju kobiecego były dla mnie niedostępne, a znane tylko z fotografii pokątnie rozprawdzanych, których wstydziłem się nawet posiadać.

– I patrz, co zrobiłaś! – ofukała koleżankę panna Olcha, pokazując na mnie ręką. – Jan Kanty cały purpurowy, bo tobie tylko głupoty w głowie!

– Może dlatego, że to moja trzecia nocka z rzędu! – ziewnęła Anka Cukierówna. – Idę, bo mnie tu niezrozumienie dobije.

– A gdzie idziesz?

– Spać idę. Gdzieś, gdziekolwiek. Spać.

– Na Ogrodową?

– Nie, tam nie dojdę. Za bardzo jestem zmęczona, a wrócić tu i tak trzeba, bo rannych nam ciągle przecież zwożą. Słyszałam, że jednym to prawie lokomotywa w twarz wybuchła, bo tak dorzucali do pieca, aby tylko do powstania zdążyć – ziewnęła i potarła łzawiące oczy. – Znajdę jakiś ką, tu pełno zakamarków.

– Znajdź Laure.

– Masz rację, ona wstawać powinna. Do tej pory pewnie nie tylko się wyspała, ale i legowisko swoje baldachimem z koronek przyozdobiła. Łóżka wolnego nie znajdę? – zapytała. Panna Olcha

pokręciła przecząco głową.

Tak. W tych dniach i w następnych znalezienie wolnego łóżka w Królewskiej Akademii granoczyło z cudem. W szpitalu polowym, który się tam naprędce zorganizował, miejsc ciągle nie starczało, a do mieszkania też nigdy ten budynek nie służył. Jedynie ja tu teraz jestem lokatorem, ale to zupełnie inna historia i może zdążę ją jeszcze opowiedzieć. Teraz wracajmy do połowy stycznia nowego roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego.

Mój pan Heliodor Świącicki w tamtych dniach również często udawał się do Akademii Królewskiej i choć był doktorem, a powstańczy ogień ciągle tlił się jeszcze w poszczególnych miastach Wielkopolski, to nie do szpitala podążał. Tego dnia, o którym chcę wspomnieć, umówiony był z doktorem archeologii Józefem Kostrzewskim, który całym sercem zaangażowany był w zakładanie uniwersytetu. Mimo że innych obowiązków też miał pełno. Tym razem, ku naszemu zdziwieniu, przybył na spotkanie uzbrojony w karabin.

– Patrolowałem nocą ulicę – zawołał, już od wejścia pokazując broń. – Jeden nabój mi dano, bo więcej podobno nie ma.

– Toś pan uzbrojony po zęby – zaśmiał się pan Heliodor.

Na szczęście w Poznaniu wojsk niemieckich już nie było, a doktor Kostrzewski jak pozostali cywile jedynie w Straży Ludowej służył, mającej utrzymywać porządek w mieście. Z tym jednym nabojem walczyć z nikim nie musiał. Toczył walkę na zupełnie innym froncie. Wierzyć się nie chce, jak ten szczupły trzydziestoparoletni mężczyzna, młodzieniec prawie, przejmował od Niemców nieruchomość za nieruchomością. O zamku jeszcze wspomnę, ale nawet w Akademii Królewskiej, w której spotkał się z moim panem, ciągle jeszcze urzędował rektor Bock, zachodzący w głowę, jak to się dzieje, że wszyscy dookoła mówią po polsku, skoro to zakazane. Jeszcze przez dobre parę miesięcy nie chciał pogodzić się z tym, co się dookoła

działo, nim w końcu wyjechał do Berlina.

Właśnie w Berlinie studiował wcześniej Józef Kostrzewski. Pewnego razu jakiś ważny niemiecki profesor powiedział na forum studentów, patrząc mu prosto w oczy: „teraz będzie wykład o kulturze Słowian... przepraszam, właściwie o braku kultury u Słowian”. Oj, nie zapomniał mu tego do końca życia. Pewnie sobie ów profesor nie zdawał nawet sprawy, jaką siłą upokorzonego chłopaka natchnie. Kostrzewski bowiem kilka lat później bez żadnych zahamowań objął we władanie gmach Muzeum Prowincjonalnego, choć urzędował tam jeszcze dyrektor Kraemmerer, przejął z rąk wicedyrektora Kupkego Archiwum Państwowe i gmach Biblioteki Prowincjonalnej, a drzwi wszystkich tych instytucji zapieczętowywał jedynie naprędce zmontowaną plombownicą i pozostawiał przy nich po jednym żołnierzu, którego wyłudzał z odwachu na Starym Rynku. Z reguły dotychczasowi urzędnicy niemieccy, widząc minę Józefa Kostrzewskiego, jego uprzejmy, ale stanowczy ton, a przede wszystkim powstańczą opaskę na ramieniu, milcząco godzili się ze swoim losem. Nie stawiali oporu i opuszczali swoje siedziby. Inaczej było tylko na Zamku, ale o tym wspomnę przy innej sposobności.

Teraz sytuacja była inna i inny przeciwnik. Mój pan i jego kompani obmyślić bowiem musieli, które gmachy pod nowy Uniwersytet winny być przeznaczone. Uniwersytet, przypomnę, który w owym czasie nie miał ani stałego budżetu, ani lokali, ani kadry... Ach! Wielkie chwile wielkich wymagają ludzi! A mnie maluczkemu, nie wiem w jaką nagrodę, dane było temu wszystkiemu się przyglądać.

– Wywłaszczyc trzeba na nasze cele jak najprędzej! – mówił mój pan Heliodor Świącicki ściszym głosem do Józefa Kostrzewskiego. Szli obaj korytarzami Akademii Królewskiej, a ja za nimi. I gdy wszyscy dookoła dokądś pędzili albo biegali między rannymi, odwiedzającymi i przedstawicielami Czerwonego Krzyża, oni w tym czasie szli wolno, z rękami założonymi na plecach i rozglądali się po

ścianach, jakby już gmach meblowali na nowo.

– O tak! – westchnął Kostrzewski. – Jeśli my pierwsi tego nie zrobimy, to się obwarują tak, że nic do ruszenia nie będzie. Przecież to ponad sześć tysięcy metrów kwadratowych.

– Sześć tysięcy trzysta dwadzieścia pięć – doprecyzował mój pan, który w sprawach nieruchomościowych biegły był przeogromnie. – I to jeden z najbardziej reprezentacyjnych gmachów w Poznaniu. Chrapkę na niego mają i Rady Ludowe. i Ministerstwo byłej dzielnicy Pruskiej, i wszyscy święci. Co dzień tworzą się nowe urzędy i nowych siedzib potrzebują. Tymczasem budynek Akademii nam się najbardziej należy i łatwo to wytłumaczyć, ale co z resztą naszych potrzeb.

– Przejąć musimy jeszcze Zamek i Kasy Raiffeisena. Budynek Komisji Kolonizacyjnej już straciliśmy. Zajął go Rada Ludowa i prędko nie odda.

– To jasne! Ale rektorat tu umieścimy – doktor Świącicki tupnął nogą w marmurową posadzkę Akademii Królewskiej. – Mamy tu też sale wykładowe, ale potrzebne są kolejne nieruchomości na kolejne wydziały. I mieszkania dla profesorów, którzy tu przybędą, akademiki dla studentów, kuchnia jakaś dla jednych i drugich... – westchnął głęboko.

– Musimy przejąć od władz, co się da. A resztę już przekazują ludzie. To, co się dzieje, nawet mnie zaskoczyło, a jestem optymistą. Przyrzekam. – Kostrzewski poklepał się ręką po sercu.

– O czym jeszcze nie wiem?

– Bank Handlowy w Poznaniu ufundował nam dom studencki na Dąbrowskiego. Doktor Głowacki zebrał już tyle pieniędzy ze składek od ludzi, że kupił na Marcinie cały hotel z wyposażeniem. Pani Chądzyńska z Paryża zakupiła dom na Słowackiego i przeznaczyła na nasze cele, by uczcić w ten sposób pamięć po swoim mężu. I jeszcze ta obszerna kamienica na Mickiewicza... Wierzyć się nie chce...

– A co z tą willą?

Wtedy się tego nie dowiedziałem, bo doktor Kostrzewski nachylił się do ucha mojego pana, skrywając się nie przede mną, a przed ludźmi, którzy nadchodzili z przeciwnej strony korytarza. Zdążył powiedzieć kilka zdań, nim mój pan zobaczył, że za grupą, ociągając się, idzie panna Olcha Jaworska w towarzystwie oficera. Zatrzymała się.

– O wilku mowa! Drogi Józefie. Muszę ci przedstawić naszą pierwszą studentkę. Chyba inaczej, panno Olcho, być nie może?

– Być nie może! – zaświergotała takim tonem, który i mnie, i mojego pana zadziwił na tyle, że konieczne się stało bliższe poznanie towarzyszącego jej mężczyzny.

– Panna Olcha Jaworska, doktor Józef Kostrzewski. Jeśli życzyła sobie będzie panna roztrząsać nasze zaszłości prehistoryczne, to na pewno do tego pana trafi. A pan, jeśli można wiedzieć?

– Teofil Owiński.

– Heliodor Świącicki.

– Lotnik – zaświergotała ponownie Olcha, budząc uśmiech pod nosem mojego pana, a mnie napełniając jakimś wzruszeniem. Bo spojrzeniem tak cielęcym obdarzyła wpatrzonego w nią chłopaka, że bym się nawet tego po niej nie spodziewał. Szczęście z nich promieniało.

– Miło mi.

– Z tych, co na Frankfurt nalecieli, pokazać im nasze nowe samoloty – pochwaliła szybko młodzieńca, który też z lekką dumą uniósł nos do góry.

– Tym bardziej mi miło – skłonił się mój pan.

– Przyszły student prawa – oświadczyła na koniec.

– Może nie w tym roku jeszcze, bo na wschód jeszcze lecimy...

– Rozumiem. Miejsce będzie na pana czekało. Przepraszam, niedosłyszałem, prawo czy matematyka, bo to chyba pan zawzięcie piegi zwykł rachować? – dopytał mój pan, z radością patrząc, jak

panna Olcha piecze raka. Po sam koniuszek nosa.

– Prawo – szybko odpowiedział chłopak. – Tak jak ojciec – dodał.

– Doskonale – skwitował mój pan, decydując chyba, że wystarczy na dziś dręczenia panny Olchy. – Kraj będzie potrzebował nowego prawa, a uniwersytet dobrych prawników – uśmiechnął się i podrapał w brodę.

– Do usług! – Teofil Owiński strzelił obcasem podkutego buta. – Za parę lat, jak Bóg da, będę gotowy.

– Na razie my zrobimy, co w naszej mocy. Do widzenia miłej parze.

– Nie jesteśmy parą – zachnęła się Olcha, która jakby się obudziła i próbowała odzyskać utraconą gdzieś na chwilę krnąbrność.

– A więc do widzenia każdemu z osobna. – Ukłonił się i razem z doktorem Kostrzewskim ruszył w głąb korytarza.

Tymczasem panna podbiegła do mnie, wspięła się na palce i szeptała mi do ucha.

– Janie Kanty, podoba ci się?

Po cóż by mnie miał się podobać... Ale co zrobić, nic powiedzieć nie mogłem, kiwnąłem więc głową. I szybko uciekłem, by dogonić mojego pana. Nie dlatego, że musiałem iść za nim krok w krok, ale dlatego, że oczy miałem zalane łzami i wstyd mi było z tego powodu.

– Janie Kanty, przygotuj się – powiedział mój pan, widząc mnie kątem oka. – Powiedz jeszcze raz, Józefie, co jest z tą kamienicą przy Mickiewicza. Wszystko to skrupulatnie trzeba zapisać. Usiądźmy. Dobrze, że młodzież chce prawo studiować. Bo coś czuję, że o te nieruchomości – zwrócił się do Józefa Kostrzewskiego – to my z władzami toczyć będziemy musieli boje. A procesy o te darowizny z niedoszłymi spadkobiercami niechybnie przeciągną się na długie lata. Na długie lata.

Karolina Rosada od dwóch godzin siedziała w pokoju przesłuchań na komisariacie przy Kochanowskiego. Przez większość tego czasu była sama, chyba że ktoś patrzył na nią zza wielkiej szyby. Ona

widziała tylko lustro, a w nie patrzeć nie chciała. Usiadła tyłem. Nie dziwiła się swemu mężowi. W takich okolicznościach ona sama też siebie nie poznawała. Nagrody, wyróżnienia, świadectwa z paskiem, poczet sztandarowy, występy na auli i wszystkich poznańskich scenach, a teraz będzie się musiała tłumaczyć wszystkim naokoło, że nie jest złodziejką, albo wręcz podstępną włamywaczką. Zastanawiała się, ile czasu jej to zajmie. W pracy najkrócej. W końcu to nieporozumienie. Powiedziała przecież przesłuchującemu ją wstępnie posterunkowemu Marcinowi Hęciakowi, że zamki wymieniła, owszem, ale na wyraźne polecenie właścicielki mieszkania, która w tym czasie przebywała w szpitalu. Nie do końca chyba jej wierzył, bo nie mogła podać obecnego miejsca jej pobytu. Nie miała żadnego kontaktowego numeru telefonu. Ale był przecież policjantem i mógł to ustalić. Podała adres oddziału szpitalnego, na którym regularnie odwiedzała Apolonię Polańczyk. Poza tym widziała, jak odwoził ją gdzieś mąż prawniczki. On już najlepiej powinien wiedzieć, gdzie ją zawiózł.

Na temat kluczy na razie się nie rozwodziła. Utrzymywała, że chyba się zawieruszyły, a nie miała czasu ich poszukać. Sama była pewna, że skradła je kobieta w berecie, ale z tym chciała poczekać. Tamta nie powiedziała o niej nic dobrego. Poza tym chciała się jeszcze naradzić z babcią, o ile to będzie możliwe, jaki w tej sytuacji jest plan. Tak czy inaczej, jedno było pewne. Już sama kluczy wymieniać u niej w mieszkaniu nie będzie. Nigdy! Choćby ją błagała i kusiała czymkolwiek. Bo w pracy jakoś się ułoży. A jak im pokaże rękopisy, dokumenty, które były już w jej posiadaniu, i opowie o tych, które jeszcze do archiwum trafić mogą, jeśli uda jej się do tego namówić babcię... to wszyscy zapomną, a jeszcze wychwalać ją będą pod niebiosą. Tego była pewna.

Znacznie trudniej będzie z Maxem. Szefowej nie musiała nic mówić. Jemu powinna. Byli przecież małżeństwem i to ona znacznie częściej mówiła o szczerości, jaka powinna być między nimi. Jak mu teraz to

wytłumaczy, nie miała pojęcia. Teraz on na pewno myśli, że wymieniała zamek nie dlatego, że się bała złodziei, a dlatego, że sama chciała mieć dostęp do mieszkania, czyli się włamać. Taką wersję na pewno tłucze mu do głowy prawniczka, która nie wie, czemu, chce ich ze sobą skłócić. Inaczej nie mogła sobie tego wszystkiego wytłumaczyć. Po co go w tym momencie sprowadziła? Sama to podkreśliła. No po co? Tak ją śmieszają jego dowcipy? Nie! Chce mieć Maxa na maksa! Tylko dla siebie. Nie miała ochoty tak myśleć, ale też nic innego nie przychodziło jej do głowy.

Po jakimś czasie zaczęła się zastanawiać, jak długo jeszcze będzie tu siedzieć. Oprócz tego, że chciało się jej płakać, robiła się strasznie głodna. Może też z tego powodu prześladowała ją jedna i ta sama fraza ze starej piosenki: „Jeżeliś zdrów, syt i nie goły, jesteś szczęśliwy, bądź wesoły. Jeżeliś biedny, chory, głodny, wkrótce umrzesz, bądź swobodny”.

– La, la – jęknęła na głos.

Chciała już przestać to nucić i żeby ktoś w końcu przyszedł. Na szczęście nie czekała długo. Drzwi się otworzyły i wszedł młody, chudy jak szczapa posterunkowy Hęciak.

– Dobrze, że pan jest. Zdaje się, długo już tu czekam?

– Proszę mi wierzyć, starałem się – odpowiedział jej, siadając naprzeciwko. Karolina chciała coś odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Komentarze chyba były zbędne.

– Starałem się – powtórzył – i w końcu dodzwoniłem się do pani Apolonii Polańczyk. Rozmawiałem z nią.

– Ufff – głośno odetchnęła Karolina i założyła torebkę na ramię, szykując się do wyjścia.

– Proszę usiąść. – Pokazał jej ręką krzesło. – Nie powiedziałem jeszcze, czego się dowiedziałem – dodał i wyjął notes.

– Niby czego? – Karolina była zaskoczona.

Z posterunku do domu miała jakieś dziesięć minut piechotą,



zdawało się jej, że jedną nogą już tam jest. Leży na łóżku. Czeka na Maxa i próbuje wymyślić, jak mu to wszystko powiedzieć. Czemu więc wciąż jest tuaj?

– Pani Apolonia Polańczyk potwierdziła, że panią zna. Jako nową sąsiadkę z góry, która zadzwoniła po pogotowie, gdy ta uległa wypadkowi w swoim mieszkaniu w... listopadzie ubiegłego roku – odczytywał z kartki.

– Właśnie!

– Ale powiedziała również, że nie przypomina sobie, aby pozwoliła pani wchodzić do jej mieszkania pod jej nieobecność!

– Co?! – Karolina aż krzyknęła i natychmiast zakryła ręką usta jak małe dziecko.

– Ani wchodzić, ani tym bardziej wymieniać zamków. Podkreśliła to wyraźnie!

Przez chwilę patrzyła na posterunkowego tępych wzrokiem i w końcu przestała wierzyć w to, co słyszy.

– Nie. Nie, nie, nie, to nie może być prawda! Jaki to...? – Wstała i kręciła się w kółko. – To niemożliwe... Tak nie powiedziała. Może zapomniała? Może źle się czuje? Nie wiem... Może dostała jakiegoś wylewu! Amnezji!

– Proszę usiąść – stanowczym głosem polecił jej Hęciak. – Sąsiadka chyba przypuszczała, że tak się będzie pani tłumaczyć, bo podała numer telefonu do opiekującego się nią lekarza. Ten stwierdził, że pani Polańczyk przebywa w ich domu seniora. Jest w świetnej formie i w pełni władz umysłowych. Jeśli o te wątpliwości pani chodziło.

Karolina chwyciła się za głowę. Nie mogła pozbierać myśli.

– A pielęgniarzka? Pielęgniarzka w szpitalu. Ona może potwierdzić, że odwiedzałam panią Apolonie wiele razy. Sama mi tłumaczyła, że starsi ludzie często niesłusznie... – wstrzymała się z dalszym wywodem, nie mógł jej przejść przez gardło – ...oskarżają innych o kradzież i spiski. Ona często posądza ludzi o to, że chcą jej zrobić

krzywdę... – kontynuowała przez moment, ale przestała, bo już sama nie była pewna, czy to świadczy na jej korzyść czy niekorzyść.

– Dzwoniłem tam również i rzeczywiście, pielęgniarka pamięta dziewczynę, która przynosiła ptasie mleczka. Chęć wzbudzenia zaufania u starszej, nieznanym wcześniej osoby... Bo panie się nie znały wcześniej?

– Nie.

– Więc to wcale nie świadczy na pani korzyść. Powiem więcej. Prokurator może uznać, że przychodziła pani wyciągać informacje. Na przykład, gdzie staruszka trzyma pieniądze albo kosztowności... Albo wyłudzić spadek. Jestem pewien, że tak pomyśli. Niewielu ludzi odwiedza bezinteresownie nieznanym staruszków.

– O, nie! – jęknęła Karolina. – Czy ja jestem o coś oskarżona? – zapytała i włożyła rękę do kieszeni.

Kartki z mieszkania babci ciągle miała przy sobie. Nie wiedziała, czy to dobrze czy niedobrze. I bez tego wyglądało to bardzo nieciekawie. Nieprawdopodobnie nieciekawie.

– Zaplombowaliśmy mieszkanie. Teraz musimy czekać na przyjazd pani Polańczyk i stwierdzenie, czy nic nie zginęło z jej mieszkania. Na tej podstawie prokuratura sporządzi akt oskarżenia. Wtedy będzie wiadomo, czy to tylko włamanie, czy też kradzież z włamaniem. Nie chcę pani straszyć, ale w tym momencie wiele na to wskazuje. Chyba że uszkodzona...

– Nie jest uszkodzona – jęknęła Karolina, czując, jak łamie się jej głos.

– Rzeczywiście, na razie nie jest. Ale jutro, jak obejrzy mieszkanie, może już być... Chyba że przypomni sobie coś nowego. Na pani korzyść. Na razie pani mąż zeznał, że nic nie wiedział o wmontowaniu zamka w nie swoje drzwi. Mówił, że miała pani kiedyś klucze i twierdziła, że je oddała. Wiedział, że zamek ma pasować do innych drzwi?

– Nie, nie wiedział. Naprawdę. Proszę mi wierzyć – mówiła błagalnym tonem.

– Chciałbym. Jeśli faktycznie tak pani zezna, to mu pomoże. Prokurator zadecyduje, czy postawić mu zarzut współudziału.

– Ale to prawda! – krzyknęła. – Nie chciałam go w to wciągać.

– W co? – zapytał, patrząc na nią uważnie.

– W nic. Nic – jęknęła. I przestała mówić przez dłuższą chwilę. Posterunkowy był od niej młodszy, ale na pewno bystrzejszy. Nie umiała się bronić. Więcej, sytuacja tak ją zaskoczyła, że z każdym zdaniem pogrążała się coraz bardziej. Przynajmniej takie miała wrażenie.

– Czy ja potrzebuję adwokata? – zapytała po chwili. Znała to pytanie tylko z filmów.

– Zatrzymamy panią do jutra. Prokurator zadecyduje, co zrobić. Może przedłuży zatrzymanie, aby ustalić realną wartość szkody. Jeśli nie była duża, być może wypuści za poręczeniem majątkowym.

Karolina schowała twarz w dłoniach.

– Muszę z kimś porozmawiać – zaczęła płakać, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Wychyliła się zza nich kędzierzawa głowa. Policjant wyszedł i zaraz wrócił.

– Adwokata już pani ma. Przyszedł. Chce go pani widzieć?

– Chyba tak... – zawahała się, skołowana, tak jak nigdy wcześniej w swoim życiu. Nigdy jeszcze nie spotykała się z adwokatem, ale też nigdy go nie potrzebowała.

Policjant ukłonił się. Wychodząc, zatrzymał się jeszcze w drzwiach.

– Ciekawa ta kamienica – mruknął pod nosem tak, aby Karolina słyszała.

Zanim pieniądze w moją opowieść się wkradną, wyjaśnić mi trzeba, skąd u mojego pana w ogóle się wzięły. I to w takich ilościach! Był on bowiem w owym czasie jednym z najbogatszych Polaków w Poznaniu, o ile nie najbogatszym. Przedstawić to należy uprzednio, bo zaraz będę

szastał liczbami: milion tu, milion tam... jakby te miliony na dziedzińcu pałacu Działyńskich rosły gdzieś na trawie... A tak po prawdzie, to rosły, ale na polach podpoznańskich. Jednak po kolei, bo od bogactwa tego w głowie się może zakręcić.

Z wielu przeczytanych książek, co przedstawiają romanse angielskiej arystokracji, dowiedziałem się, że dżentelmeni o pieniądzach nie rozmawiają, ale służba i owszem. Ja nic powiedzieć przez całe życie nie mogłem. Za to teraz mogę opisać, co ludzie gadali i co ja sam wiedziałem, będąc tyle lat na wdzięcznej służbie u mojego pana. A także to, co tajna pruska policja wywęszyła, sporządzając notatki na temat majątku Heliodora von Świącickiego. Niemiecki ten tytuł szlachecki przywołuję, by podkreślić, że pan sam z zamożnej rodziny pochodził i od dziecka do statusu mu należnego był przyzwyczajony.

Swego czasu wielkie dochody osiągał mój pan ze swej prywatnej kliniki. Przyjeżdżały do niego z daleka majątne pacjentki. I to ze wszystkich stron, po równo z Niemiec, jak i zaboru rosyjskiego. Renomę miał potężną. Taką, że na potrzeby jego kliniki ściany trzeba było w kamienicach burzyć. Niewiarygodne, ale miejsca w pałacu Działyńskich zabrakło na gabinety i łóżka prywatne. Musiano przebić się do wynajętego piętra w kamienicy obok. Na pewno był w swoim czasie najlepiej uposażonym z doktorów medycyny. Ale to nie praktyka lekarska, choć była powołaniem mojego pana, stała się głównym źródłem jego dochodów.

Wielki majątek, o którym jest głośno, pojawił się u mego pana wraz ze ślubem z hrabiną Heleną Dąbmską, córką Gustawa Dąbmskiego herbu Godziemba, wdową po Gustawie Zborowskim i posiadaczką setek hektarów pod Wrześnią.

Wspomnieć tu mogę, że mój pan miał wiele szczęścia w życiu. Żona jego była to urodziwa, elegancka, wysoka kobieta, o której lepsi ode mnie pisali, że „twarz piękną jak Madonna miała”, a na domiar

wszystkiego sama się, osobiście mojemu panu oświadczyła. On by się pewnie nie odważył, choć też się zakochał w swojej pacjentce, którą z jakiejś strasznej kobiecej choroby wyratował, przeprowadzając skomplikowaną operację. Kobietom ówczasie ciężko było decydować o swoim losie, ale niektóre widać mogły. I nawet do takich czynów się posuwały jak ofiarowanie swojej ręki. A Helena Dąbska oddała nie tylko rękę, ale i część swojego majątku. Mądra to była pani niesłychanie. Dom prowadziła taki, że w pałacu Działyńskich gościła sama Helena Modrzejewska, a także Henryk Sienkiewicz, żeby tylko ich dwoje wspomnieć. Mojego pana przejrzała na wylot, choć z reguły zakochanym kobietom to się rzadko udaje. Kazała mu bowiem część ziemi swojej sprzedać i wykorzystawszy posiadaną wiedzę, lepiej obrócić pieniądze. A że mój pan je na pożytek wszystkim przeznaczy – to było pewne. Posłuchał jej i zakupił kilka ładnych parcel w Poznaniu i ziemię w pobliskich podpoznańskich wsiach.

Przybliżyć w tym miejscu należy tym, którzy Poznania sprzed dwudziestego wieku nie znają, że wcześniej było to miasto dość smutne, zamienione w ważną pruską twierdzę drugiej kategorii wojskowej. Obwarowaną murami, za którymi nie wolno było nikomu się budować. Opasane pierścieniem urządzeń fortecznych, mostami, fosami, poza którymi znalazły się podpoznańskie wioski Wilda, Dębiec, Górczyn i Jeżyce.

Władze wojskowe i pruski minister spraw wewnętrznych długo sprzeciwiali się zwyczajnemu rozwojowi miasta. Wydawało się już na wieki zasądzone, że Poznań ma jedynie cele wojskowe uskuteczniać.

Skąd więc mój pan dowiedział się, że cesarzowi Wilhelmowi wbrew generałom raptem zamarzy się twierdzę zburzyć? A z Poznania zrobić miasto reprezentacyjne na rubieżach swego cesarstwa? I zamek jak z bajki sobie wystawić, z całą dzielnicą cesarską?

Zastanawiało się nad tym wielu. A ja wiem, że informacje szeptane z różnych źródeł do niego płynęły. Od syna siostry swojej matki,

Witolda Korytowskiego, który w Wiedniu zrobił wielką karierę polityczną, zostając tajnym radcą, potem ministrem skarbu, a później namiestnikiem całej Galicji. A taki namiestnik to nie byle kto! Musiał wiedzieć, co tam planują w Berlinie i podszeptał to i owo kuzynowi. Od jednej pacjentki, której wyciął guz wielkości strusiego jaja i uwolnił od straszliwych boleści. A ta, szczęśliwa, podzieliła się informacją o burzeniu twierdzy, nad czym jej mąż, wysokiej rangi wojskowy, ubolewał bardziej niż nad jej stanem zdrowia. Od jednego służącego, którego osobiście do niego przyprowadziłem. Niemiecki urzędnik, stłukł go bowiem niemiłosiernie, niezadowolony, że go na wschodnie rubieże zesłano, bo miastu podobno nowych urbanistów potrzeba, gdyż wkrótce szybko się będzie rozwijać. A słowa, raz puszczanego z uwięzi, powstrzymać się już nie da. Może jeszcze i inne podszepty były. Kto wie?

Dość, że pan ziemię na hektary kupił jak okiem sięgnąć, aby potem ją na metry i półmetry sprzedawać. Bo tam, gdzie rosło zboże, pięciopiętrowe kamienice ściana w ścianę powyrastały. Od tysięcy dziewięćsetnego do wybuchu wojny to po sto i po dwieście rocznie takich domów budowano w Poznaniu. A jedne piękniejsze od drugich. Zdobione, dekorowane, we wszystkich stylach, jakie sztuka do tej pory poznała. Od średniowiecznych baszt poczynając, a na secesyjnych esach floresach kończąc (co, muszę przyznać, mą romantyczną naturę o wzruszenia pripraviają).

Na sprzedaży tej ziemi na Jeżycach mój pan tak zarobił, że przeznaczał teraz pieniądze nie tylko na swoją działalność dobroczynną, co zawsze zwykł czynić, lecz także w kolejne grunta inwestował. W końcu nawet niemiecka tajna policja się nim zainteresowała i sprawdzali, kto mu dał kredyt na zakup parceli przy ulicy Bukowskiej za zawrotną sumę trzystu siedemdziesięciu pięciu tysięcy marek. W pismach ósmego rewiru policyjnego jeszcze dziś można znaleźć notatkę, w której jeden z tajniaków informuje, że

Święcicki kredytu brać nie musiał, bo zrobił tak wielki majątek na parcelizacji, że nieruchomość od niejakiego Michała Palacza mógł kupić po prostu za gotówkę. A ziemi również nie potrzebuje na razie się pozbywać i zamierza dać jej poleżeć tak długo, aż będzie mógł ją z zyskiem odsprzedać.

Oj, nawet Niemcy z szacunkiem musieli się o nim wypowiadać, choć zapewne w gardle im te słowa stawały.

U Polaków budził potężne uznanie. Kupując grunty z widokami na lepsze ceny, gromadził pieniądź w polskich rękach. A to cieszyło wszystkich niezmiernie, bo inaczej cały zysk trafiłby niechybnie w obce ręce. A pieniądź nieraz okazywał się najskuteczniejszą bronią zarówno przeciw germanizacji, jak i przeciwko biedzie. Biedzie, którą mój pan zwalczał jak chorobę. Przez całe swoje życie. W dzisiejszych czasach warto to wciąż przypominać. Dlatego nie żał mi się nad tym rozvodzić. Ani minuty mi nie żał. Ani sekundy. I póki życia mi wystarczy, póty wspominał będę, że Heliodor Święcicki wytworny cylinder nosił, a jak ten wyszedł z mody, to go na elegancki melonik zamienił, ale sam żył skromnie, a zarobione pieniądze przeznaczał na szczytne cele. Na koniec zaś wszystko, co miał, włożył w uniwersytet. A czego wydać już przed śmiercią nie zdążył, zapisał w testamencie na fundację dla nauki. Czy kto dzisiaj tak robi? Czy kto dba o co inne niż swoje?

Uprzedzając koleje losu, które sprowokują dalszy bieg wypadków, muszę jeszcze tutaj coś dopisać, tak jak i mój pan kiedyś dopisał (co sam mi zaprezentował w postaci dokumentu dwadzieścia lat wcześniej przygotowanego). Objąć zatem należy, że ojciec panny Jaworskiej, którego nazwiska nie ujawnię, skoro mój pan z przyczyn obyczajowych wyjawiać także go nie chciał, pozostawił pannie Olsze mały majątek w złotych monetach, które w geście rozpacz, światła przed sobą nie widząc, rozrzucił po podłodze poddasza. Bogactwo to, gdyby nie mój pan, przepadłoby, zmarnotrawione, co do tego nie ma

wątpliwości. Stan psychiczny młodego ojca, w owym momencie, gdy się panna Olcha raczyła urodzić, daleki był bowiem od równowagi. Dziwić się nie ma czemu, bo gdy ona z pomocą cudu uwolniona została z umierającego ciała, on po stronie nieżywych już był raczej. Śmiertelna choroba powoli go do grobu wciągała. Nie baczył więc na pieniądze, które gotów był pogubić, gdyby nie mój pan, który przekonał go do pewnego rozsądnego rozwiązania.

Część dobytku dostała się rodzinie, która dziecko pod swoje skrzydła przyjęła, za własne (przynajmniej do czasu) uznając. Otrzymali sowite wynagrodzenie. Aby nie wszystko po drodze zużyli, słusznie ojca pan Heliodor przekonał, że pieniądze w przyszłości też się córce przydadzą. Zaufał mu umierający i zobowiązał do wykonania tego, co wspólnymi siłami umyślili. Czyli, że część pieniędzy panna powinna dostać, jak już sama w dorosłość wejdzie. Przez jakiś czas mój pan środki te trzymał zamknięte szkatułce, ale potem uznał, że nie powinny leżeć tak beczynnie zakopane. Sam bowiem Jezus nakazywał wedle umiejętności talenty pomnażać, a wiedzy i umiejętności w tej kwestii mojemu panu nie zbywało. Uznał więc, że ziemia większym złotem płaci i lepiej za nie grunt jakiś zakupić.

Grunt leżeć miał odłogiem jeszcze przez lat dziewiętnaście i na wzrost wartości spokojnie czekać. Zakupił więc pan Heliodor niemały płachetek ziemi we wsi Jeżyce. Na skraju, gdzie przy końcu polnej drogi opuszczona stała wiejska chata. W stanie co prawda takim, że do zamieszkania już się nie nadawała, ale nikt też tam mieszkać nie zamierzał. Wokół jedynie ją chabry i maki porastały, a dalej były łąki, pozwalając paść się okolicznym krowom.

Panna zapewne pierwszych liter jeszcze się nie nauczyła pisać, jak na jej działce zaczęły się budować kamienice. A mój pan co odsprzedał kawałeczek, to dalej dokupował dwa razy tyle. Silną buchalterie prowadził, obok swoich rozległych gruntów, ale własności tych nie mieszał. I cieszył się w duchu, że mająteczek sieroty skutecznie



pomnaża. On wiedział, że jak Bóg da mu dożyć, to ją jeszcze spotka i wszystko jej w swoim czasie opowie.

A ja się dowiedzieć miałem, że pieniądze i radość, i nieszczęście przynieść mogą.

Karolina skubała kawałek okleiny odstający od stołu, przy którym siedziała od dziesięciu minut sama, i ze strachem patrzyła na drzwi. W końcu klamka ugięła się i stanął w nich Mariusz Kachoń. W sportowej kurtce i z torbą na raketę tenisową przewieszoną przez ramię.

– Nie, nie zajmie mi to dużo czasu. Dziękuję – rzucił w kierunku wprowadzającego go policjanta.

– Dzień dobry – zwrócił się już bezpośrednio do Karoliny. – Choć dla pani chyba niezbyt.

– Nie najlepszy – przytaknęła, obserwując ze zdziwieniem, jak siada naprzeciwko niej i podpira ręką brodę, wyluzowany i zadowolony. Karolina nie miała pojęcia, z czego. Z udanego meczu czy z tego, że ją tu widzi. Uśmiechał się nawet i był nią znacznie bardziej zainteresowany przez tę chwilę niż ostatnio przez pół wieczoru.

– Nie spodziewałem się, że się tak szybko tu zobaczymy – zagadnął lekko kpiącym głosem.

– Nie spodziewałam się, że się w ogóle tu zobaczymy.

– A ja tak – stwierdził z szerokim uśmiechem na ustach.

– Nie rozumiem – prawie krzyknęła. – Po co pan tu przyszedł?

– Po kolei. Nie będę pytał, czy ma pani czas na rozmowę, bo pozostaje pani zatrzymana tu, na komisariacie, przynajmniej do jutra. A to jeszcze wiele godzin.

Popatrzył na duży zegarek, potem na nią. Nic mu nie odpowiedziała.

– Kontynuuję więc. Od początku mówiłem Ilonie, że Pola, znana pani Apolonia Polańczyk, ma nową zabawkę. Nową koleżaneczkę. Słuchaczkę, czy jak to zwać. Nie musiałem widzieć, że się pani

zakrada, żeby to wiedzieć.

– Nie zakradałam się!

– Powiedzmy... – Wzruszył ramionami. – Pola również nie musiała mi tego mówić. I nie powiedziała. Wie pani, jak lubi sekrety i tajemnice. Zawsze kogoś omami tymi swoimi opowieściami. Zawsze trafi na kogoś, kto chce z tego skorzystać. Znamy się wiele lat. Mówię, zawsze ktoś się skusi. Teraz padło na panią.

– Czyli wie pan, że się ze mną kontaktowała? Że rozmawiałyśmy? Tak?

– Moja wiedza i to, co się w pani przypadku zdarzyło, to zupełnie inna historia.

– Ale skoro pan wie...

– To bez znaczenia, co ja wiem, zresztą, to są tylko moje domysły. Prokurator przecież nie będzie tego słuchał.

– To co się stanie?

– Zostanie postawiony pani zarzut kradzieży z włamaniem.

– Ale ja niczego takiego nie ukradłam... – jęknęła.

– Jeszcze nie wiem, co pani ukradła. Ale to też na razie nie ma większego znaczenia. Wyjaśnię to pani. W przypadku kradzieży wartość ma znaczenie. Przy niskiej może być potraktowana jako wykroczenie. To dosyć niegroźne. Ale w przypadku włamania jest już zupełnie inaczej. Włamanie jest zawsze traktowane jako przestępstwo. Rozumie pani różnicę?

– Coś poważniejszego?

– Zdecydowanie – pokiwał głową. – Zagrożone karą od roku do dziesięciu lat.

– Słucham? – Nie wierzyła w to, co słyszy. – Ale ja miałam klucz... – Próbowała się bronić.

– Nawet jeśli się dysponuje właściwym kluczem, a właściciel nie wyraził zgody na wejście... – przerwał na dłuższą chwilę – to i tak jest to włamanie! Pola takiej zgody nie wyraziła. Tak poinformowała

policję i jest to faktem.

Karolina wstała i rozejrzała się wokół. W sytuacjach, w których nie wiedziała, co ma powiedzieć, z reguły wstawiała i wychodziła. Przeżywając w duchu, jak ktoś mógł się tak źle wobec niej zachować. Nigdy nie umiała się bronić, wołała się wycofywać. Ale teraz wszystko było inaczej. Teraz nie mogła wyjść, bo była zamknięta i kompletnie nie rozumiała, co się wokół niej dzieje. Usiadła zrezygnowana na krześle i wcale nie miała ochoty się odzywać.

– Nie musi pani potwierdzać – skwitował jej milczenie. – Policja już ustaliła, że zmieniła pani zamki. Technik policyjny oznaczył na okuciach pani odciski palców i pani męża również.

– O, nie! – Chwyciła się za głowę. – I on został w to wmieszany.

– O, tak. – Skinął głową z przesadną uprzejmością.

– On pana tu przysłał?

– Nie. Chyba nie może dojść do siebie. Z pewnością pani mu jakoś to wytłumaczy...

– To co pan tu robi.

– Sąsiadka przysługa.

– Słucham?

– Może skierowana bardziej do pani męża, któremu już pożyczyciśmy pieniądze.

– Pożyczyliśmy? Jakie pieniądze? Na co?!

– Myślę, że będzie potrzebował trzydziestu tysięcy poręczenia... Tak przypuszczam. O tyle chyba wniesie prokurator. Jest moim kolegą... grywamy razem w tenisa... więc mogę tak przypuszczać.

– Ale po co to?

– Będzie pani oskarżona, będzie się toczyć postępowanie przeciwko pani. Ale jest pani niekarana, więc prokurator wyrazi zgodę na odpowiadanie z wolnej stopy. Inaczej grozi pani tymczasowe aresztowanie. Na jak długo... nie wiadomo – dopowiedział, rozkładając ręce. – Zapewniam panią, areszt to niezbyt miłe miejsce. –

Karolina struchlała. Wydawało jej się niedorzeczne, by miała tu dłużej zostać, a jednak choćby jak najbardziej niedorzeczne, to coraz bardziej realne. Strasznie chciała wyjść. Napić się herbaty z imbirem, przytulić się do Maxa. Jeśli będzie chciał ją przytulić.

– Dlaczego mi pomagacie? – zapytała po chwili, choć słowo pomagacie prawie ugrzęzło jej w gardle. Musiała przełknąć ślinę. Max zawsze mówił, że jest naiwna. Teraz na pewno nie była. Nie miała złudzeń. Prawnik z parteru był więcej niż zadowolony z sytuacji, w której się znalazła, i nawet nie starał się tego kryć.

– Nie wiem, czy pomagamy – odczytał zawieszenie w jej głosie i wyszedł naprzeciw. – Powiedziałbym, że dbamy o stosunki dobrosąsiedzkie – stwierdził i spojrzał gdzieś ponad jej głową. Miała wrażenie, że nie powiedział tego tylko do niej. Odwróciła się i natrafiła na swoją twarz w lustrze. Wstrząsnęło to nią. Ktoś się temu przysłuchiwał? Ktoś w ogóle się jej przysłuchuje. Na pewno ten policjant Hęciak. Schowała twarz w dłoniach, nie chcąc, aby ktoś na nią patrzył.

– Co ja mam zrobić? Co ja mam zrobić? – pytała, choć nie oczekiwała odpowiedzi.

– Właściwie nic. Jutro pani wyjdzie.

Spojrzała na niego.

– Wyjaśnię jeszcze, co to jest poręczenie. W skrócie, bo mój czas już się kończy – powiedział, szykując się do wstania. – Poręcza pani, że nie wyjedzie, czyli nie ucieknie z kraju.

– Gdzie mam niby uciec?

– Tak dobrze się nie znamy, żebym wiedział, co pani lubi zwiedzać. Ja tylko informuję, że będzie się pani musiała stawić na wszystkie wezwania sądu, prokuratury, czy też policji. Rozumie pani? – zapytał, znacznie obniżając głos.

Przytaknęła.

– I co ważne... – spojrzał na nią – nie będzie pani utrudniać

śledztwa.

– Tak – potwierdziła.

– Niech to pani dobrze zrozumie. – Podeszedł do niej bliżej. – Nie będzie pani zacierać śladów, to chyba oczywiste. Na przykład pozbywać się dowodów pani bytności w mieszkaniu pani Apolonii. – Wzruszyła tylko ramionami. Nie zamierzała już tam iść.

– A co najważniejsze... – powiedział wolno i dosadnie – poręczenie przypadnie, jeśli będzie się pani usiłowała spotkać ze świadkiem.

– Nawet nie będę mogła tego wyjaśnić?

– Każda próba spotkania będzie traktowana jako próba nakłonienia świadka do zmiany złożonych zeznań. Proszę to dobrze zapamiętać! Nie tylko poręczenie przypadnie. Wraz z nim przypadną pożyczone pieniądze, a to będzie kolejnym pani przestępstwem.

– Ale, ale... ale – jęknęła – jak ja się z tego wszystkiego wytłumaczę. Jak?!

– Nie wiem jak. Ale na pewno nie spotykając się z nią. – Nachylił się nad nią. – Zrozumiałaś? – dodał już znacznie ciszej, prawie szepcząc jej do ucha. Spojrzał na nią i patrzył, dopóki nie kiwnęła głową. – Dobrze – uśmiechnął się pod nosem. Wiedziałem, że się zrozumiemy. Czas na mnie. Z tego, co wiem... wyjdiesz jutro o dziesiątej – poinformował. Przewiesił torbę tenisową przez ramię i wyszedł.

Karolina męczyła się całą noc. Do północy nie mogła zasnąć, po północy nie było to już możliwe. Do celi trafiła pijana kobieta o zmarnowanej twarzy i życiu prawdopodobnie też. Nim zasnęła, strasznie złośliwie na świat i ludzi. Spała też widowiskowo, z jedną nogą na łóżku, drugą na podłodze, strasznie przy tym chrapiąc. Karolina siedziała skulona pod ścianą. Nie mogła sobie przypomnieć, w którym momencie popełniła błąd. Kiedy należało się wycofać. Chyba nie wchodzić przez niedomknięte drzwi. Na pewno poskromić ciekawość. Nie brać czyjegoś klucza i oczywiście nie wymieniać

zamków. A przede wszystkim nie wierzyć babci! Na jej temat też miała różne myśli. Raz była bezbronna, zastraszoną przez kogoś staruszką, a drugi raz wstrętną wiedźmą, która manipuluje wszystkimi dookoła, rozdając obietnice. Sama się zresztą do tego przyznała. Jej przecież też coś obiecała... Wzbogacenie archiwum uniwersyteckiego. Ale kto jej w to teraz uwierzy? Nawet w pracy się z tego nie wytłumaczy, skoro w domu uchodzi za kłamczuchę.

O Maxie też nie chciała myśleć. Nic dobrego nie przychodziło jej do głowy. Raz do niego zadzwoniła, ale nie odebrał. Nie mógł? Nie chciał? Może tak mu doradził adwokat? Serce się jej krajało na samą myśl, że zarzucają mu jakiś współudział we włamaniu. Przecież nie był świadomy. Nic mu nie powiedziała, tak zezna. Ale co z tego? Ma prawo być zły. Bardzo zły! Choć może nie tak bardzo, skoro pożyczył pieniądze, żeby ją z tej celi wyciągnąć? Łudziła się tak do samego rana.

Od ósmej kobieta zaczęła się budzić.

– A ty co? – zapytała, przecierając i tak już rozmazane oczy. Tusz miała prawie na policzkach, a szminkę pod nosem.

Karolina jeszcze bardziej wcisnęła się w kąt.

– Boisz się? Głupia! – skwitowała współlokatorka. – Starego rozdrapie, jak wyjdę! Na śmierć. Na ciebie pazurów mi szkoda – stwierdziła i popatrzyła na długie czerwone paznokcie. – Za sześćdziesiąt koleżanka mi hybrydę kładzie. – Pokazała jej rękę. – A ty?

Karolina szybko zagięła palce.

– Rzeczywiście trochę wstyd – pokiwała głową kobieta i przeczesала dłonią potargane blond loki. – Przez starego trafię do więzienia. A ty? No, mów coś!

– Mój... Mój przeze mnie może trafić... do więzienia – powiedziała Karolina i bała się, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Zuch dziewczyna! – zachwyciła się kobieta i aż usiadła na łóżku,

żeby posłuchać, gdy wtem otworzyły się drzwi.

– Wychodzi pani. – Przed celą stał posterunkowy. – Teresa, ty nie! – powiedział do blondyny, która już ochoczo wstała.

– Wsadź go! Mówię ci! Chłopy to nieszczęście – kobieta machnęła ręką i położyła z powrotem na pryczy.

Karolina tylko spuściła głowę. Wiedziała, że policjant na nią patrzy, ale nie miała siły już niczego komentować. Chciała się jak najszybciej znaleźć w domu. I tak się ucieszyła, że wypuszczają ją dwie godziny wcześniej, niż mówił adwokat. Formalności trwały jeszcze chwilę. Depozyt, papiery, pouczenia. Przytakiwała na wszystko. Podpisywała, co dawali. W końcu przepuścili ją przez drzwi, które na sygnał otwierał dyżurujący policjant.

– Do widzenia – rzuciła i zaczęła biec. W komisariacie do wejścia głównego wyjścia prowadziły wysokie schody. Zbiegała jeden stopień po drugim tak szybko, że musiała patrzeć pod nogi, żeby się nie przewrócić. Nie chciała, by ktokolwiek ją zobaczył. Wstydziła się, choć nawet nie wiedziała przed kim. Wszystko jedno, byle jak najszybciej uciec. Już była na chodniku, gdy się potknęła. Z wyciągniętymi przed siebie rękami chwyciła równowagę. Jakaś ręka pochwyciła ją w pasie. Krzyknęła, ciągnąc za rękaw czyjejs kurtki. W końcu stanęła, spojrzała i otworzyła usta z wrażenia. Przed upadkiem uchronił ją brodac z szpitala, Piotr Haber.

– Spokojnie. Już dobrze. Trzymam – zapewnił. – Podwiozę panią – zaproponował, gdy trzymała się już stabilnie na obu nogach.

– Nie potrzeba – wzdrygnęła się, chciała zrobić krok w tył, ale powstrzymał ją.

– Radziłbym jednak...

– Jednak nie! Nie spałam. Jestem zmęczona. Przejdę się – powiedziała dosyć stanowczym tonem. Sama się zdziwiła, ale przecież nie zastrzeli jej przed komisariatem.

– Bardzo proszę – powiedział i nachylił się w jej kierunku, ściskając

za ramię.

– Proszę mnie puścić.

– Być może jestem jedynym pani kontaktem z Apolonią. Nie jest pani ciekawa?

Karolina zawahała się. W sumie czekała na wyjaśnienie tego, co się właściwie stało. Może brodacz zaraz jej wszystko powie? Znał przecież babcię. Może coś wie?

– Ale odwiezie mnie pan do domu? Tak? – upewniła się.

– Tak. Pod same drzwi. Choć może lepiej wysadzę panią ulicę wcześniej. Zgoda. Nie muszą nas widzieć.

– Racja – skinęła głową Karolina i wsiadła do czarnego audi.

Nigdy nie była w samochodzie tej klasy. Było dziwnie, ale wygodnie, przyjemnie i ciepło. Ziewnęła, gdy tylko brodacz uruchomił silnik. Wtedy usłyszała dźwięk blokujących się automatycznie drzwi. Aż podskoczyła. Przecież on był uzbrojony, jak mogła nie brać tego pod uwagę. Auto tymczasem ruszyło. Zaczęła szarpać klamkę.

– Jeżeli chce pani wysiąść, to się zatrzymam – zaoferował i zjechał na pobocze.

Drzwi się odblokowały. Mogła wyjść, ale tylko odetchnęła z ulgą.

– Jest pan prywatnym detektywem? – zapytała po chwili. Miała nadzieję, że zaraz wy tłumaczy jej się z broni noszonej za paskiem. Ale zaprzeczył. – Sąsiadem też nie – westchnęła zawiedziona. – A kolekcjonerem? – dopytywała, bo wciąż wyglądał tak, jakby za chwilę miał iść na jakiś wernisaż. Sama mogłaby założyć szary sweter z wielkim golfem, który miał na sobie.

– Kolekcjoner. Hmmm – pogładził się po brodzie. – To już bardziej.

– Więcej mi pan nie powie?

– Więcej nie musi pani wiedzieć.

– Czyli że się teraz przejadę i zaoszczędzę sobie piętnaście minut spaceru?

– W miłym towarzystwie, mam nadzieję.



– Nic o panu nie wiem. Czy jest pan miły, też nie wiem – zachnęła się.

– To, powiedzmy, uprzejmym. Zrobię pani przysługę. Jako że wkrótce będę się widział z panią Apolonią, przekażę jej...

– Co?

– ...jak bardzo niefortunne są dla pani jej zeznania.

– Znaczy, jest pan uprzejmy i dobrze poinformowany.

– Staram się być.

– To proszę jej powiedzieć – syknęła przez zaciśnięte zęby – że wpakowała mnie w poważne kłopoty. Grozi mi nawet więzienie. Nie wiem, co ona wyprawia, a najgorsze, że ja podobno nie mogę się nawet z nią spotkać...

– W takich sprawach adwokaci potrafią mieć rację – potwierdził i zatrzymał się przed pasami, by przepuścić matkę z dzieckiem. Karolina wbiła się w fotel. – Szczególnie jeśli sami chcą coś ugrać.

– Skąd pan to wszystko wie?

– Nie wszystko wiem. Dużo przypuszczam.

– Więc przekażę pan jej to?

– Ja mogę – uśmiechnął się. – Mnie nic za to nie grozi.

– Szczęściarz – burknęła Karolina i sama się zdziwiła, że powiedziała to na głos.

– W tych okolicznościach, tak – zgodził się.

– Tylko że ja naprawdę nic nie zrobiłam! A czy jej za składanie fałszywych zeznań to nic nie grozi? – zapytała nagle i ucieszyła się, że w ogóle przyszło jej to do głowy.

– Grozi, od pół roku do ośmiu lat. Ale czy wyobraża sobie pani, że jakkolwiek sędzia skaże stuletnią staruszkę za to, że inaczej zapamiętała okoliczności niż pani – spojrzał pytająco. – Pani, która nie będąc rodziną – dodał i zawiesił głos – pod jej nieobecność krążyła po jej mieszkaniu?

Karolina wbiła wzrok w boczną szybę. Znowu chciało się jej płakać,

a jedyne, co było pocieszające, to że za chwilę będzie w swoim mieszkaniu. Dojeżdżali. Coś zje, a potem pójdzie spać. Może za te parę godzin świat będzie wyglądał inaczej. Teraz padał śnieg z deszczem i wszystko było szarobure. Brodacz zatrzymał się na chodniku.

– Skontaktuję się z panią, gdy porozmawiam z Apolonią.

– Dziękuję bardzo – prychnęła i chwyciła za klamkę.

– Ale coś za coś – zatrzymał ją. Mówił poważnym tonem.

– To jednak nie jest pan bezinteresowny?

– Wydaje mi się, że nikt nie jest. Nawet święci oczekują nagrody w niebie. A zwykli śmiertelnicy, tacy jak ja, jeszcze na ziemi.

– Czego pan chce?

– Przekonam panią Polańczyk, aby odwołała swoje zeznania, w zamian za informacje od pani.

– Jakie? Co ja niby wiem?

– Interesuje mnie raczej to, czego pani jeszcze nie wie, a może się dowiedzieć.

– Ja już nie mogę wchodzić do tego mieszkania, zresztą nie mam kluczy. – Karolina otworzyła drzwi samochodu.

– Nie potrzeba. Wystarczy, że będzie pani w swoim mieszkaniu i przyjrzy się swojemu mężowi.

Zamknęła drzwi z powrotem.

– Słucham?!

– Jego firmie, jego wydatkom, jego wspólnikowi. Jakiegokolwiek nowej działalności. Wszystkiemu, co panią zainteresuje, a czego może nie wymieniłem.

– Słucham?! – powtórzyła.

– Nawet jak by najbardziej błahe się wydawało. – Wyliczał, a ona słuchała z otwartymi ustami.

– Mam... Mam... – jąkała się. – Mam śledzić swojego męża? – wydukała.

– Tak. Proponuję zerknąć na maile i telefony, esemesy, dokumenty.

– Pan chyba oszalał. To chore – oburzyła się.

– Nie. To układ między nami. Ja postaram się doprowadzić do tego, aby oczyszczono panią z zarzutów, i to zanim sprawa trafi do sądu, a pani straci pracę.

– Rany!

– W najlepszym przypadku. Pani Apolonia jest wiekową osobą, dosłownie, a sprawy w sądzie ciągną się czasem latami. Jeśli do tego czasu by zmarła... – zawiesił głos – to nie wiem, czy zdąży pani wszystko wyjaśnić. A włamanie pozostanie włamaniem.

– Kim pan jest?! – krzyknęła Karolina.

– Powiedzmy, że pani dobrym duchem – zamrugał oczami.

– Ja czegoś takiego nie zrobię, nie ma mowy!

– Zrobi pani! Już panią wystarczająco zaciekawilem.

– I wystraszył pan!

– Trudno. Nie było innej rady. Ale proszę się nie bać. Jeśli będzie niebezpiecznie, dam pani znać.

Karolina zrobiła wielkie oczy, po czym nabrała powietrza w usta.

– I co?! Wtedy wyciągnie pan pistolet zza paska? – wyrzuciła na jednym wydechu. Tak, żeby wiedział, że wie!

– Jeśli będę musiał – najspokojniej w świecie odrzekł brodac. – Tymczasem radzę mnie posłuchać. Zresztą nic pani nie zaszkodzi, gdy dowie się pani o swoim mężu trochę więcej. Prawda? – zapytał i nie czekał na odpowiedź. – Wtedy, przypuszczam, a dobry jestem w przypuszczeniach, że pani sama będzie chciała mnie spotkać. – Patrzył na nią wyczekująco, ale ona przez dłuższą chwilę nic nie była w stanie mu odpowiedzieć.

– Umowa stoi? – zapytał w końcu.

– Nigdy nie przeglądałam cudzego telefonu – przerwała ciszę.

– A może czasami warto – stwierdził z uśmiechem.

Karolina szła do mieszkania jak pijana. Na klatce schodowej oparła

się o skrzynkę na listy. Właściwie tylko po to, aby chwilę odetchnąć. Oddychała głęboko, ale nie uspokoiła się. Nagle dojrzała w skrzynce kopertę. Serce podskoczyło jej do gardła. Obok trzech zwykłych znaczków był też na niej znaczek z pelikanem. Przyklejony w prawym dolnym rogu.

Tego dnia, pamiętam jak dzisiaj, zasłuchałem się w śpiew kanarka. Mały, żółty ptaszek skakał w klatce z gałązki na gałązkę. Czegóż tam nie słyszałem, był i bas, i dzwoneczki, i flecik. Nutki króciutkie i przeciągłe. Wszystko to w jednym małym dziubku. Śpiewał tak chyba dla swojej ukochanej, której klatka wcześniej stała obok, a teraz pani Wiercimagowa z jakiegoś powodu umieściła ją po drugiej stronie salonu. Mały żółty brzuszek nadymał się, a ptaszek kręcił główką, jakby mi się żalił, trelując od dłuższego już czasu. Zazdrościłem mu tego głosu. Ja przed laty, gdy nikt nie widział i słyszeć nie mógł, próbowałem choć wołanie z siebie wydobyć, ale był to tylko jakiś jazgot ze świstem i charkaniem połączony. A dźwięk, który wydostawał się na zewnątrz, był tak wstrętnym, że nieraz musiałem uszy zakryć. Znieść go było trudno. Słowem, ile razy bym nie próbował, to efekt nie był podobny do niczego. A już na pewno ani do ludzkiej mowy, ani do ptasiego śpiewu. W końcu zaprzestałem prób.

Kanarek zmęczył się i siorbał wodę z malutkiego dzbanuszka. Panna Olcha też skończyła pisać, co znaczyło tyle, że wkrótce będę mógł ruszyć z listem.

– Janie Kanty, poradzić się ciebie muszę. Powiedz mi... – zwróciła się do mnie tonem, którego już się nie bałem, bo zazwyczaj nie chodziło o to, abym musiał rady udzielać, a raczej wysłuchać i przytaknąć, co przecież z reguły robiłem.

– Bo wiesz... nadeszła taka stanowcza chwila – stwierdziła, marszcząc czoło – że ja muszę użyć takiego tonu. To jest konieczne! Czytaj! – zażądała, podając mi list.

Przez chwilę się wzbraniałem, wykręcałem głowę. Ale wiadomo

było, że w końcu ulegnę. Już nawet mój pan się śmiał, że każdy kaprys panny Olchy gotowym jest zaspokoić, jakby moim własnym dzieckiem była. Co począć? Ja, gdybym mógł mówić i miał odwagę, to bym mu tę uwagę rykoszetem odbił. Bez pardonu. Bo lepszy ode mnie w tym nie był. Sam miękł, jak tylko pannę z okna widział, i zastanawiał się, co takiego przekornego znowu usłyszy. Ot, taka nasza słabość.

Czytałem więc list. W połowie przysiąść na kanapie musiałem. Był to list, jakiego żaden mężczyzna czytać by nie chciał. Tym bardziej zakochany.

*Łaskawy Panie!*

*Bardzo mi przykro, gdyż nie było to moim zamiarem, aby tak opacznie odczytać moje słowa i zrozumieć me zachowanie. Niedobrze się stało, żeś wyczytał Pan w moich oczach coś więcej ponad zwyczajną życzliwość. To grzeczność i wdzięczność przeogromna kazała mi Pana, jak i innych powstańczych żołnierzy, traktować ze szczególnym przejęciem. Lecz nie głębsze uczucie, jakiego – wyraźnie powiedzieć muszę – nie doświadczyłam.*

*Proszę mi więc wybaczyć, ale niestety nie uszczęśliwię Pana swoim wyborem. Przykro mi, że serce moje nie zapłonęło tym samym afektem co Pańskie, chociaż podobno z czasem szacunek i przyjaźń potrafią zmienić się w miłość. W tym przypadku jest to już wykluczone.*

*Ubolewam poza tym, że Pan widzisz we mnie tak wiele przymiotów, których ja, niestety, dopatrzeć się w sobie nie mogę. Jako że jednak na chęciach mi nie zbywa, dołożę wszelkich starań, aby choć w części osiągnąć ten stopień doskonałości, jaki mi Pan przypisujesz.*

*Tymczasem pozostanę dla Pana zawsze szczerze życzliwą*

O. J.

„OJ!”, westchnąłem w myślach. Tyle razy czytałem powieści w odcinkach, które właśnie przerwane były w takim momencie. Pamiętam, jak serce mi zamierało, z jakim przejęciem czekałem na ciąg dalszy, jak drżały mi ręce, gdy przerzucałem stronicę gazety w poszukiwaniu kolejnego odcinka. Odcinka, który niechybnie prowadził do jakiejś tragedii. Bo właśnie z powieści się dowiedziałem, że wzdarga przeogromną ma moc niszczenia, a jeśli od miłości początek swój bierze – to tym gorzej. Przestraszyłem się więc tego wszystkiego, co wydarzyć się może.

– Tak źle? – zapytała panna Olcha, stojąc nade mną.

Prawdopodobnie tkwiłem tak od dłuższego czasu w niezmiennej pozycji. Spojrzałem na nią i oddałem list, kręcąc przecząco głową. Nie chciałem być złym posłańcem.

– Nie zanieiesz tego? Przecież idziesz tam?

Machałem głową na boki uparcie i bez przystanku.

– Nie przesadzaj! Ktoś musi go zanieść.

Tak. Wszedłem tam. Dokładnie na Świętego Marcina 40, gdzie w hotelu mieściło się dowództwo powstania. Inny jednak list. List z podziękowaniami od mojego pana Heliodora, gdyż Rada Ludowa doraźnie tam stacjonująca zadeklarowała się po skończeniu walk cały ten budynek wraz z wyposażeniem oddać na cele przyszłej uczelni. Wielki gest poparcia! Był tam też i Stefan Haber, czekający na odpowiedź. Ale nie taką odpowiedź! Od takiej nogi ugiąć się mogą, cięte pod kolanem, a głowa wybuchnąć jak z armaty. Tego listu nie zamierzałem doręczać.

– Mam to w bawełnę owijać? – tymczasem wciąż zastanawiała się nad swoim listem Olcha. – Przełknie to jakoś – oświadczyła po chwili, choć już bardziej niepewnym tonem. – Pewnie trochę się skrzywi, ale...

– A cóż masz takiego gorzkiego? – zapytała Anka Cukierówna, która

właśnie wkroczyła do saloniku i zamaszystym ruchem zerwała kapelusz z głowy. Za nią, drobiąc małe kroczyki, weszła panna Laura.

– Moge? – Anka wyciągnęła rękę po list.

– Możesz – machnęła ręką panna Olcha, rzucając obrażone spojrzenie w moim kierunku.

– Osłodzić się tego trochę nie dało? – zapytała po chwili.

Panna Laura, która także czytała list, nachylając się zza jej pleców, z wrazenia zatkała ręką usta. Cała też zbladła.

– To przez was cały ten ambaras! – krzyknęła Olcha. – Ja w ogóle nie chciałam się z nim spotykać!

– Tak nie można! – jęknęła w końcu Laura. – On nie zasłużył na takie... takie... Nie tak! Rękę ciągle jeszcze ma sztywną...

– Lekarze mówią, że do wesela się zagoi – buńczucznie odpaliła jej Olcha.

– Ale teraz latać nie może... i jeszcze to? Jak możesz?

Wstałem i szykowałem się do wyjścia. Nic już tam po mnie było, a czas naglił.

– Lauro, tobie ostatniej moje wynurzenie powinno przeszkadzać! Janie Kanty, naprawdę? Nie zanieziesz tego?

Przytaknąłem. Nie zamierzałem nieść.

– Poczta wyślij – doradziła Anka Cukierówna. – Możesz też znaczek tak przylepić, żeby już go trochę ostrzec przed treścią. Może zna się na mowie znaczków.

– O czym ty mówisz?

– Podobno zaskakująco wielu mężczyzn potrafi odczytać tak zaszyfrowane informacje.

– A czemu niby to ma służyć?

– Żeby przy ludziach nie otwierał, bo jak otworzy, to zobaczą, jak go... szlag trafia. Mnie by w każdym razie trafił. – Pokazała na siebie.

– Gdzieś w ciemnicy z takim listem schować się powinien, głową w mur wałnąć z parę razy i dopiero wtedy ludziom się pokazać.

– Wszystko jedno, co się stanie. Chcę to już mieć za sobą – stwierdziła kategorycznym tonem panna Olcha i włożyła zapisaną kartkę do koperty. – Zwodzić go też nie ma co. I tak przez was tyle czasu to trwało!

– Może jakoś inaczej to ujmij – jęknęła Laura – mniej boleśnie.

– Wiem! – wykrzyknęła nagle Anka. – Lauro, ty go nieś!

– Ja?

– Tak, ty! Ubieraj się! Wręczysz, pokręcisz się obok, pocieszysz wdzięcznie absztyfikanta. Od takiego pocieszania niejedno małżeństwo szczęśliwie się zawiązało. Powiesz od razu, że ta panna to kreatura nieczuła, z sercem lodowatym. – I pokazała ręką na nadąsaną Olchę. – Oczywiście w przeciwieństwie do ciebie. I tak jesteś aniołem, a na jej tle będziesz archaniołem z pierwszego kręgu anielskiego. Mówię ci! Ubieraj się i pędź.

– Ja? – powtarzała Laura z niedowierzaniem.

– Tak, tak, ty. Jej jest wszystko jedno.

– Zgadłaś – przytaknęła panna Olcha.

– Idź, inaczej ja też swojego słodkiego pulaska nie spotkam. Sam się chyba nigdy przyjąć nie odważy. Zawsze w duecie z tym Habrem, i jak mak się przy tym czerwieni – westchnęła głośno, krzyżując ręce na piersi. – A wiem przecież, że śni o mnie po nocach.

– Skąd mniemasz, że śni – dociekała Olcha.

– Musi, nie ma wyjścia. Bo w tej intencji już dwa razy na mszę dałam – wyjaśniła z pełnym przekonaniem.

Z tym największy jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz – skwitował mój pan Heliodor Świącicki po tym, jak panna Jaworska streściła mu wszystko, co zaszło.

– Laura znieawidziła mnie chyba z całego serca – dzieliła się przypuszczeniami Olcha. – Wzrokiem by mnie zabiła. A powinna mi dziękować – podsumowała na koniec ze śmiechem.

– Nie ma co drwić z uczuć – dobrotliwie zauważył mój pan. – To



wielkie nieszczęście kochać, a być niekochanym. Mnie życie łaskawie potraktowało, zsyłając mi moją Helenę, w której rozmiłowany ze wzajemnością byłem do samego końca – wspomniał i posmutniał, jak zawsze, gdy z pamięci przywoływał obraz swej zmarłej żony.

– To może niech mi pan Heliodor powie, ile będzie potrzeba tych pieniędzy na studia – Olcha szybko zmieniła temat. – Bo ja mam, ale Anka Cukierówna to już musi zbierać i na tę okoliczność ciągle tę samą sukienkę ceruje. A ta już się w palcach rozłazi. Z kolei Laurze nie wiadomo, kiedy macocha uciąć może fundusze. Co rusz szpiegów wysyła, aby sprawdzali, czy włosów nie ścięła albo czy papierosów nie pali. Ba! Nawet wypytywał ktoś sąsiadów, czy aby wolna miłość jej nie w głowie! Bo uczyć chce się dziewczyna, a to już dla macochy podejrzane. Na szczęście Laura wystosowała do niej list i zagroziła, że jej taką miksturę spreparuje i podłoży, po której wszystkie zęby na raz wypadają, a potem włosy. I robi to szybciej, niż ta kogel-mogel ukreści.

– O czymś takim nie słyszałem – śmiał się szczerze mój pan.

– Laura też jeszcze nie, ale że coś zabójczego uszykować potrafi, to wierzę. I na szczęście macocha też – podkreśliła słowa wymownym gestem. – Ale o studiach się miałam dowiedzieć przede wszystkim.

Mój pan po raz kolejny zerknął do swoich notatek, sporządzonych po kolejnym posiedzeniu Komisji Organizacyjnej. Miał je porozkładane na biurku, patrzył w nie, chociaż myślę, że znał wszystkie wypisane tam cyfry na pamięć. Często je powtarzał w rozmowach z poznańskimi oficjelami. I szykował się przecież do rozmów w Warszawie. Uznał więc, że dobrze będzie na nas poćwiczyć.

– Cóż. Potrzebujemy na początek... – Chwilę się zastanowił. – Na profesora trzeba liczyć gdzieś z dziesięć tysięcy rocznego wydatku, na docentów po dwieście marek za godzinę tygodniowo w semestrze. Przy trzech semestrach będzie to – uniósł oczy do góry – razem ze sto dziewięćdziesiąt sześć tysięcy... Jeszcze na lektorów francuskiego

i angielskiego. I co najmniej pięć laboratoriów przyrodniczych, każde pochłonie pewnie po piętnaście tysięcy... Jeszcze na asystentów – zamyślił się na chwilę, a panna Olcha miała oczy coraz szersze ze zdziwienia. – Na okrągło tak licząc, jakieś trzysta tysięcy – podsumował. – Ha! Jeszcze pięć tysięcy na cele administracyjne. Dziesięć tysięcy opał plus oświetlenie. Portierzy... Razem więc na początek potrzebuję trzystu dwudziestu tysięcy marek! – wykrzyknął.

– Tyle to chyba nie mam – zapiszczała. – Ale co mogę... Boże! Ile to będzie kosztować? A Anka? Stosunki pieniężne u niej raczej smutne. Co ja mam jej powiedzieć?

– Wiadomo, panno Olcho, że studenci wszystkiego opłacić nie mogą. Po to też do Warszawy się wybieram, o pieniądze walczyć. Znaleźć się muszą. Bez tego nie wychowa się ani naukowców, ani lekarzy. Społeczeństwo rozwijać się nie będzie...

– Ale jedna studentka, dajmy na to, ile musi włożyć?

– Ach! – zreflektował się doktor Świącicki. – Na dziś, myślę, że wykłady kosztować muszą po pięć marek za godzinę. Na semestr oczywiście – dodał szybko, widząc, jak Olcha blednie.

– Nie mało dla niej, ale da się chyba uzbierać – podrapała się w głowę.

– Na pewno, na pewno. A teraz przepraszam, muszę już iść, bo jutro jeszcze jadę do Krakowa. Na Uniwersytecie będę rozpytywać, jak przedstawiają się młode siły naukowe w anatomii, fizjologii, chemii i fizyce, które na przyszłych profesorów nadawać by się mogły. I do profesora Wrzoska. W sprawie panny studiów lekarskich. Wszystko chcę urządzić podług jego planu. Czas już na mnie – dodał i wstał. Ja również się podniosłem do wyjścia, ale panna Olcha jak zakłętą siedziała na sofie. Jakby ją podane cyfry ciężarem swej wielkości do mebla przybiły.

– Tak myślę, że ona jednak nigdy tyle nie uzbiera – stwierdziła poważnym głosem. – Chyba musze jej to jakoś ufundować. Ale czy

weźmie? Pokłóciłyśmy się strasznie, a ona jest taka dumna...

– Niech się panna Olcha nie martwi – szybko wyjaśnił mój pan. – Dla składających odpowiednią liczbę kolokwiów będą zniżki. Względnie dla najzdolniejszych upust zupełny. Kłopotać się zawczasu nie trzeba. Już nasza w tym głowa. – Podeszedł do panny Olchy i pogładził ją po głowie.

– Swoją drogą, Janie Kanty – zwrócił się do mnie – testament mój spisać trzeba. – Przełknąłem, bo gardło ścisnęło mi się niczym pętlą zadzierzgniętą.

– Na przyszłość, Janie Kanty, na przyszłość – uspokoił mnie pan, ujrawszy moją minę. – Majątku mojego tak użyć trzeba, żeby fundację stworzyć. Tak, fundację, by pieniądze przeznaczone na uczelnię posadowić na kupieckich zasadach. Majątek nabyć, aby jeszcze wiele lat po mojej śmierci pracował na rzecz uniwersytetu i przynosił zyski. Choćby takim studentkom – dodał z uśmiechem, patrząc na piegowaty nos panny Olchy Jaworskiej.

W tamtym czasie miałem już za sobą podróż do Krakowa. Oczywiście w Towarzystwie mojego pana Heliodora, który bez pomocy i wsparcia jagiellońskiej uczelni nie wyobrażał sobie powstania uniwersytetu w Poznaniu. A już absolutnie jego wydziału lekarskiego. Jakież to wielkie szczęście, że za osobę posiadającą moc i umiejętności do wykonania tego zadania uznał profesora Adama Wrzoska. Niebiosa nam go zesłały. Ale w tamtym czasie przeraziłem się na jego widok. Wyglądał jak magik. Widziałem raz jednego takiego magika w Apollo na własne oczy. Nazywał się Alfredo Uferini. Pojąć nie mogłem, jak z cylindra normalnych rozmiarów wyjął on pół tuzina budzików na chodzie i parę sztuk żywego drobiu.

Takim też czarodziejem zdawał mi się profesor Wrzosek, który podobno z równą łatwością kule z ludzi wyjmował. Co przydatne jest bardziej. Poza tym czegoż on nie robił, czym się nie interesował?

Pewnego razu w jego mieszkaniu mój pan tak nieopatrznie uchylił

drzwi do profesorskiego gabinetu, że zrobił przeciąg, od którego wzbiły się w powietrze i porozrzucały chmury notatek. Rzuciłem się od razu do łapania latających papierów, a potem czas dłuższy układałem je skrupulatnie. Czego ja tam wtedy nie widziałem. Artykuły już samymi tytułami o zaczerwienienie mnie przyprawiły. Ale jak tu się nie zarumienić, gdy przed oczami ma się kolejne kartki rozprawy o życiu płciowym studentów Uniwersytetu Moskiewskiego w świetle ankiety z tysiąc dziewięćset piątego roku albo badania nad wykopanym szkieletem ciężarnej kobiety z wczesnego średniowiecza. Albo artykuły o składzie chemicznym trucizn. O tych ostatnich i ja w niedługim czasie dowiedzieć się miałem. Jak Bóg mi świadkiem, wiedza się przydaje.

Karolina weszła do domu i usłyszała szmer w pokoju Maxa. Nie poszła tam od razu. Odłożyła torebkę, poszła zostawić kopertę na stoliku w kuchni. W końcu wzięła głęboki wddech. Nie wiedziała, jak na niego spojrzeć. Od czego zacząć. Tłumaczyć się? Obrazić? Przepraszać? Nie odebrał telefonu. I według brodacza miał jakieś tajemnice. Może to nic takiego. Ona przecież też mu wszystkiego nie mówiła. Choć to były drobnostki, przynajmniej wcześniej tak jej się wydawało. W końcu postanowiła mówić jak najmniej, przespać się i później wszystko przemyśleć.

– Cześć – powiedziała, odważnie popychając drzwi. I zdziwiła się.

– Cześć – odpowiedział jej Wiktor. Musiał nie dosłyszeć, jak weszła, ale też nie przejął się zbyt. Odłożył trzymane w rękach papiery, przysunął bliżej siebie dużą, skórzaną, bordową teczkę.

– Myślałem, że wychodzisz po dziesiątej. Wypuścili cię czy miałaś ze sobą brzeszczot?

Karolina zrobiła głupią minę. Nie spodziewała się takiego powitania, ale też trochę jej ulżyło. Zrobiła się spokojniejsza.

– Przedterminowe zwolnienie – zażartowała kwaśno. – Za dobre sprawowanie. Gdzie Max?

– Nocował u mnie.

– A teraz gdzie jest? – dopytywała, zastanawiając się, ile czasu będzie miała jeszcze na przeglądanie jego rzeczy i na spanie. Oraz w jakiej kolejności się do tego zabrać.

– Chyba jest w pracy.

– To dobrze. Wieczorem z nim porozmawiam – ucieszyła się w duchu, czując, że i tak zaraz padnie.

– Raczej chyba jutro. Może do ciebie zadzwoni – powiedział Wiktor.

– Co? Dlaczego? – ziewnęła, nie zrozumiała.

– Wiesz, jaki jest.

– Jaki? – Patrzyła, jak Wiktor chowa plik kartek do teczki.

– Wstrząsnęło to nim. Trochę. Przejdzie mu. Dojdzie do siebie.

– To nieporozumienie. Nie musi nigdzie dochodzić.

– Mówił, że to dla niego za wiele.

– Czego za wiele? – Karolina zaczęła się niepokoić.

– Przejdzie mu. To jeszcze dzieciak. Naburmuszył się i tyle. – Wiktor machnął ręką, zamknął teczkę i włożył ją sobie pod pachę.

– A ty co tu robisz? – zainteresowała się.

– Max prosił mnie, abym wziął parę rzeczy. Trochę papierów. Trochę rzeczy z łazienki.

– Słucham?! – niedowierzała. – Jak to z łazienki?

– Tylko najpotrzebniejszych. Masz jakąś torbę albo nawet reklamówkę? Włożę szczoteczkę...

– Nie wierzę. – Kręciła głową.

– To nic takiego, minie.

– Sam sobie poszukaj – machnęła ręką i sama się sobie zdziwiła.

Normalnie zaczęłaby płakać, ale teraz spokojnie poszła do kuchni, powłócząc nogami. To wszystko, co działo się wokół niej, było tak nierzeczywiste, że przestała już logicznie myśleć. Problemów namnożyło się takie mnóstwo, że w swej masie przestały być ważne. Marzyła jedynie o spaniu, bo przecież nawet najgorszy koszmar nie

może być tak dołączający jak życie w realu. „Zrobię sobie herbaty z imbirem”, pomyślała, „otulę się w koc... albo w bluzę Maxa, a on w tym czasie się uspokoi”. Bluza wisiała przewieszona na oparciu krzesła. „A gdy się obudzę, poczytam”, postanowiła, spojrzawszy na kopertę. I na znaczek z pelikanem. Nawet on był niechlujnie przyklejony, jakoś do góry nogami i pod kątem. Przyjrzała się mu. Dał się nawet podważyć paznokciem. Lekko go odgięła i zajrzała pod światło, ale nie było tam nic napisane. Usłyszała, jak Wiktor wychodzi z łazienki. Odłożyła list, wstawiła czajnik z wodą i założyła bluzę z Simpsonem na plecach.

– Chyba wszystko już mam – poinformował ją Wiktor, stając w drzwiach kuchni. Karolina ponownie wzruszyła ramionami.

– Nie przejmuj się – dodał. – Może tak się lepiej...

– Nie przejmuję się – przerwała mu i schowała ręce do kieszeni bluzy. Wyjęła z nich kilka papierów po batonach i jakieś papierki. Rzuciła ten śmietnik na stół. – Mam teraz większe zmartwienia.

– Pomogę ci, jak będzie trzeba – zaproponował i stanął tuż za nią.

– Poradzę sobie – wlepiła lekko już nieprzytomny wzrok w stół i kopertę i nagle zastygła.

– Wiem. – Chwycił ją za ramiona. – Może nawet ty jeszcze tego o sobie nie wiesz...

– Czego nie wiem? – Była już lekko zirytowana.

– Jesteś silniejsza, niż myślisz...

Wiktor mówił coś pocieszającego, ale Karolina go nie słuchała. Zapatrzyła się na znaczek. Znaczek, który wcale nie był niechlujnie krzywo przyklejony. On był idealnie krzywo przyklejony. Równiutko na skos. Jego oba rogi stykały się z brzegami koperty. To nie mógł być przypadek. Przecież czytała coś o mowie znaczków. „Babcia przesyła jakąś wiadomość! Muszę tylko dowiedzieć się jaką. Gdzie to znaleźć? O co chodzi?”, setki pytań zaczęły biegać jej po głowie.

– ...silniejsza niż Max – mówił dalej Wiktor, prawie szepcząc jej do

ucha.

Odsunęła kopertę i spojrzała na niego. Miał głupią minę, dziwnie rozdziawione usta.

– ...on czasami zachowuje się jak dzieciak – ciągnął dalej Wiktor, mówiąc przesadnie cicho – ...ale ty jesteś zupełnie inna, inna niż wszystkie, jakie znam... – mruczał, próbując ją objąć jedną ręką, a drugą odgarniając włosy z jej twarzy i dotykając policzka.

Wzdrygnęła się. Odskoczyła. Nie miała pojęcia, jak się zachować. Nigdy nie była w takiej sytuacji. Na szczęście czajnik zaczął głośno świszczeć. Okręciła się nerwowo w kółko, szukając jakiegoś zajęcia, by rozproszyć uwagę Wiktora i mieć czas na zastanowienie się. Zgarnęła ze stołu papierki po batonach, żeby wyrzucić je do kosza. Ale ręką natrafiła na twardą wizytówkę. Spojrzała na nią. Przeliterowała dwa razy i o mało nie padła z wrażenia.

– MAXYMILIAN ROSADA, Prezes Fundacji Nauka i Praca – przeczytała w końcu na głos. – Co to jest? – zapytała, obracając wizytówkę w dłoni. Przeczytała jeszcze raz. Pod nazwiskiem i funkcją był jego numer telefonu i ich aktualny adres. Dokładnie ten, pod którym teraz była.

– Mieszkam w siedzibie fundacji – dotarło do niej. – Wiesz coś o tym?

– To nic takiego. Formalność. Nie mówił ci? – Wiktor się odsunął i zaczął wycofywać w kierunku drzwi.

– Nie, nie mówił. Jak to nic takiego? – Nagle całkowicie się obudziła.

– To może sam ci powie, jak się spotkacie. Ja nic nie wiem. To jakieś jego interesy.

– Jakie interesy? Prezes?!

– Też się zdziwiłem – motał się Wiktor i z teczką pod pachą ruszył w kierunku wyjścia. – Razem z mieszkaniem to przejął. Jakoś tak. Lecę. – I już otwierał drzwi.

– Jakim prezesem? Wiktor! Jak to z mieszkaniem?  
– Chyba była już tu wcześniej fundacja.  
– Co to znaczy, że była?  
– Spytaj jego – wymigiwał się.  
– Ale po co to?  
– Jak to po co? Dla pieniędzy, Max na maxa! – odpowiedział jej Wiktor, rozkładając palce w literę „V”.

– Poczekaj! – Karolina bezskutecznie próbowała go zatrzymać. Nie udało się. Zbiegł na półpiętro, przeskakując po kilka stopni na raz. Potem już tylko słyszała szybkie kroki na schodach. Została sama w mieszkaniu w kamienicy przy ulicy Mickiewicza.

Jeszcze raz włączyła czajnik. Wzięła kubek z herbatą i podeszła do okna. Sama nie wiedziała po co. Żeby krzyknąć coś do Wiktora, a może tylko popatrzeć? Przysiadła na parapecie z nosem przytulonym do szyby. Ale on długo nie wychodził. Zadzwoiła do Maxa, ale nie odbierał. Pisać do niego nie miała siły. Poczytała chwilę i nie zauważyła, kiedy zasnęła. Z kubkiem w ręku, do którego nie wkroiła imbiru. Ani nie naląła wody.

Tej wiosny szczęśliwej roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastego, którą teraz po dwudziestu latach wspominam i z pamięci przywołuję, mój pan miał już prawie sześćdziesiąt pięć lat. Wiek to już dosyć poważny był dla mężczyzny, który usilnie dbał przez całe życie, by chwili wolnego nie mieć, ciągle coś robiąc dla ludzi. O siebie zbytnio nie dbał. Jedyne wyjątek czynił dla długich spacerów za miasto. Zima czy lato, rezerwował sobie czas, aby dojść do Chwaliszewa albo aż do dalekich Jeżyc. Mówił, że to jeden z najpewniejszych, a przy tym najtańszych środków higienicznych dla podtrzymania zdrowia i krzepienia na starość ludzkich organizmów. Lepszy niż piwo bawarskie, węgryń, a nawet morfina. Sam to robił i innych też nakłaniał.

I ja nadal, choć nogi już ledwo mnie noszą, a głowa ku ziemi się



kłania, lubię jeszcze bruk laską ostukiwać. Dzień w dzień, czy to zima, czy jesień, podążam ustalonym szlakiem tutejszych ulic i podziwiam to luksusowe skupisko okazałych willi. Idę więc sobie z wolna, podpierając się co krok. Najpierw spaceruję ulicą Dąbrowskiego, co kiedyś była Wielką Berlińską. Potem wracam ulicą Sienkiewicza, która wcześniej upamiętniała wszystkich Wettynów. A na koniec skręcam w ulicę Mickiewicza, dawniej nazwaną na cześć Hohenzollernów. I cieszy mnie to, że niemieckie dynastie przeminęły, razem z tym Wilhelmkiem, co musiał uciekać do Holandii i swój cesarski zamek nam zostawił.

Teraz wystarczy tylko wspomnieć, że zima tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku trwała w najlepsze, gdy zakończyło się zwycięskie powstanie. Dzieciaki jeszcze na saneczkach z ulicy Podgórnjej wesoło zjeżdżały, korzystając ze śniegu, co się na ulicach rozłożył, gdy gdzieś w Trewirze, daleko za naszymi granicami, ustalono rozejm. Na jego mocy zabroniono Niemcom przekraczać tę linię, którą obwiedziono Wielkopolskę. Niezbyt jeszcze dokładnie i potyczki w niejednym miasteczku trwały aż do lata, ale nasz Poznań już całkiem polskim stał się miastem, w którym teraz my rządaliśmy, a nie nikt inny.

Radości tej opisać się nie da.

Zboczyłem jednak z opowieści, szybko więc do niej wracam i znów przywołuję tę wiosnę, kiedy nasz uniwersytet z idei raczkującej pewnie stawał na nogi. W niewiele ponad pół roku! Mój pan do śmierci miał jeszcze wtedy lat kilka. Serce spracowane nieraz mu już pogroziło biciem szybkim ponad miarę, ale nie zważał na nie wcale. Mierzył siły na zamiary. Jakby wiedział, że czasu już nie ma. Nawet trzydziestoparoletni Kostrzewski mawiał, że mój pan Heliodor zaraża go młodzieńczym entuzjazmem i przymusza do jeszcze bardziej wytężonej pracy.

Ja sam z uśmiechem wspominam szeroko otwarte oczy tego

młodego Kostrzewskiego, przyszłej sławy archeologa, który może nawykł do grzebania w ziemi, ale w tym czasie do jeszcze bardziej przyziemnych prac był oddelegowany. Heliodor Świącicki wyznaczył mu na przykład misję urządzenia akademickiej stołówki i rekrutowania do niej siły fachowej. Aby nam profesorowie, którzy przybędą do Poznania już na wiosnę, karier swoich upatrując na nowym uniwersytecie, z głodu nie pouciekali. A także studenci, co z reguły kieszenie mało wypchane groszem mają, nie pomdleli na zajęciach, oszczędzając na jedzeniu.

Zachodzę w głowę, o ilu to rzeczach trzeba było pomyśleć? Ile przewidzieć? Ile zorganizować? Ile się napracować, by potem panny z rozwianymi włosami biec mogły na wykłady... albo też wymyślać rzeczy radosne i niespodziewanie wzniosłe. Jak Olcha, która kiedyś wpadła do pałacu z pięknie wykaligrafowaną petycją, że absolutnie niezbędne i wymagające szybkiej akceptacji jest utworzenie Akademickiego Związku Miłośników Lotnictwa. „Tworzy się Polska Flota Napowietrzna – napisano w niej – i mamy prawo zaznajomić się z układem i budową naszych statków aeronautycznych!”. Musieliśmy mieć z panem Heliodorem oczy szeroko otwarte z wrażenia, bo pamiętam doskonale, jak w dalszej kolejności panna Olcha energicznie tłumaczyła się z tego pomysłu.

– Przysięgam uroczyście, że jedynie naukę i pracę przy tym mam na celu! – Wyglądała jednak przy tym poprzez okno, co chwilę w niebo patrząc. Wiadomo było, że wielkopolska eskadra lotników wraz z Teofilem Owińskim daleko gdzieś w Galicji Wschodniej walczyła samolotami, które na Ławicy zdobyto, i że lotnik ten miał się niebawem w Poznaniu pojawić. Panna Olcha takie więc powitanie mu szykowała.

Wiosna tego roku była do innych niepodobna. Mowa polska rozbrzmiewała wszędzie, głośno i radośnie. Może trudno to zrozumieć dziś, kiedy wszystko spowszedniało, ale wtedy była dla uszu naszych

niczym świergot ptaków, którym nikt nie przeszkadza we własnym języku trele odprawiać. Jak i nam wtedy radośnie było mówić po swojemu i cieszyć się, że ten straszny potop przetrwaliśmy, nie zapomniawszy ani trochę, jak się mówi po polsku. Nawet ja, choć milczący, na każdym rogu ucho nadstawiałem, aby kolejny raz się upewnić, że już nie niemiecki, a polski język na ulicy panuje. Już przecież Sienkiewicz, gdy przyjął zaproszenie mego pana do Pałacu Działyńskich, wygłosił płomienne przemówienie, w którym mówił: „Bóg, tworząc Polaków, rzekł im: oto na domiar wszystkiego daję wam złoto błyszczące a giętkie, daję wam spiż dźwięczny a niespożyty, a wy z tego tworzywa uczynicie mowę waszą. I została mowa giętka jak złoto, niespożyta jak spiż, a tak wspaniała, piękna i dźwięczna, że chyba tylko język dawnych Hellenów może się z nią porównać”.

Kurwa, ja pierdołę!

Karolina spojrzała w okno. Młoda dziewczyna krzyczała, wyciągając wózek, którego małe kółko utkwiło w chodnikowej szparze. Dziecko płakało wniebogłosy. Karolina przetarła powieki. Nie miała pojęcia, jak długo spała siedząco na parapecie. Na pewno do momentu, w którym zdrętwiało jej ciało. Powłócząc nogami, doczłapała się do łóżka. Ale tam z kolei przewracała się z boku na bok i myślała o wszystkim i o niczym. O Maxie, fundacji, więzieniu, brodaczu. W końcu o liście. Kartki wyciągnęła, ale koperta ciągle leżała krzywo przyklejonym znaczkiem do góry. Pelikan wysoko zadzierał dziób.

„To najszybciej mogę rozwiązać”, pomyślała i zwlekła się z łóżka. Zaczęła rozglądać się po półce z książkami. Tliła jej się w głowie myśl, że gdzieś może to mieć. I znalazła. Starą książkę o sztuce pisania listów miłosnych. Jakiś prezent, który swego czasu uważała za co najmniej nieudany. Przydał się po latach. Po jakichś wzorach korespondencji, zaszyfrowanych kolorach, mowie kwiatów przyszła kolej na znaczki. Każdy sposób przyklejenia go na kopertę był wyrysowany. Każdy układ coś znaczył, każdy mówił co innego. Był

i ten w dolnym prawym rogu. Pod kątem. Znalazła objaśnienie:

Nie mogę się teraz z tobą spotkać. Niby pasowało, ale co z tego? Zajrzała do środka.

Nic więcej, tylko parę kartek. Jeszcze bardziej ją dołujących. Wizytówka wciąż leżąca na stole mówiła o tym, że jej mąż był prezesem fundacji. Że nie dla dobra publicznego, tego była pewna.

Rzuciła książkę na łóżko i wpatrywała się w ten niewielki kartonik. Co to niby ma znaczyć? Bo że na nieszczęście dla niego, że źle na tym wyjdzie... tego była pewna. Najgorsze w tym wszystkim było to, że przez swoje drobne tajemnice sama dostarczyła mu wymówek. Teraz bała się tego, co z nich wyniknie. Zwinęła się w kłębek i cała nakryła kocem. Po chwili już drzemała. Śniły jej się kraty, a pomiędzy nimi ona i Max. Każde w swojej celi.

Poczuła ulgę, gdy coś mocno stuknęło i się przebudziła. Nie była pewna, czy to jej się śniło, czy słyszała coś za oknem. Odczekała chwilę. Znowu jakiś stłumiony łomot. A w końcu urwany krzyk. Odkryła się. Otworzyła szeroko oczy i nasłuchiwała. Hałas się powtórzył. Jakiś jazgot, a wraz z nim głos kobiety. Coraz głośniejszy. Krzyczał, mówił, klócił się... nie słyszała o co. Nie rozróżniała pojedynczych słów, ale była prawie pewna, że dobiega z dołu! Zerwała się z łóżka. Założyła bluzę. Zbiegła piętro niżej.

Papierowa taśma na drzwiach mieszkania babci była zerwana! Karolina przyłożyła ucho do drzwi. Nic nie usłyszała. Może jednak stukot. Szuranie. Położyła rękę na klamce. Już chciała ją nacisnąć, ale odskoczyła od drzwi jak oparzona.

„Co ja robię?“, walnęła się otwartą dłonią w czoło. Dosyć mocno! Przecież przed chwilą wyszła z aresztu, oskarżona o próbę włamania. Właśnie do tego mieszkania. Rękawem bluzy wytarła klamkę i miejsce, do którego przylegało ucho.

„Co zrobić?“, pytała sama siebie. „Zadzwoić na policję?“. Miała nawet numer do posterunkowego... Ale co powie? Ktoś włamał się

domieszkania, do którego niby ona się włamała? Co powiedzieć? Ale zadzwonić musi! Na pewno nie ze swojego numeru telefonu. Do prawników też przecież nie pójdzie... Szybko weszła na górę, nałożyła kurtkę, złapała worek ze śmieciami i zbiegła na dół. Postanowiła zaczepić pierwszą lepszą osobę. Pierwsza lepsza napatoczyła się dziewczyna z małym pieskiem na smyczy. Właścicielka prawie na niego nie patrzyła, tylko pisała coś w smartfonie.

– Przepraszam, mogę pożyczyć? – Karolina pokazała na telefon i uniosła worek ze śmieciami na wysokość nieprzytomnego wzroku dziewczyny. – Zatrzasnęłam drzwi do mieszkania – tłumaczyła, robiąc błagalną minę. – Muszę zadzwonić po męża. Inaczej tu zamarznię. Proszę – poprosiła, składając ręce.

Spacerowiczka jeszcze przez chwilę na nią patrzyła, kliknęła jeszcze parę razy w ekran i podała niepewnie swoją komórkę. Pies, wykorzystując sytuację, pociągnął ją parę metrów dalej, pod najbliższe drzewo. Karolina odwróciła się bokiem do niej i wykręciła numer do posterunkowego spisany na świstku papieru.

– Dzień dobry, ktoś się włamał do oplombowanego mieszkania na Mickiewicza – powiedziała bardzo poważnym tonem, na mocnym przydechu.

– Kto dzwoni?

– Przechodzień – odparła i się rozłączyła. Oddała dziewczynie telefon. Ta bez oglądania się na nią od razu zaczęła dalej klikać i ciągnąć psa.

Karolina, zadowolona, poszła wyrzucić śmieci i zaczęła się w bramie naprzeciwko. Posterunek policji nie był daleko. Miała zamiar poczekać i wrócić, jak już będą na miejscu. Żeby nikomu nie przyszło do głowy, że sama tam poszła. Jednocześnie zaś nie spuszczała z oczu drzwi wyjściowych, żeby nie przeoczyć kogokolwiek, kto mógłby stamtąd wychodzić.

Stała tak oparta o futrynę, gdy wróciła dziewczyna z psem,

spojrzała, zmrużyła oczy i strzeliła jej zdjęcie telefonem.

– Od razu wiedziałam, że kłamiesz – wypaliła bez ogródek. – Ten niby pani mąż oddzwonił... I powiedział, że jest kawalerem, ale chętnie panią zobaczy – dodała i kliknęła w telefon. – Już pewnie widzi – burknęła pod nosem. – Właśnie zobaczył.

Karolina chwyciła się za głowę. Tak głupia chyba nigdy jeszcze nie była. Nigdy się już z tego nie wytłumaczy. Po co to zrobiła? Myślała, że już gorzej być nie może, gdy do tego wszystkiego zaczął szczekać pies. Spojrzała na niego, a wtedy rozległ się rozdzierający krzyk. Dziewczyna odwróciła się i zaczęła okropnie piszczeć. Karolina przechnęła ją na bok i w tej sekundzie ujrzała czarny płaszcz. Szybował w powietrzu parę metrów nad ziemią. Pod nim zamachały ręce. Trwało to setne sekundy, potem rozległ się tępy dźwięk uderzenia ciała o chodnik. Dziewczyna piszczała, pies ujadał. Gdzieś na końcu ulicy rozległy się policyjne syreny. Karolina przebiegła na drugą stronę jezdni. Zatrzymało się kilka samochodów. Zewsząd podbiegali ludzie. Kobieta z rozłożonymi rękami i nogami leżała twarzą do ziemi w coraz większej kałuży krwi. Obok leżały buty i moherowy czarny beret.

Karolina spojrzała do góry. Okno w mieszkaniu staruszki było otwarte. Popatrzyła na drzwi kamienicy. Nikogo nie widziała. Ale też wejście zasłaniało już kilku stojących tam gapiów. Właścicielka psa ciągle zawodziła, wydając z siebie nieartykułowane dźwięki.

W końcu podjechał radiowóz. Karolina była pewna, że wyjdzie z niego posterunkowy Hęciak. Samochód musiał wyjechać spod komendy zaraz po jej telefonie. Nikt nie zdążyłby jeszcze zadzwonić. Nie myliła się. Z auta wysiadł znajomy jej posterunkowy i błyskawicznie wyłowił ją wzrokiem z powiększającego się tłumu.

– Proszę tu poczekać – zwrócił się do Karoliny. – Dzwon po pogotowie! – rozkazał swemu partnerowi, a sam wbiegł do klatki w kamienicy.

Karolina stała z otwartymi ustami. Najpierw patrzyła na otwarte na górze okno, z którego wywiewało firankę. Potem na leżącą kobietę, którą na szczęście otoczył tłum ludzi tak gęsty, że widziała coraz mniej. W końcu oparła się o ścianę, bo nie potrafiła już ustać na nogach. Sama nie wiedziała, w którym momencie, zjechała po niej plecami i w przykucniętej pozycji siedziała na ziemi. Twarz schowała w dłoniach. Znała tę kobietę. Widziała ją. To, co do tej pory się działo, było straszne. Areszt, cela, kaucje, oskarżenia. Jednak wszystko to razem nie było tak przerażające jak bezwładne ciało kobiety i leżący obok beret. Brodacz mówił, że może się zrobić groźniej. Uznała to za absurd, a teraz sama musiała przyznać, że może być gorzej.

– W sumie ma pani szczęście. – Karolina podniosła głowę. Stał nad nią posterunkowy.

– Tak pan sądzi?

– Ma pani świadka, więc od razu można panią wykluczyć.

– Z czego?

– Kręgu podejrzanych. Że nie było pani tam na górze, gdy ta kobieta wypadła za okno.

– Nie, nie było mnie – odpowiedziała Karolina, chwytając się za głowę. Już nie nadążała za rozwojem wydarzeń.

– Ani w mieszkaniu pani Polańczyk. Zdaje się – dodał, patrząc w górę.

– Tak, mam szczęście – ledwo przytaknęła. Wstała, chciało jej się wymiotować. Podawał jej rękę, ale nie skorzystała.

– Nie przyszłoby mi do głowy, że ktoś będzie chciał mnie w to... wkluczyć – zachnęła się.

– Znała ją pani?

– Nie wiem, jak się nazywała. Pani Apolonia Polańczyk powinna wiedzieć. Ale w sumie przecież i tak nie wiadomo, co powie. Może, że jej na oczy nie widziała? Kto wie.

– Sprawdzimy – powiedział posterunkowy, zapisując coś w małym

notesie.

– Sprawdźcie. – Karolina wzruszyła ramionami.

Chciała już sobie pójść. Zobaczyła, jak w karetce ktoś daje roztrzęsionej dziewczynie zastrzyk. Pomyślała, że też chciałaby taki dostać i pójść znowu spać. A najlepiej obudzić się, jak to wszystko się wyjaśni. „Chociaż leżącej kobiecie już się coś wyjaśniło”, pomyślała i zatkała ręką usta. „A jeśli nie wypadła sama?”. Spojrzała w okno. „A jeśli ktoś ją wyrzucił?”.

– Widziała pani kogoś? – policjant powiódł za nią wzrokiem.

– Nie.

– To dlaczego pani dzwoniła?

– Bo słyszałam jakieś hałasy.

– Jakie?

– Nie wiem, jakie. Krzyk, szuranie...

– Jednej czy dwóch osób.

– Jakby jednej, ale kłócącej się. Może z kimś... tej drugiej osoby nie słyszałam. Raczej.

– Nie weszła pani sprawdzić?

– Nie! – wywrzeszczała.

Odetchnęła, gdy sobie przypomniała, że wytarła rękawem odciski.

– Sprawdźmy.

– Sprawdźcie – jęknęła z bezsilnością. Z wszystkiego, co ostatnio robiła, musiała się tłumaczyć. – Po to przecież dzwoniłam, żeby nie wchodzić! Przecież byście mnie znowu oskarżyli o włamanie. Papierowa taśma już była przerwana.

– Proszę się uspokoić. Powiedziałem przecież, że ma pani szczęście – westchnął policjant. – Mam dowód w swojej komórce, że była pani w tym czasie na zewnątrz – dodał i pokazał jej zdjęcie w swoim telefonie. Stała w bramie z otwartymi ustami, gdy dziewczyna strzelała jej fotkę. Wyglądała strasznie. Normalnie kazałaby takie zdjęcie skasować natychmiast, teraz jednak cieszyła się, że na nim jest.



– Widziała pani kogoś w oknie? – dopytywał policjant.

– Nie. Zobaczyłam ją tuż nad ziemią. Potem tylko ta firanka.  
Wywiało ją.

– A ktoś nieznany wychodził z bramy?

– Nie, nie widziałam.

– Sama pewnie wyskoczyła – myślał głośno posterunkowy, zapisując coś w notesiku. – Mamy jej dane? – zwrócił się do podchodzącego do nich policjanta.

– Jeszcze nie. Leży na jakiejś torbie chyba, ale nie chcę jej ruszać, zanim nie przyjedzie prokurator. Taśmujemy teren.

Karolina stała pomiędzy policjantami, ale kątem oka zobaczyła w oknie kancelarii adwokackiej głowę prawniczki wychylającą się zza zasłonki.

– Ona ją zna! – Pokazała palcem. – Widziałam raz, jak się kłóciły.

– Kto? – zapytał zaciekawiony policjant.

– Ona – powtórzyła, mierząc palcem w okno. – Ona nie musiała wychodzić z bramy. Mogła być w środku – dodała perfidnie. Było jej miło, że teraz prawniczka będzie musiała się tłumaczyć. Nic się nie stanie, jak popsuje jej dzień.

– O! Dziękuję uprzejmie – powiedział policjant. – Idę więc z nią porozmawiać.

– Mogę pójść do siebie? Trochę marznę.

– Dobrze. Ale proszę nie wychodzić z domu.

– Zgoda – powiedziała Karolina i ruszyła za policjantem. Bardzo chciała stanąć za nim, gdy prawniczka otworzy drzwi.

Udało się. Posterunkowy Hęciak już się zbyt nią nie przejmował. Była prawie idealnie za jego plecami, gdy zapukał do drzwi na pierwszym piętrze. Karolina uśmiechnęła się krzywo. Szybko przestała się śmiać. Drzwi do kancelarii otworzyły się i stanął w nich Max. Za jego plecami Ilona.

– Muszę z państwem porozmawiać... – zaczął policjant, wyciągając

z kieszeni notes.

– Ja też... – dodała Karolina, choć ledwo wydusiła z siebie te dwa słowa – muszę porozmawiać... – dodała.

Ilona stanęła obok skołowanego Maxa i położyła mu rękę na ramieniu.

– Jeszcze jej nie powiedziałaś?

Nie dane mi było zobaczyć, jak panna Olcha Jaworska zareagowała na wieści o Stefanie Habrze. Byłem za to przy tym, jak rudowłosy seminarzysta, Seweryn Kochański, zdawał relację z tego incydentu pannie Ance Cukierównie. W mej pamięci zapisał się powód, dla którego właśnie wtedy znalazłem się na pensji pani Wiercimagowej. Poszedłem pokazać pannom listę słuchaczy, którzy zapisali się na wydział filozoficzny, pierwszy utworzony na naszym uniwersytecie. Wkrótce miała się odbyć uroczysta inauguracja. Nie bez powodu wstałem wcześniej, choć i tak spałem równie mało co mój pan, przyszły pan rektor Heliodor Świącicki, bo obowiązków mieliśmy co niemiara. Drogi nadrobiłem, pnąc się na Ogrodową, zamiast wprost do zamku, ale za nic odpuścić sobie nie chciałem pokazania listy pannom. Liczyłem w duchu, że je wszystkie zastanę, ponieważ wszystkie trzy znalazły się wśród pierwszych pięćdziesięciu studentek, które uczyć się miały na nowo powstałej uczelni. Suma wszystkich studentów sięgnęła liczby czterechset osiemdziesięciorga jeden.

– A to dopiero początek! – uśmiechał się mój pan Heliodor z dumą, która go rozpierała. – Niech no tylko z wojny na wschodzie powracają...

Pamiętam doskonale rumieńce na policzkach wpatrzonej w listę panny Anki, która chyba nie mogła uwierzyć, bo aż oczy z wrażenia przecierała.

– Ach! Szkoda, że dziewczyn nie ma. Jedna w szpitalu, druga chemię przygotowuje dla farbiarni.

Posmutniałem, bo szczęście z bliska oglądać, to jakby i samemu je

przeżyć. Ale cóż, dobrze, że choć jedną zastałem.

– Muszę zdobyć fundusze! Jakkolwiek! – wykrzyknęła. – Ukradnę, jeśli będzie trzeba – zaśmiała się głośno i w jednej chwili ucichła, bo znieuważona za moimi plecami stanął Seweryn Kochański.

– Przepraszam, że tak niespodziewanie – odezwał się pierwszy.

– Ależ skądże. Z nieba mi pan spadł – wyszeptała, składając ręce jak do modlitwy. Na wspomnienie o niebie Seweryn Kochański zbladł lekko. – Drogi panie Sewerynie, bo... bo... – kręciła się po pokoju Cukierówna, nie wiedząc, co dalej wymyślić, aby zatrzymać go na dłużej, z czymkolwiek przyszedł. – O! Bo zepsuła mi się parasolka – odpowiedziała szybko i zademonstrowała wygięty drut w parasolce, która od miesięcy leżała w kącie.

– Nie wiem, czy zdążę, ale chętnie później się nią zajmę. Nie jestem tylko pewien, czy potrafię – powiedział, bezradnie szamocząc się z jej zamkiem.

– Nie szkodzi, sama to zrobię. A wie pan, że już niedługo będziemy studiować!

– Aa! Gratuluję! To znaczy, cieszę się. Też się zapisałem... To znaczy... – Jąkał się coraz bardziej, więc zmienił temat. – Powiedzieć tylko przyszedłem, co się stało, gdy panna Laura wręczyła list porucznikowi Habrowi i...

– Mówże pan! – błagała Anka. Ja też, stojąc w kącie przy drzwiach, zacząłem się baczniej przysłuchiwać. – I co? I co? Jak to zniósł?

– Powiedzieć, że źle, to nic nie powiedzieć – westchnął przesadnie głośno Seweryn Kochański. – Dantejskie sceny się rozegrały – dodał, patrząc w sufit.

– Widział to pan? Jakie dantejskie?

– W paszczy lewiatana bywa spokojniej dziś było niż w Carltonie.

– A pan co tam robił? – zapytała panna Anka podejrzliwie.

– Zamiaru po lokalach chodzić nie miałem. Bóg mi świadkiem. Ja bywalcem nie jestem – zarzekał się Kochański. – To panna Laura mnie

odnalazła, żeby list doręczyć.

– Co za skuteczność – Panna Cukierówna uspokoiła się i pokręciła głową z uznaniem.

– Tak, bo ja często wiem, gdzie mój kuzyn przebywa z kolegami...

– I co! I co?!

– Cóż. Ucieszył się, gdy zobaczył pannę Laurę. Ona kopertę mu podała i dygnęła przy tym.

– A to mała zmiłka – uśmiechnęła się Anka. – Zawsze to podejrzewałam.

– Dobrze, że to była ona. Jej widok zawsze tak kojąco działa. Jest niczym anioł z obrazu... – rozmarzył się Kochański, jakby właśnie jaki obraz stanął mu przed oczami.

– Komu z oczu aniołem patrzy, temu diabła nie widać – skwitowała panna Anka, srogo marszcząc czoło.

– Ach tak... No tak...

– Więc co się stało? Co? Zdenerwował się?

– Z początku trudno było powiedzieć, siedział nieruchomo. Nic nie mówił. Nie odważyłem się do niego podejść, bo dziwnie mu z oczu patrzyło. Siedział tak dobre kilka minut. W końcu panna Laura zapytała, czy może mu pomóc i czy na odpowiedź czekać, bo nie wie.

– Mówiłam, że wie, co robić, tylko takie niewiniątko udaje.

– Bóg mi świadkiem, najłagodniej do niego przemawiała, a już mądry król Salomon mówił, że „język łagodny kość potrafi złamać”.

– I ja tak zawsze mówiłam.

– Niestety – westchnął Seweryn Kochański. – Zdaje się, że Stefan niczego już nie słyszał i tylko gniew w nim zbierał. O mało w areszcie nie wylądował! – panna Anka usta z wrażenia otworzyła i ja, zdaje się, też.

– Jak to w areszcie?

– Cóż – westchnął Seweryn teatralnie – jak mówią w Księdze Syracha, człowiek porywczy pomnaża swoją głupotę.

– Racja, racja, ale co się stało? – dopytywała się Anka.

– Pannę Laurę chwycił za ramiona i potrząsał, wykrzykując: „Kto to?! Kim on jest?”.

– Niemożliwe!

Obojeśmy z panną Anką złapali się za głowy.

– A jednak.! Panna Laura знаła tę tajemnicę, bo powiedziała mu na ucho.

– I co wtedy?

– Naprawdę, trudno opisać tę apokalipsę. Najpierw pofrunął stół. Być może niechcący zawadził go sztywną ręką, ale zdrową poprawił i na drugą stronę mebel wywrócił. Dwóch kolegów chciało go chwycić.

– Kochański zademonstrował tę scenę, stając na środku salonu i rozkładając ręce na boki. – Lecz on, jak Samson, poczuł siłę i na boki niczym dwie kolumny porozpychnął wszystkich. Ktoś poleciał na bar, tłukąc dziesiątki szkła, ktoś w gości, gdzie kobietę niewinną z krzesła strącił.

– Uwierzyć trudno!

– Nie wiem, do czego by to doszło, gdyby nie Straż Ludowa.

– Zabrali go?

– Tak. Choć jeden z kompanów im tłumaczył, że to sprawy sercowe i interwencji takiej nie wymagają. Ale straż nie chciała słuchać, bo właściciel lokalu ręce załamywał.

– Zabrali go?

– Nie. Strażnik zobaczył łzy w oczach panny Laury i przykro mu się widocznie zrobiło, bo go puścił. Za to mój kuzyn nawet dwóch słów przeproszenia w jej kierunku wyszeptał. Potem go poruszonego panna Laura wyprowadziła, żeby go już ta straż nie nękała.

– Do domu nie wróciła, czyli może się opłaciło – rozważała panna Cukierówna, unosząc oczy w górę.

– Co się opłaciło? – dopytywał się Seweryn Kochański.

– Nie wszystko o kwestiach kobiecych pan Seweryn musi wiedzieć –

odpowiedziała mu takim tonem, że Kochański spłoszył w sekundzie.

Relacji panny Laury nie znam. Olchy Jaworskiej też tego dnia już nie widziałem. Może miała dyżur w szpitalu, wiedzieć tego nie wiem. Kto jej powiedział, jak zareagował Stefan Haber na czarną polewkę, też nie wiem. Wiem za to, co się stało potem. I zimny pot mi na czoło występuje, gdy sobie to przypominam.

Wiosenna burza tego wieczoru przypominała tamtą, kiedy panna Olcha raczyła pierwszego oddechu nabrać. Ledwo parasol w rękach mogłem utrzymać, bo druty wyginały się pod wiatrem i ciężarem strug, wykręcały we wszystkich możliwych kierunkach. Wracalem z pracowni złotniczo-jubilersko-zegarmistrzowskiej, gdzie mistrz Stanisław Borowski wręczył mi rachunek za sygnet rektorski. Mój pan osobiście go zamówił i opłacił. Jakby się śpieszył, by wszystkiego samemu jeszcze dopilnować. Każdą godzinę przeliczał starannie i dnia poprzedniego wypisywał do kalendarza, co zamierza czynić nazajutrz. Inaczej tyle dokonać by nie zdołał. A ja służyłem mu, w czym tylko mogłem.

Wracalem więc z rachunkiem i dla umilenia drogi wyobrazałem sobie ten sygnet, gdy wtem zobaczyłem pannę Olchę Jaworską. Stała w drzwiach, zlna strugami deszczu. Bez parasola, tylko w małym kapelusiku, którego rondo twarzy nawet nie chroniło. Krople wielkie jak grochy leciały jej po oczach, po policzkach, po ustach. Zupełnie na nie nie zważała. Pewnie mieszały się ze łzami, ale tego widać nie było. Jedyne po spojrzeniu i ustach, które w podkówkę wykrzywione trzęsły się od zimna i szlochu, można było poznać, że stało się jakieś nieszczęście. Ledwo oddech łapała. Cała drżała. Może od płaczu i zimna, a może z gorączki, która powoli ciało w dreszcze wprawiała. Nic nie mówiła, a ja także żadnym gestem nie prowokowałem wyjaśnień, tylko pod bok ją chwyciłem i wprowadziłem do pałacu. A właściwie prawie niosłem, wspierając mocno, bo nogami ledwo co przebierała. W końcu udało mi się ją na szezlongu posadzić. Buty jej

rozsnuowałem i zdjąłem, wylewając kałużę wody z cholewek. Przestraszyłem się, że wyzionie ducha.

– Janie Kanty, ja umrę – wyjęczała, gdy zsuwałem płaszcz z jej ramion. Gdybym umiał mówić, odpowiedziałbym jej, że jak każdy. Jednak ani mówić nie umiałem, ani w nastroju do żartów nie byłem. Otarłem jej twarz z deszczu, a dotykając policzków, poczułem, że nie od przenikliwego wiatru są czerwone, a od gorączki. Postanowiłem ją położyć i popędzić po mojego doktora, który był wtedy w salce Mielżyńskiego na spotkaniu organizacyjnym uniwersytetu, gdzie obmyślano jego uroczyste otwarcie. Chciałem jeszcze przykryć pannę Olchę kocem, tylko potrzebowałem uprzednio ręce jej od torebki wyswobodzić. I tu na opór natrafiłem, bo palce ciągle skostniałe z zimna zaciskały łańcuszek przy rączce.

– Ja się zabiję. Ja nie chcę żyć – powtarzała, ciągnąc torebkę.

Ręce na boki rozłożyłem w geście niezrozumienia, wyjaśnięć jakichś oczekując.

– Nie mam siły – wyszeptała, puszczając torebkę. Wzrokiem zapytałem, czy mam ją otworzyć.

– Czytaj. – Kiwnęła głową.

Torebka była z grubego atłasu, ale całkowicie przemoczona. W środku zobaczyłem równie przemoczoną kopertę. Pomachałem kopertą przed jej nosem, żeby się upewnić, czy o ten papier chodzi. Zamrugła powiekami na tak, odwróciła głowę i już więcej nie patrzyła na mnie. Otworzyłem kopertę adresowaną do Wielce Szanownej Olchy Jaworskiej.

*Łaskawa Pani!*

*Bardzo mi przykro, gdyż nie było to moim zamiarem, aby tak opacznie odczytać moje słowa i zrozumieć me zachowanie. Niedobrze się stało, żeś wyczytała Pani w moich oczach coś więcej ponad zwyczajną życzliwość. To grzeczność i wdzięczność przeogromna kazała mi Pannę, jak i inne*

*pielęgniarki powstańcze, traktować ze szczególnym przejęciem. Lecz nie głębsze uczucie, jakiego – wyraźnie powiedzieć muszę – nie doświadczyłem.*

*Proszę mi więc wybaczyć, ale niestety nie uszczęśliwię Panny swoim wyborem. Przykro mi, że serce moje nie zapłonęło tym samym afektem co Panny, chociaż podobno z czasem szacunek i przyjaźń potrafią zmienić się w miłość. W tym przypadku jest to już wykluczone.*

*Tymczasem pozostanę dla Panny zawsze szczerze życzliwym*  
*Teofil Owiński*

Zdradził mnie – wyszeptała. A potem już nic nie mówiła.

Karolina spojrzała na telefon. Dzwonili z chóru, któryś już raz z kolei. Nie odebrała, jak co najmniej kilkunastu innych połączeń od dwóch tygodni. Z próby chóru wyszła bez słowa już na początku lutego. Wytrzymała na niej kilkanaście minut. Choć wcześniej pół dnia walczyła ze sobą, by w ogóle tam pójść. Pamiętała, z jakim uporem zwlekła się z łóżka i ruszyła do Historicum poćwiczyć przed jakimś zbliżającym się koncertem. Prosilili ją. Grypa dopadła połowę składu. Doprowadziła się tam resztkami odpowiedzialności, ale nie przyszło jej do głowy, że koncert będzie walentynkowy. A w związku z tym będą odgrzewać stary miłosny przebój Glenna Medeirosa. To było dużo za dużo. Z początku tylko stała i patrzyła w nuty i słowa, które same układały się w jej głowie: *If I had to live my life without you near me the days would all be empty, the nights would seem so long.* Przypomniała sobie, jak się ich uczyła dziesięć lat wcześniej. Max podśpiewywał razem z nią. Czasami drwiąc i przedrzeźniając, czasami szepcząc do ucha refren: *Nothing's gonna change my love for you. You ought to know by now how much I love you...* Czasami się z tego śmiała do rozpuku, czasami wzruszała.

Kiedyś uroczo naiwne, jak miłosne wspomnienie z przedszkola,



teraz zaczęło dzwonić jej w uszach. Niczym zapowiedź koszmaru. Jak na filmie katastroficznym, gdy idealne słońce świeci na moment przed apokalipsą. Bez radosnego kiwania się w rytm miłosnej melodii nie byłoby tego wszystkiego, co się teraz działo. Zrobiło jej się niedobrze. Zaczęła szybciej i głębiej oddychać.

– Jasne! – krzyknęła i sama się zdziwiła, że zrobiła to na cały głos. – Nic... nie zmieni mojej miłości do ciebie! – dodała jeszcze głośniejsze.

Wszyscy zamilkli i prawie dwadzieścia osób patrzyło w jej stronę. Dyrygentka również zastygła z dłonią uniesioną do góry. Przez chwilę Karolina przestraszyła się sama siebie, ale po chwili było jej już wszystko jedno. Niech patrzą, jeśli chcą.

– Nic! – powtórzyła już świadomie i przepchała się do przodu. Potrąciła przy tym stojak z nutami. Kartki pofrunęły na wszystkie strony. Nie schyliła się, żeby je podnieść.

– Karolina! – krzyknął ktoś za nią. Ale nawet się nie odwróciła.

– Do dupy z tym wszystkim. Z miłością! Mieszkaniem! Ze wszystkim. *Nothing's gonna change my love for you!* – wykrzyczała, szokując kilka młodych osób, które niedawno pojawiły się w chórze.

Wyszła z sali.

– Karolina! – ktoś wołał za nią.

– Karolina, poczekaj!

– Co się stało?

Kilka osób próbowało ją zatrzymać, ale nikomu się nie udało. Nie miała ochoty ani śpiewać, ani gadać. Nie zamierzała też nikomu niczego tłumaczyć. Połowa z tych osób jeszcze całkiem niedawno śpiewała na jej ślubie. „Tylko tego mi było trzeba!”, pomyślała, rozglądając się w drodze powrotnej po witrynach. Wszędzie były dekoracje walentynkowe. Miała ochotę wziąć kamień i walnąć w szybę. Wszędzie serduszka. Opuściła więc głowę i patrzyła w chodnik. Chciała jak najszybciej wrócić do siebie. Jeszcze do siebie. Jeszcze przez trzy miesiące, bo taki zgodnie z umową był termin

wypowiedzenia. Pod koniec kwietnia. Do tego czasu musiała tam mieszkać. Sama!

Ona i sterta kartonów, do których jeszcze któregoś styczniowego wieczoru poupychała połowę swoich rzeczy. Butelka wina sprawiła, że postanowiła spakować to w trybie: zaraz, natychmiast! I oczywiście jak popadnie. Grała muzyka, ona zawodziła na cały głos, śpiewając przede wszystkim piosenki rozczarowanych kobiet, które w końcu podniosły się z upadku. Moc była tak samo wielka, jak kac dnia następnego.

Rano okazało się, że ani nie opłaca się przeprowadzać, ani rozpakowywać rzeczy. Płacenie za dwa mieszkania po tym, jak w pracy wysłano ją na bezpłatny urlop, było co najmniej nieracjonalne. Musiała czekać. Ale układać ciuchów i książek z powrotem na półki też się jej nie chciało. Wygrzebywała coś, jeśli potrzebowała. Ubrania wywlekała z kartonu po jednym, a po miesiącu wyglądały tak, jakby same wpełzały z pudeł i rozłaziły się po mieszkaniu. Musiała przechodzić nad długimi jęzorami pomieszanych ciuchów, które tworzyły na podłodze coraz bardziej surrealistyczne kompozycje. Brokatowa sukienka wystawała z kurtki narciarskiej, strój kąpielowy z rękawa płaszcza, a biustonosz z rajstop. Widok był żałosny. Ale też nikt oprócz Karoliny go nie oglądał. Nikogo nie zapraszała, a jak ktoś sam przyszedł, to nie wpuszczała. Kilka razy odprawiła z kwitkiem koleżanki, które ustalały i wysyłały delegacje, mające ją odwiedzić i jeśli się da, porozmawiać. Obiecywała przez zamknięte drzwi, że da znać, jak tylko będzie gotowa, i że będzie to niebawem.

Wiktor, który stukał dobre dziesięć minut, zbyła w końcu jednym niecenzuralnym słowem. Coś takiego wypowiedziała pierwszy raz w życiu. Nie cierpiała wulgaryzmów i przekleństw, w stosunku do ludzi najbardziej. Ale jakoś żadne inne słowo nie przychodziło jej do głowy. Usprawiedliwiła się tym, że od czasu do czasu można dosadniej opisać rzeczywistość. Poza tym myślała o nim źle. Wiedział o romansie

Maxa. Krył go jeszcze po tym, jak ten sam już się przyznał. Nie zdążyli nawet ustalić faktów. To wystarczyło, by nie chciała go widzieć. Przestała też się zastanawiać, czy po nocy spędzonej w areszcie podrywał ją czy nie. Raz może pomyślała, by przy pomocy Wiktora odegrać się na niewiernym małżonku i zrobić to samo. Ale aż wzdrygnęła się na myśl o jakimś obcym ciele. Wydało jej się to kolejną obrzydliwością. Przynajmniej teraz.

Otworzyła tylko brodaczowi. Przyszedł po miesiącu. Stukał w drzwi tak długo, że w końcu musiała zwlec się z łóżka. Miała jakieś wewnętrzne przekonanie, że jego tak łatwo zbyć się nie da. Nie będzie się tak rozczulał jak dziewczyny z chóru. Nawet nie próbowała mu niczego obiecywać. Nie dała rady również utrzymać go w drzwiach po tym, jak już je uchyliła. Zrobił tak pełną politowania minę, że porzuciła myśl o przetrzymaniu go na klatce. Pchnęła drzwi szeroko i sama poszła do salonu. Podążył za nią.

– Jest tak źle? – zapytał.

Nie odpowiedziała mu, ale spojrzała na siebie w lustrze. Włosy urosły jej tak, że odwijały się w połowie ucha. Były przetłuszczzone, lepiły się do głowy, ale nie chciało jej się ich myć. Nie wychodziła w dzień. Nie było potrzeby. Zakupy robiła późno w nocnym, skradając się po schodach, żeby nikt nie usłyszał jej kroków. Szczególnie nikt z pierwszego piętra! Choć tam raczej było cicho. Jakby nikogo nie było. Do kamienicy też wracała skulona. Z czapką tak mocno nasuniętą na oczy, że ludzie się od niej odsuwali, bojąc się jak jakiegoś jeżyckiego zbira w ciemnej uliczce. Było jej wszystko jedno. Chociaż teraz, gdy poczuła mocny zapach męskich perfum, zobaczyła nienagannie przystrzyżoną brodę i cienką kurtkę udającą kozuch, zawstydziała się przez chwilę. Właściwie dopiero wtedy zobaczyła, że ma na sobie rozciągnięte spodnie od dresu, które od kilku dni służyły też za piżamę, i koszulkę poplamioną trzema różnymi posiłkami, bo to, co jadła, trudno nazwać daniami.

- Ale tu zaduch – skwitował, pociągając nosem. – Mogę otworzyć? – Pokazał na okno. Wzruszyła ramionami. – Dobrze by było wywietrzyć.
- Nie wiem, czy dobrze. Można by przy tym wylecieć na chodnik.
- Podobno to wypadek.
- Tak. Podobno myła okna... W palcie! – zaśmiała się kąśliwie na wspomnienie zamieszania, które trwało ze dwa tygodnie.
- Wyjaśnię to.
- Jasne. – Wzruszyła ramionami. Po tych dwóch tygodniach nic się już nie działo.
- Jak twoja sprawa?
- Nie wiem – powiedziała bez zbytejnej emocji.
- Większy problem przygniółł mniejszy. Prawie o tym zapomniała, a jeśli nawet nie zapomniała, to od rana do nocy myślała o czymś zupełnie innym. Na pierwszym miejscu o Maxie, na drugim o Ilonie, a gdzieś na końcu o sobie. I to wyłącznie o tym, jak bardzo jest żałosna. Oskarżenie o włamanie było tylko nieznaczącym wstępem do tego, czym została dobita później. I z czego nie mogła się otrząsnąć.
- Chyba powinnam ci podziękować – powiedziała, siadając na kanapie.
- Już teraz? Nic jeszcze nie zrobiłem.
- Wiem, że nie dostarczyłam zbyt wielu informacji. Ale miałeś rację. O swoim mężu dowiedziałam się znacznie więcej, niż chciałam.
- Racja i to znacznie wcześniej niż myślałem. Przepraszam. Nie po twojej myśli...
- Raczej – potwierdziła i podkuliła nogi. Oparła się brodą o kolana, zasłaniając pół twarzy.
- Mam pocztę do ciebie – oznajmił i wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki plik listów. – Rachunki, listy... Jeden z komisariatu na Kochanowskiego... Chyba nie zaglądałaś do skrzynki. Była pełna.
- Nie wiem. Nie pamiętam.
- Nie interesuje cię?

– Taki czas.

– Nie otworzysz? – zainteresował się i próbował odłożyć pocztę na ławę, a właściwie znaleźć na niej miejsce. Nie znalazł. Pełno było tam wszystkiego. Położył na pianinie, które było zakurzone, ale puste. – Wiem, co w nim jest.

– Jasnowidz.

– Nie. Wiem, że pani Apolonia Polańczyk chyba coś ci przysłała.

– Przypomniała sobie, że bardzo mnie prosiła o wymianę zamków... Niemożliwe, co? – Karolina pokręciła głową.

– Nie wiem. Nie czytałem.

– Wdzięczna jestem, bardzo... W sumie, gdyby nie ona, może nigdy bym się nie dowiedziała...

– Może podziękujesz jej sama?

– Doprawdy, nie ma za co – uśmiechnęła się, krzywiąc usta. – Chcę o wszystkich i wszystkim zapomnieć. Dojdę do siebie. Zapewniam. A jak tylko będę mogła, to się stąd wyprowadzę. Max już to zrobił. To pewnie pan już wie, skoro jest pan tak dobrze poinformowany.

– To akurat widać. – Pokazał ręką na pokój.

Rzeczywiście, dookoła było dużo kartonów, kilka butelek po winie i jedna spektakularnie strzaskana gitara. Postawiła ją na środku pokoju. Z dwóch powodów. Złamany gryf wyglądał niezwykle widowiskowo, kilka strzaskanych sklejek uzupełniało kubistyczną kompozycję. Ale przede wszystkim postawiła ją sobie na dowód, że jest do czegoś takiego zdolna. Było to dziwne. Fascynujące i przerażające jednocześnie. Nigdy, przenigdy niczego celowo nie zniszczyła. Nigdy nie uniosła niczego nad głowę, żeby to roztrzaskać. Ale też nigdy wcześniej ani razu nie spędziła nocy w areszcie i nigdy wcześniej ani razu jej życie nie legło w gruzach. Ciągle nie wiedziała, czy się z tego śmiać czy płakać. Oczywiście z gitary, bo na swój widok chciało jej się płakać na pewno. Przez ten czas poznała już wszystkie rodzaje płaczu. Od łkania przez szlochy do spazmów. Ostatnio

chlipnęła parę razy już tylko wtedy, gdy paliła ślubne zdjęcia.

– Wycofano oskarżenia – poinformował ją brodac.

– A myślałam, że stąd przeprowadzę się wprost do aresztu. To by uprościło sprawę – zaśmiała się. – Może ktoś jeszcze wyrzuci mnie przez okno.

– Ubierz się. Wychodzimy – powiedział dosadnym głosem.

Wyśmiała go głośno i przesadnie.

– Niby dlaczego?

– Twój mąż wpadł w kłopoty i trzeba mu pomóc.

– Już pędzę – dodała rozbawiona, naciągając koc po samą szyję. – Rzeczywiście. Nie mogę się doczekać chwili, w której będę mu pomagać.

– Nie masz wyjścia – powiedział, podsuwając fotel tak, by usiąść dokładnie naprzeciwko niej.

– Dlatego nigdzie nie wychodzę.

– Posłuchaj – powiedział poważnym tonem, nachylając się w jej kierunku. – Twój mąż związał się z niewłaściwymi ludźmi.

– Z jednym na pewno – burknęła.

– Tak.

– Ale już mnie to nie obchodzi.

– Musi zacząć cię obchodzić, bo ciebie to też dotyczy.

– Nie. Kimkolwiek jesteś i jak dobrze nie jesteś poinformowany, to się mylisz – powiedziała przez zęby. – Doskonale obywają się beze mnie.

– Ale on w dalszym ciągu jest twoim mężem.

– Formalność.

– Tak – westchnął bardzo głośno. – Właśnie z tych formalności nie wszyscy zdają sobie sprawę. Nie wiem, czy pamiętasz, wszystko w połowie jest twoje. Nie masz rozdzielności majątkowej. Sprawdziłem.

– Podziękuję serdecznie za takie zainteresowanie. I wyjaśnię coś.

Nie mamy rozdzielności majątkowej, ale majątku też nie mamy.

– Cóż, nie każdy jest prawnikiem – kiwnął głową z politowaniem – ale każdy powinien wiedzieć, że w związku z tą formalnością długi również są dzielone na pół. Każde zobowiązanie, jakie on podpisze, w połowie dotknie ciebie. Albo wyłącznie ciebie, jeśli jemu nie uda się go spłacać.

– Słucham? – Karolina odrzuciła koc. Zrobiło jej się gorąco. Patrzyła na niego i próbowała jeszcze raz odtworzyć w głowie usłyszane właśnie słowa. – Co to ma znaczyć?

– Pamiętasz, jak przyrzekałaś na dobre i na złe? To ten drugi przypadek. Rozprostowała nogi i usiadła.

– Wiedziałem, że ci przejdzie. – Odchylił się z uśmiechem.

– Słucham?

– Słyszałaś.

Karolina wstała. Wiedziała, że się podniesie wcześniej czy później. Będzie musiała spojrzeć w oczy rzeczywistości. Ale myślała, że dopiero za miesiąc, jak pójdzie do pracy, choćby po swoje rzeczy. Albo za dwa, jak będzie musiała znaleźć mieszkanie. Ale jeszcze nie teraz.

– To co mi tym razem grozi?

– Sporo – powiedział, rozkładając ręce. – Jeżeli nie zrobisz nic, spędzając czas na płamieniu podkoszulka, którego już nawet bym nie prał, tylko od razu wyrzucił, to możesz chodzić w nim do końca życia i spłacać czyjeś długi.

Karolina zaczęła chodzić w kółko po mieszkaniu. Popatrzyła na siebie i swoje ciuchy, które pierwszy raz od dawna wydały się jej brudne i zaczęły przeszkadzać. Bardzo by nie chciała zostać w nich do końca życia.

– To co mam zrobić?

– Powiedziałem ci. Ubierz się. Inaczej... Wychodzimy.

– Kim ty jesteś?

Przybiegłszy z drukarni z plikiem wydrukowanych biletów wstępu

na uroczystości związane z inauguracją naszego uniwersytetu (a było to najbardziej pożądane zaproszenie tego roku), zniosłem je do gabinetu, po czym od razu, jeszcze w płaszczu, pobiegłem do pokoju sprawdzić, co z panną Olchą. Mój pan zaglądał do niej codziennie, choć miał przecież moc, ale ze niebezpieczeństwa większego poza sercem złamanym nie widział. Mnie kazał częściej sprawdzać, by w miarę możliwości towarzystwa jej dotrzymywać. Zaznaczyć bowiem muszę, że nikogo innego widzieć nie chciała. Być może dlatego, że się nie odzywałem, tylko siadałem cicho obok, od czasu do czasu świeżą chusteczkę podając.

Tym razem jednak panny Olchy nie było. Szybko spostrzegłem, że małej walizeczki też brakowało. Pod łóżkiem znalazłem jedynie kilka białych, pogniecionych kartek. Sięgnąłem ręką. Były to brudnopisy, początki listu, zaczynanego chyba z siedem razy. Zerknąłem, bo listami zwać tego jeszcze nie można było. Ledwie tytuły. Prawie wszystkie pokreślone. „Szanowny Panie”, „Łaskawy Panie” albo „Teofilu”, albo „Najdroższy” (ten ostatni wyjątkowo mocno zamazany). Pod nimi ledwie po pół zdania. „Czy liczyć mogę...”, „Czy jednak to koniec?”, „Jak Pan mógł!”.

Chwilę się zastanawiałem, czy jakikolwiek napisała w całości. Poszła na pocztę, czy może jednak nie? I gdzie jest?! Wiedziałem, że nie da mi to spokoju. Nie bacząc na inne zajęcia, ruszyłem jej szukać. Właściwie to nijak rozsądnie objaśnić nie potrafię, dlaczego nie poszedłem od razu na Ogrodową, gdzie ją zastać powinienem, tylko wprost we przeciwnym kierunku. Dlaczego? Nijakiej odpowiedzi wiarygodnej dać nie mogę. Mój pan Heliodor zdiagnozował to jako efekt romansów, które czytuję, a co on mimo mojej skrytości dawno już zauważył. Według niego to one i oczywiście Opatrzność Boża kazały iść mi w kierunku Warty, na most Chwaliszewski, gdzie niejedna wzgardzona dziewczyna planowała się w nurt rzucić, a co któraś zamieniła plany te w tragiczny czyn. Więc sprawdzić tylko



chciałem, nie bacząc na to, że drogi nadkładał drugie tyle.

Był już wieczór. Ludzi prawie wcale, bo siąpiło cały dzień, a teraz nawet się zdawało, że zaraz całkiem się rozpada. Mokry bruk lśnił i wszystko w powietrzu zdawało się być rozmazane. Ale dojrzałem ją. Ciebie ledwie jej samej i małej walizeczki stojącej wprost na ziemi. Dokładnie w momencie, gdy stawiała trzewik na barierce. To widziałem bardzo dobrze. Pobiegłem, wymachując rękami. Usta otworzyłem, ale jedyne, co się z nich wydobyło, to skrzek do odgłosu sroki podobny. Dojrzała mnie jedna okutana w chustkę baba, więc próbowałem ręką pokazywać, aby ona za mnie krzyknęła. Ale ta tylko się śmiała, trzymała się pod boki, kwiczała i aż się cała trzęsła, tak jej się ten dźwięk podobał albo moja mina, gdy powietrze jak karp chwytałem, aby choć jakiś dźwięk z siebie wykrzesać. Gnałem dalej w kierunku mostu, nie patrząc pod nogi, więc na pierwszym wystającym bruku upadłem jak długi. Gdy otarłem twarz z błota, dojrzałem drugą nogę na barierce. Wstałem z kolan i popędziłem przed siebie jak opętany. Słyszałem głosy dobiegające z okien kamienicy stojącej tuż nad Wartą.

– Wariat! Patrz tam! Idiota! Ten, co tak rękami macha!

– Wiatrak! Gdzie lecisz?

– Jaki wariat! Tam, patrz!

– Gdzie?

– Tam!

– Boga się bój, dziewucho! Rzucić się chce! Rzucić się chce!

– Głupia! Co robisz?!

Krzyki się nasilały, padły wyzwiska, ale to już było bez znaczenia. Zdążyłem dobiec. W pół ją chwyciłem, odstawiłem na chodnik i objąłem mocno. Długo nie puszczałem.

– Janie Kanty, jak ty wyglądasz? – pokiwała głową, gdy już zwolniłem uścisk.

Otarła błoto z moich policzków.

– Jak ty wyglądasz?

Patrzyłem na nią. Uśmiechała się smutno. Czy płakała, nie wiem, bo deszcz po policzkach spływał jej równymi strugami.

– Przestraszyłeś się? Ja nie chciałam. Nie chciałam. Naprawdę. List tylko do rzeki chciałam wrzucić. Ten. Wyjęła kopertę z kieszeni. – Patrz już go rzucam. – Wypuściła kopertę z ręki.

Ale kartka papieru ma to do siebie, że gdy tylko podmuch ją chwyci, potrafi latać jak zechce. Szczególnie, że wiatr się wzmógł i z lekkością kilka razy listem okręcił niczym wiatraczkiem, po czym niespodziewanie z drogi wyznaczonej zawrócił i jakby dla zabawy uniósł nad wyciągniętą rękę panny Olchy. Rozmyślił się jednak i odfrunął. Leciał tak jeszcze kilkanaście metrów, to unosząc się, to opadając tuż nad ziemią, nim trzewikiem panny Olchy został przygwożdżony do bruku. Pierwszy schyliłem się, żeby go podnieść. Podałem pannie Olsze kopertę z wyraźnym odciskiem trzewika, niczym stemplem na białym papierze, a ona szybko schowała ją do kieszeni.

– Napisał mi, że mam nie liczyć na jego... Nie mam na co... Janie Kanty, tylko list chciałam zniszczyć. List. Nie siebie. Może jak by się utopił, lżej by mi się zrobiło. Nie wiedziałam, że to tak może boleć. Janie Kanty, ratuj! – błagała, przytulając się do mnie.

Długo myślałem. Nie wiedziałem, co mam robić. Napisałem więc list i dostałem odpowiedź.

*Wielce Szanowny Panie Janie Kanty!*

*Dziękuję za Pański nieoczekiwany list. Wdzięczny jestem za informację i troskę okazaną pannie Olsze. Mniemam, że już czuje się lepiej. Wątpię jednak, by była tak słaba i wrażliwa, jak szanowny Pan był to łaskaw opisać. List, który wysłała do znanego nam oficera, był mało sentymentalny, a nie wahałbym się powiedzieć, że raczej stanowczy*

*i nieczuły. Zdecydowanie na uczucia niezważający. Na co jego adresat, jak sądzę, nie zasłużył. Moja odpowiedź oczywiście może być zaliczona do zbyt pośpiesznych, ale wydała mi się adekwatną. Proszę mnie źle nie osądzać.*

*Po rozmowie ze Stefanem Habrem muszę stwierdzić ostatecznie, że sprawy te mnie już nie dotyczą. Co nie znaczy, że los panny Olchy stał mi się obojętny. Proszę mi wierzyć, ze względu na pamięć przeżytych chwil życzę jej jak najlepiej. Choć przysięgam, a Bóg mi świadkiem, że nie potrafię zrozumieć zwodniczego jej zachowania, które kazało zaprzyjaźnionemu mi oficerowi, żywić nadzieję wobec jej osoby, tak jak i ja ją żywiłem. A co za tym idzie, snuć plany na przyszłość. Okazało się, że nie byłem pierwszy w kolejce do składanych przez pannę Olchę obietnic. Stefana Habra znała wcześniej i wcześniej się z nim widywała i czyniła nadzieje. Już samo to każe mi w cień się usunąć, a zostawić pole temu, któremu dozgonnie jestem wdzięczny za uratowanie mi życia, co sam zdrowiem przyplacił. To jedno wystarcza, oglądania się na całą resztę, o której tu pisać nie zamierzam.*

*Z wyrazami szacunku, Teofil Owiński*

*P.S. Nie oczekuję odpowiedzi.*

Po incydencie na moście koszmary dręczyły mnie noc w noc. Budziłem się zlany potem, widząc we śnie ciało dziewczyny obgryzane przez wielkie jesiotry, które przyplływają Wartą do Poznania odbywać tarło. Widziałem kiedyś z mostu Chwaliszewskiego takie stupeńdziesięciokilowe potwory i do dziś całe me ciało przeszywa jakiś wstrząs na samą o nich myśl. Jak spała panna Olcha, nie wiem, bo przeniosła się całkowicie na Ogrodową. Mimo opieki u nas obiecaniej mówiła, że dobrze się czuje, i jedynie czasu jej potrzeba, spokoju i samotności trochę, aby stratę przeboleć, bo one, jak wiadomo, najlepszym są lekarstwem. Przekonać mnie chciała, że

romantyczny gest był to jedynie. Mimo że ja niczyjego adresu tam na kopercie nie widziałem, to panna Olcha obstawała, że korespondencja była od wiadomego nam nadawcy i że nie pozostawiał jej on nadziei wprost żadnej. Uwierzyć w to wszystko było trudno. Mój pan widział Olchę i zamartwiał się, że nieszczęściem od niej wieje, ale ona sama mu tłumaczyła, że zawirowania miłosne to są i nieporozumienia. Pracy miał co niemiara, więc przyjął takowe wyjaśnienie i przyrzekł zaraz po uroczystościach bliżej się przyjrzeć, do czego tu doszło i którądy to nieszczęście między, zdawało się, dobraną parę wtargnęło tak bez pardonu. Ja mu nic objaśniać nie zamierzałem. Wystraszyłbym go nieprawdopodobnie, a mało kto tak jak on zważał na melancholię, która cieniem kładzie się na życie i nie pozwala w nim widzieć niczego dobrego. Choroba ta bowiem co pokolenie w jego rodzinie zbierała żniwo. Samobójstwo, ten grzech największy, popełnił dziad pana Heliodora, a potem jego młodziutka siostra Ofelia. Mój pan traktował je śmiertelnie poważnie i zachowanie panny Olchy na skraj smutku mogło go zaprowadzić, a moment był wyjątkowy i nie po temu.

W tamtym czasie bowiem pana mojego ustanowiono profesorem, nadając mu tytuł, którego niemieckie uczelnie latami skutecznie mu odmawiały, a on sam o niego nie zabiegał, czekając na takie czasy, co właśnie nadeszły. Poza tym do wielkiego święta przygotowania szły pełną parą. Uroczystości inauguracyjne wzbudzały powszechne zainteresowanie i całe miasto chciało w nich uczestniczyć. Do tego masę gości z Polski i zagranicy chciano zaprosić. Trzeba było temu sprostać, więc wiele spotkań odbywało się właśnie z powodu tych okoliczności. Pozostawałem więc jedynym, który czujne oko ma na naszą pannę. I chociaż nie chciała i nawet prosiła, abym tego nie robił, co dzień zachodziłem na Ogrodową.

Nie raz i nie dwa panny Olchy tam nie zastawałem, bo wymyślała sobie przeróżne roboty, aby być zajęta od rana do wieczora i swobodnej chwili na myślenie nie pozostawiać. Zaangażowała się

nawet w projektowanie uroczystości, bo każde młode ręce do pracy były wtedy cenne. Czasami więc szedłem na pensję i zajrzeć, i odsapnąć, a gdy nikogo nie było, przysiadłem w salonie, wpatrując się w żółciuchne kanarki stroszące piórka i czekałem, by pośpiewały choć chwilę.

Tego pierwszego dnia majowego biegałem od świtu pomiędzy katedrą, hotelem Bazar, zamkiem a innymi miejscami, które programem uroczystości zostały objęte. Nie zdziwiłem się więc, że przysnąłem na krześle, zmęczony, zasłuchany w ptasie trele i wtulony w kotarę. Spać musiałem mocno, bo pierwsze głosy nie obudziły mnie wcale. Pomieszały się ze snami, nie do końca pozwalając odróżnić się od jawy.

– Nienawidzę jej! Tak! Nienawidzę! To chciałaś usłyszeć?! – usłyszałem już bardzo dokładnie.

– Nie jestem zdziwiona. Miałaś wolną drogę do pana sierżanta Habra, a teraz, jakby kto kłodę rzucił pod nogi.

– Co ja teraz zrobię?! Co ja teraz zrobię? On tylko ją chce widzieć. Ze mną całkiem nie rozmawia.

– Trzeba mu było tyle miłości nie okazywać! Ja mojego pulaska trzymam na dystans, mimo że on się bardziej pilnuje. Taki religijny! Jak go tak raz pod bok chwyciłam, to uciekł...

– Anko! Czyj my problem dyskutujemy? Chwilę tylko mam przed wyjściem i zaraz przebrać się muszę i do farbiarni wracam. Odczynników zapomniałam.

– Ja się przebierać nie przyszłam, bo też nie mam w co...

Choć już przebudzony zupełnie, ani drgnąłem w swoim ukryciu za kotarę. Ponieważ panny swoje rychłe wyjście zapowiedziały, siedziałem bez ruchu z zamkniętymi oczami i obecności swej nie ujawniałem. A może byłem przerażony, że tak wiele już usłyszałem? Choć też po tylu latach przyznać się chyba powinienem, że sprawiła to raczej zwykła ludzka ciekawość, lecz nawet teraz wstyd mi, że

podśluchiwałem panny tak bez pardonu. Cóż, być może Boża Opatrzność czasem powiedzie jednak człowieka ścieżkami ludzkich ułomności.

– Nienawidzę jej – powtórzyła panna Laura płaczącym tonem.

– Co powiedzieć. Mnie też już mocniej nerwy drażni. Czesne ma opłacone. Na pierwsze wykłady jest zapisana, wszystko uregulowane... wszystko. A ja? Nawet mi się już liczyć w myślach nie chce. Z tego nieszczęścia same tylko zera mnożę w nieskończoność. Ubieraj się już, bo nigdy nie wyjdziemy. Ja niczego jeszcze nie opłaciłam, bo wszystko na stancję poszło. Niemiec księgowy wyjechał. Za nim Żyd cukiernik i piekarz też się pakują. Z głodu umrę.

– Może tak źle nie będzie.

– Będzie! Przeczytałam w „Kurjerze Poznańskim”, że na Marcina 15 skupują warkocze. Poszłam spytać. Ale nawet oni mnie nie chcą. Bo u mnie wszystko grube. Patrz noga! Udo! A włosy cienkie! Na jakiś czas zapasu mi starczy, ale co potem?

– Anka, czego ja takiego nie mam, a ona ma?

– Nie mam pojęcia. Ładniejsze masz włosy, to pewne, skórę gładszą, to pewne... I cała ładniejsza jesteś, choć też chuda za bardzo. A do tego bogatsza ode mnie. Chociaż od zera startując, to niezbyt imponujący wynik.

– On nie z tych – jęknęła Laura, a ja struchlałem.

Naturę mam romantyczną i nie za często twarda logika rozumowanie u mnie przejmuję. Słuchałem więc dalej, modląc się o to, by panny do swojego pokoju z salonu nie poszły zbyt wcześnie. Bo to wszystko, co usłyszałem, zdawało mi się zbyt ważne.

– On nie z tych – powtórzyła Laura tak cicho, że ledwo dosłyszałem.

– Co nie z tych? Kto jest nie z tych. Lauro, mało kto, uwierz mi, liczyć nie potrafi. A mój pulasek jednoznacznie zasugerował, że z sytuacją materialną panny Olchy już dawno się zaznajomił.

„Jakim cudem?”, pomyślałem.

– Zna brata jej przyszywanego z Sedanu i od niego o jej losie odmienionym dowiedział się z pierwszej ręki – pospieszyła mi jakby z odpowiedzią panna Anka. – Wystarczyło.

– Nie wierzę.

– Nie musisz. Mój Seweryn zły na niego, jak nie wiem co! Nie wiem czemu, ale jeszcze się dowiem! A że lubi plotki, to mi powiedział, że nie wie, co ten twój Haber bardziej woli. Okiełznać dziewczynę. Ustosunkować się. A może przed kolegą mieć pierwszeństwo. Podobno mu oświadczył, że po słowie już byli.

– Nie chcę tego słuchać – zapłakała Laura.

– Przestań, głupia! To przecież jest nieprawda! Olcha się w tym drugim pilocie od dawna kocha, co poleciał na wschód walczyć. Ty się lepiej módl, żeby on gdzieś tam nie zginął!

– Dlaczego?

– Bo wiem, od pulaska, że on już tam na medal zasłużył! Za odwagę! A przecież wojna się jeszcze nie skończyła.

– Za co?

– Bo rwie się do najniebezpiecznych lotów. A mnie, choć w inżynierów wierzę, i tak nikt nie przekona, że ta maszyna całkiem bezpiecznie wte i wewte tak sobie lata po niebie. A jeśli by zginął, to...

– To co?

– To naszej Olsze... słuchaj uważnie... – znowu przerwała na chwilę, cedząc słowa – ...może już być wszystko jedno, za kogo pójdzie.

– Nawet tak nie mów! – wykrzyknęła Laura tak głośno, jak chyba jeszcze nigdy nie słyszałem. – Nawet nie mów! Bo jakieś nieszczęście się za chwilę wydarzy...

– A od kiedy ty wieszczka jesteś? – usłyszałem głos panny Anki, który zdawał się tuż nad moją głową się unosić.

– Muszę ci coś powiedzieć ważnego... – zaczęła i przerwała. – A ty co tutaj robisz?

Zerwałem się na równe nogi, niby dopiero obudzony. Na szczęście ciało mam długie i nieporadne, więc byłem w udawaniu wiarygodny.

– Patrz, spał tu!

– A może podsłuchiwać przyszedł?

– Na szczęście nic nie powiedziałam – odetchnęła Laura. Po czym usiadła na sofie obok leżącej tam drewnianej skrzynki. – Bo by mnie osądził, jeszcze zanim Bóg mnie ukarze.

– Laura, co ty wygadujesz? – Anka zmarszczyła brwi. – A zresztą – machnęła ręką. – Mów, przecież on nic nie powie.

– Zostawcie mnie wszyscy! – nie wytrzymała Laura i chowając twarz w dłoniach, wybiegła z pokoju.

Kim ty jesteś? – powtórzyła Karolina, susząc włosy.

– Aktualnie twoim aniołem stróżem – odpowiedział brodacz, nawet na nią nie patrząc. Przeglądał jakąś wyciągniętą z kartonu książkę. Kolejną. Obok niego uzbierał się już niemały stosik.

– Jasne. Chyba na takiego tylko zasłużyłam – burknęła. – Dlaczego mi pomagasz? – zapytała po chwili. „O ile mi pomagasz”, dodała w myślach.

– A jak myślisz?

– Bo masz w tym interes?

– Dobrze myślisz – pochwalił.

– Z tego, co przeczytałam, przodkowie też byli interesowni – wyrzuciła z siebie śpiewnym tonem, czekając na reakcję.

– Nie wykluczam. – Wzruszył ramionami. Wziął kolejną książkę do ręki i już więcej nic nie powiedział.

Siedział w jej mieszkaniu od godziny i czekał, aż się umyje i ubierze. Nie poganiał jej, ale też nie chciał z nią gadać, zanim tego nie zrobi. Wszykowanie się nie było takie proste. Już umyta, wyciągnęła z pudła jakąś koszulę. Spytała, czy ta może być, właściwie od niechcenia, nie oczekując odpowiedzi. Rzucił okiem i poprosił, żeby szukała dalej. Może lepiej wśród ubrań bez prasowania.



– Pełno tu takich – rozejrzała się po pokoju, w którym prawie wszystko leżało na ziemi.

– Wolałbym, żebyś dobrze wyglądała. Bez przesady. Rozumiem. Ale tak schludniej. Jak ktoś ogarnięty. Tamto coś pokaż. – Wskazał palcem wystający z worka rękaw miękkiego zielonego swetra. – Karolina zrobiła co najmniej dziwną minę, ale pociągnęła za ściągacz i pokazała mu szeroki golf.

– Może być.

– Idę w tym na bal, matko chrzestna?

– Nie, dwa piętra niżej.

– Nie, nie, nie! – wykrzyknęła, rzucając sweter na podłogę.

– Taaak. Nie ma tam twojego męża. Jeśli chcesz wiedzieć, gdzie jest, mogę ci podać adres.

Karolina patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. W sumie nie zastanawiała się, dokąd właściwie mieli wyjść. Ale na pewno nie zakładała, że na parter.

– Wyprowadził się wraz z Iloną Kachoń do jej mieszkania na Słowackiego trzy...

– Dla niego mam się tak wystroić? – przerwała mu szybko.

– Za dużo powiedziane. Zresztą dla niego co innego bym wybrał.

– Coś pognieczonego?

– Wprost przeciwnie.

– Po co mam iść do tego prawnika? Pocieszyć go, czy co? – wydarła się w końcu i to znacznie głośniej niż miała zamiar.

– Nie. Nie wiem, czy płacze. Możliwe.

– O co ci właściwie chodzi?

– O to, że on może być jedyną osobą, która wie, gdzie aktualnie przebywa Apolonia Polańczyk.

Karolina usiadła z wrażenia na kanapie. O niej od jakiegoś czasu nie myślała.

– A ty nie wiesz? – zapytała zdziwiona.

– Aktualnie nie wiem. A w sumie bardzo chcę wiedzieć.

– Przecież Hęciak do niej dzwonił. Wtedy, gdy nie mogła sobie przypomnieć, że mnie zna.

– Wtedy to i ja wiedziałem – rozłożył ręce. – A teraz ty musisz się tego dowiedzieć. Po śmierci jej kuzynki, tej, która spadła obok ciebie, ktoś ją przeniósł w inne miejsce, a ja nie wiem dokąd.

– Sam go spytaj! – krzyknęła. Ale po chwili, uspokojona, opadła na kanapę. – To była jej kuzynka?

– Tak, później ci to wyjaśnię. Teraz jesteś mi potrzebna.

– Nie chcę się w to bawić. – Wstała i zamierzała w swoim zwyczaju ostentacyjnie wyjść z pokoju.

– To nie jest zabawa – zagroził jej drogę. – Przypuszczam, że grozi jej niebezpieczeństwo.

Karolina zastygła z wrażenia z na wpeł otwartymi ustami. Starła się o niej nie myśleć i prawie jej się to udało. Miała inne zmartwienia. Ale kiedy zastanowiła się przez chwilę, co by jej miała powiedzieć, gdyby ją jednak spotkała, żadne stosowne słowa nie przychodziły jej do głowy. Przede wszystkim szacunek dla starszych miała wpojony od dzieciństwa. Gdyby nie to, być może najbardziej miałaby ochotę zrobić z nią to samo, co z gitarą. Przestraszyła się swoich myśli. A jeszcze bardziej tego, że staruszce może stać się krzywda. Albo nawet może umrzeć! I to nie ze starości!

– Ale Kachoń mnie ostrzegwał, żebym się z nią nie spotykała – westchnęła bezradnie. – Bo to będzie próba nakłaniania świadka... jakoś tak...

– Masz go przekonać, że masz to głęboko gdzieś. Jesteś zdesperowana i tak dalej. Tylko tak, żeby uwierzył. I się przestraszył.

– Tylko czy ja potrafię... ja nigdy... – zaczęła się jąkać.

– Nigdy też nie roztrzaskałaś gitary.

Karolina nacisnęła dzwonek do drzwi kancelarii prawnej. Chwilę czekała, głęboko łapiąc powietrze. Od nocy w areszcie minął już jakiś

czas, ale trzęsa się na samo wspomnienie ich ostatniego spotkania. Wtedy ją przestraszył i teraz też mógł to bez trudu zrobić. Z wielką łatwością i z wielką siłą. Z taką samą, z jaką odbija piłeczkę tenisową. Tak go sobie przynajmniej wyobrażała, zanim otworzyły się drzwi.

Stanął w nich i przez chwilę się jej przyglądał. Karolina również patrzyła na niego bez słowa. Nie potrafiła go z siebie wydusić. Przed chwilą w myślach widziała go bardzo wyraźnie, w białej koszulce, z rakieta w ręku, w drodze na kort. A patrzyła na kogoś, kto tak jak ona dawno nie wychodził, a przede wszystkim dawno się nie golił. Ręką oparł się o futrynę. Miał zbitą szybkę od zegarka, ale ciągle go nosił. Ten widok ją zaskoczył. Przytył, zszarzał i wyglądał na dziesięć lat więcej. Pierwszy raz pomyślała o tym, że on też jest porzuconym małżonkiem.

– Męża szukasz? – burknął. – Nie ma go tu.

– Domyślam się – odpowiedziała mu Karolina. – Porządkuję sprawy.

– Do czego ja ci jestem potrzebny? Chcesz się na nim odegrać? Ja nie mam ochoty.

– Nie! Nie to – aż odskoczyła od drzwi. – Porządkuję swoje sprawy. Od czegoś trzeba zacząć. Tu miałam najbliżej.

– Widzę, że dochodzisz do siebie. Wejdz, jeśli musisz – zaproponował i otworzył szerzej drzwi.

W środku było w miarę posprzątane. Ale mijając aneks kuchenny, zobaczyła piętrzącą się stertę jednorazowych opakowań. Po pizzy, dowożonych obiadach i zalewanych zupach. Obok wielka butelka whisky, prawie pusta, kilka szklanek i kubków. Na podłodze plastikowe sztućce.

– To po co przyszłaś? – zapytał i usiadł na sofie. A właściwie się na niej rozłożył. Podwinięta koszula odsłoniła mu kawałek brzucha. Podrapał się po nim. – Widziałem cię w sklepie. W zasadzie poczułem. Nie myślaś się pewnie z miesiąc – wypalił.

W odpowiedzi Karolina głośno wciągnęła nosem powietrze.

– Pan też zdaje się nie w szczytowej formie.

Dosyć dokładnie zlustrował ją wzrokiem.

– Tak – westchnął w końcu, klepiąc się po brzuchu. – Ale po co mi kondycja? I tak wzięła sobie młodszego. Po co przyszłaś? Po poradę? Nie zajmuję się rozwodami. Tym też mi się nie chce – oświadczył i sięgnął po szklanę stojącą na ławie obok. Wziął duży haust. Mina, którą zrobił, świadczyła o tym, że nie był to sok jabłkowy.

Karolina patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. O formalnościach i rozwodzie nie myślała jeszcze w ogóle. Zrobiło jej się niedobrze.

– Nie. Nie po to – przestawiła krzesło i usiadła naprzeciwko niego, przesadnie się prostując. – Muszę załatwić swoje sprawy, ale po kolei, od najważniejszych.

– Czyli?

– Najpierw spotkać się z sąsiadką. Jeśli ma pan jakiś kontakt, chciałabym, żeby przekazał jej pan ode mnie list.

– Nie – odpowiedział zdecydowanie, kręcąc głową.

– Co: nie?

– Nie jestem uprawnomocniony do tego. Poza tym, to nie moja sprawa.

– Zdawało mi się, że kiedyś była. Był pan jedyną osobą, która odwiedziła mnie w tej sprawie na komisariacie.

– To było kiedyś. – Dopił resztkę ze szklanki i z szafki obok wyciągnął kolejną prawie wypitą butelkę. Wystarczyło na pół szklanki.

– Teoretycznie dotyczy mnie to w połowie. Jesteśmy małżeństwem. Ale wiesz, co ci powiem? – Znowu wypił. – Mam to w dupie! Myślałem, że to tylko taka zabawa. Że się nim bawi.

Karolina zacisnęła palce na brzegach krzesła. Miała wrażenie, że zatapia paznokcie w drewnie.

– Zdradziłem ją kiedyś i myślałem, że to to samo. Ale wiesz, co ci powiem? To nie to samo! Na zdrowie – dodał, podnosząc szklanę. –

Ten pajac, twój mąż – zaczął po chwili – się w niej zakochał. Nie dziwię mu się, to piękna kobieta, dojrzała, wie, czego chce, nie to co...  
– Skrzywił się, spoglądając na nią z politowaniem.

Karolina zastanawiała się, ile jeszcze wytrzyma. Brodacz prosił, żeby go nagrywała. Ale nie zgodziła się na to. Obiecała za to, że pozwoli mu mówić, nie będzie przerywać i postarała się wszystko zapamiętać i mu powtórzyć. Teraz ani nie chciała tego pamiętać, ani powtarzać. Jeszcze jedno słowo i wyjdzie – przyrzekła sobie. Prawnik jednak nie dokończył, tylko upił znowu ze szklanki.

– A wiesz, co jest najgorsze? Że ona w nim chyba też. Uwierzysz?

Karolina milczała uparcie. On też przestał mówić, patrzył pustym wzrokiem w blat ławy. Coraz wolniej mrugał oczami i zaczął się kiwać. Przestraszyła się, że zaraz zaśnie.

– Nie interesuje mnie już to – powiedziała więc wyjątkowo głośno.

– Tak? To po co tu jesteś?

– Mówiłam już. Chcę wyjaśnić sprawę z kluczami. Zrobię to i nikt mi nie zabroni skontaktować się panią Polańczyk.

– Już ci nie bronię.

– To gdzie jest?

– Znajdź ją sobie. Nie wiem, gdzie ona jest. I nie zamierzam jej szukać.

– Kłamie pan! – krzyknęła i uniosła się z krzesła. – Widziałam, jak ją pan stąd gdzieś wywoził. Na policji też ktoś z nią rozmawiał...

– Wtedy wiedziałem – zaśmiał się krzywo i dopił do dna. – Patrzcie państwo, jak zahukana dziewczynka dorasta. Może ty nawet harda jesteś? – Pokręcił głową i przyglądał się jej z zainteresowaniem. – Przyda ci się na resztę życia. Jak do tej pory, to naiwna byłaś. Naprawdę, nic nie wiedziałaś? – śmiał się.

– Gdzie ona jest?

– Wywieziono ją, zabrano, wypisano. Możesz sprawdzić. Od razu. Po śmierci tego moherowego latawca. Czy to nie dziwne? Sam nie

wiem, gdzie jest – dodał. – Zapytaj się mojej jeszcze żony. Powinna wiedzieć – westchnął i próbował nalać coś z pustej butelki. W końcu rzucił ją w kąt. Z hukiem odbiła się od ściany. Karolina aż podskoczyła. Prawnik wstał. Podszedł do niej chwiejnym, ale zdecydowanym krokiem. Chciała się cofnąć, ale natrafiła na komodę przy ścianie. Nie miała jak uciec, drzwi były po drugiej stronie. Zastawił ją ciałem. Przyparł, stając między jej nogami. Nachylił się tak mocno, że musiała się wsunąć się na komodę.

– Co pan?! Proszę mnie puścić! – krzyknęła, próbując odepchnąć go rękami. Poczwała woń alkoholu. Miała jego twarz tuż przed swoją.

– A może jednak zrobimy im niespodziankę? – zapytał, szczerząc się jeszcze bardziej. Karolina miała już głowę na ścianie. Wykręcała twarz jak tylko mogła. – Zabawimy się. Tak jak oni. Co? – Prawie już na niej leżał. Karolina poczuła, że pluje jej do ucha. – Powiem ci, co potrafi i do czego jest zdolna – bełkotał.

– Nie wierzę! – wrzasnęła i odepchnęła go z całych sił.

– W co nie wierzysz? – Odchylił się nieco i wgapił się w nią.

– Nie wierzę, że Max się w niej zakochał! – krzyknęła jeszcze głośniej.

– Bo głupia jesteś. – Puścił ją. – Nawet nie masz pojęcia, jak bardzo. I wiesz co? – zaśmiał się głośno. – Myślę, że mógłby nawet dla niej zabić – śmiał się dalej.

Stał przed nią, wykrzywiając twarz. Chwiał się przy tym na nogach, balansując całym tułowiem. Karolina wykorzystwała moment i go popchnęła. Tym razem poszło dosyć łatwo. Stracił równowagę. Zrobił dwa kroki w tył, potknął się o ławę i opadł na kanapę, z rękami rozłożonymi na boki. Śmiał się jednak dalej, coraz bardziej nerwowo.

– Uwierz mi. Nawet nie miałem na ciebie ochoty... Uwierz mi... – bełkotał.

Karolina rzuciła się do wyjścia. Szarpnęła za klamkę, wybiegła na klatkę, ale zaraz się zatrzymała. Nie była pewna, czy z wewnątrz

kancelarii słyszała śmiech czy płacz. Stała, oddychała głęboko i nasłuchiwała. Po chwili miała pewność. To był szloch.

Nie obgryzaj paznokci! To okropne – skarcił ją zza kierownicy brodaty Haber, gdy skręcali w Słowackiego.

Karolina powstrzymała się przed pokazaniem mu języka. Położyła jednak posłusznie ręce na udach i patrząc w okno, zaczęła dla odmiany skubać skórki wokół paznokci. Coś robić musiała, bo denerwowała się coraz bardziej, a obgryzać w sumie też już nie miała czego. Jechała zobaczyć się z Maxem pierwszy raz od miesiący, przynajmniej tak się jej wydawało. Już w nocy nie mogła spać. Bała się czekającego ją poranka. Dzień wcześniej zdała relację brodaczkowi ze wszystkiego, co się działo u prawnika. Powtarzała kilka razy każde słowo, które powiedział.

– To jak bardzo ten twój mąż jest zakochany? – dopytywał się, gdy ona wcale nie miała ochoty o tym mówić. Niezbyt też przejął się tym, że Kachoń się na nią napalił i pluł jej do ucha. I że nie wiadomo, do czego mogło dojść. Na co on ją naraża! I czy to warto? Krzyczała. Chciała go wyrzucić z mieszkania. On jednak wcale nie zamierzał wychodzić, tylko krążył w kółko po jej pokoju. Poodgarniał nawet na boki pudełka i ciuchy.

– Uspokój się – krzyknął na nią w końcu. – Ta staruszka może być w śmiertelnym niebezpieczeństwie, pomyślałaś o tym?

– Ktoś musi wiedzieć, gdzie ona jest.

– Problem w tym, że on może mieć rację. A już na pewno trzeba to brać pod uwagę. – Zamyślił się. – Inaczej to teraz rozegramy. Możesz teraz założyć którąś z tych pogniecionych szmat – zaproponował i pokazał na podłogę. – W tym – wyjął z pudła rozciągniętą podkoszulek – będziesz wyglądać na wystarczająco zdesperowaną.

– W tym? – skrzywiła się Karolina, biorąc od niego wietnamską koszulkę, którą dostała od organizatorów festiwalu chóralnego parę lat temu. – Zapomnij! – zaproponowała i choć akurat całkiem lubiła ten

ciuch, rzuciła go na podłogę. – Nie wiem, po co się w to mieszam.

– Wyjaśnię ci. Przyczyn jest wiele. Najpilniejsza to skontaktować się z Apolonią Polańczyk. Jeśli ci nie żal staruszki, pomyśl chociaż, że jeśli umrze, to już nigdy nie przypomni sobie, że kazała dorobić ci klucze. To raz! – wyliczał na palcach.

– Wyobraź sobie, że jakoś mi jej nie żal. – Karolina patrzyła na niego z zaciśniętymi zębami. Nie myślała tak, ale miała ochotę tak powiedzieć.

– Dwa! Udowodnią ci kradzież.

– Niczego nie ukradłam – syknęła.

– A te wszystkie rękopisy, listy, notatki, które się u ciebie znalazły?

– Podrzucę je gdzieś.

– Mhm, jasne. Wtedy nie padnie na ciebie ani cień podejrzeń – droczył się. – Co tak patrzysz? Spalisz je? Wpuścisz do ścieku?

Karolina jęknęła. Prawie ją zabolalo.

– Trzy! – wyliczał. – Z twoim mężem i tak się musisz spotkać!

– Z Maxem? – Tego się nie spodziewała. Nawet nie podejrzewała. Stała z otwartymi ustami. – Mowy nie ma!

– Wcześniej czy później... Radziłbym wcześniej. Później pan prezes fundacji może być niedostępny!

– Nie jestem gotowa – jęknęła, opadła na sofę i położyła głowę na oparciu, jakby nagle zaczęła jej ciążyć.

– Jesteś – przekonywał ją Haber. Podniósł podkoszulek z podłogi. – Ale on tego nie musi wiedzieć. Tak będzie lepiej. Podpowiem ci, jak się zachować. Po pierwsze, nie prasuj tego. Po drugie...

– Nie chcę tego słuchać! – krzyczała.

Krzyczała wieczorem. Rano siedziała w samochodzie. W wietnamskiej podkoszulce. W nierozczesanych włosach. Właściwie tak jak wstała. Zgodnie z instrukcją. Pożałowała, jak tylko zaparkowali pod kamienicą na Słowackiego. Z bramy wyszła Ilona. W szpilkach, szarej ołówkowej spódnicy, białej koszuli. Wyprasowanej. Kołnierzyk



stał prawie na sztorc. Głośno stukała, idąc po chodniku. Obejrżeli się za nią niemal jednocześnie stary dziadek ze starym psem na smyczy i młody chłopak ze spacerówką. Karolina zsunęła się w fotelu, żeby nie było jej widać.

– Nie dziwię się Kachoniowi, że płakał. – Przeszło jej przez myśl, gdy obserwowała, jak tamta poprawia rozwiane włosy i wsiada do samochodu.

– I ja mam do niego iść? – głośno wyraziła wątpliwości.

Brodacz z półuśmiechem siedział obok. Wystrojony, w błękitnej lnianej koszuli.

– Tak.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Bądź jak trawa – wyjaśnił krótko, gładząc się po policzku, jakby sprawdzał, czy jego broda nadal jest idealnie przycięta.

– Słucham? – zapytała i chciała wyprostować się w fotelu, ale widać ją było przez szybę, więc szybko skuliła się z powrotem. Patrzyła jednym okiem.

– Jak trawa. Pamiętaj. Zdeptana zawsze się podnosi. Ale nie łamie, jak obcasy – dodał w momencie, gdy Ilona musiała sobie pomóc ręką, by wyjąć but, który utknął w studziencie kanalizacyjnej. Wyszarpała go. Obcas zwisał. Wrzuciła pantofel do samochodu. Spojrzała na zegarek, coś pokrzykiwała, ale była za daleko, żeby Karolina dosłyszała, jakich to przekleństw używa. Wsiadła i odjechała.

– Numer mieszkania siedemnaście. – Wskazał na kamienicę, przed którą zakwitło na różowo niewielkie drzewko. – Idź!

Karolina bez słowa otworzyła drzwi samochodu i ociągając się, miękko postawiła nogę na nierównym chodniku.

– Na szczęście mam trampki – mrugnęła okiem.

Pamiętam ten majowy dzień, kiedy bieg wydarzeń przyspieszył tak, że do dziś dnia nie wiem, jak mi się udało nie paść trupem z nadmiaru wrażeń. Tak przeżywałem to wszystko, co wkrótce miało się wydarzyć.

Ranek zaczął się spokojnie, choć nie bez wzruszeń, do których jeszcze nie przywykliśmy. Po tylu latach uginania karku, my, urodzeni w niewoli, w kajdanach, w pogardzie, mogliśmy z dumą się wyprostować! Wypiąć pierś i oddychać powietrzem wolności! Ach!

Polecenie miałem udać się do zamku i czekać na list polecający od Józefa Kostrzewskiego. Słabość ogromną miałem do tego młodego archeologa. Nie dziwne. Dane mi było być przy tym, jak przejmował on zamek na potrzeby uniwersytetu. Byłem przy tym, kiedy z białoczerwoną opaską na ramieniu i rękami dumnie założonymi na wypiętej piersi stał i patrzył, jak Latzel, niemiecki kasztelan zamku, opuścić musiał cesarską siedzibę. Popłakał się jak dziecko, bo wraz z nią oddawał też swoje służbowe mieszkanie. Szkoda mu pewnie było, bo zajmował któryś z pięćset osiemdziesięciu pięciu mieszczących się tam pokoi. Niezapomniane chwile! Szczególnie jak się pamięta, co działo się wcześniej. A ja pamiętam dobrze, kiedy to z Bożej łaski cesarz Wilhelm II, król pruski, przyjechał osiem lat wcześniej otworzyć swoją nową rezydencję, wybudowaną w pięć lat na średniowieczną modłę. Ach! Czego tam nie było. Tron przez słonie niesiony, na styl maharadzów z Indii, fontanna z lwami na różanym dziedzińcu, dokładnie taka jak w pałacu w Alhambrze, kaplica królewska równa z tą z Palermo. Na zewnątrz dojrzeć można płyty kamienne z bajkami o czerwonym kapturku, lisie i smoku. Pewnie to były ulubione opowiadki cesarza, który od dziecka rękę miał uschniętą, a wychowany ciężko na pruską modłę, nigdy zupełnie nie dorósł. Bliżej mu było do swych obłąkanych przodków niż do wielkich władców, do których chciał się równywać. Wznosząc toast za zamek, mówił, że postawił go jako symbol swego ojcowskiego zainteresowania dla tej pięknej niemieckiej prowincji, „klejnotu w swojej koronie”. Nie muszę chyba pisać, jaki był odzew poznaniaków. Nawet niemieckie gazety napisały, że... „dość chłodny”, a udział w uroczystościach „nie był przygniatający”. Pamiętam dziennikarza „Kurjera Poznańskiego”,

u którego wtedy wielkie zakola na czole dopiero zapowiadały całkowitą łysinę, jak latał po ulicy od okna do okna, licząc i sumując, ilu to polskich restauratorów, cygarników, obraźników czy fotografów okna swoje przyozdobią ekspozycjami na cześć cesarza. Niewielu ich naliczył. Sam dziennikarz zaś nazajutrz pisał odważnie, że nie może dziwić takie powitanie cesarza, skoro on na co dzień tylko ustawy na niekorzyść Polaków obmyśla.

Ale czasami, jak to wydarzenia późniejsze potwierdziły, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Cała dzielnica cesarska wraz z zamkiem, pełna potężnych gmachów, została obmyślona, co Wilhelm II z całą swą fanfaronadą oświadczył, „by Poznań był i pozostał strażnicą i ogniskiem niemieckiej kultury i obyczaju niemieckiego”.

„Figa z makiem!”, krzyczę tu w głowie sam do siebie, przyklaskując radośnie i ciesząc się jak dziecko. Wiosną tysiąc dziewięćset dziewiętnastego uniwersytet nasz od razu miał się gdzie podziąć. Jak znalazł! I tu nie omieszkam znowu powiedzieć, że mój pan Heliodor się do tego przyczynił. Wspominam to, bo zadumać się przez moment chciałem nad zmiennością losu. Bo czasami ślepy traf przeznaczenie budynków zmienia, a i życie ludzkie odwrócić potrafi. Gdyby ten dzień nie zaczął się tak, jak się zaczął... a wiatr by nie zawiał... to kto wie, czy inaczej by się to wszystko nie skończyło.

Tego dnia nie miałem w planach iść do panny Olchy. Innych zadań było co niemiara. Liczyłem na to, że i ona zajęć ma pełno i spotkam ją później. A gdy będzie już po uroczystościach, przyjdzie też czas na leczenie serca po złamaniu. Mógł taki czas nie nadejść! Ale po kolei.

Listy zabrane z zamku przekazać miałem dziennikarzowi „Kurjera Poznańskiego”, który przesiadywał u Robińskiego albo w Carltonie. Szczęście moje parszywe, że dziennikarza ani tam, ani tam nie było. Pewnie gdzie indziej szykował artykuł o otwarciu uczelni. Za to stolik obok niego trzymał posterunkowy Hęciak, który w tym czasie wąż już

nie na cesarza, a raczej na Piłsudskiego nosił. Rozgościł się tam, pod jakim nie wiem pretekstem. Widząc go, musiałem się przygotować na pytanie, po którym będzie się ostentacyjnie stukał w głowę.

– Przecież on głuchy jest!

Nie wiedzieć czemu, ciągle i niezmiennie go to bawiło. Obmyślając, jak by go minąć, przyczaiłem się na chwilę i wtedy dojrzałem innego, przyszczatego, młodziutkiego policjanta, który wyraźnie pędził w jego kierunku. Był przejęty, wymachiwał rękami i z zasapania nie mógł wymówić słowa. Schowałem się za kotarą, podejrzewając, że posterunkowy w końcu wyjdzie. Nie myliłem się. Po chwili zbliżali się do mnie. Młody, pacnięty przez Hęciaka odlewem w kark, zaczął szybko mówić, łapiąc oddech.

– Panna tam! Tam! Chyba otruta. Bez ducha leży!

– Skąd wiadomo, że otruta? – nadstawiłem uszu z zainteresowaniem.

– Tak mówią. Sina cała... na ustach. Chorować... to podobno... nie chorowała – młodzieniec sapał cały podniecony.

– Może na głowę? Teraz to wszystkie panny wariują. Jedna za drugą. Od tego głosowania tak im się w tych główkach poprzekręcało. Suknie im wybierać, a nie władzę!

Już chciałem iść w swoją stronę, gdy młokos wydusił z siebie.

– Ale pani... pani Wiercimagowa na gwałt pana wzywa!

Stanąłem jak wryty, nadstawiłem się cały na słuchanie i wychyliłem z ukrycia, bo przyszczaty policjant mówił teraz ciszej.

– Rozgłosu żadnego nie chce, bo to nikomu nie posłuży, mówiła. Liczy na dyskrecję – już prawie szeptał.

– I po mnie wzywa? – zdziwił się Hęciak. Ja zdziwiłem się jeszcze bardziej. To mądra kobieta.

– Nie... – młody podrapał się po głowie. – Ale nikogo innego nie było. Zresztą pani kazała do pałacu Działyńskich lecieć. Tam po pomoc, ale gdzie mnie do pałacu... Ja spod Środy jestem...

– Dobrze zrobiłeś – posterunkowy teatralnie zmarszczył czoło i podkręcił wąsa, prężąc się i prostując ponad miarę. Ruszył przed siebie z zadowoleniem.

„Gorzej być nie mogło”, pomyślałem. Po największego gadułę w polskiej policji pobiegł! Dzieciak ani miasta, ani życia jeszcze nie znał.

Postanowiłem podążyć za nimi, nie rozmyślając o najgorszym, choć nogi zmiękły mi tak, że z początku ciężko mi było iść. W końcu ruszyłem za plecami posterunkowego, starając się dorównać mu kroku. Ciężko mi było, gdyż on krótki i takie też kroki dawał. Dwa na jeden mój wystarczało. Ale słyszeć, o czym mówią chciałem.

– Lekarz u niej był jakiś?

„U kogo?! U kogo?!”, w środku mnie aż krzyczało.

– Podobno był, ale ręce rozłożył. Otrucie, powiedział tylko.

– A ona znak życia daje? – w przerażeniu prawie nadepnałem mu na piętę.

– Daje, ale ledwo oddycha, nachylić się trzeba. A tak, to jak w trumnie, bez ruchu, sina leży.

– To pewnie nie pożyje – zawyrokował posterunkowy. – Jak się nazywa? Co za czort?! – krzyknął, gdy solidnie mu po pięcie pojechałem, nachylając się w jego stronę. Odskoczyłem.

– Głuchy, a podsłuchiwać chce! Poszedł mi stąd! – krzyknął i machnął na mnie ręką, jak na psa. Wyminąłem go więc i pobiegłem przed siebie, nie odwracając się.

– Patrz, w naszym kierunku ucieka – wykrzyknął za moimi plecami. – Może na miejsce zbrodni poleciał? Leć za nim – dosłyszałem, ale nic sobie z tego nie zrobiłem, bo przecież biegłem z całą swoją mocą przez cały czas. Zatrzymałem się dopiero przed kamienicą na Ogrodowej i dopiero tam spostrzegłem, że młody policjant jednak mnie dogonił. Wtargnął między mnie a drzwi, a za nim przybiegł zasapany Hęciak. Chwilę patrzyliśmy na siebie nawzajem z niedowierzaniem.

– Ha! – zakrzyknął, łapiąc powietrze. – Wiem! Z ruchu warg musi czytać. – Wskazał, prawie wtykając mi palec do ust. – Patrz! Głuche to i wszystkiego ciekawe – wrzasnął, wykrzywiając niemiłosiernie usta, chyba po to, abym zrozumiał.

Odepchnąłem młokosa. Szarpnąłem za drzwi i pognałem przodem, przemierzając po trzy stopnie na raz. Po chwili byłem w pokoju. W salonie zobaczyłem panią Wiercimagową, Seweryna Kochańskiego, Ankę Cukierównę, Laurę Fechner. Wszystkich na raz. Rozglądałem się dalej. Jej nie widziałem! Odgoniłem ich, miotając rękami jak oszalały. Rozstąpili się. Leżała na szezlongu. Jak bezbronne dziecko, z rękami rozłożonymi na boki. Przykryta cienkim płaszczem. Miała sine usta, nos i uszy. Przy tym nieprawdopodobnie bladą twarz, tak białą, że prawie piegów widać nie było. Rzuciłem się ku niej. Uklęknąłem. Chwyciłem zimną rękę. Paznokcie też miała przeraźliwie sine. Zapłakałem. O tym, co w duszy mojej się działo, wtedy, gdy za tę rękę nieprzytomną ścisakałem... Ach!

Jeszcze teraz, gdy pióro trzymam, na samo wspomnienie skurcz za gardło mnie chwyta taki, że ledwo mogę oddychać. Powietrze w płucach mi grzęźnie, a ja niczym karp oddechu nowego szukam. Wiem, że niedługo w ten właśnie sposób wydam ostatnie tchnienie. Ale jeszcze nie teraz. Teraz spisać muszę, co tam się wydarzyło.

Pierwsze, co potem pamiętam, to głos Seweryna Kochańskiego.

– Księdza trzeba wezwać. Święte namaszczenie dać...

Odwróciłem się w jego stronę. Nie wiem, co miałem w oczach, ale rudzielec, szykujący się do wypowiedzenia kolejnych słów, zamilkł.

– Janie Kanty, idzie doktor? – zapytała pani Wiercimagowa, a ja bezradnie pokręciłem głową, patrząc na nieprzytomne dziewczę.

– Ten, co tu był, ratunku nie widział – wyjaśniła, bezradnie rozkładając ręce. – Gdy weszłam, ona tak leżała bez ruchu, płaszczem Laury przykryta. Myślałam, że może śpi. Tylko okno otworzyłam, bo... – machnęła ręką – ale jak wróciłam, to już była sina, o tak.

– Co to za zbiegowisko? Co się tu stało! – bez wstępów przystąpił do czynności posterunkowy.

Pani Wiercimagowa na jego widok wzniosła oczy do nieba, potem zatrzęsała się ze złości.

– Tylko tego tu brakowało! – Nie bacząc na Hęciaka, dorwała młokosa, który chował się za jego plecami. – Doktora Świącickiego miałeś wzywać, łapserdaku! – wrzasnęła, ciągnąc policjanta do góry za kołnierz. A że była ze dwa razy większa, wił się jak piskorz i bał zrobić cokolwiek.

– Władza na posyłki nie jest! – krzyczał w jego obronie posterunkowy. Wiercimagowa puściła chłopaka bez żalu i podeszła do posterunkowego, nadymając się cała, tak że o połowę większa się zdała. On na to stał się o połowę mniejszy.

– Hęciak! Pamiętam cię jak dzieckiem byłeś. Jak go zaraz nie pošlesz po doktora, to powiem wszystkim... – krzyczała, trzymając się pod boki.

– Co niby, co? – Próbował bronić się posterunkowy.

– ...na czym cię w schowku na dole przyłapałam! – Hęciak nie wytrzymał i odskoczył od niej jak oparzony. Rozglądał się przy tym na boki, jakby chciał sprawdzić, kto jeszcze to słyszał. Spojrzał przy tym na mnie.

– A czy to nie jego służący? Niech on leci! – odkuł się posterunkowy. Pokręciłem głową przecząco, mankietem oczy obtarłem i nie ruszyłem się z kolan, odwracając wzrok.

– On tu do opieki zostaje! Nie widzisz?

Hęciak popatrzył podejrzliwie. Zmrużył oczy, ale odpuścił.

– Leć na rynek – zwrócił się do chłopaka – od kościoła w dół. Tam jest pałac Działyńskich. W razie co, to język masz, nie to co on. Bez doktora mi nie wracaj. Zrozumiałeś?

Młody policjant rozdziawił gębę, ale przytaknął.

– Wykonać rozkaz – pogonił go i chłopak popędził, mało nóg nie

połamał. Słysząc było jego kroki na schodach.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, a ja patrzyłem na twarz panny Olchy, która wyglądała jak z porcelany. Biała jak śnieg laleczka z fioletowo umalowanymi ustami. Parę jeszcze widocznych piegów wyglądało jak ziarenka maku. Odgarnąłem jej włosy z czoła.

– Czy ktoś mi tu wytłumaczy, co zaszło? – przerwał ciszę posterunkowy, kiwając głową ze znawstwem. – Bo ewidentnie wszystko na otrucie wskazuje. Chyba że ty mi powiesz? – Podszedł do mnie.

– Dałbyś pokój – powiedziała Wiercimagowa. – I tak za dużo hałasu robisz.

– Hałasu narobię, jak wszystkich tu obecnych aresztuję i publicznie stąd wyprowadzę. Tych, co mi grożą, najprędzej – dodał, ale znacznie ciszej i robiąc krok do tyłu.

– Już się boję! – wrzasnęła Wiercimagowa, chwytając się pod boki.

– Nie utrudniać mi!

– Dziewczyna umiera, nie widzisz?! – wyszeptała przez zęby właścicielka pensjonatu.

– Tym bardziej! – stwierdził Hęciak, w dziwny sposób chwytając swój podbródek w dwa palce. – Czym otruta, zbadać musimy – oświadczył, kiwając mądrze głową. – To może wtedy i jakieś antidotum na ratunek się znajdzie – orzekł, a wszyscy łącznie ze mną popatrzyli na niego ze zdziwieniem. Spodobało mu się to zainteresowanie, więc zaczął chodzić w kółko, jakby od jego rozmyślenia wszystko miało zależeć.

– Kto ostatni raz ją widział żywą? – zapytał.

– Na Boga, przecież ona jeszcze żyje – złożył ręce Kochański.

– No tak... w przytomności, znaczy się?

Wtedy to odgadłem, że za angielskimi powieściami detektywistycznymi musi on przepadać tak, jak ja za romansami. Bo inaczej jego teatralnego zachowania wytłumaczyć się nie dało.



– Ja – odezwała się cicho Laura. – Wróciłam z pracy. Przywitałam się, płaszcz tylko zrzuciłam i poszłam do siebie. Dopiero Anka mnie obudziła – zeznawała, zerkając na leżącą.

– Jak ona się zachowywała?

– To znaczy jak? – zbladła. – Aaa... nie rozmawiałam z nią. Ale zachowywała się zwyczajnie. Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym. Byłam zmęczona po powrocie z farbiarni. Ona pewnie też, skoro zasnęła przykrywając się moim płaszczem.

– A to ciekawe. Ciekawe – powtórzył posterunkowy, marszcząc czoło. – Mieszkacie razem i nie rozmawialiście? Jesteście pokłócone może. O młodzieńca jakiegoś? – dopytywał, wspinając się przed nią na palce, by spojrzeć z góry.

– Nie, tak, nie... Właściwie nie – plątała się.

– A czy ma panienka kontakt z truciznami?

– Nie, tak, nie... właściwie. Mówiłam, byłam w laboratorium.

– To w farbiarni czy w laboratorium? – rzucił jej Hęciak prosto w twarz.

– To jest to samo dla mnie. Ja... Boże, nie! – chwyciła się za głowę i spojrzała w kierunku swojej szafki, obok której stała drewniana skrzynka, a na niej odczynniki, które się już w środku nie mieściły. Hęciak podążył za jej wzrokiem i bezwiednie się uśmiechnął. Buteleczki, niektóre pełne, wyglądały na takie, które strach samemu otwierać. Pasowały idealnie.

– Na Boga, niech pan przestanie! – Wtrąciła się Anka, biegnąc w kierunku Laury, która zbladła tak nieprawdopodobnie, że przez chwilę patrzyłem na nią, oderwawszy wzrok od Olchy.

– Ha! – wykrzyknął. – Jak to mówią w po... w podręcznikach, proste rozwiązania są najprostsze! – dodał z palcem na sztorc.

– Nie, to nie tak – jęknęła Anka. – Laura pracuje w Fabryce Farb przy placu Wolności, to jej odczynniki... Nie męczcie jej. – Hęciak nie słuchał, tylko klasnął w rękę.

– To właśnie wszystko dobrze się składa. W dedukującą całość – wciąż kiwał głową z zadowoleniem. – Jedyne, co odgadnąć trzeba, to powód otrucia, ale i on pewnie zaraz się znajdzie. Może zawód jakiś miłosny?

– O Boże! – wykrzyknął Seweryn Kochański, patrząc na Laurę. – Boże, odpuść!

Spojrzałem na nieprzytomną Olchę i serce prawie mi zamarło.

– Jest pani aresztowana! – z dumą w głosie oświadczył posterunkowy, podchodząc do Laury. Ta wycofała się pod samą ścianę. Wyglądała tak, jakby miała zaraz zemdleć.

– Nie! – wykrzyknęła Anka – Nie pozwolę na to. To jakaś niedorzeczna afera! – burzyła się.

– A niby dlaczego? – Hęciak nie ustępował.

– Bo ona niewinna. Zaręczam! – nastawała Anka, błagalnie składając ręce. – Wiem to. Pan ją zostawi w spokoju.

– A skąd niby panna wie? Może w zmowie przestępczej jesteście? – Hęciak, marszcząc czoło, podszedł do Anki i spojrzał na nią podejrzliwie.

– Może tu nie tylko o zawody miłosne chodzi, lecz także o stosunki pieniężne? Co panna na taki motyw? Panna, zdaje się, pocerować więcej tej sukni nie dałaby już rady. – Anka poczerwieniała ze wstydu i złości jednocześnie, a Hęciak odwrócił nagle od niej głowę i ciągnął dalej, coraz bardziej z siebie zadowolony. – A umierająca panna raczej zgrabne ma wdzianko. Płaszcz nieuszargany! Poplamiony tylko przy kieszeni. Ale szykowny.

Obruszyłem się. Olcha była umierająca, ale ten ją lustrował wzrokiem, jakby już nie żyła. Jakby manekin ze składu tekstylnego tu leżał. Ale ni drgnąłem, trzymając w rękach jej siną dłoń.

– Płaszcz jest Laury! – wrzasnęła Anka Cukierówna, tak głośno, że stojący obok Kochański odskoczył na metr i patrzył oniemiały.

– I co z tego?!

– To z tego, że przeszukanie trzeba zrobić. Dowody znaleźć – oświadczył Hęciak, prężąc się cały.

– Ja ci zrobię przeszukanie! – wrzasnęła Anka, składając ręce w pięści. Posterunkowy też się najeżył, ale zrobił krok w tył.

– Cukierówna, ty przestań! – wkroczyła między nich Wiercimagowa.

– Niby czemu?!

– Bo nam tu skandal nie jest w niczym potrzebny. Panie posterunkowy. U niej w szafie jest tylko jedna stara walizka.

– Nie pozwolę! – krzyczała jeszcze Anka, ale znacznie ciszej.

– Panie posterunkowy – zwróciła się do policjanta właścicielka dumnym, oficjalnym tonem. – Za mną poproszę. Pójdziemy do pokoju panny pensjonariuszki i po krzyku.

Anka podeszła do Kochańskiego. Ten się nieco wzbraniał, ale chwyciła za ramię i oparła głowę na piersi, patrząc przy tym na Laurę. Ta usiadła na fotelu i schowała twarz w dłoniach. Po chwili z pokoju obok salonu wyszła Wiercimagowa z posterunkowym niosącym przed sobą w dwóch rękach walizkę.

– Podejź tu, córuchno – powiedziała Helena Wiercimagowa. Ale dziewczyna nawet nie zdążyła tego zrobić, bo posterunkowy sam podążył do niej z otwartą walizką. W środku obok bielizny wciśnięty był plik pieniędzy. Dosyć pokaźny. Równo ułożony. I ja go już kiedyś widziałem.

– To nie moje! Ja tej walizki od dawna nie otwierałam – płakała Anka, a Kochański odskoczył od niej jak oparzony i od razu się przeżegnał, składając ręce jak do modlitwy.

– Tego się domyślamy – pokiwał nie wiadomo który raz głową posterunkowy, cmokając z zadowolenia. Laura podniosła głowę. – Do tego akt własności – dodał Hęciak i wyciągnął duży papier notarialny, spisany ozdobnym pismem. Ten papier też widziałem w rękach mojego pana Heliodora, a potem w palcach obdarowanej Olchy. Nie

wierzyłem w to, co widzę.

– Na co mi akt własności? – zapytała załamany głosem Anka, rozglądając się po wszystkich i szukając wsparcia. Ja opuściłem wzrok. Hęciak zaczął czytać.

– Kamienica... przy Hahenzollernstrasse. Bogata ulica. Teraz będzie się nazywać Mickiewicza. Też ładnie!

Na dźwięk tych słów wstałem, jakby mnie jaki hipnotyzer przyciągał, abym do tej walizki podszedł. Patrzyłem na pieniądze i na papier.

– A ty co się tak patrzysz? – zapytał, przesadnie artykułując, chyba abym zrozumiał.

– Janie Kanty? – zwróciła się do mnie Helena Wiercimagowa, zasłaniając usta w przerażeniu. – Czy ty wiesz, czyje to jest?

– Trzeba do niego wyraźnie. On z ruchu wa... – Próbował wtrącić się Hęciak, ale ja już wcześniej głowę przekręciłem i drżącą ręką pannę Olchę wskazałem.

– O czym pan mówi? – zapytała Laura nieprzytomnym głosem.

– To niepodobna – trzymała się za głowę Helena Wiercimagowa.

Wszyscy patrzyli po sobie w osłupieniu, w końcu jednak posterunkowy Hęciak zadowolony z siebie i obrotu spraw tupnął głośno nogą.

– Obie pod klucz! I to zaraz – oświadczył urzędowym tonem. – Dobrowolnie albo...

W tym momencie otworzyły się drzwi. Wpadł zziębnięty, przyszczaty policjant.

– Doktor idzie! – wrzasnęła.

Karolina kilka razy zapukała, a potem zagryzła zęby i czekała, oddychając miarowo. Wdech, wydech. Tak miała robić. Spokojnie. Potem usłyszała za drzwiami szybkie kroki. Teraz już tylko wciągała powietrze. Jeszcze raz popatrzyła w dół na swój załosny, sprany, wietnamski podkoszulek i całkiem wstrzymała oddech. Drzwi się

otworzyły. Powoli zaczęła wypuszczać powietrze, przekręcając głowę ze zdziwieniem.

– A, to ty? – zdziwił się równie bardzo Max.

– Ja – potwierdziła Karolina, patrząc wprost na niego. Stał przed nią tylko w slipkach. Nie widziała ich wcześniej, czarne, z deseniem w żółte banany. Do tego wąski czarny krawat na gołe ciało.

– Fajnie się tu bawicie. Mogę wejść? – zapytała, już wchodząc.

– Ubiorę się – chrząknął Max. Nie wiedział, co zrobić z oczami. Nerwowo przebierał palcami we włosach. Jedno jest pewne: diabła prędzej się spodziewał niż jej. Wszedł do pokoju obok i zamknął za sobą drzwi.

– Nie krępuj się, wszystko widziałam – powiedziała sztucznie radosnym tonem, rozglądając się bacznie po mieszkaniu. Było małe, ale już na pierwszy rzut oka wszystko w nim było drogie. Szklany stolik, cienki telewizor, wielka puchata pufa. Siadła na niej. Długo pocierała rękami po włóchatym fioletowym materiale. Chciała zetrzeć z dłoni pot, który strużkami lał się jej po palcach. Długo się starał, a czas dłużył się w nieskończoność.

– Co u ciebie? – zapytał Max, siadając naprzeciwko. Jeszcze dopinał guziki lnianej koszuli. Na sobie miał dziwne wąskie spodnie w kant. Nie poznawała go, a na pewno takim nie znała.

– Świetnie – odpowiedziała radośnie, wysokim tonem, widząc, jak lustruje ją z góry na dół. Bez dwóch zdań w przeciwieństwie do niego wyglądała żałośnie. Do koszulki dołożyła poplamione dzinsy. Właściwie brodacz dołożył.

Max odchrząknął kilka razy.

– Jak w chórze? – zapytał po chwili.

Karolina przekręciła głowę mocno na bok. Ścisnęła palcami uda, bo chciało się jej krzyknąć: „Żartujesz ty...!”. Dalej przyszedł jej do głowy cały ciąg słów, który niejednokrotnie ostatnio słyszała w nocnych sklepach na Jeżycach. Ostatnimi czasy tylko w nich robiła zakupy.

Parę wyszukanych wyzwisk zapamiętała. Miała więc to wszystko na końcu języka. Myślała, że za chwilę wybuchnie. Ale patrząc na niego, usilnie starała sobie przypomnieć: „Jak to było? Jak to było? Aha... Jak trawa. Jak trawa. Zachowuj się jak trawa”, powtarzała sobie w kółko, aż zaczęła się kiwać na boki, jakby co najmniej nie trawą była, a trzcina na wielkich jeziorach. W prawo i w lewo. Jeden bok, drugi bok. Patrzył na nią teraz już nie z politowaniem, a raczej z narastającym lękiem. Wolno kiwała się dalej. Jak wahadło. Po chwili zaczęło ją nawet to bawić. Dołożyła nucenie. A potem zaśpiewała najładniej jak potrafiła.

– *Nothing's gonna change my love for you. You ought to know by now how much I love you...*

Max wstał na równe nogi.

– Co ci? – pytał, cofając się.

– Nic – skończyła i wzruszyła ramionami. – Usiądź. Pytałeś o chór. Próby, próby, próby. – Rozłożyła szeroko ręce. – Ostatnio to właśnie śpiewałam.

– Aha... – Siadał powoli z powrotem, nie spuszczać z niej wzroku. – No tak, za chwilę obchody stulecia uniwersytetu – dodał po chwili. – Pewnie macie dużo tych prób?

– Taa. – Kiwnęła się na jeden bok. – Jestem teraz solo, więc pewnie jako solistka wystąpię. Kto wie? Jaką partię wyśpiewam.

Nie uwierzył.

– Karolina. Bądźmy dorośli... – zaczął powoli.

– Po co? – Kiwnęła się na drugi bok.

– Nie wygłupiaj się. Sama to wszystko zaczęłaś – wstał ponownie i zaczął chodzić w kółko. – Narobiłaś kłopotu. Wiesz, że zapłaciłem za ciebie kaucję. Po co schodziłaś to piętro niżej?

– A po co schodziłaś dwa piętra niżej?! – wrzasnęła.

– To nie tak, jak myślisz...

– Ja nie myślę, nie zauważyłaś? Nigdy bym tego nie wymyśliła! –

Patrzył na nią, jakby nie wiedział, co powiedzieć. Zapanowała przeciągająca się cisza.

– Jak mogłeś?! – Przypomniała sobie, co miała mówić.

– Nie mamy dzieci. To sprawa tylko między nami. Zrobiłem dla ciebie, co mogłem, żebyś nie siedziała w areszcie do tej pory – wypowiadał słowa z szybkością karabinu, jakby też je miał wyuczone od dawna.

– Dziękuję, panie prezesie! – syknęła przez zaciśnięte zęby. – Domyślam się, że wystarczyło tylko pociągnąć za jakieś sznurki. Pewnie od stringów.

– Nie zrozumiesz tego.

– Zapewne. Ale wiesz co? Jeszcze nie zdecydowałam, czy cię zabiję czy nie – oświadczyła, a on znowu zrobił krok do tyłu.

– Po co przyszłaś?

– Właściwie sama nie wiem. – Karolina głośno westchnęła. „Oddychać”. Poinstruowała samą siebie. „Oddychać”. – Powinnam uporządkować swoje sprawy. Posprzątać ten burdel. – Rozejrzała się niby po mieszkaniu, ale tak naprawdę chciała zrobić małą przerwę. – Znalazłam pewne dokumenty... – zaczęła tak, jak jej kazał brodac. Poważnym tonem.

– Jakie dokumenty? – zainteresował się mocno.

– Nieważne. Myślałam, że je wyrzucę. Ale zmieniłam zdanie. Najpierw pojedę sobie do staruszki. Wiem, nie miałam się z nią spotykać... kaucja i te sprawy... nakłanianie świadka itepe...

– Wiesz, że ta kaucja to... duża strata – mówił bardzo niepewnym głosem.

– Jakoś mi ciebie nie żal – przerwała mu i przegięła się w bok.

– Skąd wiesz, gdzie ta staruszka mieszka? – zapytał dokładnie tak, jak przewidział brodac.

– Domyślam się.

– Skąd? – powtórzył głośniej. Nie poznawała go.

– Dostałam od niej list... Trochę enigmatyczny, ale ważne, że jest adres.

– Co? Poczekaj. – Obmacał się po kieszeniach, jakby chciał wyciągnąć telefon.

– Nie. Nie poczekam. Wychodzę – Karolina wstała.

– Muszę... muszę. – Zagroził jej drogę. – Muszę zabrać papiery z mieszkania. Nie mam klucza.

– Wiem. Przecież ci zabrałam.

– To kiedy mogę? To ważne... – Próbował się umówić.

– Teraz. – Wyjęła z kieszeni klucze i rzuciła na szklany blat z taką siłą, jakby chciała go rozbić. Metalowy ciężki klucz odbił się od szyby i poleciał w kąt. Max rzucił się za nim. Podniósł.

– Ale teraz nie mo...

– Teraz albo nigdy! Wychodzę! – przerwała mu i odwróciła się na pięcie. – Nie będzie mnie dwie godziny. Potem nie chcę cię widzieć. Nigdy – dodała odwrócona plecami.

– Dobrze, teraz. Jak chcesz. Jeszcze kiedyś ci...

– Klucz wrzuć do skrzynki – rozkazała i wyszła, trzaskając drzwiami z całej siły.

Zbiegła po schodach. Na zewnątrz przez chwilę szła wolno. Powłócząc nogami, z pochyloną głową. Zdawało się jej, że za zakrętem dostrzegła Wiktora, ale odwróciła głowę. Chciała zachować pozory spokoju, dopóki można ją było dojrzeć z okna. Gdy tylko skręciła ze Słowackiego, zaczęła biec co sił w nogach. Wszystko poszło zgodnie z planem.

W drzwiach pensjonatu pani Heleny Wiercimagowej nie stanął wcale mój pan Heliodor Świącicki. Jakież było moje zdziwienie, jakież zmartwienie, jakaż niemoc! Młody policjant przyprowadził doktora Adama Wrzoska, którego wtenczas znałem pobieżnie. Pomyślałem, że zaraz będzie koniec, że dziewczęcia ledwo przytomnego nic już nie uratuje. Lecz wyroków Boskich my, ludzie, nie znamy i nigdy nie



wiemy, czy w dobrą stronę poprowadzi nas ktoś nam znajomy, przychylny, czy też całkiem przypadkowy. Z tego, co się później dowiedziałem, młody policjant ze Środy, który w końcu dotarł do pałacu, uczynił lament, że „doktora trzeba, bez doktora się nie ruszy”. Tak się akurat stało, że zastał jedynie doktora Wrzoska, który ledwo co przyjechał z Krakowa na uroczystości. Jako że mój pan był na rozmowach u biskupa Dalbora i omawiał tam przebieg mszy inauguracyjnej, przybysz, który nawet płaszcz zdjęć nie zdążył, nie bacząc na zmęczenie, chwycił tylko parasol i podążył na Ogrodową w zastępstwie. Tak też w drzwiach go zobaczyłem i oprzytomniawszy po zdziwieniu, jakie mnie ogarnęło, do nóg mu się rzuciłem.

– Otruta leży tu – wkroczył między mnie a doktora posterunkowy Hęciak. – On głuchy jest, nic nie powie... – wyjaśnił i machnął na mnie ręką.

– Z tego, co pamiętam, służący pana Świącickiego słyszy bardzo dobrze – odpowiedział mu uprzejmie doktor, ściągając melonik i rzucając płaszcz na krzesło. – A mówić nie musi. Sam widzę – dodał równie uprzejmym tonem i poszedł prosto w kierunku nieprzytomnej Olchy.

Badał jej puls, podnosił i opuszczał rękę, oglądał paznokcie. W końcu nos do jej ust przybliżył, by oddech powąchać i głęboko zaciągał powietrze. Czynności te powtórzył kilka razy.

– Bez wątpliwości powiedzieć mogę, że doszło tu do otrucia.

– O Boże! – krzyknęła Wiercimagowa.

– Jezu! – jęknęła Laura

– Chryste! – złapała się za głowę Anka.

– Matko Przenajświętsza! – zawołał najgłośniejszy z nich wszystkich Seweryn Kochański i wznosił ręce do nieba.

– Wiedziałem! Wyprowadzić je – posterunkowy Hęciak huknął w kierunku przyszczatego policjanta.

– Dlaczego? – zdziwił się doktor.

– Obie są podejrzane. W zмовie były!

– Panie mają coś ze sprawą wspólnego? – zapytał łagodnie doktor Wrzosek, na co obie przecząco pokręciły głowami. – Czyli nie dowiem się, co to była za trucizna?

Nikt się nie poruszył.

– Nie mam pojęcia – odezwała się po chwili Laura. – Tam jest skrzynka z odczynnikami. Pracuję w laboratorium Fabryki Farb... Ale nie wiem co... co ona... wypła – zająknęła się Laura.

– Zdaje się, że ona nic nie wypła – stwierdził doktor Wrzosek, zajrzawszy uprzednio do jej gardła i osłuchawszy serce.

– Wiedziałem! – wykrzyknął Hęciak. – Wystarczy kropla cyjanku albo kurary... – zawyrokował z wielkim przekonaniem.

– Janie Kanty, proszę, podaj mi torbę – zwrócił się do mnie doktor Wrzosek. Nie słuchał posterunkowego. – Nie ma czasu. Serce ledwo bije. Musimy je pobudzić. Reszta w rękach Boga – oświadczył i wyciągnął szklaną strzykawkę.

– I sądu! – wykrzyknął posterunkowy. – Wychodzimy. Przebywanie trucicielek i ofiary w jednym pomieszczeniu zdrowieniu służyć nie może! To pewne. – Hęciak kiwnął na młodego policjanta. Helena Wiercimagowa niechętnie, ale mu przytaknęła, odsuwając się i robiąc przejście w kierunku drzwi.

Laura z opuszczoną głową podeszła do Olchy. Popatrzyła chwilę, potem bez słowa wzięła płaszcz i ruszyła do wyjścia.

– Sewerynie – błagalnie zawołała Anka w kierunku przyklejonego do ściany bladego Kochańskiego. – Zrób coś! Proszę, zrób coś! – lamentowała.

– Powiadomię kuzyna i kogo trzeba – mówił, uciekając wzrokiem. – I będę się za pannę Ankę modlił... Obiecuję codziennie odmawiać różaniec i nowennę do świętej Rity, patronki spraw beznadziejnych.

Anka chlipnęła i bezradnie, z pochyloną głową ruszyła w kierunku wyjścia. W tym momencie doktor Wrzosek napełniał już szklaną

strzykawkę. Potem wbił ją w serce nieprzytomnej Olchy Jaworskiej. Ta uniosła się na chwilę i opadła na łóżko.

– Teraz możemy tylko czekać.

Widziałem to już wcześniej kilka razy. Obserwowałem z daleka działanie tych środków, krew do życia wzniecających, ale tym razem patrzeć na omdlałe, sine ciało młodej panny nie chciałem. Prawdę mówiąc, sam bałem się, że zemdleję i trzeba się będzie mną zajmować. Wszedłem na mały balkon, powietrza zaczerpnąć. Dwa kroki od barierki stanąłem, ze strachu przed wysokością, ale to wystarczyło, bym ją dojrzał. Między gzymsem a rynną utknęła biała koperta. Lekko poniżej balkonu. Łopotała na wietrze. Raz w tę, raz w tę. Pewnie nie wzbudziłaby mojego zainteresowania, gdyby nie ślad trzewika wyraźnie z jednej strony odcisnięty. Wiedziałem, że nie ma tu pomyłki. Na moście Chwaliszewskim widziałem już tę kopertę. List albo był wyrzucony, albo sam z mieszkania wyfrunął, gdy Helena Wiercimagowa okno otworzyła. Zimny pot mnie oblał. Sam nie wiedziałem dlaczego. I dlaczego nikomu wtedy nie dałem znać, też do dziś nie wiem.

Doktor Adam Wrzosek godzinę później jako ostatni opuścił mieszkanie na Ogrodowej. Uprzednio przenieśliśmy pannę Olchę na łóżko i kocem okryliśmy. Przytomność jej jeszcze nie wróciła, ale wrócił kolor na twarz, a nos i usta przestały być trupio sine. Niebezpieczeństwo nie odeszło daleko, ale zostało zażegnane. Zobowiązałem się zostać przy pacjentce na noc. W razie pogorszenia miałem słać po doktora. On sam miał pojawić się rankiem. Zaproponował, aby mojego pana nie niepokoić, bo u niego teraz każda minuta jest rozpisana. Helena Wiercimagowa też do swoich obowiązków wrócić musiała, obiecawszy przychodzić co godzinę. Zapowiedziała również, że skoro Kochański po kuzyna posyła, to ona do Teofila Owińskiego też depeszę skieruje, niech wie, co się stało. Może mu się żal dziewczyny zrobi. Ja jednak nie upatrywałem sobie

w tym nadziei zbytnej, przypominając sobie list, który utkwiał za rynną. Lotnik zdawał się stanowczą i ostateczną odpowiedź w liście dawać. A może i wyjścia nie miał. Tego wiedzieć nie mogłem.

Przysypiałem na krześle, trzymając pannę Olchę za rękę. Ale co zadrzemałem, to inny koszmar mnie budził. A to panna Laura jabłko zatrute podaje, to panna Cukierówna jak zbój skrada się po pieniądze. A to Hęciak aresztuje pannę Olchę za zatrucie samej siebie. Ten ostatni sen obudził mnie na dobre, a świst wiatru za oknem sprawił, że już nie zasnąłem.

„Gdy się obudzi, pewnie listu będzie szukać. Nie wyrzuciłaby go za okno”, przyszło mi do głowy. Następna myśl sprawiła, że już byłem na balkonie. Koperta dalej łopotała, tylko mocniej. Wróciłem do pokoju, by drąga jakiego chwycić i go przyciągnąć. Znalazłem jedynie długą łyżkę do butów, ale i ta była za krótka. Wiele jeszcze przedmiotów próbowałem przysposobić, ale nic to nie dawało. Wiatr się wzmaczał. Gdyby tę kartkę wywiało, nie zdążyłbym za nią pogonić. Noc była bezksiężycowa. Latarnie pogaszone. Nadziei na to żadnej.

Com przeżył, nogę na gzyms kładąc i futryny jedynie się trzymając, mówić nie muszę. W dół patrzeć nie mogłem. Ostatni raz, kiedy spadłem z wysokości, mówić przestałem od uderzenia w głowę. Co teraz mógłbym stracić? Nie wiedzieć czemu, nie dbałem o to. Jakby mnie co do tej koperty ciągnęło, jakaś siła niewidzialna. Jak długi rozciągnąłem się na ścianie, przylegając do niej policzkiem. Drżałem na całym ciele. Ściany trochę ukruszyłem, ale list koniuszkiem palca przygwoździłem i chwyciłem. Gdy jeszcze trzęsący się do salonu wszedłem i pot z czoła ścierałem, przywitała mnie pani Wiercimagowa. Ręce pod boki trzymała, nachmurzona i podejrzliwa jak nigdy.

– Co tu się dzieje?! – wykrzyczała, a ja struchlałem. Mokry byłem. Od ściany cały powalany. Tynk jeszcze miałem na policzkach i rękach. Przyglądała mi się chwilę. Potem list, który w rękę trzymałem, bez

pytania zabrała. Nawet nie wzbraniałem.

– Może tu inne historie się jeszcze szykują – mówiła, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Nie dowiemy się. Jak nie przeczytamy... Adresu nie ma. Znaczka też. Poczty ta koperta nie widziała. Tylko jakoś butem przydeptana. – komentowała, okręcając kopertę w rękach. W końcu ją otworzyła. Wyciągnęła zapisaną kartkę i zaczęła czytać. Najpierw na stojąco. Potem ręką szukała jakiegoś oparcia gdzieś w powietrzu. Na koniec podeszła do sofy i opadła na nią całym swoim ciężarem. Aż podłoga zaskrzypiała.

– Janie Kanty... wiedziałeś, co w nim jest...?

Uniosłem bezradnie brwi. Domyślałem się tylko, że był to list od Teofila Owińskiego, który kończył znajomość.

– Ona to napisała! – powiedziała, pokazując na szeszlony, na którym jeszcze przed chwilą leżała panna Olcha. Jakie było moje zdziwienie. Czyli co to ma znaczyć? Nogi się pode mną ugięły. Słuchaj tylko tego. Matko Przenajświętsza, co ona zrobiła! – zawodziła, chwytając się za serce. – *Życie moje kończąc, Ance Cukierównie zostawiam pieniądze, niech je na naukę przeznaczy, a resztę rozdysponuje w słusznym celu. Wkładam je do walizki, razem z aktem własności, który wedle zalecenia dostarczy. Mniemam, że wszystko dobrze policzy i rozsądnie zarządzi... Laurze...* – głos ugrzązł jej w gardle. Nie mogła dalej czytać.

– Janie Kanty. Ona sama... siebie... – wydukała, zakrywając usta ręką. – To straszny grzech. Śmiertelny. Biedna dziewczyna, zabić się chciała! – przeżegnała się, głęboko oddychając.

„Przyrzekała mi, że tego nie zrobi”, tylko to tłuło mi się po głowie.

– Wiedziałeś o tym? – zapytała, szlochając i podając mi kartkę. Spojrzałem. Gdybym umiał mówić, tak samo nie wiedziałbym, co powiedzieć.

Karolina zdążyła zmienić już kilka kryjówek. Była za zasłonką, za pudłami, za szlafrokiem w łazience. Esemesa „idzie” odczytała w szafie. Puknęła się w głowę. Przecież on nie wie, że jest pusta.

Szukając swoich rzeczy, zajrzy do niej, choć kartony z jego rupieciami zostawiła na środku. Wskoczyła z szafy, gdy usłyszała kroki na schodach, nawet nie domknęła drzwi. Na dźwięk klucza w zamku wskoczyła za sofę. Była lekka. Odepchnęła ją i tam się ukryła. Schowek był beznadziejny, ale tak samo jak wszystkie do tej pory. Nie miała pojęcia jak się na to zgodziła. Chyba tylko z ciekawości. Choć co było ciekawego w tym, że zabierał swoje rzeczy, skoro się wyprowadził? Weźmie pudła i wyjdzie. Nic z nich nie wyjął. Niczego też dziwnego nie znalazła. Może oprócz aktu ślubu. Ten zalała winem, podpaliła od świeczki, ale i zgasła po sekundzie. Nadpalił się tylko bok.

Słyszała, jak wszedł. Nie miała pojęcia, co robi, bo nie mogła wyrzeć. Nawet nie próbowała. Za to już po chwili się okazało, że i tak wie, co się dzieje. Max rozejrzał się po wszystkich pokojach, zostawił pootwierane drzwi i wykręcił numer.

– Tak, jestem tu... Nie, nie ma nikogo... Moja gitara – usłyszała brzdęk Karolina. Przez chwile nic nie mówił. – Co? Nic. Nie ma jej. Gitary. Tak... szkoda czasu, wiem... Tak, dam radę. To lekka szafa ze sklejki. Sam ją wstawiłem, sam ją wyciągnę. Zadzwoń za chwilę.

Karolina odetchnęła z ulgą. W szafie długo by się nie uchowała. I dosyć głupio by wyszło. Potem jednak zaczęła się zastanawiać. „Po co szafa? Jak zamierzał ją sam wynieść. Kupił ją, ale zdaje się nie miała jakiejś większej wartości”. I raczej nie miała, bo usłyszała, jak ją rozwała. „Szafę przestawia zwariował”, wysłała esemesa. „pewnie coś tam schował”, przyszła odpowiedź, zanim jeszcze usłyszała plaskaty huk odrzuconej płyty albo deski.

– Jest! – usłyszała głos Maxa. – Myśleli, że nas wykiwają. Czeka, tylko to wepchnę.

Chwyciła się za głowę. Jasne, miał tam zrobić ścianę, a tylko ją zastawił. Ukrył tam coś wcześniej. Zanim się wprowadzili. Posmutniała. Czyli trwa to znacznie dłużej. Może ta Ilona pojawiła się najpierw? Jak mogła tego nie wiedzieć.

– Znalazłem. Schodzę i jedziemy – powiedział Max do słuchawki.

Karolina siedziała skulona za sofą, nawet gdy już wyszedł. Nie potrafiła otrząsnąć się ze wszystkich myśli, które znowu oblepiły jej głowę. Trzymała telefon w ręku. „Szybciej!!!!!!!”, zobaczyła na wyświetlaczu. Wstała.

– Bądź jak trawa – prychnęła, patrząc na ledwo domkniętą szafę. Wyłamana dykta była wciśnięta w plecy szafy. Chciała ją odgiąć, ale zadzwonił telefon.

– Idę – burknęła do słuchawki.

O tym, co w tych dniach robiła Helena Wiercimagowa, by zło, które zadziało się pod jej dachem, jakoś ułagodzić, wiem od niej samej. Powtórzyła mi to potem chyba ze sto razy. Opowiadała to, zawsze trzymając się ręką za serce, jakby chciała je w piersi utrzymać. Ja tego wieczoru i ranka zostałem w mieszkaniu wraz z Olchą Jaworską. Doktor Wrzosek miał mnie usprawiedliwić przed moim panem, przekazując mu, że taką prośbę do mnie wystosował, by łóżka chorej nie odstępować i na bieżąco zdawać mu relację. Jak się okazało oszczędził mu też szczegółów, zmartwień nie przysparzając w czasie, gdy całe miasto było na jego głowie. Wszyscy chcieli świętować.

Siedziałem więc przy jej łóżku Olchy, patrzyłem, jak oddycha płytko, ale spokojnie i nie mogłem się doczekać, by w pełnej przytomności znowu ją zobaczyć. Przytulić. A potem pokazać jej list i odpowiedź jakąś uzyskać na dręczące mnie pytania: Co to znaczy? Co to było? Dlaczego tak? I o co chodzi z tym papierem własnościowym? Bo wciąż wierzyć mi się w to wszystko nie chciało.

W tym czasie pani Helena Wiercimagowa biegała w tę i z powrotem od samego świtu. Wyszła z kamienicy na Ogrodowej, gdy ledwo jasno się na dworze zrobiło. Zależało jej, aby dziewczęta niesłusznie oskarżone do domu wróciły, zanim ktokolwiek ich nieobecność zauważy. Przebywanie w areszcie dla porządnych panien było wstydem nieprawdopodobnym i mogło położyć się cieniem na całym

ich życiu. Chciała więc załatwić to jak najdelikatniej, czyli chwytając za poły koszuli ledwo obudzonego Hęciaka. Wywabiła posterunkowego podstępnie z mieszkania i jeszcze na klatce schodowej przydusiła całym swym pełnym ciałem do ściany. Tak, by nie krzyknął. Nigdy się nie dowiedziałem, na czym Helena Wiercimagowa przyłapała go w piwnicy i kiedy to było, ale widać wystarczyło, że pogroziła mu wydaniem sekretu. Tajemnicą całego Starego Miasta było, że posterunkowy boi się żony, bo ta machać rękami potrafi, a na każdym palcu ma srebrny pierścień z kamieniem wielkości sporego winniczka. Domyślałem się zatem, że o nią chodzić musiało, ale szczegółów bliższych nie znam. I choć może minęło już wystarczająco dużo czasu, dociekać nie warto.

Dość, że posterunkowy Hęciak list pożegnalny panny Olchy przeczytał. Z początku niczego nie rozumiał, ale pani Helena pozwoliła mu wszystko powoli samemu wydedukować. Że testament ten niedoszły tłumaczy pieniądze w walizce panny Anki i że winy panny Laury też żadnej być nie mogło, co sam posterunkowy uroczyście stwierdził i zapewne myślał, że wymyślił. Próbował jeszcze pytać, czy aby to jej pismo, ale ja dokładnie przewidziałem i na drogę dałem pani Helenie Wiercimagowej petycję o utworzenie Akademickiego Związku Miłośników Lotnictwa, na której był wyraźny podpis Olchy Jaworskiej, tymi samymi literami kreślony, z jakże charakterystycznym „J” z dwoma pętelkami. Jedną mniejszą, drugą większą. Helena Wiercimagowa dokładnie przy tej literze palec przytrzymała, a resztę posterunkowy Hęciak sam z zadowoleniem wykoncypował. Próbował jeszcze rozegrać to tak, aby więcej osób wiedziało o wyjaśnieniu przez niego zagadki kryminalnej, ale pani Helena nie pozwoliła mu na to. Nie muszę tłumaczyć, że wprost przeciwny cel jej przyświecał. Ciągnąc go za ledwo nałożony mundur, wprost do aresztu z nim poszła. A jako że obie panny trafiły tam późnym wieczorem, wczesnym ranem nikt jeszcze papierów żadnych wypisać nie zdążył i na osobiste polecenie



Hęciaka dziewczęta bez śladu w papierach areszt opuścili.

Helena Wiercimagowa, czego dowiedziałem się już później, spotkała się tego ranka z Sewerynem Kochańskim, żądając jak najwięcej informacji o jego kuzynie i o Teofilu Owińskim. Potem do tego drugiego wysłała list, w którym bez pardonu napisała między innymi:

*Biedna dziewczyna przez pana się otruła... co z wiadomych przyczyn proszę zachować dla siebie.*

Dokładnej treści nie znam, choć mogę się domyślać. Helena Wiercimagowa uznała, że taką właśnie kawaler karę poniesie, skoro pannę o nieszczęście przyprawił. Przeboleć nie mogła, że pod jej dachem mogło stać się coś tak strasznego. List zaadresowała na Ławicę, a trafił on do rąk własnych znacznie wcześniej niż ktokolwiek mógł się spodziewać. Jak pokazały kolejne wydarzenia, robić tak nie wolno! Nigdy! Bo czasami nieszczęścia w kolejce się ustawiają, by człowieka dopaść. Jedne po drugich.

Wtedy jeszcze o tej korespondencji nic nie wiedziałem. Przez cały czas czuwałem przy Olsze w mieszkaniu na Ogrodowej. Byłem więc też przy tym, jak wróciły wymęczone panny Anka i Laura. Zmarznięte, bo ranek był chłodniejszy niż wieczór.

– Jak ona się czuje? – zapytała Laura, nakładając płaszcz do wyjścia.

Pokiwałem głową, że dobrze. Pokazałem, że spała chyba.

– Wieczorem z nią zostanę.

– Albo ja – mruknęła Anka.

Potem wyszły z mieszkania do swoich zajęć, tak jakby nic się nie stało. Zgodnie z zaleceniem pani Wiercimagowej, by niepotrzebnego ambarasu w kamienicy nie czynić. Ze sobą też zbyt wiele nie mówiły. Ja również tkwiłem w bezruchu, jakby mnie kto zamroził.

Ale za to gdy panna Olcha pierwsze przytomne słowa zdołała wypowiedzieć, strach mnie obleciał taki, że ręce mi się trzęsły, a całe ciało drżało.

Janie Kanty, ja tego nie zrobiłam – oświadczyła Olcha Jaworska, gdy ze zboląłą miną wręczyłem jej kopertę przydeptaną trzewikiem. – Nie zrobiłam tego – powtórzyła i oddała mi kopertę. Zerknęła tylko, nie musiała czytać, wiedziała, co w niej jest.

Przysiadłem na skraju łóżka i pokręciłem głową. Bardzo chciałem wierzyć w te słowa, ale nie mogłem.

– Tak, napisałam go kiedyś – potwierdziła, patrząc mi prosto w oczy. – Niedawno, pamiętasz? – Chwyciła mnie za rękę.

Jak mogłem zapomnieć? Twarz mi stężała, broda opadła, oczy zamknąłem. Wciąż nie udało mi się tego wyrzucić z pamięci. Za serce się chwyciłem, żeby zrozumiała, jak wielki to ból dla mnie.

– Przyznaję – westchnęła głęboko – wtedy na moście miałam go ze sobą, tak – potwierdziła, przymykając powieki. – Ale nie. Teraz nie mogłabym. Zresztą wtedy też nie mogłam. Janie Kanty, przyrzekam. Nie wierzysz mi? – zapytała cicho. – Jak możesz mi nie wierzyć?

Nie wytrzymałem. Łzy polały mi się po policzkach. Znowu uniosłem kopertę do góry. „A to skąd się wzięło?!”, pytałem całym sobą. Całą zboląłą twarzą, całą bezradnością rozpaczliwie rozłożonych rąk. Zdawało mi się przez chwilę, że nawet chcę w to uwierzyć, ale jak? To jej pismo. Jej słowa. Jej wola.

– Chciałam go utopić – wyjaśniała – na nic mi on. A potem wyjechać, na trochę. Wiesz, wagony epidemiologiczne z Poznania na wschód mają jechać i ludność szczepić, bo po wojnie liczne zarazy się szerzą. Przydać się chciałam. Uciec stąd. Zapomnieć – tłumaczyła mi powoli, długie robiąc przerwy. A ja słuchałem z szeroko otwartymi oczami i setki myśli kłębiły mi się po głowie.

Była taka spokojna.

– Pieniądze zostawiłam Ance i tobie depozyt, w razie czego.

Szukałam papieru, żeby to wszystko od nowa zapisać – kontynuowała – i zapalek, aby ten stary list spalić. Pamiętam. Kręciłam się w kółko, kręciłam... Okno otworzyłam, bo chciałam... – zawiesiła głos – Nie pamiętam, potem już nic nie pamiętam. Wiem tylko, że niemoc mnie naszała i położyłam się na szezlongu, przykryłam... Ból głowy straszny i dalej nic. Teraz tu jestem.

Ciągle była blada i miała bladospine usta, wysiłek ją męczył, ale mówiła coraz pewniejszym głosem.

– Jak długo spałam? – zapytała po chwili.

– Dwadzieścia godzin. – Pokazałem palcami.

– O mój Boże!

Patrzyłem na nią. Słaba, ale coraz bardziej przytomnym wzrokiem rozglądała się w koło. A ja coraz bardziej zaciskałem palce na brzegach krzesła. Rozważając różne możliwości. A jeśli mówi prawdę? Wierzyć jej? Chciałem Bóg mi świadkiem. Ale trwoga zdjęła mnie okrutna. Jeśli sama tego nie zrobiła, to kto? Przecież ktoś chciał ją otruć! Doktor Wrzosek stwierdził to ponad wszelką wątpliwość. Czyli jeśli to prawda? Jeśli została otruta nie przez samą siebie? To ten, kto to zrobił, może być znowu na wolności! Robiłem się coraz bardziej nerwowy.

– Czy coś złego się wydarzyło? – zapytała po chwili.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Rozglądałem się na boki, szukając jakiejś podpowiedzi. W tym momencie drzwi do salonu otworzyły się z dużym hałasem. Wstałem, wyszedłem naprzeciw. Miałem dobry pretekst do głębszego oddechu i uspokojenia myśli.

– Janie Kanty! Janie Kanty! – zawołał na mój widok zziębnięty Seweryn Kochański. – Zaraz coś złego się stanie! Kara Boska jest nieuchronna – krzyczał dalej przerażony, wymachując rękami.

Przyłożyłem palec do ust.

– Co tam się dzieje? – z pokoju dobiegł zaniepokojony głos panny Olchy.

– Aaa, nie wiedziałem, że już obudzona – wyszeptał. – Jak panna się czuje? – zapytał, głośno krzycząc przez drzwi.

– Lepiej – odpowiedziała. – Zapraszam tu do mnie – wołała z łóżka.

– Lepiej, żeby nie wiedziała – wyszeptał mi na ucho. – Nie! Spiesz się. Czas nagli – krzyknął głośno. – Panie Janie Kanty, musi pan iść ze mną. We dwóch może damy radę.

Odmówiłem nerwowo, kiwając głową na boki. Nigdzie nie zamierzałem iść. Jak miałem zostawić pannę Olchę? Przecież jeśli mówi prawdę, to mogło jej grozić śmiertelne niebezpieczeństwo. Ktoś przecież chciał ją zabić. Ta myśl napawająca trwogą nie chciała opuścić mojej głowy.

– Panie Janie Kanty – szeptał Seweryn Kochański, szarpiąc mnie za klapy marynarki. – Panie Janie Kanty, musi iść pan za mną! Na Boga! Musi pan! Inaczej ktoś zginie!

Rozłożyłem ręce na boki w pytającym geście i otworzyłem usta ze zdziwienia.

– Mówię panu! Przecież on ma broń!

Karolina patrzyła na rozchyloną marynarkę brodacza. Nachyliła się do przodu, niby sięgając po pasy. Chciała dojrzeć, czy ma broń. Już raz ją przecież widziała, ale się nie udało.

– Nie zasłaniaj lusterka – syknął brodacz.

Karnie oparła się o fotel. Wskoczyła do samochodu Piotra Habra w ostatniej chwili. Już ruszał. Choć i tak za daleko by nie odjechał, bo cała ulica była zakorkowana. Nic się więc nie stało. Stary samochód Wiktora również tkwił jeszcze przed światłami, kilka aut przed nimi. Mimo wszystko i tak czekała na jakąś reprimendę. Trochę to trwało, nim wyszła z kamienicy. Wlokła się po schodach i dopiero przy pierwszym piętrze zaczęła zbiegać najszybciej jak się da, bo usłyszała otwierający się zamek w mieszkaniu prawników.

W końcu skulona wpadła do samochodu. Haber nic nie mówił, tylko patrzył w tylne lusterko. Też spojrzała i po chwili wiedziała już,

dlaczego on to robił. Do niewielkiego białego auta zaparkowanego przy chodniku wsiadał Kachoń. Wcześniej rozglądał się chwilę, wspinał na palce, wyciągał głowę, w końcu wsiadł, włączył kierunkowskaz i ruszył.

– Będziemy mieli towarzystwo – stwierdził Haber.

– To dobrze? – upewniała się Karolina z obawą w głosie. Nie spodziewała się zobaczyć prawnika i to w znacznie lepszej formie, niż go widziała ostatnio.

– Nie wiem. Pojedziemy konwojem – uśmiechnął się brodac i poprawił pasek w spodniach. – A czy to dobrze? Jeszcze nie wiem, ale prawdopodobnie będziemy w komplecie.

– Nie zgubimy go? – dopytywała się Karolina, widząc, jak samochód Wiktora przejeżdża światła.

– Już nie – odpowiedział pewnie, zerkając na wyświetlacz telefonu. Karolina popatrzyła w boczne lustro. Biały samochód prawnika był za nimi.

– To nie jest jego auto – stwierdziła, przypominając sobie wielki terenowy wóz, którym odwoził babcię.

– Jest jego. Tamto było żony.

– Ach tak – westchnęła. – Należą mi się jakieś wyjaśnienia! – odezwała się po chwili stanowczym głosem.

– Tak, należą się – uśmiechnął się do niej. – Wszystko w swoim czasie.

– Chciałabym w tym czasie, jeśli to możliwe.

– To pytaj. Jeśli będę wiedział, to odpowiem.

– Śledzimy mojego męża...

– I jego kolegę. Obaj wsiedli – wtrącił.

– Wiktor też? – zdziwiła się. – Nie wiedziałam.

– Już wiesz.

– I jesteśmy śledzeni...

– Nie my. Mam nadzieję, że ciebie nie widział. Prawnik jedzie za

Maxymilianem Rosadą.

– Tak? – wydukała. – A dlaczego?

– Bo sytuacja z żoną, zdaje się, wymknęła mu się spod kontroli.

I chce ją odzyskać. Karolina zacisnęła zęby.

– A my, dlaczego za nim jedziemy? – dociekała.

– Bo mnie spod kontroli wymknął się twój mąż.

Karolina zrobiła wielkie oczy. Wiedziała, że się nim interesuje, ale żeby go kontrolował?

– Moim zdaniem – spokojnie kontynuował brodac – wraz z kolegą wymyślili własny plan. I właśnie go realizują.

– Tak, założyli wspólną firmę – zdawała się nie rozumieć.

– Plan, o którym ja mówię, prawdopodobnie wyjęli właśnie z szafy.

Byłaś świadkiem.

– Ale co wyjęli?

– Coś, co schował profesor.

– Znałeś go? Tego profesora?! Tego, co mieszkał u mnie wcześniej...

– Tak. Od dziecka – uśmiechnął się.

– Jak on się nazywał? Ktoś mu coś zrobił?

– Nazywał się Kochański. Nie sądzę, żeby ktoś mu coś zrobił.

Karolina odetchnęła, jeden koszmar z głowy mniej.

– A co on takiego schował? Kochański?

– Dokładnie nie wiem. Ale remont urządzono taki, że klepki z podłogi ściągano – uśmiechnął się. – Właściwie twój mąż ściągał. Może miał czegoś szukać? – Haber puścił kierownicę i rozłożył ręce na boki. – Może coś sobie przywłaszczył? Jeszcze nie wiem, ale podejrzewam, że będą próbowali to wykorzystać. Więc wkrótce się dowiemy.

– Ale co? Jak? – jęczała Karolina. – Myślałam, że jedziemy odnaleźć staruszkę.

– Zgadza się. Śledząc twojego męża, właśnie to robimy. Według mnie oni starszą panią gdzieś przenieśli. Powinniśmy ją znaleźć.

– Uprawdzili ją?! Max ją porwał?

Wszystko, co mówił brodacz, stawało się coraz bardziej absurdalne. Zaczęła mieć wątpliwości. Max ją zawiódł, ale nie mogła wyobrazić sobie tego, że pakuje staruszki do worków i porywa.

– Nie wierzę w to – pokręciła głową.

– Nie sądzę, aby musieli ją uprowadzać. Pola potrafi żonglować ludźmi. Robi to prawie od wieku. Nie masz pojęcia, jak skutecznie – zaśmiał się przy tych słowach szczerze. – Coś tam obieca, coś tam da. Błyskawicznie odgaduje, co byś chciała dostać, i to wykorzystuje – zrobił krótką przerwę i popatrzył na nią. – Sama przecież wiesz.

– Racja. Wiem – burknęła Karolina. – Chciałam zrobić wystawę starych indeksów, a wylądowałam w areszcie, oskarżona o włamanie.

– Dokładnie tak. Czasami to się źle kończy – zaśmiał się raz jeszcze.

Przejeżdżali przez kolejne światła. Samochód Wiktora ciągle był przed nimi, a Kachoń za nimi.

– Potrafię to zrozumieć. Przez długi czas nikt się nią nie interesował. Może nie do końca nikt, ale było spokojnie. Pod kontrolą. Ostatnimi czasy jednak klęska urodzaju. Wszyscy na raz. Nawet ty. Jak wisienka na torcie. Zachwycona historiami, które jak jej się wydawało, nikogo już nie interesują. Cieszyło ją to bardzo. Ale zaszło za daleko.

– O tym też coś wiem – mruknęła Karolina.

– Ty to najmniejszy problem. Myślę, że Pola nie do końca zdaje sobie sprawę, że zrobiło się niebezpiecznie.

– Na ile niebezpiecznie? – przestraszyła się. – I skąd ty to wiesz?

– Bo z jej okna wyleciała kobieta? – Wszedł na ironiczny ton. – A ona nie dzwoni. Myślę, że wystarczy znaków. Zawsze się do mnie odzywała – dodał po chwili.

– Więc kim ty jesteś? – zapytała Karolina.

– Jak dobrze pójdzie, to dzisiaj się dowiesz – uśmiechnął się szeroko, wjeżdżając na drogę w kierunku Piły.

– A czy ty wiesz w ogóle, dokąd my jedziemy?

Haber przez długą chwilę się nie odzywał. Skupiony, patrzył na mapę i na ekran w samochodzie. Wcześniej go takiego nie widziała.

– Powoli się domyślam. – Przez dłuższy moment jeszcze coś rozważał, po czym klepnął się w głowę. – Powinienem przewidzieć to wcześniej. – Zwolnił bardzo mocno. Jechali czterdzieści na godzinę, na dwupasmowej ulicy. – Schył się – rzucił nagle.

Karolina zniżyła się tak, że nie było jej widać.

– Już – rzekł po chwili.

Podniosła się i zobaczyła, że wyprzedził ich mały, biały samochód prawnika. Auta Maxa i Wiktora prawie nie było już widać, choć droga była prosta.

– Czyli co? Co się dzieje? Zgubimy ich.

– Nie. I tak ich dogonimy – powiedział, przeciągając się i ziewając.

– Domyślam się, gdzie jadą.

– To droga na Piłę.

– Tak... tak – powtarzał. Prawdopodobnie spędzimy wiosenny wieczór nad morzem. Cieszysz się?

– Słucham? – dziwiła się.

– Powinienem to przewidzieć – powtórzył do siebie, kręcąc głowę z niedowierzaniem.

– Ale dlaczego nad morze? – dopytywała Karolina. Myślała, że jadą tylko tam i z powtorem. Chociaż kierunek się jej spodobał.

– Chciała pojechać, to ją tam zabrali. Zwyczajnie.

– A co tam jest?

– Jeszcze przed wojną były tam domki letniskowe poznańskich profesorów. Fundacja Heliodora Święckiego również nabyła tam trochę gruntu dla uczelni. Kto jeszcze...? – zaczął wyliczać na palcach.

Karolina nic nie mówiła, choć otworzyła usta ze zdziwienia

– Domek też tam miał na przykład profesor Adam Wrzosek. Znasz? – zapytał z uśmiechem.

Nie odpowiedziała.



– Prześpij się. Jeśli mam rację, a mam, to trochę to potrwa – zaproponował, zerkając na lusterko.

– Ale dlaczego tam?

– Dla kaprysu... O ile ją znam. Dowiemy się. Naprawdę się zdrzemnij. Ja muszę chwilę pomyśleć – uciął rozmowę zdecydowanym tonem.

Miała milion pytań, ale nie się odezwała. Przez chwilę patrzyła przed siebie, potem w boczną szybę. W końcu zasnęła. Obudziła się dopiero na stacji benzynowej. Nie poczuła nawet, że jest przykryta kocem po sam nos. Nie była zdziwiona. Zawsze mocno spała w samochodzie. Zareagowała dopiero jakieś znajome głosy. Odwróciła głowę. Zerknęła przez oparcia foteli.

– Chodź już!

Z początku nie wiedziała, kto krzyczał, ale po chwili zorientowała się, że to głos Wiktora. Stał przy dystrybutorze. Nie mógł jej widzieć, brodacz stanął na parkingu, ale tak, żeby mieć dobrą miejscówkę do obserwacji. Wystarczyło, że wychyliła nosa, i wszystko dobrze widziała. Zobaczyła też, jak ze stacji benzynowej wychodzi mężczyzna w dresie z prążkami i czapce bejsbolowej. W rękach trzymał siatkę i luzem kilka dużych, nadmuchanych paczek chipsów, które ledwo mieściły mu się w ramionach. Za nim wyszedł Max. Patrzyła na niego, gdy mężczyźnie wypadła paczka z rąk, dokładnie, gdy zbliżał się do Wiktora. Przykląkł. Wiktor wszedł do samochodu. Z drugiej strony do auta zdążył zapakować się Max, a mężczyzna wciąż klęczał przy kole samochodu, niepodniesiona paczka chipsów leżała obok niego. W końcu wstał i zaczął iść w kierunku auta brodacza. Struchlała, zaczęła szukać przycisku zamykającego drzwi. Ale mężczyzna chwycił za tylną klamkę i wrzucił szeleszczące torebki na siedzenie.

– Nie wiedziałem, jakie lubisz. Ale nie martw się, wziąłem jeszcze bułki i orzeszki – powiedział brodacz, ściągając czapkę z głowy. Już w środku zdjął też bluzę dresową.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała, rozglądając się.

– Nie długo na miejscu. Spałaś dwie godziny. Ale to dobrze, będziesz wyspana.

– A prawnik gdzie?

– Znajdzie się zaraz. A teraz poczekaj, muszę się skupić.

– Ale... – Próbowwała zagaić, ale on nie reagował, tylko patrzył na jadący ze sto metrów przed nimi samochód Maxa. Jechali tak z dziesięć kilometrów, zwiększając i zmniejszając dystans. Nie wiedziała, po co tak robi. Droga była pusta, żadnych innych samochodów przed nimi, dookoła pole. W końcu wyciągnął z kieszeni telefon i kliknął jakiś przycisk, jednocześnie zwalniając. Samochód Wiktora też zaczął zwalniać, lekko tańcząc po szosie. W końcu zjechał na pobocze.

– Schył się – zakomenderował brodac. – Karolina znów obniżyła się na siedzeniu, ale i tak zobaczyła sflaczałą tylną oponę. Max z Wiktorem wysiadali z samochodu. Minęli ich.

– Myślałam, że jedziemy za nimi? – zapytała zdziwiona.

– Na razie oni postoją – zaśmiał się. – Wytypowałem trzy miejsca, gdzie Pola może być. Spróbujemy je objechać wcześniej. Może się uda.

Karolina nie miała pojęcia, co powiedzieć. Musiała ochłonać. Kto zdalnie przedziurawia oponę? Nie pasowało do żadnego zawodu. Nic nie wymyśliła. Jechali jeszcze pół godziny w zupełnej ciszy. Karolina próbowała odezwać się parę razy, ale wyraźnie jej nie słuchał. W końcu skręcili na drogę do Dębek.

– Pierwszy pensjonat, właściwie taki dom starców na cały rok. Jest zaraz za rogiem. Liczę, że to tam – poinformował ją brodac, zerkający raz po raz w tylne lusterko. Karolina pomyślała, że może sprawdza, czy ktoś za nimi jedzie. Ale on tylko przyglądał włosy.

Zaparkowali przed pięknym starym dworkiem. Obok był wiekowy park i dosyć spory staw. Spacerowało też wokoło kilku staruszków. Jedna parka trzymała się za ręce. Patrzyli na nich dłuższą chwilę, ale

żadna babcia nie przypominała Apolonii Polańczyk.

– Sprawdzę. Poczekaj w samochodzie. Nie wychodź.

– Dlaczego?

– Bo tak cię proszę – powiedział stanowczym tonem. – Na razie – dodał łagodniej.

Zachnęła się mimo to i odwróciła głowę, ale on nie zwrócił na to uwagi. Poczowała się jak piąte koło u wozu. Już od dawna myślała, że wszyscy chcą nią rządzić. Naburmuszona, bezmyślnie patrzyła w szybę. Jedna ze staruszek karmiła pływające po stawie kaczki. Miała długi siwy kucyk grubości małego palca. O Apolonii była o głowę wyższa i ze dwadzieścia lat młodsza, ale Karolina jej się przyglądała. Sama nie wiedziała dlaczego. Chyba z nudów. Pomyślała, że to karmienie kaczek jest trochę hipnotyczne. Staruszka co chwilę wydobywała z papierowej paczki okruchy. Gdy się skończyły, wzięła do ręki torebkę. Karolina aż zakryła usta z wrażenia. Obok staruszki na ławeczce leżała torebka. Nie pasowała do niej. Może dlatego tak patrzyła. Kobieta była ubrana trochę zgrzebnie, na biało, ale torebkę miała kolorową, ze złotym haftem. Złote nitki mieniły się w słońcu bardzo widocznie. Wytężyła wzrok. Tak! Po chwili nie miała wątpliwości. To była aksamitna torebka Apolonii Polańczyk. Staruszka tu była. Chciała krzyknąć, ale się powstrzymała. Brodacz właśnie wychodził z pensjonatu. Spojrzała na niego z najbardziej obojętną miną, na jaką było ją stać. On pokręcił przecząco głową.

– Nie ma jej tu – powiedział, otwierając drzwi.

Karolina szybko otworzyła swoje.

– Pytałem. Mamy jeszcze dwa miejsca...

– Nie jadę z tobą dalej! – poinformowała go stanowczym tonem. –

Mowy nie ma!

– Dlaczego?

– Bo nie! – Szukała czegoś w myślach. – Bo masz broń – odpaliła po chwili i pokazała ręką na jego pasek przy spodniach. Nie widziała jej,

ale blefowała. Okazało się, że celnie.

– Mam pozwolenie.

– I co z tego?

– Jedźmy już – prosił.

– Mowy nie ma! Tu zostaję! Sam jej szukaj! – awanturowała się. – Orzeszki tylko wezmę. I bułkę – dodała, chwytając siatkę z tylnego siedzenia.

– Uspokój się – odezwał się, rozglądając się dookoła.

– Spokojna to ja będę, jak tu zostanę. Nie chcę ich wszystkich spotykać! Ani prawnika, ani Wiktora, a już na pewno nie Maxa – oświadczyła z taką mocą, jakby miała za chwilę rozwalić gitarę. Sama się sobie dziwiła. Bała się tylko zdradzić, więc nie patrzyła już na karmiącą ptaki staruszkę, która zaciekawiona hałasem, wstała z ławki. Nie chciała, by i on dojrzał torebkę. Może też ją już kiedyś widział. Szybko więc odwróciła się na pięcie.

– Zadzwoń do mnie, jak znajdziesz – rzuciła przez ramię.

– Proszę cię.

– Czekam tutaj. Kawę sobie zamówię. A jak nie, to wrócę do Poznania sama.

– Nie mam czasu cię namawiać. – Rozłożył bezradnie ręce.

– To nie namawiaj – krzyknęła przez ramię.

Przyspieszyła kroku i ruszyła w kierunku pensjonatu. Pomachała, nie odwracając się. Usłyszała silnik samochodu. Odjeżdżał. Odetchnęła z ulgą. Weszła spokojnie, ale już w środku rzuciła się do okna. Poczekała, aż audi odjedzie.

– W czym mogę pomóc. – Spytała dziewczyna z recepcji, zajęta wpatrywaniem się w telefon.

– A... do cioci przyjechałam. O! Widzę, tam jest! – Pokazała palcem okno. – Już do niej pędzę.

– Aha – odpowiedziała dziewczyna, ciągle gapiąc się w ekran.

Karolina wybiegła na zewnątrz. Staruszka nad stawem machała

torebką. Karolina najpierw przyspieszyła kroku, później pobiegła. Nie machała zwyczajnie. Wywijała nią i chciała wrzucić do wody. Torebkę z materiału, ze złotą nicią.

– Proszę pani! Proszę pani! – krzyczała Karolina. W końcu kobieta się odwróciła, ale ona, zziębnięta, zdążyła już dobiec.

– Chce pani ją wrzucić? Do wody?

– Nic innego nie mam – powiedziała i radośnie machnęła torebką nad wodą.

– A to? – wygrzebała z siatki kanapkę.

– O! – ucieszyła się staruszka. Odwinęła z folii i zaczęła kruszyć. Torebkę przewiesiła na rękę.

– Mieszka tu Pola? Apolonia Polańczyk?

– Nie – odparła z przekonaniem staruszka.

– Ale ma pani jej torebkę.

– Nie. Laura mi ją dała. Mam ją schować.

– A ta Laura gdzie mieszka?

Kobieta pokazała pensjonat.

– Ale gdzie? – zapytała i trochę przestraszona zobaczyła, jak babcia znowu macha torebką.

– Proszę. – Karolina podała jej paczkę chipsów.

– To niezdrowe.

Kobieta chwilę myślała.

– Z szynką nie lubię – odparła staruszka i zamachnęła się. Łańcuszek zakreślił się w powietrzu, a torebka szybowała w kierunku wody. Karolina wyskoczyła całym ciałem do góry. Wyciągnęła przed siebie rękę i wszystkie palce. Złapała w ostatniej chwili. Wydawało się, że zdążyła, ale niestety pośliznęła się i zjechała po trawie wprost do stawu. Zatrzymała się, ale torebka zanurzyła się w wodzie. Łańcuszek zaciskała w palcach, więc ją wyciągnęła. Ta jednak cała ociekała i zwisały z niej glony.

– Powiem, że ukradłaś. – Pogroziła palcem staruszka.

– Następna! – Karolina burknęła, podnosząc się z ziemi. – Gdzie Pola, nie... ta Laura mieszka?

– Pod dziewiątką. Schowasz ją? Inaczej ją zaborą.

Karolina machnęła ręką. Torebka była ciężka i mokra. Jeszcze chwila i atrament się rozmaże. Pobiegła za budynek. Tam było słońce.

– Teraz to na bank mnie oskarżą – mówiła sama do siebie, wyciągając stare, mniejsze i większe gęsto zapisane kartki. – I będą mieli rację – dodała pod nosem, patrząc na wciśnięty do torebki stary rewolwer. Wyciągnęła go powoli. Nawet nie zamókł. Tyle było w środku papierów. Odłożyła go na bok, przykryła torebką. Dokumenty były ważniejsze. Wyjęła je wszystkie i zaczęła rozkładać na kamykach w ogrodzie. Wyciągnęła też zgiętą kartkę, omiotła ją wzrokiem. Choć było na niej o strzelaninie, musiała dać jej czas wyschnąć. Wyciągnęła upchaną resztę. Była tam złożona na pół koperta. Myślała, że jest od rogu mokra. Dotknęła, chcąc sprawdzić poziom wilgotności, ale koperta była sucha. Ślad, który myślała, że jest po wodzie, okazał się jakąś starą, dawno wyschniętą plamą, która zszarzała. Wzięła kopertę pod światło. Zaczęła ją okręcać w palcach. Wtedy zobaczyła kształt małego, wąskiego buta. Przynajmniej czubka. Zadrżały jej ręce. Trzęsły się jeszcze bardziej, gdy wyciągała ze środka kartkę.

*Jeżeli ten grzech śmiertelny uczynię, Boga o wybaczenie proszę, aby odpuścił mi, na wieczne potępienie nie skazał. Kres mojego życia postanowiłam wyznaczyć i zakończyć właśnie teraz, bo innego wyjścia na ten czas wyobrazić sobie nie mogę. Wszelkie nadzieje, jakie pokładałam w życiu, opuściły mnie bezpowrotnie. Nic dobrego już mnie nie spotka. Nie ma już w co wierzyć, a na pewno nie w miłość!*

*Chcąc zapomnieć o tym ziemskim padole na zawsze, pozostawić pragnę pannie Ance Cukierównie wszystkie moje pieniądze w gotówce, zapominam też jej wszystkie przykrości w życiu uczynione. Niech też w miarę potrzeby*

*wspomoże Laurę Fechner, jeżeli ta tego potrzebować będzie.*

*Kamienicę, która być moją się okazała, przekazuję Janowi Kantemu Rosie, aby cele naszej uczelni realizował, bacząc na wspomnienie studentek. Fundacje można by poczynić.*

*Może by w tym pan Heliodor pomógł łaskawie. Jego też o szczególne wybaczenie proszę. Jeśli dojdzie co do czego, bo na razie wielkimi krokami idzie.*

*Ale co tam, nie mnie już myśleć o doczesnych sprawach.*

*Olcha Jaworska*

Karolina nie mogła złapać tchu, czytając te słowa. Miała w rękach list napisany przeszło sto lat temu. Czytała list, o którym wcześniej czytała. Był on impulsywny, infantylny i pełen wahań. Wierzyła, że Olcha może nawet planowała rozstać się ze światem, ale tylko przez czas pisania tego listu. Jak wiele zakochanych dziewczyn.

Słońce prażyło. Inne kartki już przeschły. Nie powinna tak robić, ale poskładała papiery na pół albo na cztery razy, tak jak były złożone wcześniej. Uprzednio jednak zapakowała je w foliową siatkę, bo torebka ze złotą nicią nie wyschła zupełnie. Między kartki włożyła stary rewolwer. Musiała to wszystko oddać Apolonii. Dopiero potem działać dalej. Pognała pod dziewiątkę, układając sobie w głowie, co powie babci. Na pewno nie pokaże jej torebki od razu. Najpierw będzie musiała się jakoś wytłumaczyć z tego, że tu jest. Zapukała do drzwi. Nikt nie odpowiedział, choć zdawało się jej, że coś szurało, coś stukało. Jakieś dźwięki dochodziły stamtąd na pewno. To nie był najlepszy znak. Ale może przesadzała. Sąsiedni pokój był otwarty. Jeszcze nieposprzątanym, w środku stał odkurzacz, nie było jednak sprzątaczk. Przeszła przez niego i wyszła na balkon. Niestety, balkony nie przylegały do siebie. Miała do przejścia metr po wąskim parapecie. Stąpnęła. Kawałek gzymsu, którego się chwyciła, ukruszył się.

Zadrzała. W końcu jednak chwyciła się barierki, przełożyła nogę i wskoczyła. Zajrzała przez okno.

Nie zdążyła jeszcze dobrze odetchnąć, jak przez firankę zobaczyła staruszkę.

Apolonia Polańczyk stała na środku pokoju. Miała na sobie rozchełstany szlafrok i była bez peruki. Kilka srebrnych loczków fruwało jej nad głową. Na jej widok zaczęła energicznie machać ręką. Karolina odwiesiła torebkę na wystający gwóźdź powyżej futryny. „Niech schnie”, pomyślała, choć tak naprawdę chciała odsunąć od siebie moment powiedzenia babci, że grzebała w jej rzeczach.

– Z nieba mi spadłaś, moje dziecko! – wykrzyknęła Pola, unosząc chude ręce do góry. Za chwilę jednak zakryła palcami usta. Drugą ręką machała, jakby chciała odgonić muchę.

Karolina nie rozumiała, o co jej chodzi, dopóki nie zobaczyła wyłaniającej się zza drzwi Ilony Kachoń.

– Pod ścianę – spokojnym głosem poinstruowała ją prawniczka. W rękach trzymała pistolet.

Seweryn Kochański ledwo za mną nadązał, gdy prawie biegiem zdążyłem do klubu Carlton. Chodziło mi o to, by upewnić się, czy mówi prawdę, czy zaraz dojdzie tam do spotkania Stefana Habra z Teofilem Owińskim. Można się było tego obawiać, dlatego tam poszedłem. Przede wszystkim jednak chciałem jak najszybciej wrócić na Ogrodową i pilnować panny Olchy, już sam nie wiedziałem przed czym. Czy przed nią samą, czy przed czymś znacznie bardziej groźnym. O czym strach było nawet myśleć.

– Ósme przykazanie nam mówi: „Nie mów fałszywego świadectwa przeciw bliźniemu swemu” – paplał Kochański przez całą prawie drogę. – Powtarzam: rozeznanie człowiecze nigdy nie jest zupełne i często bywa kalekie – dodał z przekonaniem, unosząc palec do góry.

Potknął się przy tym i omal nie wywrócił. Stało się tak prawdopodobnie dlatego, że odwróciłem się przez ramię i spojrzałem



na niego wymownie. Współczułem mu momentu, gdy panna Anka odgadnie, co i gdzie zamierza studiować. Zataił przecież przed nią, że się niebawem wybiera do seminarium duchownego. Chyba zrozumiał, bo rumieńce oblały mu pulchne policzki, a wzrok wbił w bruk ulicy. Nie patrzyłem na niego dłużej niż sekundę. Sprawa ta jednak do najpilniejszych nie należała, więc już bez oglądania się za siebie zdążyłem do kamienicy przy placu Wielkopolskim. Po chwili rudzielec odzyskał jednak rezon.

– Niedobrze się stało, że kuzyn mój Stefan, tak zapalczywy w swym uczuciu, odtrącony, zrezygnować nie chciał – rozważał, biegnąc za mną. – Nie chcę o jego celach życiowych mówić, bo nie mi je oceniać ni rozgrzeszenie dawać, ale robić tak nie powinien! – stwierdził stanowczo. – Sam obiecał panie Laurze, Bóg nie wiem co, a istota ta anielska, wpatrzona w niego, we wszystko dała wiarę. I oby tylko ją dała! – Kątem oka widziałem, jak mówiąc to, przeżegnał się gorliwie. – A panna Olcha to nic mu nie obiecała. Nadziei nie czyniła. Powtarzałem mu to, ale słuchać nie chciał. Jak u Izajasza: „ślepy, choć mający oczy, i głuchy, choć obdarzony uszami”. Co zrobić? – Wznosił ręce do nieba. – Z wieczora więc wszystko panu Teofilowi w liście wyjaśniłem. Nie podpisałem się, bo się bałem. Ale powiedzieć należało! – wykrzyknął. – Bo nieszczęście zawisło w powietrzu. Powiedziano mi, że skoro świt powinien do Poznania dolecieć. Dostać go już powinien. A my odnaleźć ich obu musimy.

Ten list sam strachu by mi nie napędził. Ale wiedziałem też przecież, że Helena Wiercimagowa dopisała coś od siebie. Dowiedzieć się więc musiał, że panna Olcha śmiertelnie się przez niego otruła. Znając panią Helenę, śmiałem się domyślać, że cel w tym miała taki, by młodzieniec poczuł swą ogromną stratę i w te pędy przyleciał opłakiwać dziewczynę, sam ledwo żywy z rozpacz. A w takim stanie to ona już by wiedziała, jak do niego przemówić.

Niestety, wszystkie te wieści poczęły się krzyżować ze sobą

nawzajem i wszystko wskazywało na to, że pan Teofil zamiast pierwsze kroki na Ogrodową skierować, udał się wprost na spotkanie z rywalem. Obaj w wojsku służący, byli w broń wyposażeni. Obaj młodzi. Obaj zakochani. Nieszczęście gotowe!

Tego się obawiał Seweryn Kochański. I ja także! Wpadłszy do Carltona, rozejrzeć się nie zdążyłem, bo już od samych drzwi zagroził mi drogę dziennikarz „Kurjera Poznańskiego”.

– Słuchaj tego – powiedział rozemocjonowany i przyglądziwszy do głowy pasmo włosów fruujące nad uchem, kartkę przed siebie wysunął i czytał. – I oto na zegarze dziejowym posunęła się wskazówka. Runęła w proch i pył krzyżacka zawierucha! – czytał, a ja ponad jego głową rozglądałem się po siedzących przy stolikach gościach za znajomymi twarzami. – Z dumnych murów Akademii Wilhelmskiej – mówił już z pamięci – z ponurych tych sal romańskich Zamku Cesarskiego uleciał wreszcie krwawy upiór pruski! – wykrzyknął z ręką uniesioną do góry.

Szukał aprobaty dla swoich słów, które ukazać się miały niebawem w gazecie. Wszyscy już je pewnie usłyszeli. Ja, niestety, byłem rozkojarzony, więc zdawkowo mu przytaknąłem, potrząsając głową i nie patrząc na niego wcale.

– Jutro dzień otwarcia naszego Uniwersytetu – wyjaśnił niepocieszony moim brakiem zainteresowania, którego jak najbardziej się spodziewał u sługi przyszłego rektora. Ja jednak, obserwowałem Seweryna Kochańskiego, który niezatrzymywany pierwszy odnalazł kuzyna i śmiało zmierzał w kierunku jednego ze stolików. Ominąłem dziennikarza i ruszyłem za rudzielcem.

Już z daleka zobaczyłem siedzącego samotnie Stefana Habra. Łokcie miał na stole oparte, twarz chował w dłoniach. Dosiadł się do niego Seweryn Kochański. Nic nie mówili. Chwilę nad nimi stałem, po czym również przy ich stoliku usiadłem. Nie wypadało mi, ale stać też głupio mi było i z góry na nich patrzeć.

– Jaki ja głupi byłem – mówił do siebie. – Jaki ślepy. Przed oczami miałem, a widzieć nie chciałem!

– Nie martw się. Pomodlić się trzeba – zaczął Kochański z wyjątkowo poważną miną – Pan przewodnikiem ślepych, światłością dla tych, którzy są w ciemności...

– Oświeć siebie najpierw – odpalił mu Haber. – Bo też do nieszczęścia zaraz doprowadzisz!

Seminarzysta znowu poczerwieniał, cały tym razem, od czubka głowy w dół.

– Teraz ją do szpitala zabrali. W jej stanie... – mówił dalej Haber, a ja tego pojąć nie mogłem.

„Jak to?“, pytałem sam siebie. „Przecież niedawno tam byłem“, wyjaśnienia naprędce szukałem. Może telefon, telegram jakiś, co szybciej złe nowiny roznosi niż ja chodzić potrafię. Chciałem wiedzieć, więc poderwałem się od stołu i szarpnąłem lotnika za bark. Oczywiście wybałuszyłem, ręce rozłożyłem, żeby dobrze zrozumiał, że pytam. Stefan Haber usta nawet otworzył, ale nie dane mi było usłyszeć żadnych wyjaśnień, bo za moimi plecami ktoś stanął.

– Jak wam nie wstyd przebywać w takim towarzystwie! Kłamcy i konfabulanci! – krzyczał Teofil Owiński.

Obejrzałem się – był blady. Włosy zmierzwione, koszula rozchełstana. Obłąd w oczach. Wyglądał jak upiór.

– Po panu się tego nie spodziewałem – spojrzał na mnie nienawistnym spojrzeniem.

– A pana... – zwrócił się teraz w stronę Habra i syknął przez zaciśnięte zęby – wyzywam na pojedynek.

Zapanowała cisza, tylko ktoś zza baru wybiegł na zaplecze.

– Ja się z... panem – podkreślił formę, którą zapewne dawno mieli poza sobą – bić nie zamierzam – wyjaśnił mu Haber.

– Będziesz pan musiał!

– Mam inne zmartwienia – odparował, wzruszając ramionami.

Teofil Owiński aż zachwiał się na nogach. Nie tego się spodziewał.

– Jesteś pan miernotą i kanalią! – wykrzyknął po chwili i wyciągnął rewolwer marki Nagant. Dobrze wypolerowany, z drewnianą okleiną na rękojeści. Kochański odskoczył razem z krzesłem, przewróciło się z hukiem. Ja otworzyłem usta ze zdziwienia, patrząc na załadowany nabojami bębenek.

– Masz pan rację – zaśmiał się przy słowie pan i podniósł głowę, obojętnym wzrokiem obrzucając wycelowaną w siebie lufę.

– Za chwilę nie będzie ci do śmiechu! – krzyknął coraz bardziej zdesperowany Owiński. – Śmiercią za jej śmierć odpowiesz!

– O czym ty mówisz?! – pytał zaskoczony Haber.

Spojrzałem błagalnie na Kochańskiego, bo ten stał osłupiały, jakby sam mówić nie umiał. Rzuciłem się w jego kierunku, szarpiąc za koszulę i palcem pokazując na Owińskiego. Wydawałem z siebie różne dźwięki.

– Ale ona żyje! – zrozumiał mnie w końcu Kochański.

– O czym ty mówisz? – zapytał tym razem zaskoczony Teofil. – Żyje! – powtórzył, opadając na krzesło. – Ale dostałem list... – mamrotał. – Żyje? – zapytał mnie ledwo słyszalnym głosem. Przytaknąłem, za serce się chwytając. Kilka razy z przekonaniem biłem się w pierś dla przyrzeczenia słów niewypowiedzianych.

– Dojdzie do siebie. Dojdzie. Wydobrzeje jeszcze – powtarzał Haber, a Owiński tylko na niego patrzył nic nie rozumiejącym wzrokiem. Oddychał głęboko ciągle wzburzony, próbował coś powiedzieć. Zaczynał, ale nie kończył. Słowa grzęzły mu w gardle. Tylko ustami poruszał. Rewolweru nie wypuścił, ale ręka opadnięta zwisała bezwładnie, celując w podłogę. Wszyscy powoli oddychaliśmy z ulgą.

– A jak wydobrzeje – oświadczył Haber, patrząc wprost na Owińskiego – to się z nią ożenię.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, stało się tak, jakby ciężki grom, zagubiony po burzy, co zdawało się już odeszła, z wielką mocą znowu

uderzył w ziemię. A przecież wszyscy wpatrzeni w niebo już tylko słońca zza chmur czarnych wyglądali, a nie kolejnej nawałnicy. Niestety jednak w powietrzu wisiało, aż w końcu postanowiło spaść. I mocy żadnej we wszechświecie nie było, aby je powstrzymać.

– Kanalio ty! Nikczemniku! – wykrzykiwał poblady z wściekłości Owiński. Ponownie wycelował rewolwer w Habra. Ręka mu drżała nieprawdopodobnie, ale z dwóch metrów i drżącą ręką trafisz.

– Zwariowałaś? O co ci chodzi?

Obaj stali naprzeciw siebie.

– Panowie! – krzyknął gruby, niski jegomość w tak obszernej marynarce, że przypominała raczej pelerynę. – Nie w moim lokalu! – i oburzony, ale z bezpiecznej odległości, wymachiwał krótkimi rączkami, jednocześnie wydając bezgłośnie komendy personelowi, by jakąś pomoc wzywano.

– Przecież ci na niej nie zależy – przypomniał przyjacielowi Haber i zwyczajnie zaczął się szykować do wyjścia. Dostawił krzesło do stolika i zrobił krok w tył.

– Stój, bo cię zabiję! – wrzasnął Owiński.

– Czyli jeśli stanę, to mnie nie zabijesz? – upewnił się Haber.

Wszyscy patrzyli wybałuszonymi oczami, bo sytuacja była niecodzienna. Obrażony po wielokroć oficer, zdawało się, nie raczy reagować. Przyjmuje kolejne potwarze i ramiona obojętnie unosi, honor tracąc, bo to, co zostało wypowiedziane głośno, wszyscy słyszeli i cofnąć się tego nie dało. Zdziwiony był też sam Owiński, któremu wyciągnięta dłoń drzeć nie przestawała.

– Stój! – powtórzył, błędząc po wszystkich wzrokiem.

– To ci nie wystarczy? – pokiwał Stefan zeszywniałą ręką, co Owińskiego wprowadziło w pewne zawstydzenie i chwilową bezwolność. W tej sekundzie do lokalu wpadło dwóch policjantów, a zaraz za nimi posterunkowy Hęciak.

– Co tu się dzieje?! – krzyknął.

Odwróciłem bezwiednie wzrok, Teofil Owiński, zdaje się, również. Chwilę trwało, zanim się zorientował, co właściwie się wydarzyło. Bo w tej jednej jedynej sekundzie zadziało się wszystko. Stefan Haber wykorzystał moment i rzucił się całym swoim ciałem na Owińskiego. Szamotali się. Zanim ktokolwiek zdążył ich rozdzielić, zanim dobiegli policjanci, usłyszeliśmy jeden pojedynczy strzał. Sprawił on, że zwarte ciała odkleiły się od siebie. Broń nadal trzymał w ręku Owiński, ale to z jego ramienia lała się krew.

– Do szpitala z nim! – Wrzasnął Hęciak. Podbiegł, zaczął szarpać Owińskiego, ale ten, jak to omdlały człowiek, reagował bezwładem. Posterunkowy wyjął mu rewolwer z ręki i pchnął po kamiennej podłodze dalej od siebie.

– Ranny jest! – wrzasnął właściciel lokalu. – Do szpitala z nim. Ginać tu polskim oficerom nie pozwolę! – krzyczał, wymachując krótkimi rączkami, a policjanci, poganiani przez Hęciaka, już brali Owińskiego pod boki. Podnieśli go, na wpół był przytomny. Gdy stał, krew ściekała mu po ręce. Właściciel zerwał ze stolika obrus i upchnięty jak szmata wcisnął mu pod mundur.

– Kula w ramieniu utknęła – ocenił, patrząc na plecy Owińskiego. – Bo tyłem nie wyszła. Wyjąć ją trzeba.

– Chyba kwita jesteśmy – podsumował Haber, podnosząc się z ziemi i otrzepując. Pomagał mu w tym Kochański.

– Do szpitala z nim! – powtarzał korpulentny właściciel, kręcąc się jak bączek wokół Owińskiego, który chwycony pod ramiona, ledwo powłóczył nogami.

– Tylko nie na Długą – odezwał się Haber, przytrzymując się stolika. – Tam trafiła panna Laura. Nie chcę się z tym wariatem znowu spotykać. Niech ochłonie.

Mnie jakby kto obuchem dał w głowę. Jakby pocisk, dawno temu wystrzelony, właśnie teraz mnie rykoszetem w głowę trafił. Bo chcąc nie chcąc, za głowę się chwyciłem, a potem podbiegłem do Habra

i niczym pies namolny szturchać go zacząłem.

– Jak to? – niespodziewanie pomocy udzielił mi równie zaskoczony Kochański, który przestał nagle patrzeć na wyprowadzanego Owińskiego, a całą uwagę skierował teraz na Habra.

– Przyszedłem się z panną Laurą rozmówić... przeprosić. Tu, na tyły kamienicy. Gdzie farby barwią... – Haber zdawał relację, pocierając ręką czoło. – A ona zasłabła, ustać nie mogła na nogach. Z początku to z jej stanem wiązałem... wiesz? – Kochański kiwnął, znowu się czerwieniąc. – Ale mówią, że to coś innego. Trucizna jakaś chyba.

Popatrzyliśmy po sobie. Wiedziałem, że sam rozwikłać tego wszystkiego nie zdołam. Ani opowiedzieć. Teraz czas mam, aby słowo po słowie wszystko rozważyć i opisać, a wtedy każda minuta była ważna. Stefan Haber do szpitala na Długą się wybierał. W swoim postanowieniu pozostał, siły nie było, by w inną stronę skierować jego kroki. Teofil Owiński na Szkolną miał trafić, a z tego, co mówili lekarze, z takimi ranami aż nadto obeznani, żywy z tego wyjdzie. Wziąłem więc za mankiet Seweryna Kochańskiego i do pałacu Działyńskich zaciągnąłem, aby zdał z wydarzeń relację dokładną. Zrozumiał po tym, jak kilkukrotnie rękę swoją do ust jego przyłożyłem.

Tam na miejscu zastałem mojego pana Heliodora i doktora Wrzoska. Wysłuchawszy Kochańskiego, który kilkanaście razy wznosił ręce i oczy ku niebu, poszli się naradzić do gabinetu. Gdy wyszli, mój pan niezwłocznie udał się nieopodal do szpitala na Szkolną. A doktor Wrzosek kazał mi przynieść ze dwa małe koty, świnkę morską i kilka myszy. Mówiąc to, minę miał srogą i zamyśloną, a w rękach trzymał melonik. Pierwsze, co pomyślałem w osłupieniu, to jak on zamierza je tam do tego melonika upchnąć?

Karolina patrzyła na babcię. Ta usiadła wygodnie na łóżku i poprawiła pod głową poduszkę. Wzruszyła ramionami, rozłożyła ręce na boki i westchnęła głośno.

– Nie myślałam, że tak szybko cię złapie. Nie wiem... Może trzeba się było jakoś schować... – gdybała z rozzaloną miną.

– Nikt nikogo tu nie łapie! – krzyknęła Ilona Kachoń, wyglądając przez okno, z którego widać było fragment parkingu. – Uważasz, że ja nie znam kodeksu karnego? – zapytała staruszkę.

– Może i znasz. Ale grozisz nam bronią – odparła naburmuszona staruszka.

– Nie grożę! – wrzasnęła. – Czy ja ci grożę? Grożę? – spytała Karoliny, która po tym, jak prawniczka skierowała lufę w jej stronę, nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Teraz też nie miała za wiele do powiedzenia. To wystarczyło, żeby pokręciła przecząco głową.

– Widzisz? Nie grożę – z tryumfem w głosie oświadczyła prawniczka.

– Widzę i to może dlatego, że w ogóle dopiero teraz zaczęłam widzieć na oczy! Jak powypluwałam te wszystkie tabletki, którymi mnie tu faszerowano – odparła jej babcia.

– A czy to ja cię tu przywlokłam? Ja cię wywiozłam bez słowa?! – krzyczała jej nad głową prawniczka.

– Może nie ty, ale ty mi grozisz i terroryzujesz tę biedną dziewczynę!

– Ja tę biedną dziewczynę zamierzam ochronić. Tak jak i ciebie. I siebie zresztą też – dodała, odgarniając po raz kolejny mocno już potargane włosy.

– To dlatego tym świństwem wymachujesz nam przed nosem? – spytała złośliwie babcia, pokazując na stół.

– To dla obrony, już mówiłam – odparła jej prawniczka, znowu wyglądając zza firanki.

– Przed kim? – zapytała wreszcie Karolina, głośno przełykając ślinę.

– Dobrze pytanie – uśmiechnęła się szyderczo Ilona Kachoń. – Ten twój małżonek ładnie to rozegrał. Wywiózł Pole, bo chciała nad morze, zamknął i czekał, aż znajduje resztę papierów. – Pokazała ręką na



staruszkę. – Ją też przekonał!

– Mnie bardziej przekonał ten drugi – uśmiechnęła się babcia rozbrajająco. – Tak się ładnie uśmiechał i mówił, że ja jodu potrzebuję... Kto wie, pewnie potrzebuję. Ale nic a nic nie obiecywałam!

– Gdybyś im nie obiecała, nie byłoby tych kłopotów – warknęła prawniczka.

– Gdybym nie obiecała tobie – zachnęła się babcia, uderzając rękami w kołdrę – to też by ich nie było!

– Niedługo się doigrasz – syknęła Ilona Kachoń.

– O co chodzi? – Karolina patrzyła to na jedną, to na drugą.

Raptem prawniczka schowała się za firankę, wysuwając tylko czubek nosa.

– Zaraz się dowiesz. A teraz słuchaj – zwróciła się do Karoliny. – Możesz stąd uciec, wyjść, co chcesz... droga wolna.

– Skoro tak... – Karolina wstała, nie miała ochoty z nią zostać. Znikło opanowanie, które kiedyś było od Ilony. Teraz widziała w niej słabą, rozhisteryzowaną kobietę, która nie wiadomo, co mogła zrobić.

– Ale proponuję zostać... – dodała, patrząc jej prosto w oczy – i posłuchać. Dowiesz się więcej. Może więcej zrozumiesz. Jak chcesz. Wybieraj.

Karolina z początku niepewnie ruszyła w kierunku drzwi, nacisnęła klamkę, ale się wstrzymała. Puściła drzwi i wróciła tam, gdzie stała.

– Wiedziałam, że zostanie – skwitowała babcia radośnie. – Od początku była ciekawska.

– Schowaj się – rozkazała prawniczka. – Przy świadku nie za wiele powie.

Karolina wcale nie była pewna, czy chce zostać. Uwaga o ciekawości dobiła ją do reszty. Tym bardziej że była prawdziwa. Chciała się dowiedzieć, jak się jej już prawie były mąż zachowuje przy tej drugiej kobiecie. Tak zwyczajnie, poza całą resztą, która zdawała

się być nieprawdopodobnie absurdalna.

– Wejź do szafy. – Pokazała ręką Ilona Kochańska. – Zmieścimy się – dodała, a Karolina zrobiła wielkie oczy. Nie miała pojęcia, że ma iść do szafy i że będą się chować razem. Przestała się jednak zastanawiać nad czymkolwiek.

Szafa rzeczywiście była duża, trzydrzwiowa... Dziewczyna rozglądała się jeszcze, szukając jakiejś innej kryjówki, ale ta rzeczywiście była najlepsza.

– A podobno to kochanek siedzi zawsze w szafie – burknęła pod nosem, przesuwając wieszaki z ubraniami, żeby ułożyć sobie miejsce.

– Posuń się – zarządziła Ilona, pakując się do środka i machając pistolecikiem w jej kierunku. Karolina tylko skrzywiła się z niesmakiem. Babcia za to popatrzyła na nie obie i pokiwała im przyjaźnie ręką. Więcej Karolina nie zdążyła zobaczyć, bo Ilona zamknęła drzwi od środka. Zrobiło się ciemno, ciasno i dziwnie. Poruszyła się i szafa zatrzeszczała.

– Ciiii – szepnęła Ilona – nie ruszaj się. Nie otwieraj, zanim się nie dowiemy, co oni takiego znaleźli u profesora...

U profesora? Karolina chciała jeszcze pytać, dowiedzieć się czegoś więcej, ale ktoś zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł. Zamarła.

– Wszystko w porządku? Zdrowie dopisuje? – usłyszała uradowany głos Wiktora.

– Atmosfera bardzo pobudzająca – odparła z równym zadowoleniem Apolonia Polańczyk.

– Ktoś panią niepokoił? – zapytał tym razem Max. – Albo odwiedzał?

– Cały czas ktoś mnie odwiedza.

– Kto? – krzyknęli jednocześnie.

– Wy na przykład – spokojnie odpowiedziała staruszka.

– Aa, no chcemy, żeby miło spędziła pani czas – odezwał się Max.

– Nie wy pierwsi mnie rozpieszczacie – zarechotała babcia, a przynajmniej taki dźwięk doszedł do wnętrza szafy.

– Cóż, bardzo zależy nam na reszcie tych... obiecanych dokumentów – przymiłał się Wiktor. – Wiem, że ma je pani nawet przy sobie. Podobno w takiej kolorowej torebce. – Krążył po pokoju.

Karolina dosłyszała otwieraną jedną szufladę. Potem drugą.

– Sprzątaczką wam powiedziała – zachnęła się babcia. – Żmija jedna! Wiedziałam, że grzebie w moich rzeczach. Wszyscy w nich grzebią...

– To gdzie jest ta torebka?

– Nie wiem. Pewnie ją ukradła.

– Znajdzie się – powiedział Wiktor.

– Albo i nie! – krzyknęła babcia.

– Jeśli się nie znajdzie, tym lepiej dla nas – dodał, otwierając kolejną szafkę. – Mówiłem ci. Lepiej było przeszukać ją na początku.

– Tam był tylko wąż boa – odezwał się Max. – Mówiłem ci przecież.

– I co, ugryzł cię? – zapytał drwiąco krążący po mieszkaniu Wiktor.

– Tak czy inaczej, fakty są, jakie są. Ten oto Maxymilian Rosada odnalazł testament, na mocy którego jego dziadek stał się jedynym właścicielem kamienicy przy Mickiewicza.

Karolina osłupiała.

W szafie zrobiło się już trochę jaśniej. Przez górną szparę w drzwiach i kilka nieszczelnych desek wpadało nikłe światło, a oczy przyzwyczyły się do ciemności. Wystarczyło, żeby Karolina poczuła szczyptę i zobaczyła pytającą minę prawniczki. Wzruszyła tylko ramionami, pierwszy raz słyszała, aby jego dziadek był kamienicznikiem.

– Więc czego tak szukacie? – dopytywała babcia.

– Może ktoś będzie chciał go podważyć... lepiej je znaleźć. Zaraz znajdziemy – mówił to, wyraźnie zbliżając się do szafy. Karolina zamarła, a Ilona wzięła głęboki oddech i pchnęła drzwi z całej siły.

– Pod ścianę, gnojki – wrzasnęła na cały głos, wychodząc z wyciągniętym przed siebie pistoletem. – Obaj!

– Ilona?

– No co ty! – krzyknął Wiktor.

Skrzydło, za którym stała Karolina, tylko lekko się odchyliło, ale nie otworzyło na oścież. Zresztą nikt na nią nie patrzył. Wystarczyła lufa, którą Ilona wodziła od jednego do drugiego. Wyglądała upiornie. Część potarganych i elektryzujących się włosów unosiła się nad jej głową. Patrzyli wyłącznie na nią. Karolina przylgnęła więc do ściany szafy, przysłoniła się ubraniem.

– Jaki testament? – zapytała Apolonia Polańczyk.

– Jaki testament? – powtórzyła pytanie Ilona, ale nikt się nie odezwał. – On cię przekabacił? – zwróciła się do Wiktora.

Karolina wychyliła się lekko. Wystarczyło, żeby zobaczyć Maxa. Stał jak dzieciak z podstawówki, z opuszczoną głową.

– To ty chciałaś wmanipulować go w jakąś fundację sprzed wieku – odburknął Wiktor.

– Mieliliśmy plan. Tak ci ufałam... – Ilona podeszła do Maxa. – Zniszczyłam swoje małżeństwo... Dla ciebie...

„Swoje?”, pomyślała Karolina, zaciskając zęby.

– Co ty chcesz osiągnąć, wymachując tym czymś? – znowu wtrącił się Wiktor.

– Chcesz wiedzieć, do czego jest zdolna zdesperowana kobieta? – wrzasnęła Ilona, odwracając się do niego. Wiktor zrobił krok do tyłu. – Szczególnie ty, zdrajco! Gdzie jest ten testament? Tutaj? Znalazłeś to w mieszkaniu profesora Kochańskiego i nic mi nie powiedziałeś?! – zwróciła się do Maxa i jednym ruchem wyszarpnęła mu spod pachy skórzaną teczkę. – Zobaczymy. Odsunąć się – dodała i wyrzuciła zawartość na podłogę. Rozsypały się papiery. Karolina dojrzała skrawek pożółkłej kartki. Prawniczka podniosła właśnie ją.

– Przeczytajmy, co było tyle warte... Ja, Jan Kanty... – zaczęła

czytać – Rosada – podkreśliła głośno – spisuję swą ostatnią wolę...

– Wiedziałam, że gdzieś to jest... – Klasnęła w ręce uradowana staruszka. – Wiedziałam!

Karolina mocno zakryła ręką usta.

– I dlatego warto było zabić Wiercimagę? – zapytała Ilona, a Karolina przygryzła zaciśnięte palce, chciało się jej krzyknąć. Tego się nie spodziewała.

– Ona myślała tylko o tym, że babcia coś jej zapisze – kontynuowała Ilona. – Przez te wszystkie lata zwodziła tę naiwną kobietę.

– Nie zwodziłam, sama coś sobie wymyśliła – oburzyła się babcia.

– Nikogo nie zabiłem! – jęknął Max, a Karolina dalej gryzła palce.

– Byłeś na górze? Przecież wiem! Potem przyszedłeś do mnie roztrzęsiony. Co?! Może to nieprawda?

– Nie tylko ja. Ja tylko... – bąkał Max.

– Może to on. – Wskazała na Wiktora. – Chciał się szybko wzbogacić. Powtarzał to ciągle. Milion na koncie przed trzydziestką. Dobrze pamiętam.

– Uspokój się – syknął Wiktor.

– Bo co?! – wrzasnęła Ilona. Niezłą parką jesteście – mówiła do obu panów prawniczka. – Chciałeś mnie wykiwać? Mnie! Szperaliście w mieszkaniu i Wiercimaga was nakryła? Przyznaj się!

Zabójstwo! Karolina poczuła, że kręci jej się w głowie. Zaczęło brakować jej tlenu, choć drzwi były uchylone. Zaczęła łykać powietrze jak ryba wyrzucona z wody. Nie mogła już ustać. Opadła na tył szafy. Chciała się tylko oprzeć, ale ta zatrzeszczała przeraźliwie.

– Tam ktoś jeszcze jest! – krzyknął Wiktor.

Nie było sensu dłużej się ukrywać. Wyszła, trzymając się drzwi. Chwiała się na nogach. Max z Wiktorem patrzyli na nią w osłupieniu, jakby zobaczyli ducha. Prawniczka mogła ich zaskoczyć, ale jej się tu nie spodziewali.

– Zabiłeś tę kobietę? – zapytała nieprzytomnym głosem, patrząc na Maxa.

– Karolina! – wyciągnął ręce w jej kierunku, a Wiktor patrzył na nią jak osłupiały.

– Nie podchodź do mnie! – krzyknęła, gdy tylko Max spróbował zrobić krok w jej stronę.

– Nie podchodź, skoro cię kobieta prosi – zawtórowała jej babcia z łóżka. – Chodź tu do mnie, moje dziecko. – Poklepała ręką łóżko.

– Przecież ona wsadziła cię za kratki... – Próbował powiedzieć coś Max. – Pamiętasz?

– Nie odzywaj się – wrzasnęła Karolina. – Po prostu się nie odzywaj! – krzyknęła, choć tak naprawdę chciała, żeby mówił i się tłumaczył.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Pokaż mi to... – Karolina wyciągnęła trzęsącą się rękę w kierunku prawniczki. Ta ciągle miała w dłoni pożółkłą kartkę. Nie czekała. Wyszarpnęła ją. Zaczęła czytać: „Ja, Jan Kanty Rosada...”. – Litery biegały jej przed oczami, próbowała wyteńczyć wzrok, ale nic to nie dawało. Trzęsa się jej ręka. Nie mogła się skupić.

– Oddaj to! Później przeczytasz – powiedziała prawniczka, odbierając jej kartkę.

Nagle ktoś pchnął z hukiem drzwi wejściowe. Stał w nich Kachoń. W rozchełstanej koszuli, zarośnięty, półprzytomnym wzrokiem popatrzył na wszystkich, po czym ruszył w kierunku prawniczki.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę! Wiedziałem! – powtórzył. – Widzę, że wszyscy w komplecie.

– Nie podchodź – ostrzegła go Ilona, wyciągając rękę z małym pistoletem w jego kierunku.

– Strzelaj – zaśmiał się. Chwycił ją za nadgarstek, wyszarpnął jej pistolet i rzucił w kąt na podłogę. Prawniczce zatrzęsły się ręce.

– Strzeliłabyś do mnie przez tych dwóch palantów? – Pokazał na stojących obok siebie Maxa i Wiktora. – Zdecydowałaś się w końcu na któregoś? Ten czy ten? – Wodził palcem od Maxa do Wiktora.

– Co?! O czym ty mówisz?! – wykrzyczał Max i zrobił się czerwony na twarzy.

– Ty się nie odzywaj, o ciebie się nie bałem – zaśmiał się Kachoń. – Łoś jeden. Długo to nie mogło potrwać, jak zwykle. Miałaś się tylko przydać...

Karolina patrzyła na niego nie mniej osłupiała. Nikt na nią nie zwracał uwagi, jakby nie o nią chodziło, jakby jej tu nie było. Jakby to nie jej życie legło w gruzach.

– Ale ten. – Pokazał palcem na Wiktora. – Ten się jej spodobał. Przyznaj się!

– Skończ już – zbyła go Ilona. – Między nami skończone.

– To się okaże! – wrzasnął jej prosto w twarz. – Myślałaś, że on zrobi dla ciebie tyle co ja?! Tyle co ja?!

– Ilona, o czym on w ogóle mówi? – dopytywał się osłupiały Max.

– Już nie o tobie, chłopcze – wtrąciła się Apolonia Polańczyk. – Słuchaj i nie przeszkadzaj – dodała.

Karolina wzięła głęboki oddech.

– Wychodzę – zakomunikowała.

– A ty tu skąd się właściwie wzięłaś? – zapytał Kachoń, jakby dopiero teraz ją dostrzegł.

– Wychodzę – powtórzyła i sama nie wiedząc dlaczego, ruszyła w kierunku balkonu. Prawdopodobnie dlatego, że stamtąd przyszła. Zrobiła krok za próg.

– Wracaj! – krzyknął Kachoń.

Zatrzymała się, ale przede wszystkim dlatego, że zaraz za drzwiami zobaczyła brodacza, przytulonego do ściany. Stał z bronią w ręku i palcem przyciśniętym do ust. Wróciła.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, wszyscy patrzyli tylko na nią. Za to

ona spojrzała na Apolonie, która poprawiła się na łóżku i usiadła wyprostowana.

– Dobrze – westchnęła babcia głośno. – To który w końcu pomógł Wiercimadze wypaść przez okno?

– On! – krzyknął Wiktor, pokazując na Kachonia.

– On! – Pokazał Kachoń na Maxa.

– Ty? – jęknęła rozpaczliwie Karolina. Max popatrzył na nią

– Nie. On – powiedział cicho i wyciągnął rękę w kierunku Wiktora.

– Jak możesz! Zamknij się – wrzasnął poblady Wiktor i rzucił się w kierunku leżącego na podłodze małego pistoletu. Dopadł do niego i podniósł.

– Nie ruszać się! – krzyczał i machał bronią, jak oszalały.

– Wydało się – skwitowała babcia.

– Wydało! Nie ruszać się. – Z balkonu wyszedł brodac z pistoletem w dłoni. Większym od damskiego pistoletu prawniczki. Trzymał go też pewniej, ręka mu nie drżała. Rozejrzał się po wszystkich.

– A ty kto? – zapytał Kachoń. – Rodzina?

– Policja – odpowiedział spokojnie brodac i wyciągnął z kieszeni legitymację. – Jesteście aresztowani.

– Ja też?! – pisnęła babcia wyraźnie uradowana.

– Nie wszyscy... – uśmiechnął się do niej brodac.

Karolina stała z otwartymi ustami. To wytłumaczenie akurat nie przyszło jej do głowy.

Wiktor patrzył przez chwilę skonsternowany, wodząc wzrokiem po wszystkich. Miotał się. Oglądał za siebie. W końcu chwycił stojącą najbliżej niego Ilonę. Złapał ją ręką pod szyję i docisnął, mierząc pistoletem w szyję.

– Puść ją, to już nie ma sensu – spokojnie oświadczył Haber.

– Ty mnie w to wpakowałaś, teraz mnie z tego wyciągniesz – syknął przez zaciśnięte zęby. – Wychodzimy! – krzyknął, kierując się do drzwi i ciągnąc ze sobą przerażoną Ilonę.



- Radzę ci, zostań. Ta zabawa już się skończyła...
- Okaze się! – Wiktor nie dawał za wygraną. – Okaze się...
- Ostrzegałem. – Piotr Haber ruszył w jego kierunku z wyciągniętą przed sobą bronią.

Karolina widziała tylko jego plecy. Potem rozległ się strzał.

Boże, Boże, spraw, żeby nic mu się nie stało. Spraw, żeby mu się nic nie stało! – tak błagała Olcha w drodze do szpitala, wspierana przez Helenę Wiercimagową.

Nie było mnie tam wtedy, ale wiem wszystko od niej właśnie. Nie raz i nie dwa wywoływała w pamięci te chwile, a ja zawsze siadałem wtedy i słuchałem. A słuchać tego mogłem na okrągło. I wzruszałem się za każdym razem, gdy wspominała, jak to pannie Olsze odradzała drogi do szpitala. Słaba była, blada jeszcze i ledwo powłóczyła nogami. Jednak nie było siły, by ją zatrzymać. Nie pamiętam, w jaki sposób dowiedziała się o wydarzeniach w Carltonie. Czasy takie były, że wieści szybko się rozchodziły, przez ludzi ciekawskich przenoszone. A takie sensacyjne to najszybciej. Prawie tak jak dziś po drucie. Pani Helena mądra i wyrozumiała była dla dziewczęcych uczuć. Gdy zrozumiała, że dziewczyny nie zatrzyma, sama pod bok ją wzięła, wsparła na własnym ramieniu i zaprowadziła prosto pod wskazaną szpitalną salę.

Łóżek było tam wiele i pacjentów mnóstwo, ale panna Olcha wzrokiem rozpalonym pomieszczenie omiotła i już wiedziała, gdzie ma biec, podporę swoją daleko za sobą zostawiając. Zerwała się jak ptak z uwięzi i padła na kolana przy łóżku, szlochając, łyzy lejąc, szepcząc urywane słowa. I my nieraz oboje na samo wspomnienie ocieraliśmy łyzy płynące ukradkiem i wzdychaliśmy głośno. Dość mi słów pani Heleny było, aby obraz jak żywy przed moimi oczami stawał, jakbym sam to wszystko widział. Wspominam więc tych dwoje pobladłych ludzi, którym niemoc i wzruszenie mówić nie pozwalały, a jedynie wpatrywać się w siebie mieli siły. I cieszyli się zapewne tym, że łyzy

z ich oczu żywych płynąć mogą. Że mgłą wieczną jeszcze niespowite. Że życia w nich jeszcze pełno. A to, co złe, minęło i ku dobremu idzie. Pani Wiercimagowa wpatrzona z daleka w młodych pilnowała jedynie, aby do jakiego zaślabnięcia nie doszło. Bo pan Teofil ledwo po operacji ledwo oprzytomniał, a panna Olcha również tylko co przytomność odzyskała. Tak też i mój pan Heliodor zalecał, by młodzi nadmiarem szczęścia zdrowiu własnemu nie zaszkożdzili.

Ile to trwało, nie wiem, bo to, co tu wyjaśnione zostało, w innym miejscu ciągle było zagadką. I ja miałem pomóc to wyjaśnić, znosząc zamówiony przez doktora Wrzoska zwierzyniec do starej Akademii Cesarskiej. Wypełniać miałem wszystko starannie, bo jak mi pan Heliodor powiedział, doktor był jednym z najlepszych patologów w naszym nowym kraju.

– Przyczynę choroby, jak kto ma odnaleźć, to tylko on – powtórzył mi pan kilka razy – i jeśli istnieje jakieś wytłumaczenie tych nagłych i tajemniczych osłabień, to on to na pewno wyjaśni. Wspomóc go tylko trzeba.

Dlatego oprócz zwierząt miałem do skleconej naprędce pracowni donieść też wszystkie odczynniki z drewnianej skrzynki panny Laury. A dodatkowo jej płaszcz poplamiony. I to zdziwiło mnie najbardziej, ale nie mnie pytać, ja tylko polecenia wykonuję. Dziękuję, że dane mi było pomocą służyć.

Doktor wziął jeden z pojemniczków z brązowego szkła i odkręcił zakrętkę. Po pracowni rozniósł się nieprzyjemny zapach lekko zepsutych ryb.

– To anilina – zakomunikował, podsuwając mi nasączony wacik z daleka pod nos, aż mną wstrząsnęło. – Gdzieś już o niej czytałem... w farbiarstwie użyteczna... – mówił na głos. – Jeden z przemysłowców stara się udowodnić, że ta oto anilina nie jest substancją trującą. A nawet do leków jej użyli. Za granicą jednak piszą coś zupełnie innego... I mnie się tak zdaje, że mogą mieć rację – dodał, kręcąc

nosem, po czym nasączył kolejny wacik oleistą, żółtawą substancją i włożył go najpierw do klatki z białą myszą. Klatkę z kotem postawił przy parującej kolbie. – Zobaczmy, co się będzie działo... – dodał, zacierając ręce.

Pokiwałem głową, niewiele rozumiejąc i pokazałem ręką na płaszcz, rozkładając ręce. Nie miałem pojęcia, do czego jest potrzebny.

– Tak, drogi Janie Kanty – pokazał mi zaplamioną kieszeń – plamy tej już w zapachu nie czuć, ale z tego, co zdołałem się dowiedzieć, panna Laura do własnych badań domowych anilinę z farbiarni w małym słoiczku zabrała. Gdy się z nią dobrze obchodzi – powiedział, wkładając kolejny wacik do klatki – nic groźnego wydarzyć się nie powinno. Ale słoiczek się rozbił, pewnie już na Ogrodowej, substancja wyciekła, poplamiwszy kieszeń, i zaczęła się powoli ulatniać. A wchłania się nawet przez zdrową skórę, co już widać po tej myszy. – Pokazał na klatkę z wacikiem, w której mysz zaczęła się przewracać. – Panna Olcha, zmęczona, przykryła się tym samym płaszczem i stało się to samo. Zsiniała, białka oczu jej się zażółciły, odczuła dojmujący ból głowy. Od razu miałem podejrzenie, że została otruta. Ale czy celowo? Co do tego pewności nie było. Panna Laura zdawało się przeczuwała, że to jakaś chemia być może, może też się bała, że to z jej przyczyny. Sama jednak nie rozumiała, która substancja i w jaki sposób tak Olsze zaszkodzić mogła. Tak zakładałem, bo ja, panie Janie Kanty, raczej dobro w ludziach widzę. Pewność co do przyczyn wypadku dopiero wraz z zasłabnięciem panny Laury do mnie przyszła. Podobne objawy kazały mi szukać jednej wspólnej przyczyny i zwróciły uwagę na tę kieszeń. Panna Laura narażać się tak zapewne w swoim stanie nie chciała. W grubą kieszeń ten olej się wchłonał, wystarczyło dłużej rękę w kieszeni trzymać i nieszczęście gotowe. Ot i cała zagadka – klasnął doktor na koniec w ręce.

Słuchałem tego wyводу jak zaklęty. Doktor Wrzosek niczym detektyw z angielskich powieści przyczyny szukać zaczął w plamach,

aby potem w laboratorium rozwiązanie tej zagadki ostatecznie potwierdzić. Później zaś opisał te przypadki w naukowym artykule „O anilinie”.

– I widzisz, Janie Kanty, substancja tak powszechnie używana dziś w farbiarstwie, też może być trucizną. Ale do wyjaśnienia tego potrzebna była nauka – kontynuował swój wywód doktor Wrzosek. – I do tego nam potrzebny w Polsce, w Poznaniu uniwersytet! Bo choćby lekarzy niewielu tu zostało po tym, jak Niemcy i Żydzi wyjechali. Dużo pracy przed nami. A ty, Janie Kanty, byłbyś świetnym służącym przyszłego wydziału medycyny. Ja ci to mówię!

Zapamiętałem to wszystko bardzo dobrze, bo to był mój pierwszy eksperyment. Później brałem udział jeszcze w niejednym. Studenci musieli płacić za ćwiczenia, a ja miałem pokazy za darmo. I to nie jedno. „Nauka ma wielką moc!”, pomyślałem wtedy w pracowni doktora Wrzoska. Cieszyłem się, że nazajutrz nasz uniwersytet miał być hucznie otwarty. I że ja mogę świętować z lekkim sercem, radując się wspólnie z całym miastem. Później dowiedziałem się, że był to także najpiękniejszy dzień w życiu mojego pana, Jego Magnificencji Profesora Heliodora Świącickiego – rektora naszego uniwersytetu.

Nie masz pojęcia, ile tam się działo – ekscytowała się Apolonia Polańczyk, mnąc kartkę i wkładając ją z powrotem do haftowanej, aksamitnej torebki.

– Błagam – jęknęła Karolina. – Tego nie wolno tak giąć!

– Komu nie wolno? – zapytała staruszka, przechylając przymilnie głowę. – Jeszcze coś ci znajdę – oświadczyła, wkładając rękę do torebki.

Karolina westchnęła przesadnie głośno, tylko tyle mogła zrobić. Od godziny siedziały obie w audi brodacza, teraz ozdobionym doczepionym do dachu małym, migającym neonem policja. Kolejne samochody podjeżdżały, odjeżdżały. Przez cały czas coś spisywano. Zatrzymanie było w jednym województwie, transport do drugiego.

Wszystko się przeciągało. Ale nie nudziła się. Babcia, odzyskawszy torebkę, wyciągała coraz to nowe papiery, otwierając ją tak, by była tylko niewielka szczelina i wyciągała po jednym.

– Ile tam tego się mieści? – spytała za którymś razem.

– Skąd mam wiedzieć? Wyciągam po jednym. – Wzruszyła babcia ramionami.

– Patrz! – Wręczyła jej niewielki kartonik z twardszego papieru. – Legitymacja. Uprawniająca do udziału w uroczystościach otwarcia Uniwersytetu Poznańskiego w dniu 7 maja 1919 roku. Podpisano... Komisja Uroczystościowa.

Karolina zerknęła, ale ten dokument akurat nie zrobił na niej wrażenia. Miała już taki w archiwum.

– Należała do ciotki Anki. – To wystarczyło, by mimowolnie wyciągnęła po niego rękę.

– Naprawdę? – Oglądała legitymację, trzymając ją delikatnie w palcach.

– Naprawdę – odpowiedziała babcia z przekonaniem. – Wiele razy brała mnie na kolana i opowiadała, jak to tam wtedy było. Mamusia zaniemogła, to przecież wiesz. Dobrze, że całkiem się nie otruła, bo by mnie nie było – dodała, robiąc zmartwioną minę. – Papcio przy niej był. A ciotka Olcha przy wuju Teofilu siedziała cały czas. Jedynie na chwilę wyjrzała ze szpitala. Pomachać pochodowi.

– To jak to było z nimi?

– Na początek rano msza w katedrze z oficjelami. – Karolina westchnęła, nie do końca o to jej chodziło, ale babcia jak miała plan coś opowiedzieć, to opowiadała i nie sposób było ją zawrócić z tematu. Poprawiła się więc wygodniej i słuchała.

– Zjechało się mnóstwo gości ze wszystkich polskich uniwersytetów. A potem pochód był z harcerzami na czele. Za nimi karety, powozy, automobile, jeden za drugim i tłumy na całej trasie. Przez Chwaliszewo, Wielką, Stary Rynek, Nową, co się teraz Paderewskiego

nazywa, placem Wolności, świętym Marcinem i pod zamek. Tysiące ludzi wiwatowało. Całe to oficjalne towarzystwo dotarło do sali tronowej, którą sobie kiedyś Wilhelmek uszykował – zaśmiała się głośno. – I tam się odbyły uroczystości. Następnie odbyła się biesiada dla wybitnych obywateli, w hotelu Bazar, oczywiście. Na koniec przedstawienie w Teatrze Polskim. Wystawiono „Warszawiankę” – powiedziała i wyciągnęła kolejny świstek z torebki. – Masz. Czytaj. Doktor Wrzosek to napisał. Opowiadał mi to kiedyś, tu w Dąbkach.

Karolina chwyciła poźólkłą kartkę wyrwaną tym razem z jakiejś książki.

*Przez cały ten pamiętny dzień Rektor Świącicki promieniał radością. Będąc jego gościem, byłem zarazem prawie nieodstępnym jego towarzyszem. Odczuwałem radość, która przepętniała jego złote serce. Nie omyłę się może, przypuszczając, że był to najpiękniejszy dzień w jego życiu.*

– To pięknie – westchnęła Karolina. – Ich pewnie też – dodała po chwili, patrząc na ściskającego się prawnika z prawniczką. Stali kilkanaście metrów od nich i się obejmowali, jakby spotkali się po długiej podróży. Chyba już od godziny trzymali się za ręce.

– Ludzie nigdy nie byli aniołami – westchnęła Apolonia. – Tak gdzieś czytałam. Podobno pan Heliodor tak mawiał.

– Wywiną się też ze wszystkiego, choć oni rozpętali tę burzę.

– Jak to prawnicy. – Wzruszyła ramionami babcia.

Piotr Haber podszedł do nich i wsadził głowę przez otwartą szybę samochodu.

– Już niedługo pojedziemy. Dlaczego siedzicie w samochodzie?

– Bo tu klimatyzacja jest – odparła staruszka.

– Ale masz otwartą szybę.

– Bo lubię przewiew. Nie kłóć się z praciotką! – huknęła.

– Unikam tego jak ognia od dziecka – roześmiał się od ucha do

ucha. – Zaraz jedziemy. Prawnicy jadą razem. Swoim samochodem.

– I nic im nie grozi? – zapytała Karolina.

– Niewiele. Założyli tylko fundację z przedwojenną nazwą i podstawili prezesa, żeby uniknąć problemów. Chcieli przejąć kamienicę, ale to przecież wiesz...

Przytaknęła.

– To ich miałem na oku. Gdyby posunęli się dalej, chwyciłbym ich na gorącym uczynku ... ale potoczyło się inaczej. Znalazł się ktoś jeszcze bardziej chciwy i bardziej zdesperowany.

– A ten pistolet?

– To zabawka na ślepaki. Dozwolona. Kachoń dał kiedyś Kachoniowej w prezencie. Dodatek do tortu.

– Ale ona groziła tą bronią.

– Jeśli tak zeznasz. Podobno razem siedziałyście w szafie. Ze strachu.

– Nie. Z ciekawości – odpowiedziała staruszka, nim Karolina zdążyła otworzyć usta.

– Pola mogłaby zeznać, że jej grożono... – Próbowwała jeszcze.

– Wykluczone – zachnęła się staruszka – ja wiedziałam, że to zabawka. Wojnę przeżyłam światową, a tego miałabym się bać.

– Ale Wiktor strzelił – jęknęła Karolina.

– Tak. – Brodacz potarł ramię. – I za to odpowie. Trochę bolało. Ale przede wszystkim za wypchnięcie przez okno pani Hęciakowej. Najprawdopodobniej w kłótni, ale to bez znaczenia.

– A Max?

– Jeśli wiedział, co się wydarzyło w mieszkaniu Poli, odpowie za zatajenie prawdy. Będzie przesłuchiwany w tej sprawie. I jeszcze nie wiem, co go spotka za fałszowanie dokumentu. Na pewno gniew ciotki.

– Wiedziałam, że jest początek! – krzyknęła babcia. – Pokazuj!

Policjant Piotr Haber wyciągnął trzymaną za plecami jedną kartkę

włożoną w foliową kopertę. Lepiej niż zmiętolone w torebce, ale Karolinie i tak krajało się serce, gdy brała kartkę do ręki.

– Można to tak, między dwiema tekturkami jeszcze trzymać. Pośrodku – błagała.

– Postaram się.

– Czytaj! – zażądała babcia. – Kochański mówił mi coś o tym, ale myślałam, że ma sklerozę. Kochański, wnuk tego Kochańskiego i ciotki Anki, jeśli nie zrozumiałaś. Dobrze, że dziadek jednak do seminarium nie poszedł, bo by go nie było. Czytaj już...

Karolina chwilę na nią patrzyła, potem przyglądała się kartce mocno wzruszona. Znajome pismo. Bardziej rozchwiane, pływające po nierównych linijkach, ale właśnie to, które znała bardzo dobrze od wielu miesięcy. Od dawna znała każde połączenie każdej litery z każdą. Była w stanie odczytać nawet pozornie nieczytelne wyrazy. Wszystko było oczywiste, swojskie, jak list od starego przyjaciela. Wszystko, oprócz dwóch liter „d” i „a”. Nie była grafologiem, ale wiedziała doskonale, że choć połączone, to do reszty nie pasują. Odcinają się jak niechciana narośl. Mimo że starannie dopisane i dla obcego oka prawie niezauważalnie przemianowały nazwisko – Jan Kanty Rosa na Rosada.

– I wszystko przez te dwie litery? – zapytała samą siebie, kręcąc z niedowierzaniem głową.

– Obawiam się, że tak. – Pokiwał brodacz ciągle przewieszający się przez otwartą szybę samochodu. – Twój Max znalazł testament, a Wiktor wymyślił resztę. Tak przypuszczam. Początkowo nie wiedzieli, jak to zrobić, więc grali na dwa fronty. A potem wszystko wymknęło się spod kontroli...

– Czytaj już – poprosiła Apolonia Polańczyk, ziewając jakby na znak, że te współczesne rozgrywki akurat teraz ją nudzą.

*Ja, Jan Kanty Rosa...*



Zaschło jej w gardle na samą myśl, że mogłaby choćby niechcący przeczytać inaczej.

*Wolę swą spisać jestem zmuszony. Chciałbym to wszystko móc inaczej ogłosić i odejść spokojniejszym, ale czasy takie, że ani moja wola znaczenia nie ma, ani majątek wartości takiej, jaką mieć powinien. W Bogu nadzieja, że to się kiedyś zmieni. Teraz razem z Sewerynem Kochańskim ukryjemy ten testament w jego mieszkaniu, bo choć on kresu dni swoich też dobiega, to gromada dzieci i wnuków pewnie odebrać sobie swych metrów nie da i do kryjówki nikogo obcego nie dopuści. Ufam, że dokument ten przeczeka w ukryciu na powrót dni jaśniejszych, które razem z wolnością odzyskaną przychodzą. My jej kiedyś z moim świętej pamięci panem Heliodorem Świącickim doczekaliśmy, doczekają więc i ci, co po nas przyjdą. Jestem pewien, że wrócą czasy, gdy dla dobra nas wszystkich dysponować majątkiem będzie można, aby służył ogółowi. Nie tak jak dzisiaj. Nie pora o tym jednak pisać, narażając niepotrzebnie list przechowywujących.*

*Żyłem nadzieją, wojnę i tę drugą straszliwą przetrwałem, czekając w mieszkaniu państwa Owińskich, aż oni szczęśliwie do Poznania powrócą... Nie wrócili, tak samo jak i nie wróciły przedwojenne czasy, które tu nam radośnie pospołu wśród rodzących się dzieci mijały.*

*Anka Kochańska z domu Cukierówna, co nad nami mieszkała, robót nie przeżyła. Gromadką dzieci ledwo od ziemi odrosłych zajął się jej kochający mąż Seweryn. Pode mną mieszkająca Laura Haber z domu Fechner ocalała, ale za to jej mąż Stefan już na początku wojny poszukiwany, zgładzony został przez Niemców, gdyż razem z innymi powstańcami wielkopolskimi znalazł się na liście uprzednio sporządzonej i jako wróg w publicznej egzekucji został stracony haniebnie. Ofiary te jeszcze do naszych zwycięskich powstańców wielkopolskich doliczyć jeszcze trzeba, gdyż oni w odwecie za pruską porażkę sprzed dwudziestu lat zostali zabici.*

*Ponad dwa tysiące ludzi na tych listach, skrupulatnie było odnotowanych. Ileż to ofiar...*

*Olcha Owińska z domu Jaworska za mężem w świat wyjechała. On najprawdopodobniej z Anglii powrócić nie może, gdyż klimat się zmienił i zdrowiu jego nie służy, taką informację otrzymałem. Tak mnie ogólnie w liście poinformowała (zapewne nie chcąc nikogo zbędnymi informacjami narażać). Nie ma się więc co więcej się nad tym rozwodzić. Grunt, że w razie, gdyby nie wrócili, dostałem dyspozycję, by tą kamienicą zająć się od serca i w miarę rozsądku tak rozdysponować jej własnością, na mnie przepisaną, żeby dobru powszechnemu służyła. I cóż z tego, że w obecnych czasach kamienica wartości nie ma? Może nadejdą inne. Dlatego własność mi przekazaną na mocy aktów dołączonych przekazuję spadkobiorcom moim, czyli wszystkim*

– Gdzie jest kolejna kartka?! – wykrzyknęła Karolina, obracając papier w rękach. Przeczytała już z obu stron...

– Właśnie, że nie ma... to chcieli wykorzystać twój mąż z kolegą. Pewnie napisali już coś, a może dopiero mieli zamiar dopisać. Nie wiem jeszcze.

– Ale gdzie jest reszta? – jęknęła Karolina rozpaczliwie, nie chcąc, by ta historia tak po prostu się skończyła.

– Może się znajdzie? – Piotr Haber spojrzał dosadnie na swoją praciotkę.

– Może. – Pokręciła głową z zadowoleniem,

– Miejmy więc nadzieję. A teraz proszę, oddaj to... – Karolina niechętnie oddała testament Jana Kantego. – Na razie to dowód próby fałszerstwa i musi być zbadany.

– Jak on mógł? Zrobić coś takiego! – jęknęła, zakrywając rękami twarz.

– Ty się włamałaś – pisnęła babcia, wzruszając ramionami.

– Słucham? – Karolina niedowierzała w to, co słyszy, i już ręką

chwytała klamkę w samochodzie.

– Spokojnie. – Przytrzymał ją za ramię brodac. – Mam tu spisane oświadczenie Apolonii Polańczyk, w którym zapewnia, że osobiście prosiła cię o wymianę zamka.

– Dlaczego pani tak powiedziała?

– A po co mieli wiedzieć, że jesteśmy w tak zażyłych stosunkach? Nie mam racji? – zapytała i skuliła się. Wyglądała jak małe dziecko, które coś przeskrobało i jest z tego nieprawdopodobnie dumne. – Jeśli chcesz się na mnie gniewać... to bardzo proszę. Tylko nie za długo! Nie wiadomo, ile pożyję. Szkoda czasu.

Piotr Haber zaśmiał się. Karolina puściła klamkę.

– Jeszcze niestety chciałem cię poinformować, że wracamy do Poznania razem z twoim mężem. Nie może wracać z Wiktorem. Musimy ich odseparować. Chcesz, żebym go skuł?

– Słucham? – znowu wykrzyknęła to samo.

Chciała jeszcze protestować, ale zobaczyła, że dwóch policjantów już prowadzi Maxa. Miał opuszczoną głowę. Patrzył tylko pod nogi. Zrobiło jej się go żal. Posadzono go na tylnym siedzeniu. Mimo krótkich włosów przypominał trochę chłopaka, którego, zdawało się jej, kiedyś znała.

– Wybaczysz mi? – zapytał.

Karolina długo mu się przyglądała. W końcu wydusiła z siebie.

– Jeśli coś dopisałeś do tej kartki to... nie!

## Załącznik nr 1. Ekspertyza grafologiczna.

Zakwestionowane zapisy, widniejące na przedmiotowym dokumencie, stanowią w pełni czytelne z punktu widzenia stosowanego grafizmu formy kreślone pismem zwykłym (minuskuła i majuskuła). Sporządzone zostały w średnim tempie, naturalnie,

z użyciem wzorca kaligraficznego charakterystycznego dla pisma z pierwszej połowy XX wieku.

Należy stwierdzić, że pomimo obecności powtarzalnej cechy grafokinetycznej, polegającej na górnoprawostronnym umiejscawianiu inicjowania kreślenia owali w kwestionowany podpisie „Rosada” – pętlicowe trzony ostatnich liter „a” i „d” w są odmiennie modelowane i odznaczają się smuklejszą formą, silniej cieniowaną w zakończeniach linii.

W promieniowaniu ultrafioletowym wykazują one również wyraźnie jaśniejszą luminescencję niż pozostałe znaki zapisów i podpisu, będące w barwie niebieskawej, a nie białoróżowej, jak ma to miejsce we wspomnianych znakach „d” i „a”. Ponadto ogląd dokumentu w świetle silnie skośnym, zarówno awersu, jak i rewersu, wskazuje na silniejszy nacisk środka pisarskiego w obrębie dwóch wyżej wspomnianych znaków literowych „d” i „a”.

Całokształt ujawnionych właściwości dokumentu, ze szczególnym uwzględnieniem obszaru kwestionowanego podpisu, wskazuje na przerobienie dokumentu, poprzez dopisanie wtórnych liter „d” i „a” do pierwotnej konstrukcji podpisu „Rosa”.

Zabieg ten utworzył sfałszowaną konstrukcję graficzną „Rosada”.

# Epilog

7 maja 2019

Karolina z jednej strony, a Piotr Haber z drugiej prowadzili Apolonię Polańczyk pod rękę, na wzgórze świętego Wojciecha, wprost do kościoła.

– Musimy być tam króciutko – szepnęła Karolina. – Inaczej spóźnimy się na uroczystości – dodała nieśmiało.

– Nigdzie się nie spóźnimy. Czekałam na to stulecie sto lat.

– Dlatego ma pani miejsce w pierwszym rzędzie, a tam też trzeba dojść.

– Zdążysz jeszcze zaśpiewać – skwitowała staruszka. To dobry dzień, by tu przyjść.

– Odpocznijmy – zaproponował Piotr Haber.

– Jeśli będziemy wciąż odpoczywać, to się spóźnimy – powiedziała, ale przystanęła na chwilę.

– Opowiem wam coś – odezwała się po chwili. – Kiedyś doktor Wrzosek zwrócił się do Heliodora Święcickiego, prosząc o wsparcie dla jakiegoś zdolnego, ale głodem przymierającego studenta. Ten pokiwał głową ze zrozumieniem, potem usiadł i wypisał czek. Doktor Wrzosek uprzejmie podziękował i schował do kieszeni. Z grzeczności nie spojrzął, co otrzymał. Dopiero na korytarzu wyjął czek i z przerażeniem odkrył, że opiewa nie na sto marek, na co miał nadzieję, ale na... Uwaga... milion! – wykrzyknęła z palcem uniesionym do góry. – Takiej sumy doktor Wrzosek na oczy nie

widział. Zresztą mało kto widział, to była dziesiąta część całego majątku Świącickiego. Wrócił więc, rzecz jasna, biegiem do rektora i zapytał, co ma z tym zrobić. Bo ręce mu się trzęsą! Na to Heliodor z uśmiechem mu odparł, żeby ulokował w dobrze prosperującej fabryce chemicznej i nawozowej doktora Maya, której dyrektorem był nie kto inny, tylko Cyryl Ratajski, późniejszy prezydent Poznania. Miał dla niego szczere uznanie. I dzięki temu czekowi miał uruchomić poważny fundusz stypendialny, który pomoże wielu studentom, nie jednemu... Tak też uczyniono. A teraz idziemy.

Apolonia poprowadziła ich do kościoła, wprost do kaplicy przed tablicę:

„Tu spoczywa śp. Profesor doktor Heliodor Świącicki organizator i pierwszy rektor Uniwersytetu Poznańskiego, który całe swe serce i majątek oddał młodzieży”.

– Studenci sami tę tablicę ufundowali! Po jego śmierci. Ze składek. Dziwicie się? Ja nie! – dodała z uśmiechem. – Idziemy. Co tak stoicie?

# Podziękowania

Pomysły na książki przychodzą z różnych stron, ten przyszedł niespodziewanie... z Samodzielnej Sekcji do Spraw Obchodów Stulecia! Już brzmi jak wyzwanie!

Pewnego dnia umówiła się ze mną Anna Schmidt-Fiedler z propozycją napisania kryminału z okazji stulecia poznańskiego Uniwersytetu. Dosyć szybko się zgodziłam. O pomysły na kryminał w środowisku uniwersyteckim – raczej nietrudno. Zaczęłam czytać i czytać, coraz bardziej wstecz i po jakimś czasie stało się jasne, że za sprawą pierwszego rektora Heliodora Świącickiego zapadłam na nieuleczalną Heliodorofilę. Nie było już wyjścia. Musiałam się cofnąć o sto lat, by pobyć przez moment w tych nieprawdopodobnie wspaniałych czasach. Do 1918 i 1919 roku, czyli do chwil w naszej historii, kiedy wszystko się udawało, kiedy spełniały się marzenia całych pokoleń, kiedy najbardziej nieprawdopodobne idee stawały się rzeczywistością. Kiedy odzyskaliśmy wolność, kiedy wygraliśmy powstanie, kiedy w pół roku powstał Uniwersytet, na który czekano pięćset lat!

Czas wielkiego entuzjazmu! Wielkich postaci! Wielkiej radości! Cieszę się, że za sprawą gazet, wspomnień, biografii udało mi się pobyć przez chwilę w tym cudownym okresie naszej historii i uszczknąć odrobinę tego uniesienia dla własnej opowieści. Mam nadzieję, że i Państwa te niezwykle okoliczności, w jakich powstawał poznański Uniwersytet, zachwycą tak samo jak mnie.

Anno Schmidt-Fiedler – jeszcze raz dziękuję.

Podziękowania należą się również:

Filipowi Modrzejewskiemu z W.A.B., który choć warszawski od pokoleń, zainteresował się tym momentem poznańskiej historii.

Idzie Świerkockiej za czuwanie nad książką.

Pracownikom Archiwum Uniwersyteckiego za pomoc w poszukiwaniach.

Leszkowi Koźmińskiemu, ekspertowi w dziedzinie kryminalistycznych badań dokumentów, za analizę.

Beacie Bielskiej, czarującej Pani dyrygent Chóru Akademickiego UAM, za rozmowę.

Magdalenie Adamczewskiej za wsparcie przy powstaniu tej powieści. Od samego początku.

Markowi Czachorowskiemu, mężowi, za rozprawianie się na bieżąco z twórczymi rozterkami.

Hannie Cygler za zawsze życzliwe doradztwo.

Gabrieli Prządce za tytuł.

Beacie, siostrze, za to, że jest i... wszystkim innym, których ta strona już nie pomieści.